



UUK

TONY PARSONS

MEŹCZYŻNA I CHŁOPIEC

Tytuł oryginału: Man and Boy
Warszawa, 2001



SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI.	2
----------------------	---

Część pierwsza — Szlifowanie bruków

Najpiękniejszy chłopak na świecie	6
Rozdział 1	8
Rozdział 2	15
Rozdział 3	21
Rozdział 4	28
Rozdział 5	35
Rozdział 6	40
Rozdział 7	46
Rozdział 8	50
Rozdział 9	56
Rozdział 10	62
Rozdział 11	69
Rozdział 12	81
Rozdział 13	86
Rozdział 14	93
Rozdział 15	97
Rozdział 16	102
Rozdział 17	105
Rozdział 18	109

Część druga — Facet z dzwoneczkami

Rozdział 19	116
Rozdział 20	125
Rozdział 21	131
Rozdział 22	137
Rozdział 23	143
Rozdział 24	150
Rozdział 25	156

Rozdział 26	162
Rozdział 27	168
Rozdział 28	174
Rozdział 29	183
Rozdział 30	189

Część trzecia — Co dalej?

Rozdział 31	199
Rozdział 32	207
Rozdział 33	215
Rozdział 34	221
Rozdział 35	228
Rozdział 36	231
Rozdział 37	237
Rozdział 38	242
Rozdział 39	247
Rozdział 40	251

Mojej matce

**Część pierwsza — Szlifowanie
bruków**

Najpiękniejszy chłopak na świecie

To chłopak, chłopak!

Mały chłopiec.

Patrzę na to maleństwo — tyse, pomarszczone, o zwiotczącej skórze staruszka — i zachodzi we mnie jakaś reakcja chemiczna.

Ono — to znaczy on — wygląda jak najpiękniejsze dziecko na świecie. Czy rzeczywiście jest najpiękniejszym dzieckiem na świecie? Czy może tak zostałem po prostu biologicznie zaprogramowany? Czy wszyscy odczuwają to samo? Nawet ludzie, którym rodzą się zwykłe dzieci? Czy nasze dziecko jest rzeczywiście takie piękne ?

Szczerze mówiąc, nie wiem.

Dziecko śpi w ramionach kobiety, którą kocham. Siedzę na skraju łóżka i przyglądam się im obojgu, czując się związany z tą kobietą i z tym dzieckiem w sposób, w jaki nie czułem się jeszcze związany z nikim.

Po całym podnieceniu ostatnich dwudziestu czterech godzin nagłe wypełnia mnie — i za chwilę się przeleje — fala wdzięczności, szczęścia i miłości.

Nie chcę się skompromitować — zepsuć wszystkiego, rozmazać tej chwili łzami. W tym samym momencie dziecko budzi się, kwiląc o jedzenie, a my — ja i kobieta, którą kocham — wybuchamy śmiechem. Śmiejemy się, wstrząśnięci i zachwyceni.

To mały cud. I chociaż nie potrafimy uciec przed realiami codziennego życia — kiedy będę musiał wrócić do pracy? — dzień skrzy się prawdziwą magią. Nie mówimy o tej magii, ale czujemy ją wokół siebie.

Później przychodzą moi rodzice. Po wszystkich pocałunkach i uściskach moja mama liczy małemu palce u rąk i stóp, sprawdzając, czy nie ma między nimi błon. Ale on jest zdrowy, dziecko jest zdrowe.

— Ale z niego przystojniak — mówi mama. — Mały przystojniak.

Mój ojciec przygląda się dziecku i coś się w nim roztopia. Ojciec ma wiele zalet, ale na pewno nie jest miękki, nie jest sentymentalny. Nie zwykł gaworzyć z dziećmi na ulicy. Jest dobrym człowiekiem, ale wiele przeszedł w życiu i to go zahartowało. Dzisiaj zaczyna w nim pękać lodowa tafla i widzę, że on też to czuje.

To najpiękniejsze dziecko na świecie.

Daję ojcu butelkę, którą kupiłem przed kilku miesiącami. Bourbona. Ojciec pije tylko piwo i whisky, ale bierze butelkę z szerokim uśmiechem. Na nalepce widnieje napis „Old Granddad”. To on. Mój ojciec.

I uświadamiam sobie, że stałem się do niego bardziej podobny. Dziś ja też jestem ojcem. Wszystkie domniemane wyznaczniki wieku męskiego — utrata cnoty, zdanie egzaminu na prawo jazdy, pierwsze głosowanie — były tylko dalekimi peryferiami młodości. Dokonałem tych wszystkich rzeczy, ale w zasadzie dalej byłem taki sam, dalej byłem chłopcem.

Teraz jednak pomogłem przyjść na świat innej ludzkiej istocie.

Dziś stałem się tym, kim mój ojciec był zawsze.

Dziś stałem się mężczyzną.

Mam dwadzieścia pięć lat.

Rozdział 1

Oto kilka sytuacji, których trzeba się wystrzegać, szykując się do najważniejszych w życiu („wreszcie jestem dorosły”) trzydziestych urodzin.

Jednorazowego skoku w bok z koleżanką z pracy.

Nierozważnego zakupu luksusowych przedmiotów, na które cię nie stać.

Porzucenia przez żonę.

Wylania z roboty.

Nagłego stania się samotnym rodzicem.

Jeśli zbliżacie się do trzydziestki, wystrzegajcie się tego, bez względu na to, co robicie.

Schrzani to wam cały dzień.

* * *

Trzydziestka powinna przypaść w momencie, gdy wydaje nam się, że teraz zaczynają się nasze złote lata, lata, kiedy będziemy zbierali śmietankę — najlepsze jest jeszcze przed nami. . . i tak dalej w tym samym stylu.

Jesteśmy w dalszym ciągu dość młodzi, żeby zarwać całą noc, ale równocześnie dość starzy, żeby posiadać kartę kredytową. Wszystkie wątpliwości i nędza wieku młodzieńczego pozostały w końcu za nami — i chwała za to Bogu — lecz wciąż mamy wiele wigoru.

To powinny być dobre urodziny. Jedne z najlepszych. Ale jak świętować ten wielki dzień? Z bandą roześmianych przyjaciół wolnego stanu, w jakimś intymnym barze lub restauracji, czy też wspólnie z kochającą żoną i zapatrzonymi w ciebie dziećmi, w domowym zaciszu?

Musi być jakiś dobry sposób uczczenia trzydziestki. Możliwe, że każdy sposób jest dobry.

Wszystkie moje wyobrażenia na temat tych konkretnych urodzin wzięły się chyba z jakiegoś cukierkowego amerykańskiego sitcomu. Przed oczyma miałem atrakcyjną trzydziestoletnią parę obściskującą się niczym dwoje napalonych nastolatków, a w tle pełzający po parkiecie, gaworzący niemowlak, względnie grupkę przystojnych, błyskotliwie dowcipnych przyjaciół, którzy ubrani jak z żurnala,

popijają latte, żaląc się na brak dziewczyn do wzięcia. Na tym polegał mój problem. Dumając o tym, jak skończę trzydziestkę, wyobrażałem sobie cudze życie. Taki właśnie powinien być trzydziestolatek — dorosły, lecz nie rozczarowany, ustawiony, lecz niepopadający w błogie zadowolenie, mądry, lecz nie aż do tego stopnia, żeby chcieć się rzucić pod pociąg. Facet, który ma przed sobą swój najlepszy okres. Oczywiście gdzieś koło trzydziestki człowiek uświadamia sobie również, że nie będzie żyć wiecznie. Ten fakt powinien jednak tylko poprawić smak roześmianej teraźniejszości. Nie wolno pozwolić, by wizja nieuniknionej śmierci kładła się cieniem na różne sprawy. Żeby długie, powolne schodzenie do grobu popsulo nam całą zabawę.

Bez względu na to, czy cieszyacie się ostatnimi latami wolności, czy też wkroczyliście niedawno w bardziej dorosły i odpowiedzialny etap życia z kimś, kogo kochacie, trudno sobie wyobrazić, by ukończenie trzydziestki było dla was czymś strasznym.

Ale mnie udało się tego jakoś dokonać.

* * *

Samochód miał zapach cudzego życia. Zapach wolności. Stał w oknie wystawowym salonu — wrzecionowaty sportowy bolid, który nawet ze spuszczoneym dachem wydawał się gładki i zwarty jak muskuł.

Naturalnie był czerwony — koloru płomiennej, napakowanej testosteronem czerwieni.

Kiedy byłem trochę młodszy, tego rodzaju bezczelna apoteoza rozbuchanej męskości kazałaby mi uśmiechnąć się z pogardą, zachichotać, porzygać się, względnie zrobić to wszystko jednocześnie.

Teraz jednak wcale mi to nie wadziło. Prawdę mówiąc, to auto wydawało się dokładnie tym, czego szukałem na obecnym etapie swojego życia.

Nie jestem człowiekiem, który zna na pamięć wszystkie marki samochodów, lecz przeglądając ukradkiem reklamy w kolorowych czasopismach, zadałem sobie dość trudu, żeby ustalić nazwę tego konkretnego cacka. Tak, to prawda. Widzieliśmy się już wcześniej.

Choć nazwa nie miała w gruncie rzeczy znaczenia. Podobało mi się po prostu, jak ono wygląda. I działał na mnie ten zapach. Przede wszystkim zapach. Zapach, który sugerował, że wszystko może się zdarzyć. Co w nim takiego było?

Połączone aromaty skóry, gumy oraz wszystkich tych jardów świeżo lakierowanej stali składały się na woń porażającej nowości, nowości tak szokującej, że zwałała mnie niemal z nóg. Ta nowość sygnalizowała istnienie innego świata, nieograniczonego i wolnego, istnienie szerokiej drogi, która prowadziła gdzieś ku świetlanej przyszłości. Tam, gdzie nigdy nie słyszano o drogowych pachołkach, o procesie fizycznego rozkładu i moich trzydziestych urodzinach.

Znałem skądś ten zapach i teraz przypomniałem sobie, kiedy doznałem podobnych odczuć. To śmieszne, ale podobnie czułem się, trzymając w rękach nowo narodzone niemowlę.

Porównanie nie było może najlepsze — samochód nie potrafił zezować na mnie oczkami, które dopiero co zaczęły widzieć, nie potrafił złapać mojego palca w małą piąstkę ani uśmiechnąć się do mnie bezzębnymi dziąsłami. Ale przez moment wydawało mi się, że to robi.

Za plecami usłyszałem czyjeś kroki.

— Żyje się tylko raz — oznajmił sprzedawca. Uśmiechnąłem się grzecznie, dając do zrozumienia, że będę to jeszcze musiał przemyśleć.

— Szuka pan prawdziwej frajdy? — zapytał. — Ponieważ, jeśli MGF jest do czegoś stworzony, to właśnie do tego.

Wciskając mi swoją standardową gadkę dealera, oceniał mnie jednocześnie wzrokiem, próbując osądzić, czy warto odbyć ze mną jazdę próbną.

Był nachalny, ale nie aż tak bardzo, żeby chodziły mi po plecach ciarki. Wykonywał po prostu swoją robotę. I mimo mego weekendowego stroju — który z racji mojego zawodu nie różnił się tak bardzo od stroju, w jakim chodziłem codziennie — musiał zobaczyć we mnie człowieka zamożnego. Kogoś, kto podążał ścieżką szybkiej kariery i szukał odpowiednich do tego czterech kółek. Kogoś młodego, wolnego i samotnego. Prowadzącego życie beztrudnie jak w reklamie piwa. Jak bardzo można się czasami pomylić.

— Ten model ma system zmiennej regulacji zaworów — oznajmił z autentycznym, jak mi się zdawało, entuzjazmem. — Można regulować czas otwarcia zaworów dolotowych, zmieniając prędkość rotacyjną każdego tłoka.

O czym on, kurwa, nawijał? Czy to miało coś wspólnego z silnikiem?

— To prawdziwy magnes na laski — dodał, widząc moją głupawą minę. — Można dymać, ile wlezie. Młody samotny facet nie może wybrać lepszego wozu.

Tym razem trafił w sedno. Odpuść sobie techniczne bajery, po prostu powiedz, że w takim samochodzie człowiek może się zatracić. Daj mi to do zrozumienia. To właśnie chciałem usłyszeć.

Coś odciągnęło nagle ode mnie uwagę sprzedawcy. Wyjrzałem w ślad za nim na ulicę przez wielką szybę samochodowego salonu.

Gapił się na wysoką blondynkę, która trzymała za rękę małego chłopca w T-shircie z Gwiezdnymi wojen. Stali otoczeni torbami z supermarketu. I przyglądali się nam.

Nawet z tymi torbami i małym dzieckiem blondynka należała do kobiet, które przyciągają wzrok.

Co się tyczy dziecka — a było to z całą pewnością jej dziecko — trzymało w ręku długą plastikową rurkę, w której żarzyło się nikłe światło.

Jeśli w ciągu ostatnich dwudziestu lat zdarzyło wam się pójść kilka razy do kina, niechybnie rozpoznalibyście w tym przedmiocie świetlny miecz, tradycyjną broń Rycerzy Jedi. Ten akurat potrzebował nowych baterii.

Piękna kobieta uśmiechała się do mnie i do sprzedawcy. Mały chłopczyk wyciągał ku nam świetlny miecz, jakby chciał nas nim zdzielić.

— Tato — wołał po drugiej stronie dzielącej nas szklanej tafli.

Nie było go słychać, ale to właśnie mówił.

— To moja żona i syn — oznajmiłem, odwracając się i widząc, jak w oczach sprzedawcy pojawia się rozczarowanie. — Muszę lecieć.

Tato. To o mnie mowa. Jestem tatą.

* * *

— Przecież nawet nie lubisz samochodów — przypomniała mi żona, przeciskając się naszym starym volkswagenem kombi przez zakorkowane pod wieczór ulice.

— Tylko oglądałem.

— I jesteś za młody na kryzys wieku średniego — dodała. — Jako trzydziestolatek jesteś na to o wiele za młody, Harry. Dopiero za piętnaście lat uciekniesz z sekretarką, która będzie dość młoda, żeby zostać twoją drugą żoną. A ja utnę rękawy we wszystkich twoich garniturach. Nie mówiąc już o twoich jajach.

— Nie mam jeszcze trzydziestki, Gino — zachichotałem, chociaż wcale nie było mi do śmiechu. Gina zawsze przesadzała. — Mam dwadzieścia dziewięć lat.

— Jeszcze tylko przez miesiąc! — roześmiała się.

— Niedługo twoje urodziny — stwierdził Pat, śmiejąc się wraz z nią, choć sam nie wiedział dlaczego, i wałąc mnie po głowie tym swoim cholernym świetlnym mieczem.

— Proszę, nie rób tego, Pat — powiedziałem.

Przypięty pasami do swojego samochodowego fotelika, siedział z tyłu razem z naszymi tygodniowymi zakupami, mamrocząc pod nosem i udając, że wraz z Harrisonem Fordem leci Sokołem Milenium.

— Straciłem prawy silnik — mruknął. — Odpalaj, kiedy będziemy gotowi.

Zerknąłem na niego. Miał cztery lata i brudne blond włosy, opadające na oczy, które miały ten sam odcień błękitu co oczy matki. Błękitu Tiffany'ego. Widząc, że mu się przyglądam, uśmiechnął się z czystą dzieciinną radością.

— Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, tato — zaśpiewał. — Wszystkiego najlepszego.

Dla Pata moje urodziny były okazją, by dać mi w końcu własnoręcznie namalowaną laurkę, którą schował pod łóżkiem. (Lukę Skywalker dekapitował na niej swoim niezawodnym świetlnym mieczem kosmicznego potwora). Dla mnie stanowiły sygnał, że najlepsze lata mam już być może za sobą. Naprawdę.

Kiedy znowu poczuje się tak samo jak owego wieczoru, gdy Gina oznajmiła, że za mnie wyjdzie? Kiedy znowu poczuje się tak, jak czułem się owego ranka, gdy urodził mi się syn? Kiedy życie stanie się z powrotem takie... prawdziwe? Kiedy?

— Odkąd to zacząłeś się interesować samochodami? — zapytała Gina. Jak widać, nie zamierzała mi szybko odpuścić. — Założę się, że nie wiesz nawet, jakie paliwo wlewa się do tego wozu. No?

— Och, daj spokój, Gino.

— No więc jakie? Niech to szlag.

— Zielone — odparłem na chybił trafił. — Benzynę bezołowiową. Tę, którą tankując, pomagasz ocalić tropikalne lasy.

— Olej napędowy, ty ciołku — roześmiała się. — Nigdy nie znałam faceta, który by się mniej interesował samochodami. Co ci odbiło?

Cóż mogłem jej powiedzieć? Człowiek nie mówi żonie, że jakiś nieożywiony przedmiot symbolizuje dla niego wszystkie te rzeczy, o których wie, że nie będzie ich nigdy posiadał. Miejsca, których nigdy nie zobaczy, kobiety, których nigdy nie pokocha, rzeczy, których nigdy nie robi. Nie wolno opowiadać żonie takich bzdetów. Nawet żonie, którą bardzo się kocha. Zwłaszcza takiej.

— Jest tam miejsce tylko dla jednego pasażera — stwierdziła.

— Gdzie? — zapytałem, udając głupka.

— Dobrze wiesz, o czym mówię — odparła. — Jest tam miejsce tylko dla jednego pasażera... dla jednej szczupłej osoby płci żeńskiej.

— Wciąż jesteś szczupłą osobą płci żeńskiej — mruknąłem. — Tak mi się w każdym razie zdawało, gdy ci się ostatnio przyglądałem.

— Co cię do tego skłoniło, Harry? Nie kręć. Powiedz mi.

— Może chcę sobie jakoś zrekompensować fakt, że staję się starym prykiem? Wstępuję do klubu starych pryków, więc pragnę w żalospny sposób odzyskać swą wspaniałą młodość. Nie bacząc na to, że i tak mi się to nie uda oraz że moja młodość nie była wcale taka wspaniała. Czyż nie tak właśnie zachowują się mężczyźni?

— Kończysz trzydzieści lat — powiedziała. — Wypijemy kilka butelek i będziemy mieli śliczny tort ze świeczkami.

— I baloniki — wtrącił Pat.

— I baloniki — zgodziła się Gina. — Nie sprawimy ci zawodu, Harry — dodała, potrząsając swoją śliczną głową.

Była ode mnie kilka miesięcy starsza. Swoje trzydzieste urodziny spędziła w otoczeniu przyjaciół i rodziny, tańcząc z synem do największych przebojów Wham, z kieliszkiem szampana w ręku. Wyglądała tamtej nocy wspaniale, naprawdę.

Moje własne urodziny zapowiadały się jednak bardziej traumatycznie.

— Chyba niczego nie żałujesz? — zapytała.

— Na przykład czego?

— No wiesz — odparła, nagle śmiertelnie poważna. — Na przykład tego, że jesteście razem.

Wzięliśmy ślub w młodym wieku. Gina była wtedy w trzecim miesiącu ciąży i patrząc z pewnego dystansu, uważam, że był to najszcześniejszy dzień w moim życiu. Lecz kiedy dobiegł końca, nic już nie było takie samo jak przedtem. Ponieważ nie mogliśmy ukryć faktu, że jesteście dorośli.

Stacja radiowa, w której pracowałem, dała mi tydzień urlopu i spędziliśmy miodowy miesiąc w naszym małym mieszkaniu, oglądając w łóżku poranną telewizję, pojadając sandwicze i rozmawiając o przepięknym dzidziusiu, jakiego będziemy mieli.

Mówiliśmy też o prawdziwym miodowym miesiącu — Gina chciała, żebyśmy ponurkowali trochę pośród tropikalnych ryb u wybrzeży Okinawy. Ale kiedy już mieliśmy trochę więcej pieniędzy i trochę więcej czasu, pojawił się Pat i życie potoczyło się utartym torem.

Odkryliśmy, że nasze ślubne obrączki odseparowały nas od reszty świata. Inne małżeństwa, które znaleźliśmy, były od nas co najmniej dziesięć lat starsze, a nasi rówieśnicy znajdowali się w tym krótkim okresie życia, gdy nie mieszka się już u swojej matki, lecz nie trzeba jeszcze spłacać hipoteki. Nasza mała rodzina zdana była wyłącznie na samą siebie.

Kiedy nasi przyjaciele tańczyli nocami w klubach, my nie spaliśmy, ponieważ małemu wyrzynały się ząbki. Kiedy oni martwili się, jak znaleźć odpowiedniego partnera, my martwiliśmy się, jak spłacić ratę za nasz pierwszy prawdziwy dom. Mimo to niczego nie żałowałem. Owszem, poświęciliśmy naszą wolność. Poświęciliśmy ją jednak dla czegoś lepszego.

Kochałem żonę i kochałem syna. Oboje nadawali sens mojemu życiu. Mój świat byłby bez nich niewyobrażalny. Wiedziałem, że mam szczęście. Ale ostatnio coraz częściej zastanawiałem się, kiedy przestałem być młody — i nic na to nie mogłem poradzić. Po prostu nie mogłem.

— Naprawdę nie znoszę tego, że gdy człowiek robi się starszy, jego życie zaczyna się jakby kurczyć — powiedziałem. — Ma coraz bardziej ograniczone opcje. Od kiedy to posiadanie takiego samochodu stało się dla mnie czymś śmiesznym? Dokładnie od kiedy? Dlaczego to jest takie zabawne? Bardzo chciałbym wiedzieć. To wszystko.

— Ma w sobie moc — oświadczył Pat.

— Czerwony sportowy samochód — mruknęła pod nosem Gina. — Przecież ty nawet nie lubisz prowadzić.

— Słuchaj, tylko go oglądałem, prawda? — zachnąłem się.

— Wszystkiego najlepszego, wszystkiego najlepszego — zanucił nagle Pat i walnął mnie w ucho swoim mieczem. — Szklanka soku pomidorowego. Wyglądasz jak mała, kolego.

— To wcale nie było miłe — powiedziałem. Samochody przed nami stanęły i poczułem, że krew pulsuje mi w uchu.

Gina zaciągnęła ręczny hamulec i spojrzała na mnie tak, jakby próbowała sobie przypomnieć, co jej się we mnie w ogóle spodobało. Wydawała się lekko wytrącona z równowagi.

Pamiętałem, co mnie się w niej spodobało. Miała najdłuższe nogi, jakie kiedykolwiek widziałem u kobiety. Jednak nadal nie byłem pewien, czy to najlepsza podstawa wielkiej miłości, takiej, jaka przytrafia się tylko raz w życiu.

Czy może najgorsza.

Rozdział 2

Nie mogąc dłużej znieść widoku wlokącej się przede mną białej skorodowanej furgonetki, zjechałem na drugie pasmo i wcisnąłem gaz do dechy.

Mój MGF przemknął ze wzbudzającym zaufanie gardłowym rykiem obok starego rżęcha. Kiedy wracałem na swój pas, w tylnym lusterku mignęła mi gęba kierowcy — zepsute zęby, tatuaż, usta skrzywione w grymasie wściekłości. Czułem się świetnie. Dzięki nowemu sportowemu samochodowi nie musiałem już oglądać skorodowanych białych furgonetek ani ich kierowców. Wszystko to zostawiłem daleko w tyle. Spoglądałem ufnie w przyszłość, w której czekały mnie przejażdżki z otwartym dachem oraz zachwycone spojrzenia kobiet. Chwilę później musiałem zatrzymać się na czerwonych światłach i furgonetka stanęła obok mnie.

Jezu, pomyślałem. Zaraz padnę ofiarą drogowej agresji.

— Ty głupi mały gnoju! — sklął mnie kierowca, opuszczając szybę i pokazując twarz niczym Big Mac w kuble piwa. — Wsiadaj i pchaj to gównu!

Facet odjechał na zielonym świetle, a ja stałem tam jeszcze przez chwilę, trzęsąc się i zastanawiając, co powinienem mu być odpowiedzieć.

Jeśli wysiądę, przyjacielu, to tylko po to, żeby wepchnąć ci tę landarę w twój wytatuowany tyłek! Nawet gdybym miał go pchać, przyjacielu — naprawdę dobrze byłoby go nazwać przyjacielem — i tak poruszałbym się szybciej od ciebie. Ty pacanie z piwnym bebechem! Ty gruby kutasie!

Wyobraziłem sobie, jak załatwiam go celną odżywką, a potem odjeżdżam z piskiem opon i irytującym uśmiezkiem na twarzy. W rzeczywistości jednak siedziałem tam rozdygotany tak długo, że w końcu stojący za mną kierowcy zaczęli trąbić i krzyczeć, że zmieniły się światła.

Wtedy odjechałem, zastanawiając się, co w tej sytuacji zrobiłby mój ojciec.

Na pewno nie siedziałby beczynnym w samochodzie. I nie traciłby czasu, próbując wymyślić jakąś odżywkę godną Oscara Wilde'a.

Mój ojciec wysiadłby po prostu z MGF i znokautował tego obwiesia z furgonetki. Naprawdę by to zrobił.

Tyle że, prawdę mówiąc, w życiu nie zobaczylibyście mojego ojca w luksusowym sportowym samochodzie. Uważał, że czymś takim jeżdżą tylko palanci.

Mój ojciec czułby się o wiele lepiej za kierownicą jednej z tych białych furgonetek.

* * *

W kwestii MGF Gina okazała nadzwyczajne zrozumienie. Namawiała mnie, bym wrócił do salonu i pogadał ze sprzedawcą, nawet kiedy mnie samemu pomysł kupienia sobie sportowego auta wydał się trochę głupi.

Ten zakup był wariactwem z wielu powodów. MGF ma bagażnik mniejszy od wózka w supermarkecie. Naprawdę nie potrzebowaliśmy dwóch samochodów. Ruchomy dach jest w Londynie obiektem nienawiści każdego czternastoletniego przyszczatego kretyna z zadrą w sercu oraz nożem w skarpetce. Ale Gina nie chciała o tym słyszeć.

Powiedziała, abym kupił ten wóz i przestał sobie wmawiać, że moje życie się skończyło tylko dlatego, że dobiegłem trzydziestki. Powiedziała, że jestem żalony, ale mówiąc to, śmiała się i objęła mnie ramieniem, co trochę mnie rozkleiło. Chciała, żebym się trochę opamiętał. Marzenie ściętej głowy.

Nigdy wcześniej w trakcie spędzonych wspólnie siedmiu lat nie stać nas było na porządny drugi samochód. Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej nie stać nas było nawet na niewiarygodnie tani drugi samochód. Dopiero od niedawna byliśmy posiadaczami pierwszego taniego samochodu.

Ale nie groził nam już atak serca za każdym razem, gdy listonosz przynosił rachunek do zapłacenia. Zacząłem w końcu dobrze zarabiać.

Byłem producentem programu Marty Mann Show, nocnego talk-show nadawanego w każdą sobotę w naziemnej telewizji. Przez poprzednie sześć lat również odpowiadałem za produkcję Marty Mann Show, ale wtedy nadawaliśmy program w lokalnym radiu i mało kto w kraju słyszał o jego szalonym prezenterze. Miałem wrażenie, że od tego czasu minęły wieki.

Przed dwunastoma miesiącami Marty i ja przeszliśmy z zero-budżetowego programu radiowego do niskobudżetowego widowiska telewizyjnego. Granica między nimi była zaskakująco cienka. Jej przekroczenie wystarczyło jednak, by Marty stał się kimś w rodzaju gwiazdy.

Kiedy wchodziło się z nim do restauracji, wszyscy przestawali jeść i gapili się na niego jak sroka w gnat. Dziewczeta, które przed kilku laty nie dotknęłyby go i w chirurgicznych rękawiczkach, teraz widziały w nim boga miłości. Fotografowano go nawet, kiedy nie robił nic szczególnego. Marty osiągnął sukces i był na tyle przyzwoity, żeby się na mnie nie wypiąć.

Krytycy, w każdym razie ci, którzy go lubili, uważali go za dziecinnego — mając na myśli, że jest otwarty, szczery i kieruje się intuicją. Ich zdaniem zadawał pytania, o których inni prezenterzy bali się nawet pomyśleć. I była to prawda —

w umyśle Marty'ego kompletnie nie funkcjonowała autocenzura, którą wydaje się posiadać każdy z nas. Ludzie udzielali mu odpowiedzi nawet w momentach, kiedy zasługiwał na to, żeby dać mu w zęby.

Krytycy, którzy nie lubili Marty'ego, również określali go mianem dziecinnego — mając na myśli, że jest samolubny, niedojrzały i okrutny. Ale tak naprawdę Marty nie był wcale dziecinny. Czasami obserwowałem, jak nasz Pat godzinami bawi się spokojnie swoimi plastikowymi zabawkami z Gwiezdných wojen. To było dziecinne. Marty nigdy nie potrafiłby skupić na czymś tak długo uwagi. Marty nie był dziecinny. Był po prostu niedorozwinięty.

Poznaliśmy się w lokalnej rozgłośni radiowej, której pracownicy albo dopiero pięli się w górę, albo mieli już za sobą szczyty powodzenia. Mieściła się w obskurnym małym budynku pełnym skwaszonych ambicji i stęchłego papierosowego dymu. Większość dzwoniących do nas ludzi była albo beznadziejnie samotna, albo na granicy świra. Zawsze jednak tęskniłem trochę za tym miejscem. Ponieważ tam właśnie spotkałem Ginę.

Rozgłosnia miała pewne problemy z zapraszaniem gości — z jakiegoś powodu nie zależało im na naszych czekach, na których wypisane sumy były tak małe, że nie dostrzegało się ich gołym okiem — w związku z czym w naszych audycjach zawsze obecny był pewien element improwizacji.

Kiedy na przykład zaczęły bankrutować pierwsze japońskie banki, gość, którego zaprosiliśmy, żeby powiedział, co to wszystko znaczy, nie był ekonomistą ani dziennikarzem od spraw gospodarki, lecz profesorem, który uczył japońskiego w college'u po drugiej stronie ulicy.

W porządku, był tylko nauczycielem japońskiego, ale jak każdy nauczyciel języka, kochał kraj, którego mowy uczył. Któż potrafił lepiej opowiedzieć o azjatyckich tygrysach, które zmieniły się w wykastrowane kocury? Cóż, prawdopodobnie wielu ludzi. Ale on był najlepszym z tych, których mieliśmy pod ręką. Tyle że w ogóle się nie pojawił.

Solidaryzując się jakby z pękającym balonem japońskiej gospodarki, rankiem tamtego dnia pękł wyrostek robaczkowy profesora i zamiast profesora pojawiła się jego najlepsza studentka — Gina.

Wysoka, promienna Gina. Mówiła płynnie po japońsku, była ekspertką w dziedzinie japońskiej kultury i miała nogi do samej szyi. Zabrałem ją do studia i bałem się nawet do niej odezwać, bałem się spojrzeć jej w oczy. Była piękna, czarująca i inteligentna. Ale co najważniejsze, należała do zupełnie innej ligi.

A potem w studiu zapaliła się czerwona lampka i coś się stało. Albo raczej nie stało się kompletnie nic. Ginę sparaliżowały nerwy. Nie była zdolna wykrztusić ani słowa.

Kiedy ją po raz pierwszy zobaczyłem, wydawała mi się nieosiągalna. Jednak widząc, jak poci się i jąka, opowiadając nieskładnie o kryzysie ekonomicznym,

dostrzegłem w niej nagle bratnią duszę. I domyśliłem się, że mam jakąś szansę. Być może niewielką. Nie większą niż śnieżna kula w piekle. Ale jednak.

Poza tym dobrze wiedziałem, jak się czuje. Czerwona lampka zawsze wywoływała u mnie te same symptomy. Nigdy nie czułem się swobodnie przed mikrofonem lub przed kamerą — na samą myśl o tym nadal oblewa mnie zimny pot.

Więc kiedy było już po wszystkim i Marty wyzwolił ją z niedoli, trudno mi było jej nie współczuć. Zniosła całą przygodę bardzo dobrze, pokpiwając z własnej tremy i zarzekając się, że jej kariera medialna jest już skończona.

Słyszając to, podupałem na duchu.

Skoro tak, to kiedy się znowu zobaczymy?

W Ginie ujęło mnie to, że nie przywiązywała wielkiej wagi do swojej urody. Wiedziała, że jest atrakcyjna, lecz nie dbała o to. A konkretniej, uważała, że to jej najmniej interesujący przymiot. Ale ja nie byłem facetem, za kim obejrzelibyście się na ulicy. Na kimś, kto wygląda tak zwyczajnie jak ja, piękno nie może nie zrobić wrażenia.

Zabrała mnie na sushi do Sogo, dużego japońskiego domu towarowego przy Piccadilly Circus, gdzie znał ją cały personel. Rozmawiała z nimi po japońsku, a oni zwracali się do niej „Gina-san”.

— Gina-san? — zdziwiłem się.

— Trudno to dokładnie przetłumaczyć — odparła z uśmiechem. — Znaczy coś w rodzaju: szanowna, czcigodna Gina. Szanowna, czcigodna Gina. Zakochała się w japońskiej kulturze już jako mała dziewczynka. Mieszkała nawet w Japonii przez cały rok pomiędzy szóstą klasą a college’em, ucząc angielskiego w Kioto („najszcześniejszy rok w moim życiu”) i miała zamiar tam wrócić. Zaproponowano jej pracę w oddziale amerykańskiego banku w Tokio. Nic nie mogło jej powstrzymać. Modliłem się, żeby mnie się to udało.

Wyteżając desperacko umysł, by pochwalić się przed nią swoją skromną wiedzą o Japonii, wspomniałem o Yukio Mishimie. Określiła pisarza mianem prawiowego oszołoma („Japonia to nie tylko surowa ryba i rytualne samobójstwo”) i stwierdziła, że jeśli chcę naprawdę zrozumieć ten kraj, powinienem przeczytać Kawabate. Dodała, że może mi pożyczyć kilka jego książek. Ujrzałem w tym swoją szansę i uchwyciłem się jej. Kiedy spotkaliśmy się następnym razem, przyniosła mi powieść pod tytułem Kraina śniegu. Przeczytałem ją zaraz po powrocie do domu (była całkiem niezła; opowiadała o znudzonym życiem playboyu, który w górskim uzdrowisku zakochuje się w upadłej gejszy), wyobrażając sobie oczy Giny, jej nogi oraz to, jak rozjaśniała się jej cała twarz, kiedy się śmiała.

Przyrządziła kolację w swoim mieszkaniu. Przed wejściem musiałem zdjąć buty. Mówiliśmy na temat japońskiej kultury — właściwie to Gina mówiła, a ja słuchałem, jedząc ryż pałeczkami i upuszczając na dywan kawałki teriyaki z kurczaka — i w końcu nadeszła pora, żeby albo wezwać taksówkę, albo umyć

zęby. Chwilę później kochaliśmy się na podłodze — na futonie, jak powiedziała Gina. Byłem dla niej gotów zbombardować Pearl Harbor.

I chciałem, żeby została ze mną na zawsze. W związku z tym obiecałem jej wszystko — szczęście, dożgonną miłość, a przede wszystkim rodzinę. Wiedziałem, że rodzina jest dla niej bardzo ważna — jej tato dał nogę, kiedy Gina miała cztery latka, i przez całe dzieciństwo tęskniła za bezpiecznym rodzinnym domem. Mimo to, idąc do banku, żeby poinformować ich, iż nie pojedzie do Tokio, miała łzy w oczach.

Zamiast zamieszkać w Japonii, przez jakiś czas tłumaczyła dorywczo teksty dla japońskich firm w Londynie. Niestety, wiele z nich właśnie bankrutowało albo pakowało manatki. Nie zrobiła takiej kariery, jaką chciała zrobić. Wiedziałem, że wiele dla mnie poświęciła. Gdybym nie był tak szaleńczo szczęśliwy, mogłyby mnie nawet dręczyć wyrzuty sumienia.

Kiedy wzięliśmy ślub i urodził się Pat, Gina została w domu. Oświadczyła, że Pat i ja — „moi dwaj chłopcy”, jak nas nazywała — jesteśmy dla niej ważniejsi niż kariera zawodowa.

Podejrzywałem, że na tę decyzję w równym rzędzie wpłynęło pragnienie posiadania rodziny, co rozczarowanie pracą. Ona jednak zawsze starała się sprawiać wrażenie, że to najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem.

— Nie chcę, żeby mojego syna wychowywali obcy ludzie — stwierdziła. — Nie chcę, żeby jakaś spasiona nastolatka z Bawarii puszczała mu filmy na wideo, kiedy ja jestem w biurze.

— Świetnie — odparłem.

— I nie chcę, żeby wszystkie posiłki, jakie je, były podgrzewane w mikrofalówce. Nie chcę przychodzić z pracy zbyt zmęczona, żeby się z nim pobawić. Nie chcę, żeby beze mnie dorastał. Chcę, żeby miał jakieś życie rodzinne... cokolwiek to znaczy. Nie chcę, żeby miał dzieciństwo takie jak ja.

— Zgoda — powiedziałem.

Wiedziałem, że to drażliwy temat. Gina wyglądała, jakby zaraz miała się rozpłakać.

— Co jest złego w tym, że kobieta chce zostać w domu ze swoim dzieckiem? — zapytała. — Całe to gadanie o realizowaniu własnych ambicji jest takie żalosne i w stylu lat osiemdziesiątych. Cała ta mania posiadania... Możemy się przecież utrzymać za mniejsze pieniądze, prawda? Obiecuj tylko, że raz w tygodniu będziesz mi kupował sushi.

Przyrzekłem, że będę jej kupował tyle surowej ryby, że wyrosną jej skrzela, i Gina została w domu, żeby opiekować się naszym synem.

A ja, wracając wieczorem z pracy, wołałem: „Cześć, skarbie, już jestem”, zupełnie jakbyśmy byli postaciami z jakiegoś amerykańskiego sitcomu z lat pięćdziesiątych, ja Dickiem Van Dykiem przynoszącym do domu bekon, a ona Mary Tyler Moore przyrządzającą kanapki.

Nie wiem, dlaczego próbowałem robić sobie z tego żarty. Może dlatego, że w głębi serca uważałem, że Gina udaje tylko, że jest kurą domową. A ja udaję tylko swojego ojca.

Rozdział 3

Od wczesnego dzieciństwa Marty jadł posiłki przy włączonym telewizorze. Telewizja była jego niańką, jego najlepszą przyjaciółką, jego guwernantką. Nadal potrafił wyrecytować z pamięci program telewizyjny z tamtych lat. Potrafił zagwizdać temat przewodni Dallas. Mało kto tak dobrze jak on potrafił udawać Daleków. Wszystko, co wiedział o ptaszkach i pszczołkach — a prawdę mówiąc nie było tego zbyt wiele — nauczył się z konkursu Miss World.

Chociaż w niczym go nie przypominałem, Marty przylgnął do mnie, ponieważ pochodziliśmy z podobnych domów. Na pozór nie stanowi to najlepszej podstawy do przyjaźni, ale zdziwilibyście się, gdybym wam powiedział, jak mało pracowników telewizji wywodzi się z takiego środowiska. Większość osób, z którymi pracowaliśmy, pochodziło z domów, gdzie pełno było książek.

Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy w małej stacji radiowej, należeliśmy obaj do kategorii, którą określano kpiącym mianem „wszechstronnie uzdolnionych”. Zdolności Marty’ego sprowadzały się przede wszystkim do przynoszenia kanapek, sortowania poczty oraz robienia herbaty. Ale nawet wtedy z jego uśmiechniętej twarzy i wyłupiastych oczu wyczierała taka energia, że wszyscy go zauważali, nawet jeśli nikt nie brał go serio.

Zajmowałem trochę od niego wyższą pozycję, pisząc różne kawałki, produkując audycje i od czasu do czasu czytając bardzo zestresowanym głosem wiadomości. Jak już wspominałem, kiedy trzeba było wystąpić na żywo — kiedy zapalała się czerwona lampka — byłem beznadziejny, trochę tylko lepszy od Giny. Lampka się zapalała i zamiast się ożywiać, martwiałem. Okazało się jednak, że Marty był do tego wprost stworzony.

Kiedy prezenter naszej nocnej audycji z telefonicznym udziałem słuchaczy — nazywaliśmy ją nocną zmianą czubków — przeszedł nagle do kablowej telewizji, przekonałem szefostwo, żeby dali Marty’emu szansę. Częściowo dlatego, że przypuszczałem, iż okaże się w tym niezły. Ale przede wszystkim ponieważ bałem się, że będę to musiał robić sam.

Ku naszemu zaskoczeniu, Marty dokonał cudu, mając do dyspozycji wyjątkowo mało obiecujący materiał. Przez pięć nocy w tygodniu przyjmował telefony od

zwolenników stryczka i chłosty, wyznawców teorii spisku, ludzi, którzy widzieli latające spodki i wszelkiego rodzaju innych świrów. I robił z tego dobre radio.

Robił z tego dobre radio, ponieważ sprawiał wrażenie, że nic nie dostarcza mu większej frajdy aniżeli rozmowy z toczącymi pianę z pyska obywatelami wariatkoma.

Powoli zaczęliśmy tworzyć to, co określa się mianem kultowego programu. A kiedy nam się udało, szybko posypały się propozycje, żeby przenieść go do telewizji. Ludzie zapraszali nas na lunch, wygłaszali pochlebne uwagi i dużo obiecywali. I bardzo prędko porzuciliśmy naszą odnoszącą sukcesy audycję radiową — rzadki przypadek szczurów uciekających z żeglownego okrętu.

W telewizji wyglądało to inaczej. Nie mogliśmy pozwolić, żeby tak jak w radiu nasi goście trafiali do nas dosłownie z ulicy. Nie wystarczali nam już zapłodnieni przez jurnych kosmitów zabawni maniacy.

Po rocznym prowadzeniu własnego programu Marty nadal wyglądał, jakby robił dokładnie to, co zamierzał w życiu robić. Ale zaczęło o sobie dawać znać napięcie i żeby je ukryć, z tygodnia na tydzień potrzebował więcej makijażu. Srebrne nitki w jego blond włosach nie pojawiły się wyłącznie w wyniku stresu związanego z szukaniem właściwych gości. Kiedy pracowaliśmy w radiu, Marty nie miał nic do stracenia. Teraz to się zmieniło.

Gdy przyjechałem tego dnia do studia, siedział na fotelu w charakterystycznej, wypytując o ewentualnych nowych gości grupkę otaczających go i gotowych spełnić każde życzenie młodych kobiet. Wizażystka próbowała nadać jego skórze w miarę ludzki odcień. Marty z powątpiewaniem pociągnął łyk wody ze szklanki, którą przed nim postawiono.

— Czy to evian?

— Chciał pan gazowaną? — zapytała słodko wyglądająca młoda kobieta w bojówkach i wojskowych butach.

— Chciałem evian.

Na jej twarzy odbiła się ulga.

— To jest evian.

— Nie sądzę.

— No dobrze, to badoit. Marty spojrzał na nią.

— W automacie nie było evian — stwierdziła.

— Sprawdź w bufecie — zaproponował jej z westchnieniem.

Rozległ się zgodny pomruk. W bufecie — gdzie przesiadywali goście naszego programu — z pewnością można było znaleźć evian dla Marty'ego. Zbita z tropu dziewczyna w bojówkach poszła po dobrą wodę, dzielnie się uśmiechając.

— Myślę o czymś w rodzaju klasycznego spotkania z legendą Hollywoodu — oznajmił Marty. — Myślę o Michaelu Parkinsonie trzymającym w ręku notes i rozmawiającym z gwiazdami. Myślę o Tinsel Town. Myślę o jakimś aktorze nominowanym do Oscara. Myślę o... Jacku Nicholsonie?

— Jacka nie ma w mieście — odezwała się nasza asystentka, nieduża nerwowa dziewczyna, która nie zagrzała u nas długo miejsca. Już teraz paznokcie miała poobgryzane do kości.

— Leonardo di Caprio?

— Leo jest nieosiągalny.

— Clint Eastwood?

— Mam telefon do jego biura. Ale wątpię. . .

— Robert Mitchum? James Stewart?

— Obaj nie żyją.

Marty spojrzał na nią spode łba.

— Nigdy nie mów takich rzeczy — mruknął. — Obaj nie mogą po prostu pojawić się w danym momencie w naszym programie.

Zerknął na mnie w lustrze, mrugając paciorkowatymi oczyma w obłoku pomarańczowego podkładu.

— Dlaczego nie możemy tu ściągnąć żadnej z tych pierdolonych sław ekranu, Harry?

— Ponieważ żadna z osób, które wymieniłeś, nie wyprodukowała ostatnio nic nowego — wyjaśniłem mu tak, jak to czyniłem co tydzień. — A jeśli to zrobi, będziemy musieli o nią walczyć z autorami innych talk-show.

— Oglądał pan dzisiaj wiadomości? — zapytała wizażystka w typowy dla przedstawicielek tej profesji senny sposób, zupełnie nieświadoma, że wszyscy wokół niej są na skraju załamania nerwowego. — Były całkiem ciekawe. Pokazali ten protest koło lotniska. Ludzi, którzy przykuli się łańcuchami do drzew. Protestują przeciwko budowie nowego terminalu.

— I co w tym ciekawego? — zapytał Marty. — A może chcesz po prostu podtrzymać rozmowę?

— Podobał mi się ten ich przywódca — odparła. — No wie pan. . . Cliff. Ten z dreadami. Jest cudowny.

Wszystkie obecne w pomieszczeniu kobiety wydały z siebie zgodne westchnienie. Widziałem tego siedzącego na drzewie Cliffa — chudego, wyszczerzanego faceta z dreadami — ale nie miałem pojęcia, że można go uznać za obiekt pożądania.

— Kogoś takiego powinniśmy mieć w programie — stwierdziła triumfalnym tonem wizażystka, pudrując twarz Marty'ego. — Jest o wiele ciekawszy niż jakiś gwiazdor z przeszczepionymi cebulkami włosów i wchodzącym na ekrany thrillerem.

— Cliff to nie jest wcale zły pomysł — uznałem. — Tyle że nie wiem, jak się z nim skontaktować. Ale na pewno będzie go łatwiej ściągnąć niż Clintę Eastwooda.

— Mam numer jego komórki — powiedziała jakaś dziewczyna w głębi sali. — Jeśli się do czegoś przyda.

Wszyscy obróciliśmy się w jej stronę.

Smukła i ruda, o delikatnej irlandzkiej cerze, tak bladej, jakby nigdy nie oglądała słońca, miała koło dwudziestu lat — jeszcze przed godziną mogła studiować na uniwersytecie — oraz kilka piegów na twarzy. Widać było, że zostaną jej na całe życie. Nigdy wcześniej jej nie widziałem.

— Siobhan Kemp — przedstawiła się, nie zwracając się do nikogo w szczególności i oblewając rumieńcem. — Jestem nową asystentką producenta. Więc jak? Mam zadzwonić do Cliffa?

Marty spojrzał na mnie. Widziałem, że podoba mu się pomysł rozmowy z człowiekiem na drzewie. Mnie też się podobał. Ponieważ tak jak wszyscy w telewizji najwyżej ceniliśmy autentyczność. Z wyjątkiem oczywiście prawdziwej wysokooktanowej znakomitości. Tę ceniliśmy jeszcze wyżej.

Mieliśmy powyżej dziurek w nosie podrzędnych sław, które zachwalały swój podrzędny produkt. Zależało nam na prawdziwych ludziach z prawdziwymi życiorysami i prawdziwą historią — historią, nie anegdotą. Oferowali nam wspaniałą telewizję za śmiesznie niską cenę. A my oferowaliśmy im w zamian terapię, szansę zaistnienia w milionach domów, szansę wyrzucenia z serca tego, co ich gryzło.

Oczywiście, gdyby nagle zadzwonił Jack Nicholson, błagając, byśmy pozwolili mu u nas wystąpić, wezwalibyśmy natychmiast ochroniarzy i kazali wyrzucić wszystkich naturszczyków z budynku. Jednak dziwnym trafem Jack nigdy do nas nie zadzwonił. Ostatnio za mało było wielkich sław, żeby obskoczyły wszystkie programy.

Szanowaliśmy więc autentycznych ludzi, autentycznych ludzi, którym naprawdę na czymś zależało, autentycznych ludzi, którzy mieli w nosie karierę. Ktoś siedzący na drzewie, komu policyjne psy chciały dobrać się do niedomytych jaj, wydawał się autentyczniej szy od innych.

— Skąd go znasz? — zapytałam dziewczynę.

— Kiedyś z nim chodziłam — odpowiedziała.

Marty i ja wymieniliśmy spojrzenia. Byliśmy pod wrażeniem. Ta Siobhan też była kimś autentycznym.

— Nic z tego nie wyszło — dodała. — Niełatwo jest utrzymać związek, gdy jeden z partnerów spędza tyle czasu na drzewie. Ale nadal jesteśmy w kontakcie i podziwiam go... Cliff naprawdę wierzy w to, co robi. Jego zdaniem system podtrzymania życia na tej planecie jest bliski załamania, a politycy udają tylko, że robią coś w kwestiach ekologii. Uważa, że człowiek powinien zostawiać za sobą wyłącznie ślady stóp i zabierać tylko wspomnienia.

— Kurewsko trafnie powiedziane — stwierdził Marty. — Kto jest jego agentem?

* * *

Stojąc na galerii i oglądając tuzin ekranów, pokazujących z pięciu różnych ujęć Marty'ego, który rozmawiał z mężczyzną potrafiącym nadmuchać kondom nasunięty na własną głowę — był w tym właściwie całkiem niezły — zorientowałem się nagle, że ktoś stoi obok mnie.

To była Siobhan, uśmiechająca się niczym dzieciak, który po przyjsciu pierwszego dnia do szkoły zdaje sobie sprawę, że nie będzie wcale tak źle.

W półmroku galerii jej twarz oświetlały stojące przy ścianie monitory. Tak naprawdę są to zwykłe telewizory, ale nazywamy je monitorami. Dają reżyserowi możliwość wyboru ujęcia. Monitory pokazują nie tylko nadawany aktualnie obraz, ale wszelkie możliwe obrazy. Siobhan uśmiechnęła się do nich. Miała piękny uśmiech.

— Myślałem, że ten Cliff nie udziela wywiadów — powiedziałem. — Przy najmniej od czasu, kiedy w niedzielnym dodatku napisali, że robi to wszystko tylko po to, żeby zdobyć popularność i przelecieć parę hipisek. — Nagle przypomniałem sobie, że z nim chodziła. — Bez urazy — dodałem.

— Nie czuję się urażona — odparła. — To prawda, ale tego akurat wywiadu może udzielić.

— Dlaczego? Bo cię zna?

— Nie — roześmiała się. — Bo lubi Marty'ego. Uważa, że on nie należy do establishmentu mediów.

Spojrzałem na Marty'ego, który na tuzinie ekranów krztusił się ze śmiechu, kiedy kondom wybuchł na głowie jego gościa. Jeśli ktoś należał do establishmentu mediów, to tą osobą był z całą pewnością Marty. Potraktowałby to jako komplement.

— A przede wszystkim dlatego — dodała Siobhan — że nadajemy na żywo.

Istotnie byliśmy prawdopodobnie ostatnim nadawanym na żywo programem telewizyjnym. Teraz większość programów opatrzona była etykietką „prawie na żywo”, co oznaczało, że udawały emocje żywej telewizji, mając zawsze siatkę bezpieczeństwa w postaci wcześniejszego nagrania. Sztuczne jak jasna cholera.

Ale Marty Mann Show był prawdziwy. Kiedy ludzie oglądali tego faceta z prezerwatywą nasuniętą na łeb, gumka rzeczywiście nadmuchiwana była dokładnie w tym momencie.

— Ci ekologiczni bojówkarze uważają — kontynuowała Siobhan — że jedynym środkiem przekazu, gdzie nie istnieje cenzura, jest nadawana na żywo telewizja. Mogę cię o coś zapytać?

— Wał śmiało.

— Czy to twój MGF stoi na parkingu? Ten czerwony? Zaraz się zacznie, pomyślałem. Wykład o tym, jak samochody przyczyniają się do zanieczyszczenia

środowiska i rozszerzania się dziury ozonowej. Czasami martwię się o dzisiejszą młodzież. Myślą tylko o przyszłości planety.

— Tak, to mój — odparłem.

— Fajny wózek.

* * *

Kiedy wróciłem do domu, oboje spali. Wymyłem zęby i przebrałem się po ciemku, słuchając, jak moja żona oddycha przez sen. Cichy oddech śpiącej Giny nadal budził we mnie falę czułości. To był jedyny moment, kiedy wydawała się podatna na zranienie, jedyny moment, kiedy mogłem się oszukiwać, że potrzebuje mojej opieki.

Gdy wślizgnąłem się do łóżka i objąłem ją ramieniem, lekko się poruszyła.

— Dobrze dzisiaj wypadliście — mruknęła.

Była ciepła i rozespana i kochałem ją taką. Leżała obrócona do mnie plecami, w swojej normalnej pozycji, i westchnęła, kiedy się do niej przytuliłem. Pocałowałem ją w kark i zacząłem gładzić jedną z tych długich nóg, które zachwyciły mnie, kiedy się po raz pierwszy spotkaliśmy. I nadal zachwyciły.

— Och, Gino. Moja Gino.

— Och, Harry — odparła cicho. — Chyba nie chcesz... czyżbyś chciał? — Musnęła mnie ręką. — No cóż. Chyba chcesz.

— Masz cudowne ciało.

— Jury z ciebie zawodnik — stwierdziła, śmiejąc się i obracając przodem do mnie, z oczyma wciąż zlepionymi snem. — To znaczy, jak na kogoś w twoim wieku.

Usiadła na łóżku, ściągnęła przez głowę T-shirt, który miała na sobie, i rzuciła go na podłogę. A potem przeczesała palcami włosy i uśmiechnęła się do mnie. Jej długie znajome ciało widziałem w sączącym się przez żaluzje świetle ulicznych latarni. W naszym pokoju nigdy nie było naprawdę ciemno.

— Nadal mnie pragniesz? — zapytała. — Po tylu latach? Pokiwałem chyba głową. I nagle, w chwili kiedy zetknęły się nasze usta, w sąsiednim pokoju zapłakał Pat. Spojrzeliśmy na siebie. Gina uśmiechnęła się. Ja się nie uśmiechnąłem.

— Przyniosę go — powiedziała, kiedy opadłem na poduszkę.

Po chwili wróciła do sypialni z Patem w ramionach. Zachłystując się płaczem, próbował opowiedzieć zły sen — coś o wielkich potworach. Gina ukołysała małego, kładąc go między nami. Gdy znalazł się w ciepłym łóżku, jak zawsze szybko ucichł.

— Przekładamy łyżeczki — powiedziała Gina.

Pat i ja obróciliśmy się posłusznie na drugi bok. Jego ciepłe małe nogi w puszystej bawełnianej piżamie przylgnęły do moich. Słyszałem, jak pociąga nosem,

ale najgorsze już minęło. Gina zarzuciła na nas obu swoją długą rękę, przytulając się do Pata.

— Pora spać — powiedziała. — Wszystko będzie dobrze. Zamknąłem oczy i zapadając w sen z leżącym między nami synem, zastanawiałem się, czy powiedziała to do mnie, czy do Pata. Czy może do nas obu.

— Potwory nie istnieją — dodała i zasnęliśmy w jej ramionach.

Rozdział 4

Trzydzieste urodziny Giny nie odbyły się zupełnie bezboleśnie.

Ojciec złożył jej życzenia dopiero wczesnym wieczorem, a to oznaczało, że przez cały ranek i popołudnie zastanawiała się, czy niewydarzony stary gnojek w ogóle się odezwie.

Dwadzieścia pięć lat wcześniej, tuż zanim Gina poszła do pierwszej klasy, Glenn — jak kazał mówić na siebie wszystkim, a zwłaszcza swoim dzieciom — wyszedł z domu, marząc o tym, by zostać muzykiem rockowym. I chociaż od niepamiętnych czasów tyrał ciężko za ladą sklepu z gitarami przy Denmark Street i wszystkie jego sny o sławie uleciały wraz z jego hipisowską fryzurą, wciąż uważał się za kogoś w rodzaju swobodnego ptaka, kogoś, kto może zapomnieć o dacie czyichś urodzin albo przypominać sobie o nich, kiedy mu przyjdzie ochota.

Glenn nigdy nie zrobił muzycznej kariery. W jego artystycznym życiorysie była jedna kapela z przyzwoitym kontraktem na nagranie i jeden dość udany singel. Być może mignął wam, grając na gitarze basowej w liście przebojów Top of the Pops, zanim jeszcze Ted Heath bezpowrotnie pożegnał się z Downing Street.

W młodości był bardzo przystojny — Glenn, nie Ted

Heath — podobny trochę do Roberta Planta, z lokami w stylu wikingów i obnażonym torsem. Ja jednak zawsze podejrzewałem, że jego prawdziwym powołaniem jest zakładanie rodzin, a następnie ich rozbijanie.

Rodzina Giny była pierwszą w długiej serii żon i dzieci, które Glenn porzucił dla innych. Mieszkały w najróżniejszych częściach kraju, kobiety podobne do jej matki, która w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych uchodziła za taką piękność, że jej uśmiechnięta twarz pojawiła się kilkakrotnie na okładkach kolorowych czasopism, i dzieci podobne do Giny, dorastające w domach, gdzie obecne było tylko jedno z rodziców i które wówczas nazywano jeszcze rozbitymi domami.

Glenn przemykał przez ich życie, beztrąsko zapominając o urodzinach i o Bożym Narodzeniu, następnie zaś pojawiając się nieoczekiwanie z jakimś wielkim, kompletnie niepraktycznym prezentem. Mimo że był obecnie typowym pracownikiem najemnym w średnim wieku, wciąż wydawało mu się, że jest kimś w rodzaju

pieprzonego Jima Morrisona i zasady, których przestrzegają inni, nie mają do niego zastosowania.

Ale nie mogę zbyt narzekać na starego Glenna. Na swój sposób odegrał w naszym romansie rolę kupidyna. Ponieważ Gina najbardziej polubiła we mnie moją rodzinę.

To była zwykła trzyosobowa rodzina — jestem jedynakiem — i mieszkaliśmy w zbudowanym z płyty bliźniaku na podlondyńskim osiedlu, które nie różniło się wiele od innych przedmieść w całej Anglii. Wszędzie dookoła pełno było domów i ludzi, ale musieliśmy przejść pół mili, żeby kupić gazetę — wokół nas toczyło się życie, ale nigdy nie mogliśmy pozbyć się wrażenia, że toczy się gdzie indziej. Takie właśnie jest przedmieście.

Moja mama obserwowała ulicę zza firanki („To moja ulica”, odpowiadała, gdy ja i tato zwracaliśmy jej uwagę). Tato zasypiał przed telewizorem („Nic nigdy nie ma w tej telewizji”, narzekał zawsze). A ja kopałem piłkę w ogródku za domem, marząc o meczu na Wembley i starając się nie połamać róz taty.

Ile jeszcze takich rodzin żyje w tym kraju? Prawdopodobnie miliony. Z pewnością jednak mniej niż kiedyś. Rodziny takie jak nasza stanowią praktycznie ginący gatunek. Gina zachowywała się, jakbyśmy ja, moja mama i tato byli wymagającym ochrony reliktem, który trzeba pielęgnować, szanować i podziwiać.

Dla mnie moja rodzina była oczywiście mało ciekawa: całe to pucowanie samochodu, wygląkanie zza firanek, wieczory spędzane przed telewizorem, wakacje w pensjonatach w Devon i Konwalii albo w przyczepie samochodowej we Frinton. Zazdrościłem Ginie jej egzotycznego pochodzenia — mamy byłej modelki, ojca niedoszłego rockowego gwiazdora i zdjęć w kolorowych czasopismach, mimo że mocno ostatnio wyblakły.

Gina pamiętała nieudane urodziny z dzieciństwa, ojca, którego zawsze absorbowwały nowsze, bardziej ekscytujące związki, obiecane wakacje, z których nic nigdy nie wychodziło, matkę, która sama spała w łóżku, sama się zestarzała, sama zachorowała, sama wypłakiwała oczy i na koniec sama umarła. Gina nigdy nie pogardziłaby zwyczajną rodziną. To nie leżało w jej naturze.

Kiedy po raz pierwszy zabrałem ją do domu na święta Bożego Narodzenia i mama dała jej prezent — jakiś drobiazg w koszyczku z perfumerii, owinięte w folię mydełka w kształcie polarnych misiów — wzruszenie odebrało jej mowę i wiedziałem, że jest już moja. Spojrzała na te polarne misie i dała złapać się na haczyk.

Nie wolno nie doceniać siły oddziaływania pełnej rodziny. W dzisiejszych czasach pochodzenie z nierozbitego domu jest czymś w rodzaju posiadania niezależności finansowej, oczu Paula Newmana bądź też wielkiego penisa. To jedno z autentycznych życiowych dobrodziejstw, które dane jest tylko nielicznym. Dobrodziejstwo, które trudno odrzucić.

Taki nierozbity dom może jednak wpoić dzieciom fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Dorastając, uważałem za oczywiste, że każde małżeństwo musi być tak samo stabilne i wieczne jak mojej mamy i taty — że będzie takie i moje własne. Moi rodzice sprawili, że wydawało się to łatwe. A to wcale nie jest prawda.

Gina już dawno temu odpuściłaby sobie prawdopodobnie Glenna, gdyby nadal żyła jej matka. Ale matka zmarła na raka piersi niedługo przedtem, nim Gina wkroczyła do naszej rozgłośni oraz w moje życie, i osierocona córka uznała, że musi ocalić te strzępy rodziny, jakie jej jeszcze pozostały.

W związku z tym Glenn pojawił się na naszym weselu i zapalił skręta na oczach mojej mamy i taty. Potem chciał się wymknąć z jedną z druzhen. Dobiegając pięćdziesiątki, starał się sprawiać wrażenie, że ma dziewiętnaście lat i całe życie przed sobą. Nosił skórzane spodnie, które skrzypiały, kiedy tańczył. A tańczył jak nawiedzony.

Ginę tak irytowało, iż Glenn nie potrafi nawet w najmniejszym stopniu odgrywać roli ojca, że nie chciała mu posłać żadnych zdjęć Pata, gdy mały się urodził. W tej kwestii postawiłem jednak na swoim, dowodząc, że facet ma prawo obejrzeć fotografie swojego jedyne go wnuka. W skrytości serca miałem nadzieję, że gdy Glenn zobaczy naszego pięknego malca, natychmiast oszaleje na jego punkcie. Kiedy po raz trzeci z rzędu zapomniał o jego urodzinach, zdałem sobie sprawę, że mam teraz własne powody, by nie znosić starego pieprzonego hipisa.

— Może przeraża go myśl, że został dziadkiem — powiedziałem. — Po prostu skołowaciał... tak się chyba mówi?

— Tak, to chyba to — zgodziła się Gina. — No i oczywiście wynika to również z faktu, że jest samolubnym dupkiem, który nigdy nie wydorósł. Nie można o tym zapominać.

W przeciwieństwie do rodziców Giny, moich starych nikt nigdy nie uważał za złotą parę. Nikt nie wpadł na pomysł, że ich związek symbolizuje ducha epoki. Zdjęcie mojej mamy nigdy nie ukazało się w kolorowym czasopiśmie — choć o jej zdobywających nagrody pomidorach napisano raz w lokalnej gazecie. Ale moi rodzice zostali ze sobą na całe życie. Gina i ja mieliśmy taki sam zamiar.

Od dnia naszego ślubu spotykaliśmy przyjaciół, którzy poznali kogoś, zakochali się, wzięli ślub, a potem się rozwiedli i najchętniej wypraliby swojemu byłemu partnerowi flaki. Coś takiego nie mogło się nam przytrafić. Chociaż mieliśmy całkiem różne rodzinne doświadczenia, prowadziły nas one do takich samych wniosków.

Ja chciałem trwałego małżeństwa, ponieważ takie właśnie mieli moi rodzice. Gina chciała trwałego małżeństwa, ponieważ jej rodzice nigdy takiego nie mieli.

— To jest w nas takie dobre — stwierdziła. — To, że nasze marzenia pasują do siebie.

Gina szalała na punkcie moich rodziców i było to uczucie odwzajemnione. Patrząc na tę blond piękność, która kroczyła ogrodową alejką z ich małym wnucz-

kiem, autentycznie pęcznieli z dumy, uśmiechając się nieśmiało zza swoich pelargonii i okularów do czytania.

Żadne z nich nie potrafiło uwierzyć w swoje szczęście. Moi rodzice uważali, że jako synowa trafiła im się Grace Kelly. Gina uważała, że dostała za teściów Waltonów.

— Chcę pojechać z Patem do twojej mamy i taty — powiedziała, zanim wyszedłem do pracy. — Mogę pożyczyć twoją komórkę? W mojej wyczerpała się bateria.

Z przyjemnością pożyczyłem jej telefon. Nie znoszę komórek. Sprawiają, że czuję się jak w potrzasku.

* * *

Przez galerię przeszedł dreszcz paniki.

— Mucha wróciła! — zawołał reżyser. — Mamy muchę!

A potem mucha pojawiła się na monitorze.

Była olbrzymia i czarna, ze skrzydłami wielkimi jak u osy i odwłokiem tak spuchniętym, jakby wysunęła podwozie. Na zbliżeniu Marty'ego, który czytał swój tekst z telepromptera, widzieliśmy, jak krąży leniwie nad głową naszego prezentera, a potem powoli unosi się w górę.

Mucha żyła gdzieś w ciemnych wysokich rejonach studia, pośród płataniny kabli, gniazdek i reflektorów. Pojawiała się wyłącznie w trakcie nadawania programu. Dyżurujący na galerii weterani twierdzili, że reaguje na ciepło studyjnych jupiterów. Ja jednak nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że przyciągały ją soki, które wydziela człowiek występujący w nadawanej na żywo telewizji. Nasza studyjna mucha najwyraźniej lubiła woń strachu.

Jeśli nie liczyć powietrznych ewolucji muchy, rozmowa Marty'ego z Cliffem była całkiem udana. Młody zielony zaczął nerwowo: drapał się po zaroście, pociągał za brudne dredy, z trudem formułował nieskładne zdania i popełnił nawet główny telewizyjny grzech, gapiąc się prosto w oko kamery. Ale Marty potrafił być zaskakująco łagodny wobec nerwowych gości, a poza tym wyraźnie sprzyjał jego sprawie, i młody człowiek wreszcie się odprężył. Dopiero gdy wywiad dobiegał końca, wszystko się posypało.

— Chcę podziękować Cliffowi, że do nas dzisiaj przyszedł — oznajmił Marty niezwykle jak na niego poważnym tonem, odganiając dłonią studyjną muchę. — I chcę podziękować wszystkim jego kolegom, którzy koczują na drzewach koło lotniska. Ponieważ toczą walkę w imieniu nas wszystkich.

Rozległy się oklaski. Marty wyciągnął rękę i uściśnął dłoń swojego rozmówcy. Cliff przytrzymał ją. I przez chwilę nie puszczał. A potem sięgnął za pazuchę swojej niechlujnej egzotycznej kapoty, wyjął kajdanki i na oczach mierzącego go

niepewnym spojrzeniem Marty'ego zatrzaskała jedną metalową obręcz na swoim nadgarstku, a drugą na nadgarstku naszego prezentera.

— Uwolnić ptaki — powiedział cicho i odchrząknął.

— Co? Co takiego? — zapytał Marty.

— Uwolnić ptaki! — zawołał Cliff, nabierając pewności siebie.

Marty potrząsnął głową.

— Czy masz do tego klucz, ty śmierzący mały gnoju?

Stojąc na galerii, obserwowaliśmy rozgrywającą się na dole scenę na jaśniejących w mroku ekranach kilkunastu monitorów. Reżyser nadal kierował choreografią pięciu kamer — „dwójka, zatrzymaj się na Martym, czwórka, daj zbliżenie kajdanek. . .” — lecz ja czułem coś, co czuje się, tylko kiedy nadawany na żywo program wali się w gruzy, szarpiący trzewia ucisk, łączący w sobie lekkie mdłości, paraliż oraz straszliwą fascynację.

I nagle ponownie pojawiła się mucha. Krążyła kilka sekund nad głową Cliffa, a potem idealnie wylądowała na grzbiecie jego nosa.

— Uwolnić ptaki!

Marty spojrzął na swoją rękę, nie mogąc do końca uwierzyć, że został przykuty do tego brudnego młodzieńca, którego makijaż roztapiał się właśnie w świetle jupiterów. A potem złapał dzbanek na wodę, który stał między nimi na stole, i trzasnął nim Cliffa w twarz zupełnie tak, jakby chciał zabić studyjną muchę. W powietrze trysnęła krew i woda. W dłoni Marty'ego zostało samo ucho dzbanka.

— Pierdolić ptaki — powiedział. — I chrzanić dziurę ozonową.

Na ekranie pojawił się kierownik planu z otwartymi ze zdumienia ustami i zwisającymi na szyi słuchawkami.

Cliff złapał się za rozbity nos. Ktoś na widowni zaczął gwizdać. I w tym momencie wiedziałem już, że daliśmy dupy. Marty zrobił jedyną rzecz, której nie wolno mu było zrobić w trakcie programu. Stracił swoją publiczność.

Na galerii natychmiast rozdzwoniły się telefony, jakby chcąc uczcić załamanie się mojej błyskotliwej kariery. Nagle zdałem sobie sprawę, że obficie się pocę.

Na ekranach wszystkich monitorów pojawiła się na krótko studyjna mucha. Wykonała triumfalny piruet i zniknęła.

* * *

— Jaka ja jestem głupia — stwierdziła kilka godzin później Siobhan na pustej galerii. — To wszystko moja wina. Nie powinnam była go w ogóle zapraszać. Powinnam się domyślić, że chce nas wykorzystać, że chce zrobić coś w tym rodzaju. Zawsze był z niego kawał samolubnego sukinsyna. Dlaczego to zrobiłam? Bo chciałam wszystkim zaimponować. A teraz zobacz, co się stało.

— Nie jesteś głupia — odparłem. — To Marty był głupi. To była dobra rozmowa. Mimo tego, co się potem wydarzyło, wciąż tak uważam.

— Ale co teraz będzie? — zapytała, wydając się nagle bardzo młoda. — Co z nami zrobią?

Potrząsnąłem głową i wzruszyłem ramionami. Zmęczyło mnie zastanawianie się, co z nami zrobią.

— Wkrótce się tego dowiemy. Chodź, spadamy stąd. Marty'ego wysłałem już wcześniej do domu, zamówiwszy dla niego taksówkę, która czekała przy tylnym wyjściu. Zakazałem mu z kimkolwiek rozmawiać. Prasa rozszarpie go na strzępy — to było pewne jak w banku. Bardziej martwiło mnie, co zrobi kierownictwo stacji. Z nim i z nami. Wiedziałem, że potrzebują Marty Mann Show. Ale czy potrzebowali go aż tak bardzo?

— Jest już tak późno — zauważyła Siobhan, kiedy weszliśmy do windy. — Gdzie mogę tutaj złapać taksówkę?

— Gdzie mieszkasz? — zapytałem.

Mogłem się domyślić, że w Camden Town. Musiała po prostu mieszkać w jednej z tych starych robotniczych dzielnic, które skolonizowali ludzie w czarnych swetrach. Właściwie było to całkiem niedaleko od naszego małego domku przy Highbury Corner. Mieszkaliśmy na przeciwnych krańcach tej samej Camden Road — Siobhan tam, gdzie ludzie aspirowali do bohemy, ja tam, gdzie marzyli o suburbiach.

— Mogę cię podwieźć — powiedziałem.

— Naprawdę? Swoim MGF?

— Jasne.

— To wspaniale!

Roześmieliśmy się po raz pierwszy od wielu godzin - choć nie miałem pojęcia, co nas tak ubawiło — po czym zjechaliśmy windą na podziemny parking, na którym stało samotnie moje małe czerwone auto. Było późno. Dochodziła druga. Patrzyłem, jak Siobhan wsuwa nogi pod tablicę rozdzielczą.

— Nie chcę do tego wracać, ale muszę powiedzieć, że dziś wieczorem byłeś naprawdę słodki — stwierdziła. — Dziękuję, że się na mnie nie wściekałeś. Jestem ci za to wdzięczna.

Dziękowała za coś, co tak naprawdę nie było wcale moją zasługą. Spojrzałem na jej bladą irlandzką twarz i po raz pierwszy uświadomiłem sobie, jak bardzo mi się podoba.

— Nie wygłupiaj się — powiedziałem, przekręcając szybko kluczyk w stacyjce, żeby ukryć zakłopotanie. — Jedziemy przecież na tym samym wózku, czyż nie?

Była ciepła letnia noc i ulice miasta świeciły pustkami. W ciągu dwudziestu minut minęliśmy zamknięty pchli targ, modne etniczne restauracje i sklepy z używanymi rzeczami ze swoimi groteskowo wielkimi szyldami. Olbrzymie kowbojskie buty, kolosalne krzesła z rattanu i monstrialne płyty z winylu — wszystko to wisiało nad ulicą niczym wizje spowodowane wybrakowanym narkotykiem. Gi-

na i ja robiliśmy tu kiedyś zakupy w sobotnie popołudnia. Od tego czasu minęły chyba wieki.

Siobhan mówiła mi, jak jechać, i w końcu zatrzymaliśmy się przez dużym białym dworkiem, w którym dawno temu urządzono mieszkania.

— No cóż — powiedziałem. — W takim razie dobranoc.

— Dziękuję za wszystko — odparła.

— Nie ma za co.

— Słuchaj, nie sądzę, żebym mogła od razu zasnąć. Nie po dzisiejszym wieczorze. Chcesz wpaść na drinka?

— Po drinku ja też nie będę chyba mógł zasnąć — mruknąłem, nienawidząc się za to, że przemawiam jak emeryt, na którego czeka gorące kakao i ceratka pod prześcieradłem w domu starców.

— Na pewno nie chcesz? — zapytała.

To śmieszne, ale rozczarowanie, które usłyszałem w jej głosie, mile mi pochlebiało. Wiedziałem również, że nie będzie mnie więcej prosić.

Jedź do domu, radził mi mój wewnętrzny głos. Odmów z grzecznym uśmiechem i wracaj do domu.

I może zrobiłbym to, gdyby tak bardzo mi się nie podobała.

Może zrobiłbym to, gdyby to nie był taki zwariowany wieczór.

Może zrobiłbym to, gdybym nie zbliżał się do trzydziestki.

Może zrobiłbym to, gdyby jej nogi były o kilka cali krótsze.

— Okej — odparłem o wiele swobodniej, niż się czułem. — To brzmi zachęcająco.

Spojrzała na mnie i chwilę później się pocałowaliśmy. Siobhan objęła mnie za szyję i zaczęła pociągać za włosy małymi niecierpliwymi piąstkami. To dziwne, pomyślałem. Gina nigdy tego nie robiła.

Rozdział 5

Dziecko potrafi się zmienić w ciągu chwili. Wystarczy, że odwrócisz się na kilka sekund — przyglądając mu się ponownie, stwierdzasz, że zmieniło się w kogoś innego.

Pamiętam, jak Pat po raz pierwszy autentycznie się uśmiechnął. Był małą, łysą, tłustą kuleczką, Winstonem Churchillem w śpioszki, zapłakany, bo wyrzynały mu się pierwsze ząbki. Gina wmasowała trochę czekolady w obolałe dziąsła, a on natychmiast przestał płakać i twarz rozjaśniła mu się w wielkim, szerokim bezzębnym uśmiechu — tak jakbyśmy zdradzili mu właśnie największy sekret pod słońcem.

Pamiętam również dzień, kiedy zaczął chodzić. Trzymał się, jak to miał w zwyczaju, poręczy swego żółtego plastikowego balkonika, kołysząc się z boku na bok, jakby walczył z podmuchami bryzy, a potem zupełnie bez ostrzeżenia ruszył przed siebie, wściekle przebierając wystającymi z jednorazowej pieluszki małymi grubymi nóżkami, żeby dotrzymać kroku obracającym się niebieskim kółkom balkonika.

Kiedy wypadł z pokoju, Gina wybuchła śmiechem. Wyglądał, powiedziała, jakby znowu miał się spóźnić do biura.

Nie pamiętam jednak, kiedy zmieniły się jego zabawy. Nie mam pojęcia, kiedy wszystkie jego dziecinne strażackie wozy i wyświetlane na wideo filmy o listonoszu Pacie ustąpiły miejsca obsesji Gwiezdnym wojen. To była jedna ze zmian, które zaszły, kiedy akurat odwróciłem się w inną stronę.

Jeszcze przed chwilą głowę miał wypełnioną mówiącymi ludzkim głosem zwierzętami, a teraz nie obchodziło go nic prócz Gwiazdy Śmierci, żołnierzy Imperium i świetlnych mieczy.

Gdybyśmy mu pozwolili, oglądałby w kółko wszystkie trzy filmy cyklu przez cały boży dzień i całą noc. Ale nie pozwalaliśmy mu na to — a ściślej, nie pozwalała mu Gina — w związku z czym, kiedy telewizor był wyłączony, godzinami bawił się swoją kolekcją figurek i szarych plastikowych rakiet z Gwiezdnym wojen bądź też podskakiwał na sofie, wymachując świetlnym mieczem i mamrocząc pod nosem kawałki list dialogowych George’a Lucasa.

Można było odnieść wrażenie, że jeszcze dzień wcześniej nic nie sprawiało mu większej przyjemności od kolekcji gospodarskich zwierzątek — „wieziaków”, jak je nazywał. Siedział w kąpieli z piany, mały blond aniołek z mydlinami na głowie, prowadząc swoje krowy, owce i konie wzdłuż skraju wanny, mucząc i becząc tak długo, aż woda robiła się całkiem zimna.

— Idem się kopać — ogłaszał. — Biorem moje wieziaki.

Teraz jego „wieziaki” obrastały kurzem w jakimś zapomnianym kącie sypialni, podczas gdy on bez końca bawił się w wojny między galaktycznym dobrem i złem.

Przypominało to w znacznym stopniu zabawy, które zapamiętałem z własnego dzieciństwa. I czasami w fantazjach Pata o dzielnych rycerzach, podłych generacjach oraz wziętych do niewoli księżniczkach pobrzmiwało echo dawno minionej przeszłości, tak jakby próbował odzyskać coś drogiego, coś, co zostało bezpowrotnie stracone.

* * *

Siobhan spała jak ktoś, kto mieszka sam.

Leżąc pośrodku łóżka, rozrzucała na wszystkie strony swoje piegowate kończyny albo przewracała się z boku na bok, ściągając ze mnie przy okazji całą kołdrę. W sypialni zaczynało się robić jasno, a ja leżałem kompletnie rozbudzony w tym obcym łóżku, ściskając fragment pościeli wielkości chustki od nosa.

Za wcześnie było na prawdziwe wyrzuty sumienia. Gdzieś w głębi mojego umysłu pulsowała myśl o Ginie i o wszystkich obietnicach, jakie jej niegdyś złożyłem — obietnicach z czasów, gdy próbowałem przekonać ją, żeby mnie pokochała, obietnicach, jakie daliśmy sobie w dniu ślubu i później — wszystkich tych zakłęciach, że nasza miłość nigdy nie umrze, że nigdy nie zechcę nikogo innego, w które swego czasu naprawdę wierzyłem. I zdałem sobie sprawę, że nadal wierzę. To śmieszne, ale teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Wiedziałem, że później wszystko to do mnie naprawdę dotrze i jadąc do domu, będę spoglądał w lusterko, zastanawiając się, kiedy stałem się jednym z tych mężczyzn, którzy budzili we mnie kiedyś wstręt. Ale teraz było na to wszystko za wcześnie. Mrok za oknem powoli się rozjaśniał, a ja myślałem sobie: no cóż, wszystko poszło chyba nie najgorzej.

Powodem, dla którego większość mężczyzn dopuszcza się cudzołóstwa, jest nadarzająca się sposobność. Nie powinno się nigdy lekceważyć rozkoszy bezinteresownego seksu. Tym, co połączyło mnie z Siobhan, był bezinteresowny, oportunistyczny seks i to właśnie najbardziej mi się w nim podobało.

Najmniej podobało mi się to, że już teraz zaczynałem się czuć jak zdrajca.

No i wcale nie poszło nam tak dobrze. Z kimś nowym człowiek za bardzo się stara. Za bardzo się stara, żeby to była przednia zabawa. Seks z kimś nowym za

bardzo przypomina egzamin na prawo jazdy. Z drugiej strony, kiedy pomyślałem, ile rzeczy mogło się nie udać — a we wszystkich ważną rolę odgrywała synchronizacja czasowa — nie poszło nam chyba najgorzej.

No i chwała Bogu. Chwała Bogu.

Niemniej przez cały ten czas, gdy byłem razem z Siobhan i skłaniałem się do przekonania, że to jest chyba kobieta, której, nie wiedząc o tym, szukałem całe życie — ta blada irlandzka piękność, która z miłą chęcią urodzi mi rudowłose dzieci — przez cały ten czas moja druga połowa tęskniła jakby za moją żoną.

Brakowało mi tej swobody, którą odczuwa się w stosunku do kogoś, z kim przebywało się przez długie lata. Jeśli musiałem już dopuścić się zdrady, najchętniej zrobiłbym to z Giną.

Mimo to człowiek ma czasami dosyć bycia mężczyzną, który spłaca hipotekę, wzywa hydraulika do ciekącego kranu i nie potrafi złożyć dostarczanych w częściach mebli. Człowiek ma dosyć bycia takim mężczyzną, ponieważ po jakimś czasie zaczyna czuć się mniej jak mężczyzna, a bardziej jak sprzęt domowy.

Jedzie więc do mieszkania jakiejś obcej dziewczyny, która nie pozwala mu się przykryć jego połową kołdry, i w rezultacie ma siebie dosyć bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Gdzie się, do diabła, podziały moje spodnie?

Kiedy się ubierałem, do sypialni zakradło się światło dnia i w polu widzenia pojawiły się migawki z życia Siobhan. Miała świetne mieszkanie — wygodne i uporządkowane, takie jakie zawsze chciałem mieć, ale nigdy nie miałem. Wygląda na to, że studencki bajzel od razu zamieniłem na domowy nieporządek.

Na fotografiach, jakie zobaczyłem, widać było roześmianą kilkunastoletnią Siobhan, która obejmowała szczerzące zęby psy oraz słodko wyglądające starsze osoby. Obrazki domowych zwierząt i rodziców.

Na ścianach wisiały japońskie ilustracje, przedstawiające wieśniaków na tle szarego, dżdżystego pejzażu — rzeczy, które spodobałyby się Ginie. Wypełnione książkami i płytami półki zdradzały upodobanie do literatury, którą przerobiono na film, oraz do dziwnej mieszanki rocka ze spokojnym jazzem — obok Oasis i U2 stały krążki ze Stanem Getzem, Chatem Bakerem i łagodniejszymi nagraniami Milesa.

Rzut oka na jej książki i płyty sprawił, że jeszcze bardziej ją polubiłem. Ale prawdopodobnie widok czyichkolwiek książek i płyt wywołuje tę samą reakcję, nawet jeśli jest tam mnóstwo chłamu. Ponieważ to, co dana osoba lubi, i to, co kiedyś lubiła, ujawnia o niej rzeczy, z którymi wolałaby się normalnie nie obnosić.

Podobało mi się, że Siobhan wyrosła chyba z fascynacji białymi grupami rockowymi i szuka teraz czegoś bardziej wyrafinowanego i z klasą. (Wydawało się raczej mało prawdopodobne, że zaczęła od Chata Bakera oraz Milesa Davisa, a potem przerzuciła się na U2 i Oasis). Świadczyło to, że jest wciąż młoda i ciekawa świata, że wciąż odkrywa, czego od niego oczekuje. Wciąż raczej projektuje swoje życie, aniżeli stara się je poprawić.

Był to typowy apartament młodej samotnej kobiety, mieszkanie dziewczyny, która wie, co jej sprawia przyjemność. Mimo że wszędzie leżały porzucane czasopisma i ubrania, nie było tutaj prawdziwego bałaganu i rozgardiaszu, z którym ma się do czynienia w mieszkaniu, gdzie jest małe dziecko, ani śladu domowego chaosu, do jakiego przywykłem. Można było przejść od łóżka aż do drzwi, nie depcząc po drodze figurki Hana Solo.

Ale ja zdążyłem już jakby zatęsknić za całym tym bałaganem i rozgardiaszem, jakie pamiętałem z własnego domu — i żałowałem, że nie jestem mężczyzną, który potrafi dotrzymać złożonych obietnic.

* * *

Gina płakała, kiedy wróciłem do domu. Usiadłem na skraju łóżka, bojąc się jej dotknąć.

— Po programie mieliśmy prawdziwe urwanie głowy — powiedziałem. — Musiałem tam zostać.

— Rozumiem — odparła. — Nie chodzi o to.

— Więc co się stało?

— Chodzi o twoją mamę, Harry.

— Co z moją mamą?

— Jest taka dobra dla Pata — stwierdziła, zanosząc się szlochem. — Tak łatwo jej to przychodzi. Nigdy nie będę taka jak ona. Jest taka cierpliwa, taka miła... Wyznałam jej, że siedząc całymi dniami w domu i nie mogąc pogadać z nikim oprócz małego chłopca, mam czasami wrażenie, że zwariuję. A kiedy odprowadzam go do przedszkola, jest jeszcze gorzej. — Gina spojrzała na mnie zaczerwienionymi oczyma. — Nie sądzę, żeby zrozumiała, o co mi w ogóle chodzi.

Chwała Bogu. Przez moment bałem się, że wie już o wszystkim.

— Jesteś najlepszą matką pod słońcem — powiedziałem, obejmując ją. I naprawdę tak myślałem.

— Nie, wcale nie jestem — odparła. — To ty chcesz, żebym nią była. Ja też chcę nią być, naprawdę. Ale same dobre chęci nie wystarczą.

Popłakała jeszcze trochę, lecz bez większego przekonania. Zdarzały się jej czasem te napady płaczu i nigdy nie wiedziałem, co je wywołuje. Zawsze miałem wrażenie, że ryczy bez powodu. Bo o co jej w gruncie rzeczy chodziło? Była wspaniałą matką. A jeśli czuła się trochę samotna w ciągu dnia, mogła zawsze zadzwonić do mnie do pracy. Sekretarka na pewno przekazałaby mi wiadomość. Mogła też zawsze nagrać się na moją pocztę głosową. Jak mogła czuć się osamotnioną? Po prostu tego nie rozumiałem.

Obejmowałem ją, dopóki nie wyschły łzy, a potem zszedłem na dół i zrobiłem nam kawę. Na automatycznej sekretarce były miliony wiadomości. Świat oszalał

na punkcie Marty'ego. Ale ja nie martwiłem się tak strasznie o reakcję prasy ani o nasz program.

Słyszałem kiedyś, że problemy w pracy są niczym katastrofa samolotu, przed którą można się uchronić. W przeciwieństwie do problemów w domu, których nie sposób uniknąć, bez względu na to, jak daleko by się uciekło.

Rozdział 6

Każdy ojciec jest bohaterem dla swojego syna. Przynajmniej dopóki syn jest zbyt mały, żeby mieć swój własny rozum.

Pat uważa, że potrafię zrobić wszystko. Jego zdaniem potrafię nagiąć rzeczywistość do swojej woli — tak jak czyni to Han Solo albo Indiana Jones. Wiem, że już niedługo Pat odkryje, że istnieją pewne różnice pomiędzy Harrisonem Fordem a jego starym ojcem. I kiedy uświadomi sobie, że tak naprawdę nie mam rzemieńnego bykowca ani świetlnego miecza, nigdy już nie spojrzę na mnie w ten sam sposób co kiedyś.

Ale zanim z tego wyrosną, wszystkim synom wydaje się, że ich ojcowie są bohaterami. Ze mną i z moim tatą wyglądało to trochę inaczej. Ponieważ mój tato był naprawdę bohaterem. Miał na dowód tego medal i inne rzeczy.

Gdybyście zobaczyli go w ogródku albo w samochodzie, uznalibyście go za typowego podtatusiałego jegomościa. Ale w szufladzie w salonie bliźniaka, gdzie dorastałem, leżał medal za wzorową służbę, który otrzymał w czasie wojny. Ja spędziłem dzieciństwo, udając bohatera. Mój tato był nim naprawdę.

Medal za wzorową służbę to jest coś. Przewyższa go tylko Krzyż Wiktorii i na ogół trzeba zginąć, zanim go komuś przyznają. Widząc mojego ojca w pubie albo na ulicy, widząc jego staromodny sweter, łysiejącą głowę, rodzinne kombi albo gazety, które czytał, moglibyście dojść do wniosku, że wiecie o nim wszystko. Że go dobrze znacie. I bylibyście w cholernym błędzie.

* * *

Podniosłem słuchawkę telefonu. Mogłem zignorować wszystkie telefony z gazet i ze stacji. Ale musiałem zadzwonić do rodziców.

Odebrał mój stary. To było niezwykle. Nie cierpiał telefonu. Podnosił słuchawkę tylko, jeśli mojej mamy nie było w pobliżu albo jeśli przypadkiem mijał go w drodze między lekturą Gardener's World i ogrodem.

— Tato? To ja.

— Zaraz poproszę matkę.

Przez telefon był burkliwy i oficjalny, tak jakby nigdy nie zdołał się do niego przyzwyczaić. Jakbyśmy się w ogóle nie znali. Jakbym próbował mu sprzedać coś, na co nie miał ochoty.

— Widziałeś wczorajszy program, tato?

Byłem pewien, że widział. Zawsze oglądali mój program. W słuchawce zapadła cisza.

— Niezły cyrk — oznajmił w końcu ojciec. Wiedziałem, że powinno go to mierzić — cały ten wulgarny język, przemoc, polityka. Słyszałem niemal, jak wścieka się na reklamy. Ale chciałem mu powiedzieć, że to, co się stało, nie ma znaczenia. Że nic mi nie zrobią.

— To program na żywo, tato — powiedziałem, śmiejąc się z przymusem. — Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy.

Stary odchrząknął.

— To naprawdę nie moja broszka — stwierdził.

W którymś momencie w latach dziewięćdziesiątych ojciec zaczął posługiwać się idiomem z lat sześćdziesiątych.

Jego mowa upstrzona była zwrotami w rodzaju „to nie moja broszka” i „z byka spadłeś”. Mogłem się założyć, że za kolejne trzydzieści lat będzie odbierał emeryturę i kuśtykał z balkonikiem po pokoju, ogłaszając wszem wobec, że „lasuje mu się mózg” i że „można od tego ześwirować”. Ale wtedy ludzie znowu nie będą wiedzieć, o co mu chodzi.

— Tak czy owak — dodałem — nie ma powodu się martwić. Wszystko jest pod kontrolą.

— Martwić się? — zdziwił się. — Wcale się nie martwię.

Cisza dzwoniła mi w uszach. Nie wiedziałem, co mam mu powiedzieć. Nie wiedziałem, jak przerzucić most między naszymi różnymi światami. Nie wiedziałem, od czego zacząć.

— Poproszę twoją matkę.

W czasie gdy poszedł po mamę, do pokoju zajrzał ubrany w piżamę Pat. Zmierzwił żółte włosy sterczały mu każdy w inną stronę, a oczy w kolorze Tiffany’ego wciąż były spuchnięte od snu. Wyciągnąłem do niego ręce, uświadamiając sobie nagle z ukłuciem bólu, jak bardzo go kocham. Ominął mnie, zmierzając prosto do magnetowidu.

— Pat? Chodź do mnie, skarbie.

Niechętnie podszedł do mnie, zaciskając w dłoni kasetę z Powrotem Jedi. Wziąłem go na kolana. Miał ten słodki, zalatujący pleśnią zapach, który mają dzieci zaraz po tym, jak wstaną z łóżka. Ziewnął szeroko, a ja pocałowałem go w policzek. Miał fabrycznie nową skórę. Prosto spod prasy. Najdelikatniejszą skórę pod słońcem.

I nadal wydawał mi się najpiękniejszą istotą na świecie, małym blond aniołkiem, który zeskoczył z chmury w drodze do niebiańskiej wypożyczalni wideo.

Czy naprawdę był taki ładny? Czy to tylko dawały o sobie znać moje ojcowskie geny? Czy każde dziecko na świecie wygląda tak w oczach swojego rodzica?

— Przyjemnie było u babci i dziadka? — zapytałem. Przez chwilę się nad tym zastanawiał.

— Nie mają żadnych dobrych filmów — stwierdził w końcu.

— A jakie filmy mają?

— Głupie. Z samymi... samymi obrazkami.

— Masz na myśli kreskówki?

— Tak. Same obrazki. Dla dzidziusiów.

— Kreskówki nie są dla dzidziusiów, Pat — zaprotestowałem oburzony. — Nie podoba ci się Dumbo? Ten słoń z wielkimi uszami? Biedny mały słoń, z którego wszyscy się wyśmiewają?

— Dumbo jest głupi.

— Dumbo jest wspaniały! Co ci się w nim nie podoba? Jezu Chryste, to był mój ulubiony film.

Miałem zamiar wygłosić wykład na temat geniuszu Walta Disneya, piękna animacji oraz magii dzieciństwa, ale w słuchawce odezwała się nagle moja mama.

— Harry? Tak się martwiliśmy. Co teraz będzie? Zwolnią cię z pracy?

— Nie zwolnią mnie, mamó. To, co się zdarzyło zeszłej nocy... takie rzeczy nazywamy dobrą telewizją.

— Naprawdę, kochanie? Kiedyś mówiłeś mi chyba, że dobra telewizja jest wtedy, kiedy gość zaatakuje gospodarza. Nie wiem, czy to działa w drugą stronę.

— Wszystko będzie dobrze — odparłem, chociaż nie sposób było jej odmówić racji. Podczas wszystkich telewizyjnych bójek, jakie pamiętałem, to prezenter obrywał cięgi. Nie jego gość. — Wkrótce zaproponują mi nowy kontrakt. Nie martw się, mamó. Nie musimy jeszcze oddawać Pata do domu dziecka.

— A co się dzieje z Giną? Wydawała się taka... nie wiem... taka przygnębiona.

— Gina czuje się dobrze — odparłem. — Dlaczego miałyby być przygnębiona?

Kiedy odłożyłem słuchawkę, Pat popędził do magnetowidu i puścił Powrót Jedi. Kasetę zaczęła się w tym samym momencie, w którym przestał ją wczoraj oglądać — kiedy ubrana w strój niewolnicy księżniczka Leia staje przed galaretowatym Jabbą. Z obleśnych warg wpatrującego się w swą przyszłą konkubinę Jabby sączyła się ślina. Mój czteroletni syn obserwował beznamiętnie całą scenę. To nie mogło chyba być dla niego dobre.

— Może byśmy się w coś pobawili? — zaproponowałem. Twarz Pata rozjaśniła się.

— Dobrze!

— W co chcesz się pobawić?

— W Gwiazdne wojny.

Uśmiechnięty od ucha do ucha, przywłókł z sypialni pudło ze swoimi ulubionymi zabawkami i wysypał na dywan przedmioty, które przyniosły sławę George'owi Lucasowi. Usiadłem razem z nim na podłodze, a on starannie ustawił Hana, Luke'a, Chewiego oraz dwa androidy wokół szarego plastikowego Sokoła Milenium.

— Księżniczka Leia jest w niedoli na Gwieździe Śmierci — oznajmił.

— W niewoli — poprawiłem go. — Księżniczka Leia jest w niewoli.

— Jest w niedoli — powtórzył. — Musimy ją ratować, tato.

— Okej.

Przez chwilę bawiłem się z moim synem — wiedziałem, że robię to zdecydowanie zbyt rzadko — a potem, po mniej więcej pięciu lub dziesięciu minutach, uznałem, że powinienem jechać do pracy. Zapowiadał się długi dzień.

Pat był rozczarowany tym, że tak szybko przestałem z nim się bawić, rozchmurzył się jednak, gdy puściłem mu z powrotem film z księżniczką Leią w charakterze pięknej niewolnicy. Naprawdę lubił ten kawałek.

* * *

Pisały o nas wszystkie gazety.

Poważne dzienniki traktowały incydent z Cliffem jako typowy symptom śmiertelnej choroby mediów, które szukają taniej sensacji w świecie dewaluacji obrazu oraz ograniczonej koncentracji uwagi. Brukowce oburzały się na wulgarny język i krew, która połała się w studiu.

Wszyscy jak jeden mąż domagali się głowy Marty'ego Manna. Chciałem zadzwonić do niego z samochodu, ale przypomniałem sobie, że pożyczyłem komórkę Ginie.

Firma Marty'ego, Mad Mann Productions, mieściła się na jednym z pięter biurowca przy Notting Hill Gate. W przestronnym, pozbawionym ścianek działowych biurze programowo wyluzowani ludzie koło dwudziestki realizowali Marty Mann Show, względnie całymi miesiącami planowali następne przedsięwzięcia Mad Mann Productions. Aktualnie pracowaliśmy nad teleturniejem dla mózgowców, alternatywnym programem o podróżach, serialem na temat nurkowania, który pozwoliłby Marty'emu spędzić sześć miesięcy na Malediwach, oraz szeregiem innych pomysłów, które najprawdopodobniej nigdy nie miały się doczekać realizacji.

My określaliśmy to mianem rozwoju. Zewnętrzny świat wolał to nazywać pieprzeniem kotka za pomocą młotka.

Tylko ja i Marty mieliśmy tam osobne gabinety. Właściwie były to ciasne, zawalone taśmami i scenopisami klitki, każda wyposażona w kilka magnetowidów. W moim czekała na mnie Siobhan.

Nigdy wcześniej tu nie była. Oboje zaczerwieniliśmy się na swój widok. Dlaczego tak łatwo jest z kimś rozmawiać, zanim pójdzie się z tą osobą po raz pierwszy do łóżka? Dlaczego później okazuje się to takie trudne?

— Powinieneś mnie obudzić przed wyjściem — powiedziała.

— Chciałem — odparłem — ale wydawałaś się taka. . .

— Spokojna?

— Skonana. Siobhan roześmiała się.

— To był straszny wieczór. Jedyną dobrą rzeczą byłeś w nim ty.

— Posłuchaj, Siobhan. . .

— W porządku, Harry. Wiem. Już się więcej nie zobaczymy, prawda? To znaczy w taki sposób jak zeszłej nocy. Nie musisz niczego udawać. Nie musisz mówić niczego, co nie jest prawdą. Wiem, że jesteś żonaty.

— Wspaniała z ciebie dziewczyna, Siobhan. Naprawdę — powiedziałem i rzeczywiście tak uważałem.

— Ale ty kochasz swoją żonę. Wiem, wiem. Nie martw się. Wolę to usłyszeć teraz niż za sześć miesięcy. Wolę to mieć za sobą, zanim naprawdę cię polubię. Nie jesteś przynajmniej taki jak inni. Nie opowiadałeś mi, że twoja żona cię nie rozumie. Nie mówiłeś, że prawdopodobnie z nią zerwiesz. Nie wykradałeś się z domu, żeby do mnie zadzwonić. Nie jesteś śmierzącym hipokrytą.

Nie jestem hipokrytą? Ostatnią noc spędziłem z tobą, a tę zamierzam spędzić z żoną. Czy to nie jest dokładnie to, co robi hipokryta?

— Nie jesteś dobry w te klocki, Harry. To właśnie mi się w tobie podoba. Wierz mi, niewielu jest mężczyzn takich jak ty. Ostatni. . . Jezu! Naprawdę myślałam, że odejdziesz od żony i się ze mną ożeni. Taka jestem głupia.

— Nie jesteś wcale głupia — powiedziałem, ściskając ją. Przez chwilę obejmowaliśmy się mocno, naprawdę coś do siebie czując. Zrywając ze sobą, świetnie się rozumieliśmy.

A potem zaczęła zdławionym głosem opowiadać, jak trudno jest dzisiaj o porządnego faceta. No cóż, chwała Bogu, pomyślałem sobie. Nie odegramy na szczęście powtórki Fatalnego zauroczenia.

Wiedziałem, że łatwo mi się upiekło. Rozstając się ze mną, Siobhan nie miała zamiaru połać kwasem mojego MGF, względnie ugotować potrawki z naszego królika. Którego zresztą nie mieliśmy. Po krótkiej uldze odkryłem jednak z zaskoczeniem, że czuję się lekko urażony. Czyżby tak łatwo było postawić na mnie krzyżyk?

— Ciągłe mi się to zdarza — stwierdziła ze śmiechem Siobhan, lecz oczy miała mokre i błyszczące. — Zawsze wybieram tych, którzy zostali już wcześniej wybrani. Twoja żona jest szczęśliwą kobietą. Powiedziałam ci to już chyba zresztą wcześniej przez telefon.

— Przez telefon?

— Zostawiłam ci wiadomość na komórce.

— Na komórce?

— Zostawiłam ci wiadomość na komórce — poinformowała mnie, ocierając wierzchem dłoni łzy. — Nie odsłuchiłeś jej?

Rozdział 7

Kiedy wróciłem do domu, Gina pakowała swoje rzeczy w sypialni. Wrzucała je do walizki i weekendowej torby, błada, z suchymi oczyma, robiąc to najszybciej, jak mogła, zabierając tylko podstawowe rzeczy. Tak jakby nie potrafiła pozostać ani minuty dłużej w naszym domu.

— Gina?

Spojrzała na mnie i miałem wrażenie, że widzi mnie po raz pierwszy w życiu. Wydawała się prawie nieprzytomna z pogardy, smutku i gniewu. Zwłaszcza z gniewu. O mało nie zsiąkałem się ze strachu. Nigdy przedtem tak na mnie nie patrzyła.

Gina odwróciła się ode mnie i podniosła coś z małego stoliczka przy łóżku. Popielniczkę. Nie, to nie była popielniczka. Nie mieliśmy żadnych popielniczek. Cisnęła we mnie moją komórką.

Nigdy nie była zbyt celna — a wybuchło już między nami kilka awantur, w trakcie których różne rzeczy fruwały w powietrzu — lecz tym razem trudno było nie trafić. Komórka rąbnęła mnie mocno w pierś. Kiedy podnosiłem ją z podłogi, poczułem ból w mostku.

— Nigdy ci tego nie wybaczę — powiedziała. — Nigdy. Może odsłuchasz swoją wiadomość? — dodała, wskazując głową komórkę.

Nacisnąłem na telefonie małą ikonkę przedstawiającą kopertę i usłyszałem głos Siobhan, oschły, zaspany i zupełnie nie na miejscu w naszej sypialni.

To zawsze jest zły znak, kiedy wychodzą, nim się obudzisz... ale proszę, nie miej żalu z powodu wczorajszej nocy... bo ja jej nie żałuję... twoja żona jest szczęśliwą kobietą... i cieszę się na myśl, że będę z tobą pracować... Do widzenia, Harry.

— Spałeś z tą dziewczyną, Harry? — zapytała Gina i potrząsnęła głową. — Co się ze mną dzieje? Dlaczego w ogóle cię o to pytam? Chcę chyba, żebyś powiedział, że to nieprawda. Ale to oczywiście prawda.

Próbowałem ją objąć. Niekoniecznie przytulić. Po prostu wziąć za ramiona. Postarać się uspokoić. Nie pozwolić, żeby mnie opuściła. Odrzuciła mnie, prawie warcząc.

— To jakaś mała zdzira z pracy, prawda? — zapytała, nadal wrzucając rzeczy do walizki. Nie patrzyła nawet na ubrania, które pakowała. Nie sprawiała wrażenia kobiety, która uważa się za szczęśliwą. — Jakaś mała zdzira, która łudzi się, że pomożesz jej w karierze.

— Właściwie to bardzo miła dziewczyna. Polubiłabyś ją.

To była naprawdę głupia odzywka. Uświadomiłem to sobie już w momencie, gdy wypowiadałem te słowa, ale wtedy było za późno. Gina podeszła bliżej i uderzyła mnie z całej siły w twarz. Zobaczyłem, jak krzywi się z bólu i w jej oczach stają nagle łzy. Naprawdę nie potrafiła kogoś uderzyć. Nie należała do tego rodzaju kobiet.

— Wyobrażasz sobie pewnie, że to było romantyczne, namiętne i takie tam trele-morele — stwierdziła. — Ale to wcale nie było romantyczne ani namiętne. Było wstrętne, plugawe i żalosne. Naprawdę żalosne. Kochasz ją?

— Co?

— Czy jesteś zakochany w tej dziewczynie?

— Nie o to chodzi.

— Jeśli chce mi ukraść moje życie, proszę bardzo. Może je zabrać. Ciebie też. Zwłaszcza ciebie, Harry. Bo to wszystko było oparte na kłamstwie.

— Proszę cię, Gino. To był błąd. Straszliwy błąd, zgoda? — Szukałem odpowiednich słów. — Nie miałem zamiaru tego robić — dodałem.

Zaczęła jednocześnie śmiać się i płakać.

— Nie rozumiesz, że to tylko pogarsza sytuację? — zawołała. — Czy ty w ogóle niczego nie rozumiesz?

A potem rozszlochała się na dobre, kuląc się i dygocząc, nie próbując nawet otrzeć łez, które zdawały się rodzić gdzieś głęboko, w samej klatce piersiowej. Chciałem ją objąć ramionami. Nie miałem jednak śmiałości jej dotknąć.

— Jesteś dokładnie taki sam jak mój ojciec — stwierdziła i wiedziałem, że to najgorsza rzecz, jaką mogła o mnie powiedzieć. — Dokładnie taki sam.

— Proszę cię, Gino — jęknąłem. — Proszę.

Potrząsnęła głową, jakby nie potrafiła mnie już zrozumieć, jakbym przestał być dla niej kimś sensownym.

— O co, Harry? „Proszę”? O co prosisz? Powtarzasz to jak jakaś pieprzona papuga. O co prosisz?

— Proszę — powtórzyłem jak papuga. — Proszę, nie przestawaj mnie kochać.

— Ale ty przecież musiałeś zdawać sobie z tego sprawę — oznajmiła, zatrzasnąwszy walizkę, chociaż większość jej ubrań wciąż leżała rozrzucona na łóżku. Druga torba była już pełna. Gina była gotowa do wyjścia. Prawie już wyszła. — Musiałeś wiedzieć, że to jedyna rzecz, której nie potrafię nigdy wybaczyć. Musiałeś wiedzieć, że nie potrafię kochać mężczyzny, który nie kocha mnie i tylko mnie. Jeśli tego nie wiedziałeś, Harry, to w ogóle mnie nie znasz.

Przeczytałem gdzieś, że w każdym związku pełną władzę ma ta strona, której mniej zależy na jego zachowaniu.

Gina miała teraz w ręku całą władzę. Ponieważ na niczym już jej nie zależało.

Ruszyłem w ślad za nią, kiedy wlokła swoją walizę i torbę do sypialni naszego syna. Pat, który wkładał do swojego małego plecaka figurki z Gwiezdných wojen, uśmiechnął się do nas.

— Patrzcie, co robię — oznajmił.

— Jesteś gotów, Pat? — zapytała Gina.

— Prawie.

— W takim razie chodźmy — powiedziała, ocierając łzy rękawem.

— Okej — zgodził się. — Wiesz co? — Spoglądał teraz na mnie i jego śliczną twarz rozjaśnił uśmiech. — Jedziemy na wakacje.

Pozwoliłem im dojść do drzwi i w tym momencie zdałem sobie sprawę, że nie mogę ich stracić. Po prostu nie mogę. Złapałem za uchwyt jej torby.

— Dokąd jedziecie? Powiedz tylko, dokąd jedziecie. Pociągnęła za torbę, ale ja jej nie puszczałem. W związku z tym zostawiła mi ją, po czym otworzyła drzwi i przeszła przez próg.

Dźwigając jej torbę, wyszedłem na ulicę i patrzyłem, jak Gina sadza Pata w jego foteliku i zapina pasy. Mały wyczuł, że dzieje się coś bardzo złego. Już się nie uśmiechał. Nagle zdałem sobie sprawę, że to moja ostatnia szansa.

— Co będzie z Patem? — zapytałem. — Nie pomyślałaś o nim?

— A ty? — odparła. — Czy ty o nim pomyślałeś?

Wsadziła swoją walizkę do bagażnika, nie próbując nawet odebrać mi drugiej torby. Uznała widać, że może ją zostawić.

— Gdzie się zatrzymasz?

— Do widzenia, Harry — powiedziała i odeszła.

Przez boczną szybę widziałem drobną, zaniepokojoną twarzyczkę Pata. Gina patrzyła prosto przed siebie, jej wzrok był twardy i błyszczący. Już teraz wyglądała jak ktoś inny. Ktoś, kogo nie znałem. Przekręciła kluczyk w stacyjce.

Patrzyłem w ślad za samochodem, dopóki nie zniknął za zakrętem ulicy, przy której mieszkaliśmy. A potem zobaczyłem, jak poruszają się zasłony. Obserwowali nas sąsiedzi. Z uczuciem rozpaczny uświadomiłem sobie, jakiego rodzaju parą się staliśmy. Odniosłem torbę Giny do domu. W środku dzwonił telefon. To był Marty.

— Nie uwierzysz, co ci skurwiele piszą o mnie w gazetach — oznajmił. — Posłuchaj tego: ZAKAZAĆ SZALONEMU MANNOWI WSTĘPU DO TELEWIZJI. Albo to: MAŁOMÓWNY MANN — ZNA TYLKO KILKA SŁÓW, WSZYSTKIE Z RYNSZTOKA. Co oni, kurwa, insynuują? Ci ludzie chcą mi odebrać pracę, Harry. Moja mama jest naprawdę zmartwiona. Co robimy?

— Marty — powiedziałem. — Gina odeszła.

— Odeszła? Masz na myśli, że cię opuściła?

— Tak.

— A co z dzieckiem?

— Zabrała Pata ze sobą.

— Ma kogoś?

— Nic z tych rzeczy. Chodziło o mnie. Zrobiłem coś głupiego.

Marty zachichotał mi do ucha.

— Harry, ty stary zbereźniku. To ktoś, kogo znam?

— Boję się, Marty. Obawiam się, że odeszła na dobre.

— Nie przejmuj się, Harry. W najgorszym przypadku może ci zabrać połowę tego, co posiadasz.

W tej kwestii się mylił. Gina już teraz zabrała ze sobą wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłem. Nic mi nie zostawiła.

Rozdział 8

Barry Twist pracował w zarządzie stacji. W ciągu ostatniego roku byłem u niego raz na kolacji i on wpadł do mnie raz na kolację. Jednak biorąc pod uwagę to, w jakim funkcjonowaliśmy układzie, trudno nas było uznać za przyjaciół. Nie mogłem mu na przykład opowiedzieć o Ginie. Miałem wrażenie, że wielu ludzi znam właśnie w ten sposób.

Barry był pierwszym facetem z telewizji, który zaprosił Marty'ego i mnie na lunch, kiedy pracowaliśmy w radiu. Jego zdaniem nasz program nadawał się do telewizji i jemu, bardziej niż komukolwiek innemu, zawdzięczaliśmy, że się tam znaleźliśmy. W trakcie naszego pierwszego lunchu Barry bez przerwy się uśmiechał, uśmiechał się tak, jakby było dla niego zaszczytem zamieszkiwanie na tej samej planecie co Marty i ja. Teraz jednak się nie uśmiechał.

— Nie jesteście już parą dzieciaków trzepiących jęzorem w radiu — oświadczył. — Obowiązują nas twarde reguły gry. — W tym, co mówił, pełno było aluzji do „twardych reguł gry”, tak jakby praca w telewizji nie różniła się zbyt od dowodzenia tajną jednostką SAS w South Armagh. — Dostaliśmy dziewięćset telefonów ze skargami na wulgarny język.

Nie miałem zamiaru położyć się i umrzeć tylko dlatego, że Barry był naszym redaktorem naczelnym.

— Spontaniczna telewizja, Barry. Za to właśnie mu płacisz. W tego rodzaju programie nie jest ważne to, co mówią goście. Ważne jest, co robią.

— Nie płacimy mu za to, żeby atakował gości.

Barry uśmiechnął się zjadliwie i wskazał leżące na swoim biurku gazety.

— Pierwsza strona „Mirror i Sun” — powiedziałem, biorąc do ręki cały plik. — Dwukolumnowy artykuł na pierwszej stronie „Telegraph”... Sympatyczne kolorowe zdjęcie na trzeciej stronie „Timesa”...

— To nie jest dobry rodzaj prasy — stwierdził Barry. — Wiesz o tym. Powtarzam jeszcze raz: to nie jest radio. Nie słucha już was wyłącznie kilku świrów ze swoimi kotami. I nie jesteśmy jakąś małą satelitarną stacją, która zrobi wszystko, żeby zyskać paru dodatkowych widzów. Mamy reklamodawców, instancje nadzorcze, stowarzyszenia widzów, mamy naszego zwierzchnika. I uwierz mi na słowo, Harry: wszyscy oni są cholernie wkurzeni.

Odłożyłem gazety na biurko. Palce miałem czarne od drukarskiej farby. Tak nonszalancko, jak tylko mogłem, potarłem dłonie, ale farba nie chciała zejść.

— Pozwól, że ci powiem, co się teraz stanie, Barry — odparłem. — Wszyscy będą wyzywać Marty'ego od najgorszych, a w przyszłym tygodniu zyskamy większą oglądalność niż kiedykolwiek. Oto, co się stanie. Ludzie będą opowiadać o wczorajszym programie przez długie lata. . . to też jest pewne jak w banku.

Barry Twist potrząsnął głową.

— Przebrała się miarka. Nie chodzi tylko o Marty'ego. Szef też jest wyzywany od najgorszych i to zdecydowanie mu się nie podoba. W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy w Marty Mann Show wystąpili goście, którzy byli pijani, którzy obrażali publiczność i którzy chcieli się rozebrać. Ale wczoraj po raz pierwszy mieliśmy gościa, który został pobity. To się musi skończyć. Nie możemy nadawać na żywo programu, który prowadzi niezrównoważony emocjonalnie prezenter.

— Co proponujesz?

— Koniec z programami na żywo, Harry. Nagrywajcie program po południu w dniu, kiedy pójdzie na antenę. W ten sposób, jeśli Marty zaatakuje kogoś — albo zatłucze go na śmierć, żeby dać mu odczuć swoją wyższość — będziemy mogli to wyciąć.

— Z poślizgiem? Chcesz, żebyśmy nadawali z poślizgiem? Marty nigdy się na to nie zgodzi.

— Twoja w tym głowa, żeby się zgodził, Harry. Jesteś jego producentem. . . popracuj trochę nad nim. Niedługo chyba trzeba będzie odnowić twój kontrakt?

Wiedziałem, że nie mogą wyrzucić Marty'ego. Był na to zbyt mocny. Po raz pierwszy zrozumiałem, że gra nie toczyła się o jego skórę.

Toczyła się o moją.

* * *

Mimo wszystkich swoich zabaw w zabijanie i destrukcję, Pat miał złote serce. Często obejmował i całował ludzi, nawet zupełnie obcych — widziałem raz, jak ścisnął starego jegomościa, który zamiatał naszą ulicę — w sposób, który nie był dopuszczalny ani nawet mądry w naszym dzisiejszym parszywym świecie.

Ale Pat wcale o tym nie wiedział i nie dbał o to. Miał cztery lata i wypełniała go miłość. Kiedy zobaczył mnie w drzwiach domu swojego drugiego dziadka, oszalał z radości. Trzymał moją twarz w dłoniach i całował mnie w usta.

— Tatusiu! Zostaniesz z nami? Zostaniesz z nami. . . zostaniesz z nami na wakacjach u dziadka Glenna?

Odnalazłem ich następnego dnia po tym, jak wyjechali. To nie było trudne. Zadzwoiłem do kilku koleżanek Giny ze studiów, tych, które pojawiły się na jej trzydziestych urodzinach, ale od lat z żadną już blisko się nie przyjaźniła. Pozwoliła im zniknąć ze swojego życia, oszukując się, że może dostać wszystko, czego

potrzebuje, ode mnie i od Pata. Na tym polega problem ze związkami tak bliskimi jak nasze — kiedy się rozpadają, człowiek nie ma nikogo.

Nie zajęło mi dużo czasu ustalenie, że Gina tak rozpaczliwie potrzebowała jakiegokolwiek lokum, iż udała się do swojego ojca, który aktualnie nie miał żadnej żony.

Glenn zajmował małe mieszkanie dokładnie na skraju planu miasta, pośród klubów golfowych i pasów zieleni, w okolicy, która, kiedy tam się wprowadził, musiała jego zdaniem wyglądać trochę jak Woodstock. Zamiast jednak rzeźpolic na gitarze z Bobem Dylanem i The Band, Glenn wsiadał codziennie do podmiejskiego pociągu, który zawoził go do jego sklepu z gitarami przy Denmark Street. Był w domu, kiedy zapukałem do drzwi, i widząc, jak obejmuję w progu mojego syna, powitał mnie z czymś, co sprawiało wrażenie autentycznej serdeczności.

— Harry, co u ciebie słyhać, człowieku? Przykro mi, że masz kłopoty.

To, co pozostało z włosów liczącego sobie już ponad pięćdziesiąt wiosen Glenna, było starannie ufryzowane i przypominało lekko wyliniaty czub wikinga. Nadal był chudy jak szczapa i nadal nosił ciuchy, które wyglądałyby w sam raz na członku ekipy technicznej Jimmiego Hendrixa. I nadal był przystojny, w lekko wyblakły łajdacki sposób. Ale spacerując King's Road w roku 1975, musiał wyglądać odłotowo.

Mimo wszystkich wad — tego, że zapominał o urodzinach swoich bliskich, nie dotrzymywał obietnic i miał skłonność do porzucania co kilka lat żony i dzieci — Glenn nie był w gruncie rzeczy złym człowiekiem. Odznaczał się subtelnym urokiem, którego ślady mogłem odnaleźć w Ginie. Jego najgorszą wadą było to, że nigdy nie patrzył dalej niż poza czubek własnego nosa. Ale wszystkie rany, które zadawał, były nieumyślne. Nie był okrutny, chyba że słabość uznamy za szczególnie rodzaj okrucieństwa.

— Szukasz Giny? — zapytał, obejmując mnie ramieniem. — Jest w środku.

Wewnątrz skromnego mieszkania dudnił z głośników zespół

The Verve. Glenn nie był jednym z tych maniaków klasycznego rocka z egzemplarzem Mojo i igłą gramofonu na zawsze utkwioną w muzyce swojej młodości. Jego oddanie sprawie było tak wielkie, że lubił dotrzymywać kroku nowym wielkim zespołom. Nie wiem, jak mu się to udawało.

Gina wyszła z małej sypialni dla gości, poważna i blada. Bardzo blada. Miałem ochotę ją pocałować. Ale nie zrobiłem tego.

— Cześć, Harry.

— Możemy porozmawiać?

— Oczywiście. W pobliżu jest park.

Zabraliśmy ze sobą Pata. Glenn uprzedził nas, że choć wszędzie naokoło jest zielono, park leży w rzeczywistości dość daleko, za ponurym ciągiem handlowym i osiedlem wielkich eleganckich domów, w związku z czym zaproponowałem, że pojedziemy MGF. Pat aż zapiszczał z rozkoszy. Chociaż Gina dawno skończyła

cztery lata, miałem nadzieję, że jej też zaimponuję — od pierwszej chwili, gdy zobaczyłem ten samochód, wiedziałem, że chcę się nim przejechać z kimś wyjątkowym. Teraz uświadomiłem sobie ze straszliwą jasnością, że tą wyjątkową osobą była zawsze Gina. Ona jednak nie odezwała się ani słowem przez całą drogę do parku.

— Nie musisz się martwić o to, jak odzyskać swoją młodość, Harry — oznajmiła, wysuwając nogi z mojego nowego samochodu. — Tak naprawdę nigdy jej nie straciłeś.

Pat wyprzedził nas, wymachując swoim świetlnym mieczem i pohukując. Dobiegłszy do drabinek, umilkł i stojąc jak wryty w miejscu, nieśmiało obserwował wspinających się po nich dwóch większych chłopców. Pat traktował zawsze z admiracją większych chłopców. Gina i ja obserwowaliśmy, jak się w nich wpatruje.

— Tęsknię za tobą jak wariat — powiedziałem. — Proszę, wróć do domu.

— Nie — odparła.

— To nie był jakiś szalony namiętny romans. To była tylko jedna noc.

— To nigdy nie jest tylko jedna noc. Jeśli mogłeś to zrobić raz, możesz to zawsze zrobić ponownie. A potem znowu i znowu. Za każdym razem przyjdzie ci to łatwiej. Przerabiałam to już wcześniej, Harry. Przerabiałam to wszystko z Glennem.

— Jezu, przecież ja w niczym nie przypominam twojego ojca. Nie noszę nawet kolczyka w uchu.

— Powinam była to przewidzieć — oświadczyła. — Romantycy są zawsze najgorsi. Ci spod znaku złamanego serca i kwiatków. Ci, którzy obiecują nigdy nie spojrzeć na inną kobietę. Zawsze najgorsi. Bo stale potrzebują nowego kopa. Regularnego zastrzyku miłości. Prawda, Harry?

Nie podobał mi się sposób, w jaki o mnie mówiła — tak jakbym nie różnił się specjalnie od wszystkich innych mężczyzn na ziemi, jakbym był po prostu jednym z tej kosmatej niewiernej rasy, jednym z pracujących na etacie smutasów, którzy dali się złapać na zdradzie. Wciąż chciałem być kimś wyjątkowym.

— Przykro mi, że cię zraniłem, Gino. Zawsze będę tego żałował. Jesteś ostatnią osobą na ziemi, którą chciałbym zranić.

— Miodowy miesiąc nie trwa wiecznie, chyba o tym wiesz.

— Wiem, wiem — odparłem, chociaż jednocześnie słyszałem wewnętrzny głos, który pytał: dlaczego nie? Dlaczego nie?

— Byliśmy ze sobą przez lata — mówiła dalej. — Mamy dziecko. Nie możemy wiecznie bawić się w Romea i Julię.

— Wszystko to rozumiem — powiedziałem i w zasadzie istotnie to rozumiałem. Chociaż kusiło mnie, żeby odpowiedzieć: w takim razie wypisuję się z tego interesu.

Gina miała rację — chciałem, żebyśmy byli tacy sami jak na początku. Chciałem, żebyśmy byli tacy zawsze. A wiecie, dlaczego? Bo byliśmy wtedy tacy szczęśliwi.

— Myślisz, że łatwo mi było z tobą żyć? — zapytała, nagle poirytowana. — Myślisz, że łatwo mi było zajmować się domem, wysłuchiwać twoich narzekań, że nie jesteś już nastolatkiem, zmuszać Pata, żeby przestał choć na pięć minut oglądać Gwiezdne wojny! A ty zbytnio mi nie pomagałeś. Jak każdy facet na tej planecie, uważałeś, że dopóki pracujesz na tej swojej nędznej posiadce, niczego więcej nie można od ciebie wymagać.

— No cóż — odparłem, trochę zbity z tropu. — Dziwię się, że nie odeszłaś przed kilku laty.

— Nie dałeś mi żadnego powodu. Aż do dzisiaj. Mam dopiero trzydzieści lat, Harry, ale czasami czuję się jak stara kobieta. Zamaçałeś mi w głowie — dodała. — Zamaçałeś mi w głowie i cię pokochałam.

— Po prostu wróć do domu. Ty, ja i Pat. Chcę, żeby wszystko było tak jak przedtem.

— Nigdy już nic nie będzie tak jak przedtem. Wszystko zmieniłeś. Wierzyłam ci, a ty nadużyłeś mojego zaufania. Czuję się głupio, że ci zaufałam.

— Ludzie nie zrywają ze sobą z powodu jednej nocy spędzonej z kimś innym, Gino. Dorośli ludzie tak nie postępują. Nie skreśla się wszystkiego z powodu takiej rzeczy. Wiem, że to boli. Wiem, że źle zrobiłem. Ale jakim cudem z dnia na dzień zmieniłem się z Mister Universum w ostatniego gnojka?

— Nie jesteś ostatnim gnojkiem, Harry. — Gina potrząsnęła głową, próbując powstrzymać łzy. — Jesteś po prostu taki sam jak wszyscy. Teraz to widzę. Niczym nie różnisz się od innych. Nie rozumiesz tego? Tyle zainwestowałam w to, żebyś był wyjątkowy. Tyle dla ciebie poświęciłam, Harry.

— Wiem o tym. Chciałaś pracować za granicą. Chciałaś poznawać inną kulturę. To mogło być coś niesamowitego. A potem zostałaś tu z mojego powodu. Wiem o tym wszystkim. Dlatego chcę, żeby to małżeństwo dalej funkcjonowało. Dlatego chcę jeszcze raz spróbować.

— Dużo ostatnio rozmyślałam — powiedziała Gina — i doszłam do wniosku, że nikt nie interesuje się kobietą, która siedzi w domu ze swoim dzieckiem. Nawet jej mąż. Zwłaszcza jej mąż. Jestem taka nudna, że musisz sobie szukać partnerki poza domem.

— To nieprawda.

— Fakt, że opiekuję się twoim dzieckiem... to powinna być najbardziej poważana praca na świecie. Więcej warta niż chodzenie do jakiegokolwiek biura. Ale tak nie jest. Wiesz, ile razy na tych twoich pieprzonych telewizyjnych przyjęciach, lunchach i kolacjach dawano mi odczuć, że nie jestem nic warta? I czym się pani zajmuje? I czym się pani zajmuje? — powtórzyła kpiącym tonem. — Ja? Niczym. Siedzę po prostu w domu i opiekuję się swoim małym synkiem. Patrzą

wtedy na ciebie jak na powietrze... zarówno kobiety, jak mężczyźni, choć kobiety są chyba nawet gorsze... tak jakbyś była jakąś kretynką. Jestem dwa razy mądrzejsza od połowy ludzi, z którymi pracujesz, Harry. Dwa razy mądrzejsza.

— Wiem, że jesteś — odparłem. — Posłuchaj, Gino: zrobię wszystko. Powiedz, co chcesz?

— Chcę odzyskać moje życie — stwierdziła. — Nic więcej. Chcę odzyskać moje życie.

Nie zapowiadało to niczego dobrego.

Rozdział 9

W życiu mojego ojca nie wszystko poszło dokładnie tak, jak to sobie wyobrażał. Dotyczy to jego domu. A także mnie.

Kiedy moi rodzice kupili dom, w którym dorastałem, otaczała nas wieś. Jednak przez trzydzieści lat miasto zakradało się coraz bliżej. Pola, po których biegałem kiedyś z wiatrówką, zajęły nowe brzydkie domy. Przy starej High Street pojawiły się biura nieruchomości oraz kancelarie adwokackie. To, co zdaniem moich rodziców miało zawsze przypominać scenerię Archerów, od pierwszej chwili, gdy się tam przenieśliśmy, zaczęły połykać przedmieścia.

Mamie zmiany zbytnio nie przeszkadzały — pochodziła z miasta i pamiętam, że kiedy byłem mały, skarżyła się na brak kina i sklepów. Ja jednak popierałem tatę.

Nie podobały mu się masy ludzi, którzy wypełniali stację kolejową w dni powszednie i pola golfowe w weekend. Nie podobały mu się watahy wyrostków, którzy włóczyli się wokół posesji, jakby to było południowe Los Angeles.

Nie spodziewał się, że pod koniec życia będzie musiał stawić czoło miejskiemu zgiełkowi i przestępczości.

Teraz czekało go kolejne rozczarowanie.

Rodzice podeszli do drzwi, oczekując, że przyjechaliśmy na obiad wszyscy troje. Zobaczyli jednak wyłącznie swojego syna.

Zbici z tropu patrzyli, jak mijam ich furtkę, szukając miejsca, gdzie mógłbym zaparkować. Nic z tego nie rozumieli.

Kiedy byłem dzieckiem, na ulicy nie stały żadne samochody — w zupełności wystarczał jeden garaż na rodzinę. Teraz można było się praktycznie nabawić przepukliny, zanim człowiek znalazł wolne miejsce. Wszystko się zmieniło.

Pocałowałem mamę i uściśnąłem dłoń taty. Nie mieli pojęcia, co się stało. Przygotowali za dużo jedzenia. Spodziewali się Giny i Pata. Oczekiwali szczęśliwej rodziny. Zamiast tego pojawiłem się ja.

— Mamo, tato. Muszę wam o czymś powiedzieć.

W salonie rozbrzmiewały stare piosenki. Z głośników stereo dobiegał głos Tony'ego Bennetta z koncertu na żywo w Carnegie Hali, chociaż równie dobrze

mógł to być Frank Sinatra, Dean Martin albo Sammy Davis Junior. W domu moich rodziców nigdy nie milkły stare piosenki.

Usiedli w swoich ulubionych fotelach i wpatrywali się we mnie z oczekiwaniem. Niczym para dzieci. Słowo daję — myśleli chyba, że zaraz ogłoszę rychłe narodziny kolejnego wnuka. A ja miałem uczucie, którego doświadczałem często w ich obecności — że nie jestem ich synem, lecz postacią z mydlanej opery.

— Wygląda na to, że Gina mnie zostawiła — oznajmiłem. Ton, jakiego użyłem, był fatalny — zbyt swobodny, zbyt nonszalancki, zbyt obojętny. Alternatywą było jednak wylądowanie na czworakach na dywanie i zalanie się łzami. Ponieważ po wczorajszej wycieczce do parku oraz po drugiej bezsennej nocy w łóżku, które było dla mnie samego o wiele za duże, zaczęło w końcu do mnie docierać, że Gina może jednak nie wrócić. Mimo to miałem wrażenie, że jestem zbyt stary, aby przynosić moim rodzicom złe wieści. A oni zbyt starzy, żeby musieli ich wysłuchiwać.

Przez kilka chwil w ogóle się nie odzywali.

— Że co? — mruknął ojciec. — Gdzie cię zostawiła?

— Gdzie jest dziecko? — zapytała matka.

Ona natychmiast mnie zrozumiała.

— Pat jest z Giną. W mieszkaniu jej ojca.

— U tego starego punka? Biedactwo.

— Co to znaczy, że cię zostawiła? — chciał wiedzieć mój stary.

— Odeszła ode mnie, tato.

— Nie rozumiem.

Naprawdę tego nie pojmował. Kochał ją, kochał nas oboje, a teraz to wszystko się skończyło.

— Wypięta się na mnie — wyjaśniłem. — Dała dyla. Puściła mnie w trąbę.

— Nie wyrażaj się — powiedziała matka. Trzymała palce przy ustach, jakby się modliła. — Och, Harry. Tak mi przykro.

Podeszła do mnie i lekko się wzdrygnąłem. Wiedziałem, że dam sobie radę, jeśli nie będą mi współczuć. Mogłem to przeżyć, jeśli nie zaczną mnie obejmować i mówić, że rozumieją. Jeśli zaczną mi współczuć, chyba tego nie zniosę. Wszystko we mnie pęknie. Na szczęście przyszedł mi z pomocą ojciec. Pocziwy stary tato.

— Odeszła?! — powtórzył gniewnym tonem. — To znaczy co? Bieriecie rozwód? To masz na myśli?

Tak naprawdę jeszcze o tym nie myślałem. Jak się bierze rozwód? Od czego trzeba zacząć?

— Chyba tak. To właśnie robią ludzie, kiedy się rozchodzą. Ojciec wstał. Krew odpłynęła mu z twarzy, w oczach stanęły łzy. Zdjął okulary, żeby je wytrzeć. Nie miałem odwagi spojrzeć mu w oczy.

— Zrujnowałeś mi życie — oświadczył.

— Co takiego?

Nie wierzyłem własnym uszom. Moje małżeństwo rozpadało się w gruzy, a on uważał się za ofiarę? Jak to się stało? Było mi przykro, że jego nieoceniona synowa przestała być członkiem rodziny. Było mi przykro, że jego wnuk patrzył, jak rozchodzą się jego rodzice. A przede wszystkim było mi przykro, że jego syn okazał się kolejnym głupim ćwokiem, pałętającym się po sądowych korytarzach w oczekiwaniu na rozwód. Nie miałem jednak zamiaru pozwolić, by ojciec zagrał główną rolę w naszej małej tragedii.

— Jakim cudem mogłem ci zrujnować życie, tato? — zapytałem. — Jeśli ktoś tutaj ucierpiał, to przede wszystkim Pat. Nie ty.

— Zrujnowałeś mi życie.

Twarz zapiekła mnie ze wstydu i oburzenia. Dlaczego był taki rozgoryczony? Jego żona nigdy go nie opuściła.

— Twoje życie dobiega już końca — oświadczyłem gniewnie.

Spojrzelśmy na siebie z uczuciem, które nie różniło się wiele od nienawiści, i ojciec wymaszerował z pokoju. Słyszałem jego kroki na schodach. Naprawdę żałowałem swoich słów. Czułem jednak, że nie dał mi innego wyboru.

— On wcale tak nie myśli — stwierdziła mama. — Jest zdenerwowany.

— Ja też — przyznałem. — Nigdy przedtem nie zdarzyło mi się nic złego, mamó. Wszystko szło mi jak po maśle. Aż do dzisiaj.

— Nie słuchaj ojca. Chce po prostu, żeby Pat miał to samo co ty. Dwoje rodziców. Solidną podstawę, na której można budować przyszłość. To wszystko.

— Ale jeśli Gina naprawdę odejdzie, nigdy nie będzie już miał tej solidnej podstawy. Przykro mi, ale to nie będzie takie proste.

Tato wrócił w końcu na dół i w trakcie obiadu spróbowałem im jakoś opisać sytuację. Od jakiegoś czasu w domu narastały różne problemy, nie wszystko szło tak, jak powinno, ale nadal nam na sobie zależało. Istniała więc pewna nadzieja.

Nie powiedziałem im, że przeleciałem koleżankę z pracy i że Gina uważa, iż zmarnowała swoje życie. Obawiałem się, że słysząc to, mogliby udławić się swoimi jagnięcymi sznyclami.

Przy pożegnaniu mama mocno mnie uściskała i powiedziała, że wszystko będzie dobrze. Tato też dał z siebie wszystko: objął mnie i poprosił, żebym zadzwonił, jeśli tylko będą mogli coś dla mnie zrobić.

Nie mogłem spojrzeć mu w twarz. Na tym polega problem, gdy uważa się ojca za bohatera. Nie mówiąc ani słowa, może sprawić, że znowu czujesz się, jakbyś miał osiem lat i właśnie przegrał swoją pierwszą bójkę.

* * *

— Nasz dzisiejszy gość nie wymaga przedstawiania — oznajmił Marty po raz trzeci z rzędu. — Kurwa mać. . . co się dzieje z tym pierdolonym teleprompterem?

Teleprompter działał bez zarzutu i Marty o tym świetnie wiedział.

Na galerii na górze reżyser szeptał kojące słowa do jego słuchawek, zapewniając, że powtórzą ujęcie, kiedy tylko będzie gotów. Ale Marty zerwał mikrofon i zszedł z planu.

Kiedy nadawaliśmy na żywo, nigdy nie bał się telepromptera. Jeśli popełnił błąd, jeśli źle przeczytał pojawiające się na ekranie słowa, szczyrzył po prostu zęby i zasuwał dalej. Bo wiedział że musi.

Nagrywanie jest inne. Tutaj zawsze wiesz, że możesz się zatrzymać i zacząć od nowa. To powinno oczywiście ułatwić pracę. Ale może cię również sparaliżować. Może przyczynić się do trudności z oddychaniem. Może sprawić, że oblejesz się potem. A kiedy kamera odkryje, że się spociłeś, jest już po tobie.

Dopałem go w bufecie, kiedy otwierał piwo. To zmartwiło mnie jeszcze bardziej aniżeli awantury na planie. Marty był krzykaczem, ale nie pijakiem. Wiedziałem, że po kilku piwach będzie do tego stopnia zrelaksowany, że nie zdoła ruszyć ręką ani nogą.

— Nagrywany program ma inny rytm — powiedziałem. — Kiedy rzecz idzie na żywo, poziom energii jest tak wysoki, że od początku do końca lecisz na haju. Kiedy cię nagrywają, musisz bardziej kontrolować adrenalinę. Ale ty potrafisz to zrobić.

— Co ty możesz, kurwa, o tym wiedzieć? — zapytał mnie. — Ile programów prezentowałeś?

— Wiem, że nie ułatwisz sytuacji, wydzierając się na dziewczynę od telepromptera.

— Za szybko puszczała tekst!

— Owszem, żeby za tobą nadążyć — odparłem. — Jeśli zwolnisz, ona też to zrobi. To jest ta sama dziewczyna, która pracuje z nami od lat, Marty.

— Nie próbowałeś nawet powalczyć o to, żeby program dalej szedł na żywo — poskarżył się.

— Po tym, jak rąbnąłeś dzbankiem Tarzana, to było nieuniknione. Stacja nie może ryzykować, że to się powtórzy. Robimy więc na żywo na taśmie.

— Na żywo na pierdolonej taśmie. To mówi wszystko. Po czyjej jesteś stronie, Harry?

Miałem zamiar mu odpowiedzieć, kiedy do bufetu zajrzała Siobhan.

— Udało mi się znaleźć inną dziewczynę do telepromptera — oznajmiła. — Czy możemy spróbować ponownie?

* * *

— Oglądamy telewizję — poinformował mnie Pat, kiedy przyjechałem znów do Glenna.

Wziąłem go na ręce i pocałowałem. Pat objął mnie rękoma i nogami niczym mała małpka i wniósłem go do mieszkania.

— Oglądasz telewizję z mamą?

— Nie.

— Z dziadkiem Glennem?

— Nie. Z Sally i ze Steve'em.

Na sofie w małym saloniku leżeli spleceni w miłosnym uścisku kilkunastoletni chłopak i dziewczyna. Ubrani byli w stroje, które nie wyglądają najlepiej bez snowboardu.

Dziewczyna — chuda, ospała i apatyczna — spojrzała na mnie, kiedy wszedłem do pokoju. Chłopak — niski, gruby i pryszczaty — stuknął się pilotem w zęby dolnej szczęki, nie odrywając oczu od śpiewającego bez koszuli faceta, który wyglądał, jakby mógł bardzo pomóc policji w prowadzonym przez nią śledztwie. Glenn na pewno wiedział, jak się nazywa Glenn na pewno miał wszystkie jego płyty. Zastanawiałem się czy to muzyka zeszła na psy, czy to ja robię się coraz starszy Czy może jedno i drugie.

— Cześć — powiedziała dziewczyna.

— Cześć. Jestem Harry, ojciec Pata. Czy Gina jest w domu?

— Nie. Pojechała na lotnisko.

— Na lotnisko?

— Tak. Musiała, wie pan... jak to się mówi? Zdążyć na samolot.

Postawiłem Pata na podłodze. Usiadł pomiędzy swoimi porzucanymi figurkami z Gwiezdných wojen i spoglądał z podziwem na pryszczatego młodziana. Pat naprawdę uwielbia! dużych chłopców. Nawet głupich, brzydkich dużych chłopców.

— Dokąd poleciała?

Dziewczyna — Sally — zmarszczyła brwi, starając się skoncentrować.

— Do Chin. Chyba do Chin.

— Do Chin? Naprawdę? Może do Japonii? To bardzo ważne. Jej twarz rozjaśniła się.

— Tak... może do Japonii.

— Jest wielka różnica między Chinami a Japonią — oświadczyłem.

Chłopak — Steve — po raz pierwszy oderwał wzrok od telewizora.

— Dla mnie nie ma żadnej — powiedział. Dziewczyna roześmiała się. Pat też. Był mały. Nie wiedział, z czego się śmieje. Zdałem sobie sprawę, że ma brudną twarz. Jeśli nie zwróciło mu się uwagi, nie dbał zbytnio o higienę osobistą. Steve uśmiechnął się z zadowoleniem i wlepił z powrotem wzrok w ekran, nadal stukając się pilotem w zęby. Z miłą chęcią wtoczyłbym mu go do gardła.

— Wiesz, jak długo jej nie będzie?

Sally przecząco mruknęła, machinalnie ugniatając mięsistą nogę Steve'a.

— Nie ma Glenna? — zapytałem.

— Nie... tato jest w pracy — odparła.

No tak. Dziewczyna była jednym z porzuconych przez Glenna dzieci — z pierwszego bądź drugiego małżeństwa, które zawarł po rozstaniu się z matką Giny.

— Jesteś tu z wizytą? — zapytałem.

— Nie, zatrzymałam się na dłużej. Miałam przepały z moją mamą. Nie podobał jej się moi znajomi, moje stroje, to, o której wracam do domu i o której nie wracam.

— Naprawdę?

— „Traktujesz to miejsce jak hotel” — zaskrzeczała Sally. — „Jesteś za młoda, żeby palić to świństwo”. Bla bla bla. — Westchnęła ze znużeniem, na które stać tylko kogoś bardzo młodego. — Stara śpiewka. Choć oczywiście w zamierzonych czasach robiła dokładnie to samo. Obłudna stara dziwka.

— Dziwka — powtórzył za nią Steve.

— Dziwka — oznajmił z uśmiechem Pat, trzymając w obu małych piąstkach figurki z Gwiezdných wojen.

Steve i Sally roześmieli się z niego.

Tak to właśnie wygląda, pomyślałem. Po rozwodzie wasze dziecko staje się kimś w rodzaju rozbitka, dryfującego po morzu niedopełnionych obowiązków oraz nadawanej w ciągu dnia telewizji. Witamy w parszywym współczesnym świecie, gdzie rodzic, u którego mieszkasz, jest kimś odległym i godnym pogardy, a rodzic, u którego nie mieszkasz, czuje się w wystarczającym stopniu winny, żeby zapewnić ci azyl, gdy w domu sytuacja staje się nie do zniesienia.

Nie zgodzę się, żeby coś takiego spotkało mojego syna.

Mojego Pata.

— Weź swoją kurtkę i zabawki — powiedziałem mu. Jego brudna twarzączka rozjaśniła się.

— Jedziemy do parku?

— Jedziemy do domu, kochanie — odparłem.

Rozdział 10

Mieliśmy świętować.

Barry Twist wpadł na pomysł nadawania programu z piętnastominutowym opóźnieniem, co oznaczało, że mogliśmy go ponownie realizować na żywo, tyle że z krótkim poślizgiem, który zabezpieczał nas w przypadku, gdyby gospodarz albo któryś z gości dostał małego rozumu.

Stacja była zadowolona, ponieważ mogli teraz zawsze zdążyć wyciąć coś, co naprawdę wystraszyłoby ogłoszeniodawców, a Marty był zadowolony, ponieważ nie paraliżował go już teleprompter.

W związku z tym zabrał mnie na lunch do swojej ulubionej restauracji, urządzonej — zgodnie z najnowszą ascetyczną modą — w piwnicy, gdzie dobrze odżywieni faceci z telewizji pałaszowali autentyczne włoskie wiejskie żarcie, wpisując to w koszty.

Podobnie jak w większości innych lokali, które odwiedzaliśmy, nagie deski i białe ściany pasowały bardziej do siłowni aniżeli do restauracji, być może, żebyśmy odnieśli wrażenie, iż pobyt tam wyjdzie nam na zdrowie. Kiedy przybyliśmy tam kilka minut po drugiej — ja trochę się spóźniłem, ponieważ po wyjeździe Giny nie miał kto odebrać Pata z przedszkola i musiałem go zostawić u moich rodziców — w Knajpie panował tłok. Przy wejściu nie było nikogo.

Po chwili podeszła do nas kelnerka. To najwyraźniej nie był jej dzień. Spocona i podenerwowana, miała czerwoną plamę od wina na białym fartuszk. Bez przerwy poprawiała włosy, które były lśniąco, czarne i przycięte mniej więcej tak, jak wyobrażamy sobie, że czesały się kobiety w powieściach Francisa Scotta Fitzgeralda bądź też dziewczyny w Hongkongu w latach pięćdziesiątych. Na pazia. Tak się nazywa ta fryzura. Kelnerka wysuwała do przodu dolną wargę, dmuchała w górę, i wtedy jej grzywka podfruwiała wyżej.

— Czym mogę służyć? — zapytała.

— Mamy tutaj stolik — powiedział Marty.

— Oczywiście — odparła, biorąc do ręki zeszyt z rezerwacjami. — Nazwisko?

— Marty Mann — rzekł z tym specyficznym naciskiem, który wskazywał, iż oczekuje, że teraz go rozpozna i praktycznie zemdleje z wrażenia. Ale Marty nic dla niej nie znaczył. Była Amerykanką.

— Przykro mi — oświadczyła, zajrzawszy do zeszytu. — Nie widzę pańskiego nazwiska na liście, proszę pana.

A potem się uśmiechnęła. Miała wspaniały uśmiech — szeroki, biały i otwarty. Jeden z tych uśmiechów, od których od razu robi się jaśniej.

— Niech mi pani wierzy — zapewnił Marty. — Mamy stolik.

— Nie tutaj.

Zamknęła zeszyt i chciała odejść.

Marty zatarasował jej drogę. Trochę ją to wkurzyło. Wysunęła do przodu dolną wargę i dmuchnęła sobie we włosy.

— Przepraszam pana — powiedziała.

Była wysoka i chuda, z nogami tancerki i szeroko osadzonymi piwnymi oczyma. Przystojna, ale już nie taka młoda. Może kilka lat starsza ode mnie. Większość kelnerek, pracujących w tej podobnej do siłowni restauracji, to były młode ekstra laski, które najwyraźniej miały nadzieję, że czeka je w życiu coś lepszego. Ona na pewno ich nie przypominała.

Spoglądając na Marty'ego, pomasaowała się po krzyżu, tak jakby od dłuższego czasu jej doskwierał.

— Wie pani, jaką jestem ważną osobą? — zapytał ją Marty.

— Wie pan, jaka jestem zajęta? — odpaliła.

— Może i nie ma nas na liście — oznajmił bardzo powoli, jakby mówił do kogoś, komu właśnie usunięto płat mózgu — ale któryś z moich ludzi zadzwonił do Paula. . . tak się chyba nazywa wasz szef? Zna pani Paula?

— Jasne — odparła beznamiętnym tonem. — Znam Paula.

— Paul powiedział, że możemy przyjść. Że zawsze możemy.

— Naprawdę się cieszę, że pan i Paul tak świetnie się rozumiecie. Ale jeśli nie mam wolnego stolika, to nie mogę pana przy nim posadzić, prawda? Jeszcze raz przepraszam.

Tym razem od nas odeszła.

— To się robi kurewsko głupie — stwierdził Marty.

Na szczęście dostrzegł nas Paul i ruszył przez zatłoczoną restaurację, żeby powitać swego słynnego gościa.

— Miło mi pana widzieć, panie Mann — oświadczył. — Czy są jakieś problemy?

— Najwyraźniej nie ma stolika.

— Och, dla pana zawsze mamy stolik, panie Mann. — Na opalonej twarzy Paula rozkwitł śródziemnomorski uśmiech. Też był wspaniały. Ale kompletnie różnił się od jej uśmiechu. — Tędy, proszę.

Weszliśmy do środka, gdzie powitały nas rozdziawione gęby, pomruki oraz głupie uśmiechy — normalna reakcja, jaką budził w miejscach publicznych Marty. Paul strzelił palcami i z kuchni przyniesiono stół. Szybko pojawił się na nim obrus, sztućce, talerzyki, deska z prostym wiejskim chlebem oraz srebrna czarka z oliwą. Przy naszym boku stanęła kelnerka. Ta sama.

— Ponownie witam — oznajmiła.

— Niech mi pani powie — zagadnął ją Marty — co się stało z tym pozytywnym starym stereotypem amerykańskiej kelnerki? Tej, która obsługuje człowieka z uśmiechem?

— Ma dzisiaj dzień wolny — odparła. — Przyniosę panom kartę.

— Nie potrzebuję karty — stwierdził Marty — ponieważ wiem już, co zamówię.

— Mimo to przyniosę. Dla pańskiego przyjaciela. Mamy dzisiaj kilka interesujących specjalności.

— Czy mamy zacząć tę rozmowę jeszcze raz, kiedy założy pani swój aparat słuchowy? — zapytał Marty. — Niech pani przygląda się moim wargom. Jemy tutaj bez przerwy. Nie potrzebujemy menu.

— Daj jej spokój, Marty — odezwałem się.

— No właśnie — potwierdziła i po raz pierwszy na mnie spojrzała. — Daj mi spokój, Marty.

— Ja zjem takie kręcone spaghetti z czerwoną masą. On to samo — powiedział.

— Kręcone spaghetti. — Zapisała to w swoim małym notesiku. — Czerwona masa. Rozumiem.

— I przynieś nam butelkę szampana — dodał Marty, klepiąc kelnerkę po tylnej części ciała. — Bądź grzeczną dziewczynką.

— Zabieraj swoje spocone łapsko z mojego tyłka, zanim złamię ci rękę — syknęła. — Bądź grzecznym chłopcem.

— Po prostu przynieś nam szampana, dobrze? — odparł Marty, cofając szybko rękę.

Kelnerka odeszła.

— Chryste, powinniśmy zamówić coś na wynos — mruknął. — Albo przyjść trochę wcześniej.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedziałem. — Korki. . .

— Nieważne — machnął ręką.

— Cieszę się, że zgodziłeś się na piętnastominutowy poślizg — oznajmiłem. — Zareczam ci, że nie odbije się to na jakości programu.

— To tylko jedna ze zmian, których dokonujemy — odparł. — Dlatego właśnie chciałem z tobą pogadać.

Dopiero teraz zauważyłem, że Marty jest podenerwowany. Miał zestaw ćwiczeń oddechowych, których celem było zamaskowanie trzęsawki, lecz w tym momencie wyraźnie nie działały. I chyba jednak nie spotkaliśmy się, żeby świętować.

— Chcę również, żeby Siobhan zajęła się w większym stopniu zapraszaniem gości — zakomunikował. — Chcę, żeby co tydzień stała na galerii. I żeby brała na siebie wszystkie kontakty ze stacją.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałem. Kelnerka przyniosła nam szampana i naląła do dwóch kieliszków. Marty pociągnął długi łyk i wbił wzrok w kieliszek. Jego wargi rozchyliły się i wydał z siebie bezgłośnie beknięcie.

— Przepraszam — mruknął.

Nie ruszyłem swojego kieliszka ze stolika.

— Ale wszystkie te rzeczy... należą do obowiązków producenta — stwierdziłem, uśmiechając się z przymusem. — To moja robota.

— Cóż, na tym właśnie polegają zmiany, które pragnę wprowadzić.

— Poczekaj chwilę. Nie dostanę nowego kontraktu? Marty rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: coż mogę na to poradzić? Ten świat jest taki porąbany!

— Posłuchaj, Harry. Nie chciałbyś chyba, żebym przesunął cię na boczny tor, gdzie wykonywałbyś jakąś nic niewartą fuchę, którą potrafisz odwalać z zamkniętymi oczyma. Jak by to wyglądało?

— Marty — powiedziałem. — Marty. Zaczekaj. Po prostu chwilę zaczekaj. Naprawdę potrzebuję tej pracy. Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek. Jest ta historia z Giną... Pat mieszka teraz u mnie... i nie mam pojęcia, jak to się skończy. Wszystko to wiesz. Nie mogę stracić pracy. Nie teraz.

— Przykro mi, Harry. Musimy dokonać kilku zmian.

— Co to ma być? Kara za to, że nie jestem dyspozycyjny przez dwadzieścia cztery godziny na dobę w momencie, gdy wali się w gruzy moje małżeństwo? Przykro mi, że nie byłem w biurze dziś i no, okej? Nie mogę zostawić syna samego. Muszę...

— Nie ma potrzeby, żebyś podnosił głos, Harry. Możemy to załatwić w cywilizowany sposób.

— Daj spokój, Marty. Awantury to twoja pierdolona specjalność. Nie będzie ci chyba przeszkadzać mała scena?

— Przykro mi, Harry. Siobhan wchodzi. Ty odchodzisz. Któregoś dnia jeszcze mi za to podziękujesz. To może być najlepsza rzecz, jaka ci się w życiu przytrafiła. Nie masz do mnie urazy?

Mały gnojek autentycznie podał mi rękę. Zignorowałem ją, wstając tak szybko, jak to możliwe, i uderzając się udami o stół.

Marty potrząsnął głową, dając do zrozumienia, że sprawiłem mu wielki zawód.

Z obolałymi nogami i płonącymi policzkami ruszyłem w stronę wyjścia. Dopiero słysząc, jak Marty wrzeszczy z bólu, obejrzałem się przez ramię.

Dziwnym trafem przyniesiony przez kelnerkę talerz spaghetti wylądował mu cały na kolanach.

— Przykro mi, chłopcze — powiedziała. — Chcesz może, żeby posypać ci to parmezanem?

* * *

Moi rodzice odwieźli Pata. Matka obeszła dom, zapalając wszystkie światła, a ojciec zapytał, jak mi idzie w pracy. Odpowiedziałem, że świetnie.

Zostali z Patem, a ja pojechałem kupić coś w supermarkecie. Chociaż oddalony był tylko o pięć minut jazdy, nie było mnie dość długo, ponieważ obserwowałem ukradkiem wszystkie kobiety, które brałem za samotne matki. Nigdy wcześniej o nich nie myślałem, teraz jednak widziałem w tych kobietach bohaterki. Prawdziwe bohaterki.

Wszystko robiły same. Kupowały żywność, gotowały, bawiły się z dziećmi. Samodzielnie je wychowywały.

A ja nie potrafiłem nawet umyć Patowi włosów.

— Ma brudne włosy — powiedziała mama, kiedy wychodzili. — Trzeba je porządnie umyć.

Sam o tym wiedziałem. Ale Pat nie chciał, żebym mu mył włosy. Poinformował mnie o tym, kiedy mimochodem poruszyłem ten temat po przyjeździe od Glenna. Pat chciał, żeby włosy umyła mu mama. Tak jak to zawsze robiła.

Nie mogliśmy jednak odkładać tego na później. I wkrótce, ubrany tylko w majtki, stał na mokrej podłodze w łazience. Brudne blond włosy opadały mu na oczy, zaczerwienione od łez i szamponu dla dzieci, którego używała Gina.

Najwyraźniej nam nie szło. Robiłem coś nie tak.

Ukląknę przy jego boku. Odwrócił ode mnie wzrok.

— Co się dzieje, Pat? — zapytałem.

— Nic.

Obaj widzieliśmy, że coś jest nie tak.

— Mama na jakiś czas wyjechała. Nie pozwolisz, żeby tato umył ci włosy?

Głupie pytanie. Potrząsnął głową.

— Co zrobiłby w takiej sytuacji rycerz Jedi? — zapytałem go.

Nie odpowiedział. Czasami czteroletnie dzieci nie mają ochoty odpowiadać na zadawane pytania.

— Posłuchaj — powiedziałem, starając się nie podnosić głosu. — Myślisz, że Lukę Skywalker płacze, kiedy myją mu włosy?

— Nie wiem, nie obchodzi mnie to.

Próbowałem umyć mu włosy, podczas gdy on pochylał się nad wanną, ale to też nie zdało egzaminu. Pomogłem mu więc zdjąć majtki i wsadziłem go do

środką. Kiedy sprawdzałem temperaturę wody, wytarł smark, który wypadł mu z nosa.

— To całkiem zabawne, prawda? — zauważyłem. — Powinniśmy robić to częściej.

Spojrzał na mnie spode łba, ale pochylił się i pozwolił, żebym zmoczył mu głowę. A potem poczuł, jak nakładam mu na włosy szampon, i coś w nim pękło. Zerwał się i przełożył nogę przez krawędź wanny w żalostnej próbie ucieczki.

— Pat! — zawołałem. — Usiądź, proszę.

— Chcę, żeby to robiła mama!

— Mamy tu nie ma! Siadaj!

— Gdzie ona jest? Gdzie ona jest?

— Nie wiem!

Próbował na oślep wyleźć z wanny, wyjąc, kiedy mydliny wpadły mu do oczu. Wepchnąłem go z powrotem, przytrzymałem i szybko splukałem szampon, starając się ignorować jego wrzaski.

— Rycerz Jedi nie zachowuje się w ten sposób — stwierdziłem. — Tak zachowuje się mały dzidzius.

— Nie jestem dzidzius! Ty jesteś dzidzius!

Wytarłem go ręcznikiem, złapałem za rękę i zaciągnąłem do jego sypialni. Pat przebierał szybko swoimi małymi nóżkami, żeby za mną nadażyć. Kiedy wkładałem mu piżamę, obaj patrzyliśmy na siebie wilkiem.

— Kto to widział, żeby tak się awanturować — powiedziałem. — Naprawdę mnie rozczarowałeś.

— Chcę do mamy.

— Mamy tutaj nie ma.

— Ale kiedy ją znowu zobaczę? — zapytał nagle żalostnym głosem. — To właśnie chcę wiedzieć.

— Nie wiem — odparłem. — Nie wiem, kochanie.

— Ale co ja takiego zrobiłem? — szepnął i poczułem, jak kraje mi się serce. — Ja przecież tego nie chciałem, wcale nie chciałem.

— Nie zrobiłeś nic złego. Mama bardzo cię kocha. Wkrótce ją zobaczysz, obiecuję — powiedziałem.

A potem wziąłem go w ramiona, czując zapach szamponu, którego nie udało mi się do końca zmyć, i bardzo długo go obejmowałem, zastanawiając się, jak dwoje ułomnych dorosłych zdołało stworzyć tak doskonałą istotę.

Czytałem mu Gdzie czają się dzikie rzeczy, aż zasnął. Kiedy wyszedłem z jego sypialni, na automatycznej sekretarce czekały trzy wiadomości. Wszystkie były od Giny.

Przykro mi, ale musiałam na jakiś czas wyjechać. Nigdy nie dowiesz się, jak bardzo mnie skrzywdziłeś. Nigdy. To miało być na całe życie, Harry. Nie do czasu, kiedy komuś z nas się znudzi. Na zawsze — nie do czasu, aż któreś z nas uzna,

że nie spotka go już nic ciekawego w starym małżeńskim łóżu. To nie funkcjonuje w ten sposób. Nigdy nie może tak funkcjonować. Myślisz, że pozwolę ci się dotknąć, wiedząc, że dotykałeś jakiejś innej? Swoimi rękoma, swoimi ustami... Nie mogę tego wszystkiego znieść. Kłamstw, wybiegów, słuchania, jak co noc ktoś płacze, nie mogąc zasnąć. Miałam tego po dziurki w nosie, kiedy dorastałam. Jeśli myślisz...

Automatyczna sekretarka przerwała jej. To urządzenie pozwala człowiekowi mówić tylko przez jakiś czas. Po sygnale zacząłem odsłuchiwać drugą wiadomość. Gina była teraz spokojniejsza. W każdym razie starała się być.

Właśnie rozmawiałam z Glennem. Powiedział mi, że zabrałeś Pata. To naprawdę nie było konieczne. Było mu tam bardzo dobrze. I wiem, jaki jesteś zawalony pracą. Ale jeśli masz zamiar się nim opiekować do mojego powrotu, musisz wiedzieć, że w każdą niedzielę myje włosy. I nie dawaj mu sypać cukru do Coco Pops. Umie już samodzielnie korzystać z toalety... chyba o tym wiesz — ale czasami zapomina podnieść deskę. Sprawdzaj, czy myje zęby. Nie pozwól mu bez przerwy oglądać Gwiazdnych wojen. Jeśli nie prześpi się po południu, pamiętaj, żeby nie siedział dłużej niż do...

Kolejny sygnał. Ostatnia wiadomość. Teraz Gina nie była już taka spokojna, słowa więły jej w gardle.

Powiedz po prostu Patowi, że go kocham, dobrze? Powiedz, że bardzo szybko się zobaczymy. Do tego czasu dobrze się nim opiekuj. I zbyt nie nad sobą nie użalaj, Harry. Nie jesteś chodzącym ideałem. Na całym świecie samotne kobiety opiekują się swoimi dziećmi. Miliony kobiet. Naprawdę miliony. W tym, co robisz, nie ma nic wyjątkowego.

Jeszcze długo po zgaszeniu wszystkich świateł stałem w sypialni mojego syna, patrząc, jak śpi. I uświadomiłem sobie, że wszystkich zawiodłem.

Zawiodłem Ginę. Zawiodłem moją matkę i ojca. Zawiodłem nawet Marty'ego. Nie okazałem się dość silny. Nie kochałem ich dość mocno, nie byłem człowiekiem, jakim chcieli, żebym był, ani człowiekiem, jakim sam chciałem być. W różny sposób zdradziłem ich wszystkich.

Nakrywając Pata kocem, który z siebie zrzucił, przyrzekłem sobie jedno i tej obietnicy miałem szczerzy zamiar dotrzymać — nigdy nie zdradzę tego dziecka.

Mimo to słyszałem gdzieś w oddali głos brzmiący tak, jakby ktoś dzwonił na zły numer z drugiego końca świata, głos, który mówił: już to zrobiłeś. Już je zdradziłeś.

Rozdział 11

Dzieci żyją chwilą. Awantury z nimi mają przynajmniej tę jedną zaletę, że nazajutrz o wszystkim zapominają. Tak to przynajmniej wyglądało z Patem, kiedy miał cztery lata.

— Co chcesz na śniadanie? — zapytałem go.

— Zielone spaghetti.

— Chcesz spaghetti? Na śniadanie?

— Zielone spaghetti. Tak, proszę.

— Ale... ja nie wiem, jak się robi zielone spaghetti. Jadłeś je już kiedyś?

Pat pokiwał głową.

— W małym barze po drugiej stronie dużej ulicy — oznajmił. — Z mamą.

Mieszkaliśmy w gorszej części Highbury Corner, bliżej Holloway Road, a nie Upper Street, w miejscu, gdzie zamiast antykwariatów znajdowały się sklepy ze starzyzną, zamiast pubów bary, a zamiast modnych restauracji małe ciche kafejki. Niektóre z tych kafejek były tak ciche, że panowała w nich iście żałobna atmosfera, ale przy końcu naszej ulicy mieliśmy jedną wspaniałą, o nazwie Trevi, gdzie mówiło się po angielsku przy stolikach, a po włosku w kuchni.

Muskularny pogodny facet przy kontuarze pozdrowił Pata po imieniu.

— To jest to miejsce — oznajmił mój syn, siadając przy stoliku koło okna.

Zobaczyłem, jak z kuchni idzie w naszą stronę kelnerka. Ta sama. Nadal była zmęczona.

— Co mogę wam podać, chłopcy? — zapytała, uśmiechając się do Pata. Miała lekko południowy akcent, którego nie zauważyłem, gdy byłem razem z Martym.

— Czy ma pani coś, co można określić mianem zielonego spaghetti?

— Ma pan na myśli spaghetti pesto? Jasne.

— Nie będzie dla ciebie za ostre? — zapytałem Pata.

— Jest zielone?

— Zielone — odparłem, kiwając głową.

— A co dla pana? — zapytała.

— To samo — odpowiedziałem.

— Coś jeszcze?

— Zastanawiałem się, w ilu jeszcze miejscach pani pracuje. Po raz pierwszy dokładnie mi się przyjrzała.

— A, pamiętam pana — stwierdziła. — To pan jest tym facetem, który był wczoraj z Martym Mannem. Tym, który powiedział mu, żeby dał mi spokój.

— Myślałem, że go pani nie poznała.

— Jestem tu prawie od roku. Oczywiście, że poznałam tego małego kutasa. Przepraszam — dodała, zerkając na Pata.

Mały uśmiechnął się do niej.

— Nie oglądam za dużo telewizji... w tym zawodzie nie ma się okazji... ale pokazują ciągle jego szpetną gębę w gazetach. Ostatnio niezbyt dobrze mu się chyba wiedzie. To zabawne, ale byliście moimi ostatnimi klientami. Paulowi nie spodobał się mój styl.

— No cóż... Na pocieszenie powiem pani, że mniej więcej w tym samym czasie ja również straciłem robotę.

— Naprawdę? I nie miał pan nawet okazji zrzucić spaghetti na tę jego skurczoną małą kuś... — spojrzała szybko na Pata — ...głowę. Tak czy owak zasłużył sobie na to.

— Z pewnością. Ale przykro mi, że straciła pani pracę.

— Nic wielkiego. Dziewczyna zawsze znajdzie pracę jako kelnerka, nie?

Podniosła wzrok znad swojego notesiku. Jej oczy były tak szeroko rozstawione, że miałem trudności z patrzeniem w jedno i drugie równocześnie. Były brązowe. Ogromne. Zwróciła je na Pata.

— Jesz lunch z tatą? A gdzie jest dzisiaj twoja mama? Pat rzucił mi niespokojne spojrzenie.

— Jego matka jest w Tokio — powiedziałem.

— To w Japonii — wyjaśnił Pat. — Jeżdżą tam po tej samej stronie ulicy co my. Ale kiedy tam mają noc, u nas jest dzień. — Zdziwiło mnie, że zapamiętał tak dużo z tego, co mówiłem. Wiedział o tym kraju prawie tyle samo co ja.

Kelnerka spojrzała na mnie swymi szeroko rozstawionymi brązowymi oczyma i przeszło mi przez głowę, że w jakiś sposób wyczuwa, że nasza mała rodzina przeżywa poważny kryzys. Co było absurdalne. Niby skąd miałaby o tym wiedzieć?

— Mama niedługo wraca — dodał Pat. Objąłem go ramieniem.

— Zgadza się — powiedziałem. — Ale na razie jesteśmy sami.

— To trochę niezwykle — stwierdziła kelnerka. — Fakt, że opiekuje się pan swoim synem. Niewielu mężczyzn to robi.

Zauważyłem, że teraz, kiedy zdała sobie sprawę, że opiekuje się Patem, trochę bardziej mnie polubiła. Oczywiście jednak nic o mnie nie wiedziała. W ogóle mnie nie znała. I miała na mój temat zupełnie złe wyobrażenie.

Widząc mnie samego z dzieckiem, uznała, że muszę być pod jakimś względem lepszy od innych mężczyzn — bardziej wyrozumiały i współczujący, mniej

skłonny do sprawienia zawodu kobiecie. Że muszę być przedstawicielem nowej ulepszonej płci, biologicznie zaprogramowanym do opieki nad dziećmi. Tak jakbym rozmyślnie pokierował swoim życiem w ten sposób.

— A pani? — zapytałem. — Co panią sprowadziło do Londynu... i skąd pani przyjechała?

— Z Houston — odparła. — Z Houston w Teksasie. A tym, co mnie tutaj sprowadziło, był mój partner. Były partner. Tutaj mieszka.

— Przyjechała pani za facetem szmat drogi.

Zrobiła zdziwioną minę.

— Tak pan uważa? Mnie zawsze się wydawało, że jeśli człowiek kogoś naprawdę kocha, pojedzie za nim wszędzie.

A więc była romantyczką.

Pod zewnętrzną twardością („Dotknij mnie jeszcze raz, dupku, a ockniesz się ze spaghetti na kolanach”) kryła się kobieta, która chętnie wyrzuciłaby swoje życie do góry nogami dla kogoś, kto prawie na pewno na to nie zasługiwał.

Moja żona miała chyba rację. Romantycy są najgorsi.

* * *

Nazajutrz wieczorem przyjechała do domu Gina.

Ja i Pat bawiliśmy się na podłodze jego zabawkami. Żaden z nas nie zareagował na warkot silnika czarnej taksówki, która zatrzymała się na zewnątrz. Ale spojrzeliśmy na siebie, słysząc chrobot naszej zardzewiałej małej furgonki, potem obracający się we frontowych drzwiach klucz i na koniec kroki w przedpokoju. Pat obrócił się twarzą do drzwi.

— Mama?

— Pat?

I nagle pojawiła się w progu, uśmiechając się do naszego synka, znużona po dwunastogodzinnym locie z Narity, ze starą walizką, do której nadal przylepiona była sfatygowana nalepka z naszych dawnych wakacji na Antigui.

Mały pofrunął w jej ramiona, a ona objęła go tak mocno, że zniknął cały między fałdami jej letniego płaszcza — cały, nie licząc czubka głowy i włosów, które miały ten sam blond odcień co jego matki. Ich twarze znalazły się tak blisko siebie, że nie widać było, gdzie zaczyna się twarz Giny, a gdzie kończy Pata.

Obserwowałem ich, czując coś więcej niż szczęście. W środku jakby tajałem, wierzyłem, że mój świat zostanie odbudowany. A potem spojrzała na mnie — bez chłodu i bez złości, po prostu z wielkiej odległości, tak jakby nadal przebywała i zawsze już miała przebywać gdzieś indziej — i upadłem na duchu.

Nie wróciła do mnie.

Wróciła do Pata.

— Dobrze się czujesz? — zapytałem.

— Jestem trochę zmęczona — odparła. — To był długi rejs. I przylatuje się tego samego dnia, co się wyleciało, w związku z czym doba wydaje się nie mieć końca.

— Powinnaś była uprzedzić nas, że przylatujesz. Pojechalibyśmy po ciebie na lotnisko.

— Nieważne — stwierdziła, odsuwając Pata od siebie, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

Widziałem, że wróciła, bo była przekonana, że sobie nie poradzę. Uważała, że nie potrafię zaopiekować się sam naszym dzieckiem. Uważała, że nie jestem prawdziwym rodzicem, takim jak ona.

Wciąż trzymając małego, przyjrzała się krytycznym okiem spustoszeniom w salonie. Spustoszeniom, które stanowiły dowód, że nawet jej parszywy ojciec jest lepszym wyjściem ode mnie.

Wszędzie walały się zabawki. Na wideo siedł nieoglądany przez nikogo Król Lew. Na podłodze leżały dwa pudełka po pizzy z Mister Milano, jedno duże, drugie małe. A na stoliki od kawy, porzucone niczym poplamiona serwetka, wczorajsze majtki Pata.

— Boże, ale ty masz brudne włosy — zauważyła pogodnym tonem. — Umyjemy je tak jak za dawnych czasów?

— Dobrze — zawołał Pat, jakby zapraszała go do Disneylandu.

Poszli oboje do łazienki, a ja zabrałem się do sprzątanego słuchając szumu płynącej wody i ich śmiechu.

— Zaproponowano mi pracę — poinformowała mnie w parku. — To poważna posada. Będę tłumaczką w amerykańskim banku. Głównie tłumaczenia na żywo. Mój pisemny japoński jest zbyt zardzewiały, żeby próbować tłumaczyć dokumenty. Ale mówię wystarczająco dobrze, żeby być tłumaczką podczas spotkań i rozmów z klientami. Dziewczyna, która się tym zajmowała. . . spotkałam ją, jest naprawdę miła, to pół Japonka, pół Amerykanka. . . odchodzi, żeby urodzić dziecko. Praca jest moja, jeśli tylko się zdecyduję. Ale muszę dać im odpowiedź już teraz.

— Poczekaj chwilę — przerwałem jej. — Ta praca jest w Tokio?

Gina oderwała wzrok od Pata, który przymierzał się ostrożnie do niższych szczebli drabinki.

— Oczywiście, że w Tokio — odparła ostro. Jej oczy powędrowały z powrotem do naszego syna. — Co twoim zdaniem tam robiłam?

Szczerze mówiąc, myślałem, że zrobiła sobie wakacje. Spotkała się z paroma starymi Japończykami oraz współziomkami, których poznała w czasie poprzedniego rocznego pobytu, przejechała się superekspresem, zwiedziła parę świątyń w Kioto, chcąc po prostu na chwilę wszystko to od siebie odsunąć.

Zapomniałem, że chciała odzyskać swoje życie.

To właśnie robiła po przeniesieniu się do mieszkania swojego ojca — wykonała kilka międzynarodowych telefonów, odnowiła stare kontakty, sprawdziła, czy może jeszcze skorzystać z opcji, które dla mnie poświęciła.

Znałem ją wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że w kwestii tej posady jest śmiertelnie poważna. A jednak wciąż nie mogłem w to uwierzyć.

— Naprawdę chcesz podjąć pracę w Japonii, Gino?

— Powinam to zrobić przed wielu laty.

— Na jak długo? Na zawsze?

— Kontrakt jest na rok. Potem zobaczymy.

— A co będzie z Patem?

— Pat jedzie ze mną. To chyba oczywiste.

— Pat jedzie z tobą? Do Tokio?

— Naturalnie. Przecież go tutaj nie zostawię.

— Ale nie możesz pozbawić go korzeni — stwierdziłem, starając się, by nie usłyszała nuty hysterii w moim głosie. — Gdzie będziesz mieszkać?

— Bank załatwi te rzeczy.

— Co on będzie jadł?

— Te same rzeczy, które je tutaj. Nikt nie każe mu jeść zupy miso na śniadanie. W Japonii można dostać Coco Pops. Nie musisz się o nas martwić, Harry.

— Martwię się. To poważna sprawa, Gino. Kto się nim zajmie, kiedy będziesz w pracy? Co z jego rzeczami?

— Jakimi rzeczami?

— Z rowerem, zabawkami, filmami wideo. Z tym wszystkim.

— Nadamy frachtem. Myślisz, że trudno jest zapakować w skrzynie dobytek czterolatka?

— Co z jego dziadkami? Ich też chcesz zapakować w skrzynie i nadać frachtem? Co z jego kolegami z przedszkola? Co ze mną?

— Nie mieści ci się w głowie myśl, że mogę bez ciebie żyć, tak? Naprawdę nie możesz znieść tej myśli.

— Nie o to chodzi. Jeśli tego rzeczywiście chcesz, mam nadzieję, że ułożysz sobie jakoś życie na nowo. Wiem, że potrafisz. Ale miejsce Pata jest tutaj.

— Miejsce Pata jest ze mną — oznajmiła i w jej głosie zabrzmiała stal.

Mimo to widziałem, że zaczynam trafiać jej do przekonania.

— Zostaw go u mnie — powiedziałem. A właściwie pokornie poprosiłem. — Tylko do czasu, kiedy się urządzisz. Kilka tygodni, dwa miesiące, ile będzie trzeba. Do momentu, kiedy poznasz lepiej nową pracę i znajdziesz jakieś lokum. Na ten okres pozwól mu zostać ze mną.

Obserwowała mnie uważnie, tak jakbym mówił do rzeczy, lecz mimo to nie wolno było mi ufać.

— Nie próbuję ci go odebrać, Gino. Wiem, że nigdy by mi się to nie udało. Ale nie mogę znieść myśli, że będzie się nim opiekować ktoś obcy w jakimś małym

mieszkanek, podczas gdy ty będziesz ślezczyć w biurze, zapoznając się z nowymi obowiązkami. Wiem, że ty też tego nie możesz znieść.

Gina obserwowała naszego syna, który powoli wspinał się po drabince. W pewnym momencie obejrzał się ostrożnie i uśmiechnął do nas obojga.

— Muszę skorzystać z tej okazji — powiedziała. — Muszę się przekonać, czy potrafię. Teraz albo nigdy.

— Rozumiem.

— Będę do niego oczywiście codziennie dzwoniła. I sprowadzę go do siebie najszybciej, jak tylko zdołam. Może ty mógłbyś go przywieźć.

— To brzmi zachęcająco.

— Kocham Pata. Kocham mojego syna.

— Wiem o tym.

— Naprawdę wydaje ci się, że potrafisz się nim przez jakiś czas zaopiekować?

— Dam sobie radę. — Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. — Tylko do czasu, aż staniesz na nogi.

* * *

Zabraliśmy Pata do domu i położyliśmy go do łóżka. Szczęśliwy i zmęczony, wkrótce zasnął, śniąc sny, których nie miał pamiętać nazajutrz.

Gina przygryzła dolną wargę.

— Nie martw się — powiedziałem. — Dobrze się nim zaopiekuję.

— Tylko do czasu, aż się urządzę.

— Tylko do czasu, aż się urządzisz.

— Wrócę po niego — powiedziała, bardziej do siebie niż do mnie.

I w końcu rzeczywiście po niego wróciła. Ale wtedy sytuacja była już trochę inna.

Kiedy wróciła po Pata, na stoliku nie leżały już jego majtki, a na podłodze pudełka po pizzy z Mister Milano. Kiedy wróciła po naszego synka, ja też stałem się kimś w rodzaju prawdziwego rodzica.

I tutaj popełniła błąd. Myślała, że ona może się zmienić, lecz ja zawsze pozostanę taki sam.

* * *

Moi rodzice usiłowali zaradzić sytuacji, próbując zmienić życie Pata w jedno wielkie święto.

Z dnia na dzień obalona została niepodlegająca negocjacom zasada „jedna cola dziennie”. Kiedy Pat i ja pojawiliśmy się w ich domu, czekały na niego prezenty, wśród nich specjalna wersja Powrotu Jedi („Nowe sceny, nowa ścieżka

dźwiękowa, nowe efekty specjalne”). Chcieli, żeby coraz częściej u nich zostawał, bez wątpienia w nadziei, iż zastąpią moją ponurą fizjonomię i długie okresy milczenia swoim śmiechem prosto z taśmy, śmiechem tak sztucznym, że chciało mi się od niego płakać.

Chcieli także, żeby jedno z nich towarzyszyło nam zawsze do bramy przedszkola. Musieli w tym celu pokonać długą drogę — dojazd do nas zajmował co najmniej godzinę autostradą M 25 w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara — lecz mieli zamiar robić to dzień w dzień.

— Mały zasługuje na specjalne względy — oznajmił mój ojciec, wsuwając z jękiem swoje stare nogi do mojego samochodu z niskim zawieszeniem.

Wiedziałem, dlaczego to robili, i kochałem ich za to. Starali się powstrzymać swojego wnuka od płaczu. Ponieważ bali się, że kiedy już raz zaczniesz szlochać, nigdy nie zdoła się opanować.

Ale po wyjeździe matki życie Pata nie było świętem. I żadna ilość gadżetów z Gwiazdnych wojen oraz dobrych chęci nie mogła zmienić go w święto.

— Co będziesz dzisiaj robił? — zapytał ojciec, kiedy mały usadowił się na jego kolanach w MGF. — Będziesz lepił robaki z plasteliny? Dowiesz się, co się przydarzyło listonoszowi Patowi i jego czarno-białemu kotu? To będzie fajne!

Pat nie odpowiedział. Wpatrywał się z pobladłą twarzą w poranne korki na drodze i żadne wesołe pogwarki mojego starego nie mogły wyrwać go z apatii. Ocknął się dopiero, kiedy stanęliśmy przy bramie przedszkola Canonbury Cubs.

— Nie chcę iść — mruknął. — Chcę zostać w domu.

— Ale nie możesz zostać w domu, dziecko — powiedziałem.

Miałem ochotę użyć nieśmiertelnego rodzicielskiego argumentu i oświadczyć, że tatuś musi iść do pracy. Ale oczywiście tatuś nie miał już żadnej pracy. Tatuś mógł wylegiwać się w łóżku przez cały dzień i nie groziło mu, że spóźni się do biura.

Jedna z przedszkolanki wyszła po Pata i biorąc go za rękę, posłała mi znaczące spojrzenie. Nie po raz pierwszy mały nie chciał się ze mną rozstać. W pierwszym tygodniu po wyjeździe Giny bał się spuścić mnie choć na chwilę z oczu.

Na odchodnym ojciec obiecał mu niewyobrażalne gry i zabawy pod koniec dnia, a potem patrzyliśmy, jak trzymany za rękę przez przedszkolankę Pat oddała się z oczyma mokrymi od łez i dolną wargą, która zaczynała już drżeć.

Wiedziałem, że prawdopodobnie nie rozplacze się przed wejściem do swojej małej sali. Może nawet zdążą rozebrać go z kurtki. Ale kiedy rozdana zostanie plastelina, straci wreszcie nad sobą panowanie i niepocieszony wybuchnie spazmatycznym szlochem, podczas gdy inne dzieci będą się na niego gapić albo beznamytnie zajmą tym, czym zajmują się czterolatki. My nie musieliśmy na to patrzeć.

— Pamiętam, że jak byłeś w jego wieku — powiedział ojciec, kiedy wracaliśmy do samochodu — zabrałem cię do parku w tygodniu między Bożym Na-

rodzeniem a Nowym Rokiem. Był cholerny mróz. Wziąłeś ze sobą swoje małe saneczki. Musiałem cię na nich ciągnąć przez całą drogę z domu. A w parku patrzyliśmy, jak kaczki lądują na zamrzniętym stawie. Podfrwały nisko i bum! Ślizgały się na kuprach po lodzie. Zaśmiewałeś się do łez. Śmiałeś się i śmiałeś. Oglądaliśmy je chyba przez parę godzin. Pamiętasz to?

— Tato?

— Co?

— Nie wiem, czy dam sobie radę, tato.

— Radę z czym?

— Nie wiem, czy potrafię sam opiekować się Patem. Nie wiem, czy jestem do tego zdolny. Powiedziałem Ginie, że potrafię. Ale teraz nie jestem tego taki pewien.

Odwrócił się do mnie z płonącymi z gniewu oczyma i przez chwilę myślałem, że mnie uderzy. Nigdy w życiu nie tknął mnie palcem. Ale kiedyś zawsze jest ten pierwszy raz.

— Nie wiesz, czy dasz sobie radę? — powtórzył. — Nie wiesz, czy dasz sobie radę? Musisz dać sobie radę.

Łatwo mu było mówić. Może i miał zmarnowaną młodość, ponieważ niemiecka armia uwzięła się, by go zabić, lecz przynajmniej w jego czasach rola ojca była niewzruszona. Mój tato był wspaniałym ojcem, ale — i na tym polega cały dowcip — nie musiał nawet przy mnie być, żeby odegrać tę rolę. Wystarczyło powiedzieć: „Poczekaj tylko, aż wróci do domu ojciec”, i zachowywałem się jak trzeba. Matka przypominała mi o jego istnieniu i od razu rozumiałem, że muszę być grzeczny. „Poczekaj tylko, aż wróci do domu ojciec”, mówiła. Sama wzmianka o ojcu wystarczała, że wszechświat wracał na swoje miejsce.

Dzisiaj nie słyszy się tak często tej groźby. Ile kobiet mówi obecnie dziecku: „Poczekaj tylko, aż wróci do domu ojciec”? Niewiele. Ponieważ w dzisiejszych czasach niektórzy ojcowie w ogóle nie wracają do domu. A inni siedzą w nim bez przerwy.

Ale wiedziałem, że ma rację. Być może nie poradzę sobie tak dobrze jak on — nie wyobrażałem sobie, żeby Pat patrzył na mnie w podobny sposób, w jaki ja patrzyłem na mojego starego — jednak musiałem poradzić sobie, jak potrafiłem najlepiej.

I pamiętałem kaczki, które próbowały wylądować na zamrzniętym stawie. Oczywiście, że je pamiętałem. Dobrze pamiętałem.

* * *

Jeśli pominąć niskie zarobki, późne godziny pracy oraz brak typowych uprawnień pracowniczych w rodzaju ubezpieczenia zdrowotnego, prawdopodobnie najgorszą rzeczą w zawodzie kelnerki jest to, że ma często do czynienia z ćwokami.

Kontakt z ćwokami stanowi nieodłączną część tej roboty podobnie jak skąpy fartuszek i notes do zapisywania zamówień. Mężczyźni, którzy chcą z nią pogadać, mężczyźni, którzy pytają o jej numer telefonu, mężczyźni, którzy nie chcą po prostu zostawić jej w spokoju. W większości ćwoki.

Ćwoki z placów budowy, ćwoki z biur, ćwoki w garniturach biznesmenów, ćwoki z wystającą z tyłu dzinsów szparą między pośladkami, ćwoki wszelkiej maści — tacy, którzy sądzą, że są zabawni, tacy, którzy uważają się za dar losu, oraz tacy, którzy myślą, że mają u niej szansę tylko dlatego, że przyniosła im zupełnie dnia.

Kiedy zająłem swoje miejsce z tyłu kafejki, obsługiwała właśnie kilku ćwoków. Jeden z nich — raczej ćwok biznesmen aniżeli ćwok z placu budowy — wlepił w nią gały, podczas gdy jego ćwokowaci koledzy — wszyscy w garniturach w prążki, z komórkami i żelem na włosach — podziwiali, szczerząc zęby, jego tupet.

— Jak pani ma na imię?

— Dlaczego chce pan znać moje imię? — odparła, potrząsając głową.

— Jest na pewno typowo południowe, prawda? Peggy-Sue? Becky-Lou?

— Na pewno nie.

— Billie-Joe? Mary-Beth?

— Zamawia pan czy nie?

— O której kończy pani zmianę?

— Umawiał się pan kiedyś z kelnerką?

— Nie.

— Kelnerki kończą późno.

— Lubi pani swoją robotę? Lubi pani piastować samodzielne stanowisko średniego szczebla w branży cateringowej?

Ta odżywka bardzo spodobała się wszystkim ćwokom, którzy sądzą, że nie-samowicie wszystkim imponują, gadając o niczym przez komórki w środku zatłoczonej restauracji.

— Niech pan ze mnie nie kpi.

— Wcale z pani nie kpię.

— Długie godziny pracy i parszywe zarobki. Tak wygląda praca kelnerki. No i mnóstwo palantów. Ale dosyć już o panu — dodała, rzucając na stół kartę dań. — Niech pan się nad tym chwilę zastanowi.

Ćwokowaty biznesmen oblał się pąsem i uśmiechnął, robiąc dobrą minę do złej gry. Jego ćwokowaci koledzy roześmieli się, ale nie byli już tak zadowoleni z siebie jak przedtem.

Kelnerka podeszła do mnie. A ja nadal nie wiedziałem, jak się nazywa.

— Gdzie pański chłopak?

— Jest w przedszkolu. Harry Silver — przedstawiłem się, wyciągając rękę.

Przyglądała mi się przez chwilę, a potem uśmiechnęła się. Nigdy jeszcze nie widziałem takiego uśmiechu. Jej twarz rozjaśniła całą kafejkę. Była po prostu promienna.

— Cyd Mason — powiedziała, podając mi rękę.

Miała bardzo miękki uścisk. Tylko mężczyźni, ściskając dłoń, próbują połączyć ci palce. Tylko ćwoki.

— Miło cię poznać, Harry.

— Jak Sid Vicious?

— Jak Cyd Charisse. Pewnie nigdy nie słyszałeś o Cyd Charisse?

— Tańczyła razem z Fredem Astaire'em w Paryżu w Jedwabnych pończochach. Miała włosy uczesane dokładnie tak jak ty. Jak się nazywa ta fryzura?

— Na chińskiego pazia.

— Na chińskiego pazia? No tak, Cyd Charisse. Znam ją. Była chyba najpiękniejszą kobietą na świecie.

— Zgadza się, to ta Cyd. — Widziałem, że moja wiedza filmowa wywarła na niej wrażenie. — Moja matka uwielbiała te wszystkie stare filmy z MGM — dodała.

Wyobraziłem sobie przez chwilę, jak w wieku dziesięciu lat siedzi przed telewizorem w jakimś małym mieszkanku. Klimatyzacja zasuwa na pełny regulator, a jej matka popyka łyzy, podczas gdy Fred wiruje wraz z Cyd wzdłuż lewego brzegu Sekwany. Nic dziwnego, że miała takie skrzywione poglądy na wielką miłość. Nic dziwnego, że przyjechała w ślad za jakimś ćwokiem do Londynu.

— Chcesz się dowiedzieć, co dzisiaj polecamy? — zapytała.

Była naprawdę miła i miałem ochotę pogadać z nią o Houston, o musicalach MGM i o tym, co się wydarzyło między nią a facetem, z którym przyjechała do Londynu. Zamiast tego jednak wlepiłem oczy w kartę i nie odezwałem się ani słowem.

Nie chciałem, żeby któreś z nas pomyślało, że jestem po prostu kolejnym ćwokiem.

* * *

Gina odeszła, ale wszędzie czułem jej obecność. W domu pełno było płyt CD, których — wiedziałem o tym — nigdy nie będę słuchał (sentymentalna soulowa muzyka o utraconej i odnalezionej miłości), książek, których nigdy nie przeczytam (o kobietach starających się odnaleźć w świecie zaludnionym przez podłych mężczyzn), oraz ubrań, których nigdy nie włożę (przyciasna bielizna z kolekcji Marksa i Spencera).

No i Japonia. Mnóstwo książek o Japonii. Wszystkie klasyczne dzieła, które podsuwała mi do lektury — Czarny deszcz, Różowy samuraj, Bosonoga Gen,

Wspomnienia z jedwabiu i słomy — oraz sfatygowany stary egzemplarz Krainy śniegu, jedynej książki, którą w końcu przeczytałem, miłosnej historii, którą jej zdaniem musiałem przeczytać, jeśli chciałem w ogóle cokolwiek zrozumieć.

Wszystkie te rzeczy należały do Giny i ścisnęło mi się serce za każdym razem, kiedy mój wzrok padał na jedną z nich. Musiały zniknąć.

Myśl, żeby to wszystko wyrzucić, budziła we mnie pewne opory, ale z drugiej strony ktoś, kto cię opuszcza, naprawdę powinien zabrać swoje rzeczy. Ponieważ za każdym razem, kiedy widziałem jedną z płyt Luthera Vandrossa, powieści Margaret Atwood albo książek o Hiroszimie, żal chwycił mnie za gardło. I w końcu nie mogłem tego dłużej znieść.

Oto cała Gina, myślałem — marząca o nieśmiertelnej miłości i wywalczonej z trudem niezależności, Gina, która z łatwością godziła stalowe postfeministyczne poglądy Naomi Wolf ze słodkimi głupstwami Whitney Houston. Taka właśnie była.

Zabrałem się więc do roboty, ładując wszystko, co zostawiła, do dużych plastikowych worków. Pierwszy wypełnił się bardzo szybko — czy kobieta nigdy niczego nie wyrzuca? — wróciłem więc do kuchni po całą rolkę.

Kiedy usunąłem wszystkie książki Giny, półka wyglądała niczym usta z powybijanymi zębami.

Wyrzucenie jej ubrań było łatwiejsze, ponieważ nie musiałem dokonywać selekcji. Wkrótce w jej części szafy zostały tylko kulki na mole i druciane wieszaki. Od razu poczułem się lepiej.

Spocony przebiegałem dom, usuwając wszelkie ślady jej obecności. Japońskie sztychy z okresu, kiedy mieszkała sama. Obraz, który kupiła na wakacjach w Antigui, kiedy Pat był malutki. Leżącą na skraju wanny różową golarkę. Dwa filmy z Gong Li. Zdjęcie z naszego ślubu, na którym wydawała się najpiękniejszą dziewczyną na świecie, a ja szczerzyłem zęby niczym zadowolony z siebie, dumny sukinsyn, który nie do końca wierzy we własne szczęście.

Wszystko to miało teraz wylądować w śmietniku.

Na koniec zajrzałem do kosza z brudną bielizną. Pośród należących do Pata piżam z Gwiezdných wojen oraz moich spłowiałych kalessonków Calvina Kleina leżał stary podkoszulek, w którym Gina lubiła sypiać. Usiadłem na chwilę na schodach, trzymając go w rękach i zastanawiając się, w czym śpi dzisiaj. A potem wrzuciłem podkoszulek do ostatniego worka.

To zdumiewające, jak szybko można usunąć z domu ślady czyjejś obecności. Tak długo trwa, zanim odcisnie się gdzieś swój ślad, tak mało czasu trzeba, by go wymazać.

Następne kilka godzin spędziłem, wyjmując wszystko z worków na śmieci i umieszczając starannie ubrania, płyty, książki, sztychy oraz inne rzeczy dokładnie tam, skąd je wziąłem.

Ponieważ tęskniłem za nią. Tęskniłem jak szalony.

I chciałem, żeby jej rzeczy były tam, gdzie je zostawiła. Żeby czekały na nią w przypadku, gdyby kiedykolwiek zechciała wrócić do domu.

Rozdział 12

Mały atak paniki w supermarkecie.

Nic poważnego, nic poważnego. Po prostu zdałem sobie nagle sprawę z niestosowności swojego zachowania, zachowania faceta, którego podstawowa komórka społeczna legła w gruzach i który mimo to ośmielał się robić zakupy u wodopoju szczęśliwej rodziny. Czuję się jak szalbierz.

Fakt, że otaczała mnie cała ta groteskowa menażeria — kobiety z tatuażami, mężczyźni z kolczykami w uszach, małe dzieci ubrane jak dorośli, dorośli ubrani jak dzieci — powinien poprawić mi humor, ale tak się nie działo.

Trząśłem się i pocilem przy kasie, pragnąc mieć to już za sobą, pragnąc się stamtąd czym prędzej wynieść. Brakowało mi powietrza i kiedy pozostająca w stanie półkatatonii nastolatka wręczyła mi resztę, miałem ochotę wrzasnąć, rozplakać się albo zrobić jedno i drugie.

Wypadłem z supermarketu na świeże powietrze i w tym samym momencie w torbie, w której miałem obiad dla Pata, kota oraz dla siebie, urwał się uchwyt i całe zakupy wysypały się na ziemię.

Torby Giny nigdy się nie dały. Przez siedem lat robiliśmy nasze cotygodniowe zakupy w każdą sobotę i nigdy nie widziałem, żeby z załadowanej przez nią torby cokolwiek wypadło.

Ale może Gina nie kupowała tylu gotowych posiłków do podgrzania w mikrofalówce. Ważyły chyba tonę.

Puszki z żarciem dla kotów i jednodominutowe dania potoczyły się pod koła wózków, pod stopy faceta, który sprzedawał „Big Issue”, oraz w stronę jezdnii. Łącząc na czworakach, podniosłem pudełko, które obiecywało mi „Smak Toskanii”, i w tym samym momencie zostałem dostrzeżony.

— Harry?

To był Marty. Towarzyszyła mu dziewczyna. Siobhan.

Marty i Siobhan. Trzymali się za ręce!

Szok, którego doznałem na ich widok, usunął całe zakłopotanie wywołane drobną katastrofą z zakupami. Ale tylko na krótki moment. Zaraz potem poczułem, jak płonie mi twarz.

Minęło już trochę czasu, odkąd ich ostatnio widziałem, ale nie aż tak wiele. Byłem bez pracy od przeszło miesiąca. Mój umysł producenta nie rozpatrywał jednak rzeczywistości w kategoriach tygodni i miesięcy. Pięć programów, pomyślałem. Zrobili beze mnie pięć programów.

Wyglądali dobrze. Nawet Marty, ten mały brzydki glut. Oboje byli w ciemnych okularach i białych spodniach. Z torby Siobhan wystawała bagietka oraz butelka czegoś wytrawnego, białego i drogiego. Mógł tam się też znajdować plaster pate. I można było mieć pewność, że jej torba się nie rozerwie. Pewni siebie profesjonalści, którzy wyskoczyli na drobne zakupy ze swojej wspaniałej, porywającej pracy, nie wyglądali na ludzi, którzy musieliby się troszczyć o uzupełnienie zapasów kociego żarcia.

— Daj, pomogę ci — powiedziała Siobhan, pochylając się, żeby podnieść puszkę wołowego Whiskas, która toczyła się w stronę rynsztoka.

Marty miał przynajmniej dość przyzwoitości, żeby czuć się trochę nieswojo, lecz Siobhan najwyraźniej ucieszyła się na mój widok, nawet jeśli dziwiło ją, że zbieram z ziemi puszkę z karmą dla kota, rolki papieru toaletowego oraz foremki do mikrofalówki, zamiast prowadzić wykłady w akademii sztuki filmowej i telewizyjnej.

— Co ostatnio porabiasz? — zapytała.

— Och... wiesz — odparłem.

Odwożę Pata do przedszkola i przemierzam w tę i z powrotem mój pokój — „niczym tygrys w klatce”, jak mówiła mama — zamartwiając się, co robi, zamartwiając się, czy znowu nie płacze. I czekając na telefon od Giny, która dzwoniła zawsze punktualnie o czwartej po południu — po drugiej stronie świata była wtedy północ — choć podnosząc słuchawkę, oddawałem ją od razu Patowi, wiedziałem bowiem, że telefonuje tylko do niego.

Co jeszcze? Gadam do siebie. Za dużo piję, za mało jem, zastanawiam się, jak to się stało, że spieprzyłem swoje życie. To właśnie ostatnio porabiam.

— Wciąż rozważam stojące przede mną opcje — powiedziałem. — Jak idzie program?

— Lepiej niż kiedykolwiek — oświadczył trochę wojowniczo Marty.

— Dobrze — stwierdziła Siobhan, zadowolona, lecz neutralna, tak jakby nie sądziła, by losy starego programu naprawdę interesowały takiego ostrego zawodnika jak ja. — Oglądalność powoli rośnie.

Chciało mi się rzygać.

— To wspaniale — oznajmiłem.

— No cóż... na nas już chyba czas — powiedział Marty. Nie chodziło tylko o mnie. Kilka osób robiących zakupy zaczęło się uśmiechać i pokazywać go palcami. Czy to naprawdę on?

— Tak, na mnie też — stwierdziłem. — Muszę lecieć. Mam sprawy do załatwienia.

Siobhan złapała mnie i pocałowała szybko w policzek. W tym momencie pożałowałem, że nie ogoliłem się tego dnia. Ani wczoraj. Ani przedwczoraj.

— Do zobaczenia, Harry — powiedział Marty i wyciągnął do mnie rękę.

Bez urazy. Chciałem ją uścisnąć, ale zobaczyłem, że trzyma w niej puszkę z jedzeniem dla kotów. Wziąłem ją.

— Cześć, Marty.

Pieprzone gnidy.

Wszyscy jesteście gówno warci.

* * *

Telefon zadzwonił akurat, kiedy kąpałem Pata. Zostawiłem go w wannie — mógł w niej szczęśliwy siedzieć całymi godzinami, był jak mała rybka — po czym zbiegłem do przedpokoju i złapałem słuchawkę mokrą ręką, myśląc, że to moja mama. W słuchawce rozległ się jednak cichy sygnał oznaczający międzynarodowe połączenie i nagle usłyszałem głos Giny.

— To ja — powiedziała.

Zerknąłem na zegarek — była dopiero za dwadzieścia czwarta. Tego dnia zadzwoniła wcześniej.

— Pat się kąpie.

— Nie przeszkadzaj mu. Zadzwonię jeszcze raz o zwykłej porze. Myślałam po prostu, że go złapię. Co u niego?

— W porządku — odparłem. — W porządku, w porządku. Jesteś tam jeszcze?

— Tak, jestem.

— Jak ci idzie?

Usłyszałem, że bierze głęboki oddech. Brała głęboki oddech po drugiej stronie świata.

— Jest o wiele trudniej, niż myślałam — stwierdziła. — Gospodarka ledwo zipie. Naprawdę. Moja firma polega na miejscowej sile roboczej, więc nie ma dużych gwarancji zatrudnienia dla gaijin, której japoński jest trochę bardziej zarzewiały, niż sądziła. Ale praca jest fajna. Ludzie są mili. Chodzi o całą resztę. Zwłaszcza o mieszkanie, które ma wielkość naszej kuchni. — Jeszcze raz westchnęła. — To nie jest dla mnie łatwe, Harry. Nie myśl, że przeżywam tutaj przygodę swojego życia.

— Więc kiedy wracasz do domu?

— Kto powiedział, że wracam do domu?

— Daj spokój, Gino. Przestań wmawiać sobie, że musisz się odnaleźć. Chodzi ci przede wszystkim o to, żeby mnie ukarać.

— Czasami zastanawiam się, czy przyjeżdżając tu, dobrze zrobiłam. Ale wystarczy, że powiesz kilka słów, a przekonuję się, że to było najlepsze wyjście.

— Więc zostajesz tam, prawda? W tym mieszkanku wielkości naszej kuchni?
— Wróć. Ale tylko po to, żeby zabrać Pata. Żeby go tu przywieźć. Naprawdę chcę tutaj coś osiągnąć, Harry. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

— Chyba żartujesz, Gino. Pat w Tokio? Nie potrafię go nawet zmusić, żeby zjadł fasolę na grzance. Wyobrażam sobie, jak wcina ryż ze szprotkami. I gdzie będzie mieszkać? W tym mieszkaniu wielkości naszej kuchni?

— Chryste, żałuję, że w ogóle wspomniałam o tym cholernym mieszkaniu. Nie mogę po prostu dłużej z tobą rozmawiać.

— Pat zostaje u mnie, dobrze?

— Na razie — odparła. — Co do tego się przecież zgodziliśmy.

— Nie oddam ci go, jeżeli to nie będzie dla niego najlepsze wyjście. Nie dla ciebie. Dla niego. To jest to, na co się zgodzę.

Cisza.

— O tym zadecydują prawnicy, Harry — odezwała się innym tonem.

— Możesz powiedzieć swojemu prawnikowi, że Pat zostaje u mnie. To ty odeszłaś. Powiedz mu to.

— A ty powiedz swojemu prawnikowi, że łajdaczyłeś się na lewo i prawo!

— Nie mogę... nie mam prawnika.

— Powinieneś jakiegoś wynająć, Harry. Jeśli choć przez chwilę przeszła ci przez głowę myśl, że możesz ukraść mi mojego syna, wynajmij bardzo dobrego adwokata. Ale ty nie mówiłeś serio. Oboje wiemy, że nie możesz stale opiekować się Patem. Nie potrafisz zadbać nawet o samego siebie. Chcesz mnie tylko zranić. Słuchaj: chcesz, żebyśmy pomówili o tym jak dorośli ludzie? Czy chcesz się kłócić?

— Chcę się kłócić.

W słuchawce rozległo się westchnienie.

— Czy Pat jest w domu?

— Nie. Wybrał się na obiad z kilkoma przyjaciółmi. Oczywiście, że jest w domu. Ma cztery lata. Gdzie twoim zdaniem ma być? Na randce z Naomi Campbell? Powiedziałem ci, że siedzi w wannie. Nie mówiłem ci tego?

— Mówiłeś. Czy mogę z nim porozmawiać?

— Jasne.

— Harry?

— Co?

— Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin.

— To jutro — odparłem gniewnie. — Moje urodziny są jutro.

— Tu, gdzie mieszkam, jest już prawie jutro.

— Nie mieszkam w Japonii, Gino. Mieszkam tutaj.

— Tak czy owak życzę ci wszystkiego najlepszego. Na jutro.

— Dziękuję.

Wyjąłem Pata z wanny, wytarłem i owinąłem w ręcznik. W jego błękitnych oczach zobaczyłem błysk zaskoczenia, a potem coś, co mogło być radością albo ulgą. Gdy podałem mu słuchawkę, już się opanował.

— Halo? — szepnął.

Oczekiwałem chyba gorzkich łez, gniewnych pretensji, fali emocji. Ale Pat był zawsze spokojny i opanowany. Odpowiadał monosylabami na pytania Giny i w końcu oddał mi słuchawkę.

— Nie chcę już więcej rozmawiać z mamą — powiedział cicho i nadal owinięty ręcznikiem wymaszerował do salonu, zostawiając za sobą mokre ślady stóp.

— Zadzwoń do niego znowu jutro — powiedziała Gina, bardziej smutna, niż się spodziewałem, właściwie tak bardzo wytrącona z równowagi, że poczułem się lepiej, niż czułem się od wielu dni. — Dobrze, Harry?

— Dzwoni, kiedy chcesz — odparłem.

Chciałem zapytać, jak to się stało, że straszymy się wzajemnie adwokatami. Jak to się stało, że dwoje ludzi, niegdyś tak sobie bliskich, powtarza rozwodowe klisze?

Czy to naprawdę wydarzyło się z mojej winy? A może to był czysty przypadek, pech, jak wtedy, gdy potrąca cię samochód albo dostajesz raka? Skoro tak bardzo się kochaliśmy, dlaczego nasz związek nie przetrwał? Czy w tym parszywym współczesnym świecie dwoje ludzi rzeczywiście nie może zostać ze sobą na zawsze? I jaki wpływ wywrze to wszystko na naszego syna?

Naprawdę chciałem to wiedzieć. Ale nie mogłem zadać Ginie żadnego z tych pytań. Znajdowaliśmy się po dwóch stronach świata.

Rozdział 13

Jechałem właśnie do domu moich rodziców, kiedy zadzwoniła komórka. To była mama. Normalnie była spokojną, zrównoważoną kobietą, niewzruszoną opoką rodziny. Ale nie tego dnia.

— Harry!

— Co się stało?

— Twój ojciec!

Boże, pomyślałem. Umarł. W moje trzydzieste urodziny. Nawet dzisiaj musiał znaleźć się w centrum uwagi.

— Co się stało?

— Włamali się do nas.

Chryste. Nawet tam. Człowiek nigdzie nie mógł się już czuć bezpieczny.

— Nic mu się nie stało? Tobie nic się nie stało?

— Proszę, Harry... przyjeżdżaj szybko... policja jest już w drodze... proszę... nie sposób z nim rozmawiać.

— Rozłącz się, dobrze? Rozłącz się, mamó. Przyjadę najszybciej, jak mogę.

Wyłączyłem komórkę, zjechałem na szybszy pas i wcisnąłem gaz do dechy. MGF skoczył do przodu, jakby do tego właśnie został stworzony.

Siedzący obok mnie Pat głośno się roześmiał.

— Ale odjazd — stwierdził. Skąd on znał takie słowa?

Moja matka otworzyła drzwi ubrana w swoją najlepszą suknię, wystrojona na urodziny syna. Świąteczne wrażenie psuła jednak jej pobladła, wstrząśnięta twarz.

— To straszne, Harry. Włamali się do nas. W salonie. Zobacz.

Zabrała Pata do kuchni, zbywając byle czym jego pytania na temat dziadka, a ja ruszyłem do salonu, przygotowując się na widok leżącego w ciemnej kałuży krwi półżywego ojca. Ale staruszek stał przy kominku, jego opalona twarz jaśniała szczęściem. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby był bardziej zadowolony z siebie.

— Cześć, Harry. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Poznałeś już naszych gości?

U jego stóp leżeli na brzuchach na dywanie dwaj młodzieńcy ze związanymi z tyłu rękoma.

W pierwszej chwili miałem wrażenie, że ich poznaję — na ich twarzach malowała się podobna niemrawa agresja co u chłopaka Sally w mieszkaniu Glenna, chociaż akurat w tej chwili nie wydawali się zbyt agresywni — w gruncie rzeczy rozpoznałem jednak tylko typ. Drogie adidasy, modne džinsy, włosy tak śliskie i lepkie od żelu, że wyglądały jak oblane masą toffee. Mój tato skrępował ich dwoma jedwabnymi krawatami, które podarowałem mu na Boże Narodzenie.

— Zobaczyłem ich na ulicy chwilę wcześniej. Szlifowali bruki. Ale okazało się, że to coś więcej niż tylko szlifowanie bruków.

Czasami można było odnieść wrażenie, że mój stary jest kustoszem muzealnej angielszczyzny. Obok upodobania do tracących myszką bikiniarskich powiedzonek kolejną osobliwością jego języka było używanie wyrażen z lat jego młodości, wyrażen, których wszyscy poza nim pozbyli się wraz z kartkami na mięso.

Stale używał zwrotów w rodzaju „szlifowanie bruków” — jego wyszukane określenie na rozrabianie, wałkonienie się i w ogóle opierniczanie — zwrotów, które wyszły z mody mniej więcej w tym samym czasie, kiedy upadło Imperium Brytyjskie.

— Weszli przez drzwi na taras, na grandę. Myśleli, że nikogo nie ma w domu. Matka robiła akurat zakupy na twoje urodziny... kupiła wyborną pieczeń... a ja stroiłem się na górze.

Na grandę. Kolejny okaz z jego archiwum.

— Kiedy wszedłem do salonu, próbowali odłączyć magnetowid. Jeden z nich miał czelność mnie zaatakować. — Mówiąc to, ojciec trącił lekko kapciem najchudsze, obdarzonego najbardziej wredną gębą młodzieńca. — Prawda, fajansiarzu?

— Mój brat cię zabije, kurwa twoja mać — mruknął młodzian. W pokoju, w którym dorastałem, jego chrapliwy głos zabrzmiał niczym pierdnięcie w kościele. — Zabije cię, dziadku. Jest gangsterem.

Mój tato zachichotał z autentyczną radością.

— Musiałem mu przyłożyć — oświadczył, demonstrując mi potężny prawy sierpowy. — Trafiłem go w szczękę. Wyłożył się jak długi. Drugi próbował zwać, ale złapałem go za kark.

Muskuły pokrytych tatuażami rąk mojego ojca napięły się, gdy prezentował mi technikę łapania nastoletniego włamywacza za gardło. Na jednej miał wytatowane serce i imię mojej matki, na drugiej sztylet piechoty morskiej. Oba rysunki zatarły się z upływem czasu.

— Przygwoździłem go do podłogi. Na szczęście, kiedy się pojawili, zastanawiałem się właśnie, który założyć krawat. Bardzo się przydały te krawaty, które od ciebie dostałem.

— Jezu Chryste, tato, oni mogli mieć noże — wybuchnąłem. — W gazetach stale piszą o jednodniowych bohaterach, którzy zginęli, próbując samemu złapać przestępców. Dlaczego nie wezwałeś po prostu policji?

Tato wesoło się roześmiał. Za dobrze się bawił, żeby dać się sprowokować do jednej z naszej kłótni.

— Nie było czasu, Harry. Zszedłem na dół i zobaczyłem ich. Dwóch złodziejasków w moim domu. Bardzo niegrzecznie z ich strony.

Wściekałem się na niego za to, że złapał tych dwóch palantów, chociaż wiedziałem, że jest wystarczająco sprawny, żeby to zrobić. Odczuwałem również połączone z gniewem ulgę — jak wtedy, kiedy odnajdzie się w końcu zagubione dziecko. Było jednak coś jeszcze. Zazdrościłem mu.

Co zrobiłbym ja sam, gdybym zastał w domu jednego z tych łobuzów — albo któregoś z miliona im podobnych? Czy starczyłoby mi odwagi i durnej brawury, żeby stawić im czoło?

Jakkolwiek bym postąpił, wiedziałem, że zabrakłoby mi męskiej pewności siebie mojego ojca. Nie potrafiłbym obronić swojej rodziny w taki sam sposób, w jaki on bronił swojej. Nie byłem do niego podobny. Chociaż pragnąłem tego z całego serca.

W końcu przyjechali policjanci, z wyjącą syreną i błyskającym na dachu niebieskim światłem. Pat wybiegł im na spotkanie z oczyma szeroko otwartymi z przejęcia.

Było ich dwóch — sprawiający wrażenie wysportowanego młody gliniarz mniej więcej w moim wieku, który z cichą irytacją przyjął relację o bohaterskich czynach mojego ojca, oraz starszy i cięższy funkcjonariusz, który z miejsca nawiązał ze starym dobry kontakt.

Prawdę mówiąc, ojciec nigdy nie był wielkim entuzjastą policji — pamiętam, że kiedy byłem dzieckiem, zatrzymali go kilkakrotnie za przekroczenie szybkości i za każdym razem stawiał się, nigdy się nie płaszczył, nigdy nie chciał im lizać dupy w zamian za spokojne życie. Widząc pędzący na syrenie radiowóz, stwierdzał zawsze z lekceważeniem: „Spiesz się do domu na obiad”. Ale teraz popijał ze starszym gliniarzem słodką gorącą herbatę — dwaj czytelnicy „Sunday Express”, dwaj poważni obywatele, którzy martwili się o losy świata, przyglądając się leżącym u ich stóp skrzepowanym łobuzom.

— Można sobie oczywiście wyobrazić, z jakiego rodzaju domu pochodzą — stwierdził mój tato.

— Matka jest na zasiłku — domyślił się starszy policjant. — Ojciec dawno się prawdopodobnie zwinął. Jeśli w ogóle kiedykolwiek mieszkał z nimi. W związku z czym odpowiedzialność za utrzymanie tych dwóch przyjemniaczków spada na państwo. Czyli na pana i mnie.

— Święta racja. I nie sądzę, żeby byli wdzięczni podatnikom za to, że żyją na ich koszt. W dzisiejszych czasach ma się same prawa. Same prawa i żadnych obowiązków.

— Widuje się je na wszystkich osiedlach. Kobiety z bandą wrzeszczących bachorów i bez obrączki na palcu.

— Zadziwiająca, nieprawdaż? Człowiek potrzebuje prawa jazdy, żeby prowadzić samochód. Pozwolenia, żeby mieć psa. Ale nie trzeba mieć niczego, żeby wydać na świat dzieci.

Wyszedłem z moją mamą i Patem do kuchni, zastanawiając się, co takiego wszyscy porządni obywatele mają przeciwko samotnym matkom. W końcu samotna matka jest tym z rodziców, które zostało z dzieckiem.

* * *

Mimo że potrafił schrupać na śniadanie dwóch włamywaczy, mój ojciec nie był człowiekiem gwałtownym. Nie był zahartowanym w bojach wojennym weteranem z mitu i filmów. Nigdy w życiu nie spotkałem łagodniejszego mężczyzny.

To prawda, dojrzewając, kilka razy widziałem, jak wybuchł. Kiedy byłem mniej więcej w wieku Pata, matka pracowała w cukierni i głupi kierownik nie pozwolił jej odebrać telefonu ze szpitala, gdzie jej ojciec, a mój dziadek umierał na raka. Widziałem, jak tato łapie kierownika za gardło i podnosi go z podłogi. Facet myślał, że za chwilę pożegna się z życiem. Ja też tak myślałem.

Były i inne sytuacje — chamowaty ratownik na basenie, który wyraził się niekulturalnie, kiedy pojawiłem się tam w wyjątkowo jaskrawych skrzydełkach do pływania, kierowca, który zajechał mu drogę, gdy wybraliśmy się nad morze w pewien parny świąteczny poniedziałek. Potraktował ich w ten sam sposób, w jaki potraktował dwóch pryszczatych włamywaczy. Ale nigdy nie tknął palcem mnie ani mojej matki.

Nigdy nie zapomniał o wojnie — była tak samo namacalna jak ostre, czarne kawałki szrapnela, które przez całe życie wychodziły z jego twardego starego ciała. Ale prawdziwy dramat jego życia — przyjaciele, którzy zginęli, nim doszli do wieku, gdy można wziąć udział w wyborach, ludzie, których zabił, niewyobrażalne rzeczy, które widział i robił — dobiegł końca, kiedy miał dwadzieścia lat. Chociaż zawsze uważałem go za wojownika, komandosa piechoty morskiej ze srebrnym krzyżem na piersi, mój tato był przez pięćdziesiąt lat kimś innym.

Po wojnie przez pięć lat sprzedawał na straganie owoce i warzywa. Potem ożenił się z moją matką i został kierownikiem sklepu spożywczego znajdującego się pod mieszkaniem, do którego się wprowadzili. Przez ponad dziesięć lat bezdzietni, desperacko pragnęli dziecka, które za żadne skarby nie chciało się urodzić.

Przyszedłem na świat w momencie, gdy wydawało się, że się już na to nigdy nie zdecyduje, i od wyprowadzki z małego mieszkania nad sklepem aż do emerytury ojciec pracował jako inspektor do spraw jakości w sieci supermarketów, jeżdżąc do sklepów w Kent, Essex i wschodniej Anglii i sprawdzając, czy wystawiane tam na sprzedaż owoce i warzywa spełniają jego wysokie wymagania.

W oczach świata nie był więc wojownikiem. Lecz był nim dla mnie. A przy tym nigdy nie skrzywdziłby muchy. Całkiem dosłownie nie skrzywdziłby mu-

chy. Może dlatego, że napatrzył się w życiu dość krwi. Kiedy jakieś stworzenie wpełzało lub zakradało się z jego wypielegnowanego ogródka do naszego małego podmiejskiego domu, nie pozwalał mnie ani matce tknąć go palcem.

Kucał obok jakiegoś motylka ze złamanym skrzydełkiem, obok zabłąkanej mrówki, osy, muchy lub myszki — żadne stworzenie nie było zbyt niskie ani plugawe, by nie zasługiwać na jego pomoc — brał je w ręce albo kładł na pudełku zapalek lub pokrywce od słoika i wynosił na zewnątrz, podczas gdy mama i ja przedrzeźnialiśmy go, śpiewając Born Free.

Ale chociaż się z niego śmieliśmy, moje dziecinne serce rosnęło z podziwu.

Mój ojciec był silnym człowiekiem, który nauczył się być łagodny, człowiekiem, który widział dość śmierci, żeby w pełni docenić życie. A ja nie mogłem się z nim równać, po prostu nie mogłem się z nim równać.

* * *

Pat nie chciał jeść obiadu. Może wiązało się to z telefonem od matki. A może z próbą włamania. Jednak szczerze mówiąc, wątpię. Najprawdopodobniej wynikało to z faktu, że nie umiałem gotować.

Zacząłem się martwić o jego dietę. Ile składników odżywczych może znajdować się w kupowanych na wynos pizzach i daniach z mikrofalówki, którymi go karmiłem? Jedynie kiedy odwiedzaliśmy moich rodziców albo jedliśmy poza domem, miał okazję spożywać coś, co chociaż w pewnym stopniu można było określić mianem zdrowej żywności. Pewnego wieczoru ugotowałem zatem kilka jarzyn i położyłem je na jego pizzę z mikrofalówki.

— Fuj — mruknął, przyglądając się badawczo pomarańczowemu obiektowi na końcu łyżki. — Co to jest?

— To się nazywa marchewka, Pat. Pamiętasz chyba marchewkę. Jest dla ciebie zdrowa. No już. Zjedz ją całą.

Odsunął od siebie talerz z wyraźnym niesmakiem.

— Nie jestem głodny — stwierdził i chciał wstać od stołu.

— Poczekaj — powiedziałem. — Nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie zjesz obiadu.

— Nie chcę żadnego obiadu — odparł, spoglądając na oblepioną ciastem pomarańczową marchewkę. — To jest ohydne.

— Zjedz obiad.

— Nie.

— Proszę zjeść obiad.

— Nie.

— Będziesz jadł obiad czy nie?

— Nie.

— W takim razie marsz do łóżka.
— Przecież jest wcześnie!
— Zgadza się: teraz jest czas na obiad. Ale jeśli nie chcesz jeść obiadu, możesz iść do łóżka.

— To niesprawiedliwe!
— Życie nie jest sprawiedliwe! Marsz do łóżka!
— Nienawidzę cię, tato!
— To nie mnie nienawidzisz! Nienawidzisz moich potraw! Idź i włóż piżamę!

Kiedy wybiegł z kuchni, złapałem talerz z pizzą, do której dodałem rozgotowane warzywa, i wyrzuciłem ją do kosza. A potem wsadziłem talerz pod gorącą wodę i trzymałem go tak długo, aż poparzyłem sobie dłonie. W gruncie rzeczy nie winiłem go za to, że nie zjadł przyrządzonego przeze mnie dania. Było prawdopodobnie niejadalne.

Kiedy wszedłem do jego sypialni, leżał całkiem ubrany na łóżku, cicho płacząc. Posadziłem go, wytarłem oczy i pomogłem włożyć piżamę. Był już bardzo senny — na pół przymknięte powieki, spuchnięte usta, głowa kołysząca się niczym u pluszowego pieska w samochodzie — w związku z czym uznałem, że wcześniejsze udanie się na spoczynek na pewno mu nie zaszkodzi. Nie chciałem jednak, żeby zasnął, śmiertelnie mnie nienawidząc.

— Wiem, że nie jestem dobrym kucharzem, Pat — powiedziałem. — Na pewno nie potrafię tak dobrze gotować jak babcia albo mama. Ale w przyszłości bardziej się postaram, dobrze?

— Tatusiowie nie umieją gotować.

— To wcale nieprawda.

— Ty nie umiesz gotować.

— To akurat jest prawda. Twój tatuś nie umie. Ale jest mnóstwo mężczyzn, którzy są wspaniałymi kucharzami... gotują wymyślne potrawy w słynnych restauracjach. Zwykli mężczyźni też to potrafią. Mężczyźni, którzy mieszkają sami. Tatusiowie z małymi chłopcami i dziewczynkami. Mam zamiar nauczyć się gotować tak jak oni. Mam zamiar gotować ci dobre rzeczy, rzeczy, które będą ci smakować. Dobrze, kochanie?

Odwrócił w bok głowę, pociągając nosem i najwyraźniej nie wierząc w tego rodzaju bajki. Wiedziałem, co czuje. Ja sam w to nie wierzyłem. Podejrzywałem, że obaj będziemy musieli bardzo polubić sandwicze.

Zabrałem go do łazienki, żeby umył zęby, i kiedy wróciliśmy, udało mi się wydebić od niego niechętnego całusa na dobranoc. Szczerze mówiąc, nie zależało mu tak bardzo na pojednaniu. Niemniej przykryłem go kołdrą i zgasłem światło, mówiąc sobie, że rano na pewno zapomni o moich paskudnych marchewkach.

W salonie zasiadłem na sofie, wiedząc, że muszę znaleźć jakąś robotę. Tego ranka dostałem wyciąg z banku. Nie miałem odwagi go otworzyć.

Wylali mnie w nowoczesny sposób — pozwalając, żeby wygasł mój kontrakt i dając na otarcie łez jednomiesięczną odprawę. Zdążyłem ją wydać. Musiałem więc wracać do pracy — rozpaczliwie potrzebowałem pieniędzy. Musiałem to zrobić także dlatego, że była to jedyna rzecz na świecie, w której byłem dobry.

Wziąłem do ręki brązową gazetę i przejrzałem oferty na stanowisko producenta radiowego lub telewizyjnego. Studiowałem je niezbyt pilnie przez kilka minut, a potem odłożyłem gazetę na bok i potarłem oczy. Byłem zbyt zmęczony, żeby się teraz nad tym zastanawiać.

Na wideo nadal leciało Imperium kontratakujące — w śniegu na jakiejś odległej planecie trwała walka między siłami dobra i zła. Mimo że te filmy stanowiły stałe tło naszego życia i czasami miałem wrażenie, że tracę od nich rozum, czułem się zbyt wyczerpany, żeby wyłączyć telewizor.

Akcja przeniosła się tymczasem z pokrytej lodem równiny na mroczne bulgoczące bagna, gdzie mądry stary mistrz opowiadał Luke'owi Skywalkerowi o jego przeznaczeniu. A ja zdałem sobie nagle sprawę, jak wiele osób pełniło wobec Luke'a rolę ojca, rolę, które razem wzięte zdawały się wyczerpywać wszelkie rodzicielskie możliwości.

Mamy tu więc Yodę, pomarszczonego starca ze spiczastymi zielonymi uszami, który zawsze służy dobrą radą. Jest też Obi-Wan Kenobi, który łączy przymioty domorosłego kaznodziei z cokolwiek staroświecką twardą miłością.

I mamy na koniec Dartha Vadera, Mrocznego Władcę Sith, którego postępowanie jest prawdopodobnie najbardziej zgodne z duchem naszych czasów. To ojciec, który jest nieobecny, który zaniedbuje syna i stawia własne pragnienia — w przypadku pana Vadera chęć podbicia wszechświata — ponad wszelkie rodzicielskie obowiązki.

Mój stary był zdecydowanie w typie Obi-Wan Kenobiego. I ja też chciałem być tego rodzaju ojcem.

Zasypiając pośród ofert pracy na sofie, podejrzewałem jednak, że bardziej przypominam faceta w czarnym hełmie, ojca, któremu stale brakuje cierpliwości i czasu, na zawsze skazanego na pozostanie po ciemnej stronie.

Rozdział 14

— Wiem, że w domu wyłoniły się pewne problemy — powiedziała przedszkolanka takim tonem, jakby zepsuła się nam zmywarka i wystarczyło znaleźć odpowiedni numer na żółtych stronach, żeby nasze życie wróciło do normy. — I niech pan mi wierzy, wszyscy w Canonbury Cubs bardzo współczujemy Patowi.

To prawda. Przedszkolanki w Canonbury Cubs bardzo się zawsze przejmowały, kiedy przywoziłem rankiem Pata. Były uosobieniem łagodności, gdy krew ponownie odpływała mu z twarzy, zaczynała drżeć dolna warga, a wielkie niebieskie oczy wypełniały się łzami na myśl, że zabiorą go ode mnie na kolejny dzień.

Ale ostatecznie to nie był ich problem. I bez względu na to, jak były miłe, nie potrafiły załatać pęknięć, które pojawiły się w jego życiu.

Z wyjątkiem pobytów u wynajdujących wciąż nowe gry i zabawy dziadków Pat nie chciał mnie opuszczać nawet na chwilę. Codziennie, kiedy żegnaliśmy się przed bramą Canonbury Cubs, następował wielki dramat, a potem wracałem do domu i godzinami przemierzałem pokój, zamartwiając się, co on tam porabia, podczas gdy biedny Pat wypytywał przedszkolanki, jak długo jeszcze potrwa, zanim będzie mógł wrócić do domu, i płakał w trakcie malowania palcami.

Przedszkole nie zdawało po prostu egzaminu. W związku z czym przy akompaniamencie pełnych troski komentarzy o konieczności poszukania pomocy u dziecięcego psychologa i o czasie, który leczy wszystkie rany, Pat został skreślony z listy przedszkolaków.

Dzieci zaczęły lepić robaki z plasteliny, a ja wziąłem go za rękę i po raz ostatni wyprowadziłem z pomalowanej na tęcze kolory szatni. Natychmiast się rozchmurzył, zbyt szczęśliwy i odprężony, by czuć się w najmniejszym stopniu outsiderem. Przedszkolanki wesoło pomachały mu na pożegnanie. Inne dzieciaki podniosły na moment wzrok, a potem wróciły do swoich niewinnych zajęć.

A ja wyobraziłem sobie, jak mój wyrzucony z przedszkola syn wraca za dziesięć lat pod bramę Canonbury Cubs, żeby się z nich wszystkich nabijać i sprzedawać cracka.

* * *

Praca wydawała się idealna.

Stacja chciała stworzyć nowy program z udziałem młodego irlandzkiego komika, który zaszedł zbyt wysoko, by występować dalej w klubach, lecz nie cieszył się jeszcze dość dużą popularnością, żeby reklamować piwo.

Nie zajmował się czymś tak oklepanym jak opowiadanie dowcipów; zjednał ich sobie na Festiwalu w Edynburgu występem zbudowanym całkowicie na porozumieniu z widzami.

Zamiast odgrzewać stare gagi rozmawiał bezpośrednio z ludźmi, polegając na inteligentnych odzywkach z widowni oraz swoim celtyckim wdzięku. Zdawał się urodzony do tego, żeby prowadzić program. W przeciwieństwie do Marty'ego i innych prezenterów nie musiał liczyć na znakomitości, które wyjawiałyby swoje sekrety, ani robiących z siebie wariatów zwykłych ludzi. Mógł nawet pisać własne scenariusze. Tak to przynajmniej wyglądało w teorii. Potrzebowali tylko doświadczonego producenta.

— Jesteśmy bardzo podekscytowani, widząc pana tutaj — oświadczyła siedząca naprzeciwko mnie kobieta.

Była redaktorem naczelnym stacji — drobna kobieta koło trzydziestki, która mogła odmienić czyjeś życie. Siedzący po jej obu stronach mężczyźni w okularach — producent oraz redaktor programów cyklicznych — zgodnie się uśmiechnęli. Odwzajemniłem ich uśmiech. Ja też byłem podekscytowany.

Ten program był dokładnie tym, czego potrzebowałem, żeby stanąć na nogi. Wynagrodzenie przewyższało to, które dostawałem, pracując z Martym Mannem, ponieważ teraz przychodziłem z innego programu telewizyjnego, a nie z jakiegoś parszywego radia. Cieszyłem się na myśl, że będę mógł spłacić hipotekę i raty za samochód, ale w gruncie rzeczy nie chodziło o pieniądze.

Zdawałem sobie sprawę, jak bardzo brakuje mi codziennego chodzenia do biura. Brakowało mi telefonów, spotkań, krzepiących rytuałów roboczego tygodnia. Brakowało mi własnego biurka. Brakowało mi nawet kobiety, która roznosiła sandwicze i kawę. Miałem dosyć siedzenia w domu i gotowania posiłków dla mojego syna, który nie mógł ich przełknąć. Nie chciałem mieć wrażenia, że życie toczy się gdzieś indziej. Chciałem wrócić do pracy.

— Pański dorobek z Martym Mannem mówi sam za siebie — stwierdziła redaktor naczelna. — Niewiele programów radiowych nadaje się do telewizji.

— Marty to fenomenalny showman — odparłem. (Niewdzięczny mały gnojek. Oby zgnął w piekle). — Bardzo ułatwił mi zadanie.

— Jest pan dla niego bardzo miły — powiedział redaktor programów cyklicznych.

— Marty jest wspaniałym facetem — dodałem. (Podstępny, zdradliwy sukinyś). — Uwielbiam go. — (Mój nowy program wyeliminuje cię z gry, Marty.

Zapomnij o diecie. Zapomnij o osobistym trenerze. Wrócisz do lokalnego radia, chłopie).

— Mamy nadzieję, że uda się panu nawiązać podobne stosunki z prezentorem tego programu — powiedziała kobieta. — Eamon to utalentowany młody człowiek, ale nie przetrwa dziewięciu tygodni bez kogoś, kto dysponuje pańskim doświadczeniem. Dlatego chcielibyśmy zaproponować panu tę pracę.

Oczyrna duszy widziałem już czekające mnie błogie, pracowite tygodnie. Wyobrażałem sobie dyskusje nad scenariuszem na początku tygodnia, drobne triumfy i katastrofy, kiedy do programu wchodzi albo wypadają z niego różni goście, nerwową atmosferę i wpadki podczas prób w studiu, kamery i adrenalinę w trakcie nadawania i na koniec nieopisaną ulgę na myśl, że następny show jest dopiero za tydzień. Praca dawała także doskonały pretekst, żeby nie robić tego, na co akurat nie miałem ochoty: jestem zawalony robotą, jestem zawalony robotą, jestem zawalony robotą.

Wszyscy wstaliśmy i uścisnęliśmy sobie dłonie, a potem przeszliśmy do głównej sali, gdzie czekał Pat. Siedział na biurku, zabawiany przez dwie asystentki, które gładziły go po włosach, dotykały policzków i patrzyły w oczy, oczarowane samą jego obecnością. W takim miejscu nie widuje się zbyt wielu czterolatek.

Przychodząc tam razem z Patem, trochę się niepokoiłem. Bałem się, że nie będzie chciał, żebym zostawił go za drzwiami redaktor naczelnej, a poza tym nie miałem zamiaru dawać im wyraźnie do zrozumienia, że jestem samotnym ojcem. Jak mogli zatrudnić faceta, który ciąga ze sobą wszędzie członków rodziny? Jak mogli dać posadę producenta mężczyźnie, który nie potrafi nawet zorganizować opiekunki do dziecka?

Moje obawy okazały się bezpodstawne. Fakt, że zabrałem syna na rozmowę w sprawie pracy, zaskoczył ich, ale i trochę wzruszył. A Pat, który był tego dnia wyjątkowo czarujący i rozmowny, informował z radością asystentki o wszystkich krwawych szczegółach separacji swoich rodziców.

— Tak, moja mama jest za granicą... w Japonii... gdzie jeżdżą po lewej stronie ulicy tak jak u nas. Tak, zabierze mnie tam. Mieszkam razem z tatą, ale w weekendy czasami jeżdżę do babci i dziadka. Moja mama nadal mnie kocha, ale tatę tylko lubi.

Jego twarz rozjaśniła się, gdy mnie zobaczył. Zeskoczył z biurka, rzucił mi się w ramiona i pocałował w policzek z żarliwością, której nauczył się od Giny.

Trzymając go w objęciach na oczach uśmiechających się do nas i do siebie pracowników stacji, uświadomiłem sobie realia mojej nowej wspaniałej kariery — weekendy spędzane na pisaniu scenariusza, zaczynające się wcześniej i kończące późno odprawy, długie godziny w studiu, w którym temperaturę obniżano niemal do zera, żeby na czole prezentera nie perliły się krople potu — i zdałem sobie nagle sprawę, że nie przyjmę tej pracy.

Numer z samotnym ojcem i synem spодobał im się na krótką metę. Ale inaczej na to spojrzą, kiedy będę codziennie musiał zmywać się o szóstej, żeby usmażyć Patowi rybne paluszki.

Na pewno im się to nie spодoba.

Rozdział 15

Kiedy Pat został na noc u moich rodziców, zadzwoniłem do Giny. Zdawałem sobie sprawę, że muszę z nią porozmawiać. Serio z nią porozmawiać. Nie tylko spierać się, żalić i grozić. Chciałem jej powiedzieć, co mi leży na sercu. Podzielić się z nią moimi myślami.

— Wracaj do domu — powiedziałem. — Kocham cię.

— Jak można kogoś kochać... naprawdę go kochać... i spać z kimś innym?

— Nie wiem, jak to wyjaśnić. Ale to było łatwe.

— O wiele trudniej jest to wybaczyć...

— Chryste, czy chcesz, żebym się przed tobą czołgał?

— Nie chodzi o ciebie, Harry. Chodzi o mnie.

— A co z naszym wspólnym życiem? Mieliśmy przecież wspólne życie, czyż nie? Jak możesz to wszystko skreślać z powodu jednego potknięcia?

— Ja tego nie skreślałam. Ty to zrobiłeś.

— Już mnie nie kochasz?

— Oczywiście, że cię kocham, głupi sukinsynu. Ale nie jestem w tobie zakochana.

— Poczekaj. Kochasz mnie, ale nie jesteś we mnie zakochana?

— Zbyt mocno mnie zraniłeś. I zrobisz to ponownie. Następnym razem nie będziesz już miał wyrzutów sumienia. Następnym razem łatwo się przed sobą usprawiedliwisz. A potem któregoś dnia spotkasz kogoś, kto ci się naprawdę spodoba. Kogoś, kogo pokochasz. Wtedy mnie zostawisz.

— Nigdy.

— W ten sposób się to odbywa, Harry. Oglądałam to wszystko u moich rodziców.

— Kochasz mnie, ale nie jesteś we mnie zakochana? Co to ma znaczyć?

— Miłość jest tym, co zostaje, gdy mija zakochanie, rozumiesz? Kiedy niepokoisz się o kogoś i masz nadzieję, że jest szczęśliwy, ale nie żywisz już co do niego złudzeń. Być może ten rodzaj miłości nie jest podniecający i namiętny, nie ma w nim tych wszystkich rzeczy, które z czasem przekwitają. Wszystkich tych rzeczy, na których tak ci zależy. Ale w ostatecznym rozrachunku to jedyny rodzaj miłości, który się naprawdę liczy.

— Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz — stwierdziłem.
— To już twój problem — odparła.
— Zapomnij o Japonii. Wracaj do domu. Nadal jesteś moją żoną, Gino.
— Widuję się z kimś — oznajmiła i poczułem się jak hipochondryk, u którego rozpoznano w końcu śmiertelną chorobę.

Spodziewałem się tego — bałem się tego — od pierwszej chwili, gdy odeszła. Na swój sposób cieszyłem się, że mi powiedziała, gdyż teraz nie musiałem się już zamartwiać, kiedy to się wydarzy. I nie byłem taki głupi, by uważać iż mam prawo się oburzać. Nadal jednak nie wiedziałem, co zrobić z naszymi ślubnymi fotografiami. Co się robi ze ślubnymi fotografiami, kiedy ludzie się rozchodzą?

— Zabawne stare określenie, prawda? — mruknąłem. — Widuję się z kimś. Brzmi tak, jakbyś kogoś sprawdzała. Obserwowała. Tylko patrzyła. Ale ty robisz zupełnie coś innego. Nie tylko patrzysz. Kiedy się z kimś widzisz, to oznacza zdecydowanie coś więcej niż patrzenie. Czy to coś poważnego?

— Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Jest żonaty.

— O kurwa.

— Ale to małżeństwo. . . od wielu lat nie układa się między nimi najlepiej. Są w półseparacji.

— Tak właśnie ci powiedział? W półseparacji? A ty mu uwierzyłaś, prawda? W półseparacji. To znakomity sposób na określenie tego układu. Nigdy przedtem o czymś takim nie słyszałem. Facet zabezpiecza się na każdą ewentualność. Dzięki temu może was obie zwodzić. Trzyma w domu żonkę, żeby robiła mu sushi, podczas gdy on zakrada się do najbliższego hotelu miłości.

— Och, Harry. Mógłbyś mi przynajmniej dobrze życzyć.

— Co to za facet? Jakiś Japończyk, który podnieca się, śpiąc z zachodnimi kobietami? Nie można ufać Japończykom, Gino. Wydaje ci się, że jesteś wielkim ekspertem, ale ty w ogóle ich nie znasz. Nie mają tego samego systemu wartości co ty i ja. Japończycy to podstępna, dwulicowa rasa.

— To Amerykanin.

— Tak? Dlaczego od razu nie powiedziałaś? To jeszcze gorzej.

— Nie spodobałby ci się nikt, z kim się związałam, Harry. Już słyszę, co byś powiedział, gdyby był Eskimosem. „Eskimosi, Gino? Zimne ręce, zimne serca. Trzymaj się z daleka od Eskimosów, Gino”.

— Nie rozumiem po prostu, dlaczego masz taką słabość do cudzoziemców.

— Może dlatego, że próbowałam pokochać kogoś z mojego własnego kraju. I złamał mi serce.

Dopiero po chwili domyśliłem się, że to o mnie mowa.

— Czy on wie, że masz dziecko?

— Oczywiście, że wie. Myślisz, że bym przed kimś to ukrywała?

— I co on na to?

— O co ci chodzi?

— Czy interesuje się Patem? Czy martwi się o niego? Czy zależy mu na jego szczęściu? Czy też chce wyłącznie posuwać jego matkę?

— Jeśli będziesz wyrażał się w ten sposób, Harry, odłożę słuchawkę.

— Jak inaczej mam to ująć?

— Jeszcze nie rozmawialiśmy o przyszłości. Nie posunęliśmy się tak daleko.

— Daj mi znać, kiedy posuniesz się tak daleko.

— Zrobię to. Ale proszę, nie wykorzystuj Pata, żeby wzbudzać we mnie poczucie winy.

Czy tak właśnie się zachowywałem? Nie potrafiłem powiedzieć, gdzie kończy się autentyczna troska, a gdzie zaczyna autentyczna zazdrość.

Pat był jednym z powodów, dla których chciałem, żeby przyjaciel Giny zginął w wypadku samochodowym. Wiedziałem jednak, że nie jest to jedyny powód. Być może nawet nie główny.

— Po prostu nie nastawiaj mojego syna przeciwko mnie — mruknąłem.

— O czym ty mówisz, Harry?

— Pat powtarza każdemu, kogo spotka, że mama powiedziała, że jego kocha, ale mnie tylko lubi.

Gina westchnęła.

— Nie tak to określiłam. Powiedziałam mu dokładnie to samo co tobie. Że kocham was obu, ale niestety ku mojemu żalowi nie jestem już w tobie zakochana.

— Nadal nie wiem, co to znaczy.

— To znaczy, że nie żałuję lat, które razem przeżyliśmy. Ale zraniłeś mnie tak głęboko, że nigdy już ci nie wybaczę ani nie zaufam. I znaczy to również, że nie jesteś już chyba mężczyzną, z którym chcę spędzić resztę swojego życia. Za bardzo przypominasz innych facetów. Za bardzo przypominasz mojego ojca.

— To nie moja wina, że twój tato porzucił ciebie i twoją mamę.

— Byłeś dla mnie szansą, żeby to przewyciężyć. I schrzaniłeś to. Ty też mnie porzuciłeś.

— Daj spokój. To była tylko jedna noc. Ile razy będziemy to wałkować?

— Tak długo, aż zrozumiesz, co czuję. Jeśli mogłeś zrobić to raz, możesz to zrobić tysiąc razy. To pierwsze prawo puszczenia się. Ogólna teoria puszczenia się jasno określa, że jeśli ktoś zrobił to raz, będzie to robił wciąż na nowo. Nadużyłeś mojego zaufania i po prostu nie wiem, jak to naprawić. Mnie też to boli, Harry. Nie próbowałam nastawiać Pata przeciwko tobie. Próbowałam mu wyjaśnić całą sytuację. Jak ty ją wyjaśniasz?

— Nie potrafię jej wyjaśnić. Nawet samemu sobie.

— Powinieneś spróbować. Ponieważ jeśli nie zrozumiesz tego, co się z nami stało, z nikim nie będziesz już szczęśliwy.

— Ty mi to wyjaśnij.

Westchnęła. Jej westchnienie dobiegło do mnie aż z Tokio.

— Mieliśmy małżeństwo, które moim zdaniem było całkiem udane, ale twoim zdaniem się zrutyinizowało. Jesteś typowym romantykiem, Harry. Kiedy związek nie dorasta do twoich żalosnych i nierealistycznych fantazji, rozbijasz go. Niszczysz wszystko. A potem masz czelność zachowywać się jak strona pokrzywdzona.

— Kto ci podsunął te psychologiczne teorie? Twój przyjaciel jankes?

— Dyskutowałam z Richardem o tym, co się stało.

— Z Richardem? Tak ma na imię? Richard? Ha, ha. Jezu Chryste.

— Richard to najnormalniejsze imię pod słońcem. Na pewno nie gorsze niż Harry.

— Richard. Rich. Dicky. Dick. Stary Dicky. Richard, kutas złamany.

— Czasami patrzę na ciebie i Pata i naprawdę nie wiem, który z was ma cztery lata.

— To proste. Ja jestem tym, który potrafi sikać, nie zalewając przy tym całej podłogi.

— O wszystko to możesz winić samego siebie — powiedziała, zanim odłożyła słuchawkę. — Doszło do tego, ponieważ nie doceniałeś tego, co posiadałeś.

To nieprawda. Byłem dość inteligentny, żeby wiedzieć, co posiadam. Ale zbyt głupi, żeby wiedzieć, jak to zatrzymać.

* * *

Jak w przypadku każdej żyjącej pod tym samym dachem pary ustaliły się wkrótce między nami codzienne rytuały.

Tuż po świcie Pat wtaczał się zaspany do mojej sypialni i pytał, czy już pora wstawać. Odpowiadałem, że jest dopiero środek cholernej nocy, a on natychmiast włączył do mnie do łóżka i zasypiał w miejscu, w którym spała kiedyś Gina, rzucając tak długo rękoma i nogami w swoich dzikich dzieciennych snach, że w końcu dawałem za wygraną i wstawałem.

Kiedy Pat zwlekał się z łóżka, siedziałem na ogół w kuchni i czytałem gazetę. Słyszałem, jak zakrada się do salonu i natychmiast włącza wideo.

Teraz, kiedy jego wyrzucono z przedszkola, a mnie z pracy, nie musieliśmy się nigdzie spieszyć. Mimo to niezbyt chętnie pozwalałem mu robić wszystko, na co miał ochotę, a on miał ochotę oglądać wideo przez cały boży dzień. Szedłem więc do salonu, wyłączałem telewizor i prowadziłem go do kuchni, gdzie siedział nad miską Coco Pops, aż zwróciłem mu jego wolność.

Kiedy się umyliśmy i ubraliśmy, zabierałem go na rower do parku. Rower był marki Bluebell i nadal miał boczne kółka. Pat i ja dyskutowaliśmy czasami, czy nie czas je zdjąć i zacząć jeździć na dwóch kołach. Wydawało się to jednak krokiem, na który na razie nie mogliśmy się zdecydować. Wiedza o tym, kiedy można będzie zdjąć boczne kółka, to było coś, czym mogła poszczycić się Gina.

Po południu moja matka odbierała zwykle Pata i miałem wtedy okazję zrobić jakieś zakupy, posprzątać dom, pomartwić się chwilę o pieniądze i pochodzić w tę i z powrotem po pokoju, wyobrażając sobie, jak Gina jęczy z rozkoszy w łóżku innego mężczyzny.

Ale rano chodziliśmy do parku.

Rozdział 16

Pat lubił jeździć rowerem wokół otwartego basenu pływackiego na skraju parku.

Niewielki basen był pusty przez cały rok z wyjątkiem kilku tygodni na początku lata, kiedy to rada miejska niechętnie wypełniała go silnie chlorowaną wodą, po której lokalne dzieciaki pachniały, jakby skapały się w odpadach przemysłowych.

Na długo przed końcem lata wypompowywano wodę i wyławiano z dna zabłąkane wózki z supermarketu. Choć była dopiero połowa sierpnia, przy małym basenie nie było nikogo z wyjątkiem Pata jeżdżącego na swoim bluebellu.

W widoku prawie stale pustego basenu było coś przygnębiającego. Znajdował się w rzadko odwiedzanej części parku, daleko od placu zabaw, gdzie piszczwały z radości dzieciaki, i od kafejki, gdzie mamusie i tatusiowie — choć w większości mamusie — sączyli bez końca kolejne filiżanki herbaty.

Ale otaczający basen wąski pas asfaltu był jedynym miejscem, gdzie Pat mógł pedałowac bez przeszkód na swoim rowerze, nie klucząc między niedojedzonymi kebabami, zużytymi kondomami i psimi kupami, którymi usiany był cały park. I szczerze mówiąc, było mi dobrze z dala od tych wszystkich mamusí.

Zgadywałem, co sobie myślały, gdy codziennie rano przychodziliśmy do parku.

Gdzie jest matka?

Dlaczego on nie jest w pracy?

Czy to na pewno jego dziecko?

Biorąc pod uwagę, że większość dewiantów na tym świecie to dumni posiadacze penisa, mogłem oczywiście zrozumieć ich troskę. Miałem jednak dosyć poczucia, iż powinienem przeproszać za to, że zabieram syna do parku. Nie chciałem czuć się jak zboczeniec. Pusty basen pływacki w pełni mnie zadowalał.

— Tato! Popatrz na mnie!

Dyszac ciężko, Pat przystanął po drugiej stronie basenu, obok wąskiej trampoliny, która wystawała znad skraju pływalni.

Uśmiechnąłem się do niego z ławki, na której siedziałem, czytając gazetę. Kiedy tylko Pat ujrzał, że na niego patrzę, ruszył dalej. Oczy mu lśniły, włosy

frwały na wietrze, a małe nóżki pedaływały wściekle, kiedy okrążał basen na swoim bluebellu.

— Nie podjeżdżaj za blisko do skraju!

— Dobrze! Nie będę!

Po raz piąty w ciągu ostatnich pięciu minut zacząłem czytać pierwsze zdanie artykułu na temat upadku japońskiej gospodarki.

Ten temat ostatnio bardzo mnie zainteresował. Współczułem Japończykom, ponieważ wyglądało na to, że żyli w ustroju, który się załamał. Czysto ludzkiemu współczuciu towarzyszyło jednak coś w rodzaju ulgi. Z zapartym tchem czytałem o zamykanych bankach, upokorzonych dyrektorach, którzy kłaniali się nisko i płakali na konferencjach prasowych, o tracących pracę cudzoziemcach, którzy jechali na lotnisko Narita, żeby wrócić najbliższym samolotem do domu. Zwłaszcza o tym. Niestety nie mogłem się skoncentrować.

Przed oczyma widziałem tylko Ginę i Richarda, lecz nie widziałem ich zbyt dobrze. Obraz Giny zaczynał się rozmazywać. Nie była już dłużej moją Giną. Nie potrafiłem wyobrazić sobie miejsca, w którym mieszkała, biura, w którym pracowała, małego barku, gdzie jadła codziennie lunch. Nie potrafiłem zobaczyć nic z tych rzeczy. I nie chodziło tylko o to, że trudno mi było wyobrazić sobie jej nowe życie. Nie widziałem już prawie jej twarzy. Ale jeśli obraz Giny był rozmazany, to Richard stanowił jeden wielki znak zapytania.

Czy był ode mnie młodszy? Bogatszy? Lepszy w łóżku? Chętnie pogodziłbym się z myślą, że Gina związała się ze zgrzybiałym starcem na skraju bankructwa. Były to jednak prawdopodobnie tylko moje pobożne życzenia.

Wiedziałem tylko, że jest żonaty. Ale nawet to było podejrzane — co, u licha, miała oznaczać ta półseparacja? Czy wciąż mieszkał ze swoją żoną? Czy była Amerykanką, czy Japonką? Czy dalej ze sobą sypiali? Czy mieli dzieci? Czy miał wobec Giny poważne zamiary, czy tylko ją zwodził? I czy ja osobiście wolałbym, gdyby traktował to jako przelotny flirt, czy jako miłość swojego życia? Co bardziej by mnie zraniło?

— Tato, popatrz!

Widok Pata sprawił, że zastygłem w bezruchu.

Udało mu się ostrożnie wjechać rowerem na trampolinę i podpierając się teraz z obu stron nogami w brudnych tenisówkach, balansował nad położonym dziesięć stóp niżej kostropatym betonowym dnem basenu. Od wielu tygodni nie miał takiej szczęśliwej miny.

— Zostań tam, gdzie stoisz — zawołałem. — Nie ruszaj się. Uśmiech spełził mu z ust, kiedy zobaczył, jak zrywam się z ławki. Powinienem podejść do niego wolniej. Powinienem udać, że nie stało się nic złego. Ponieważ kiedy zobaczył wyraz mojej twarzy, spróbował wycofać się z trampoliny. Łatwiej było jednak wjechać, niż wyjechać, i nagle czas zwolnił bieg, kiedy ujrzałem, jak jedno z bocznych kółek bluebella ześlizguje się z trampoliny i kręci przez moment w po-

wietrzy, a potem obute w brudne tenisówki małe stopy Pata szukają podparcia, którego nie mogą odnaleźć, i mój syn spada głową w dół razem z rowerem do pustego basenu.

* * *

Leżał pod trampoliną przygnieciony rowerem. Wokół grzywy żółtych włosów rozszerzała się plama krwi.

Czekałem, że zacznie krzyczeć — tak jak krzyczał przed rokiem, gdy używając naszego łóżka w charakterze batutu, skoczył w bok i rozbił sobie głowę o komodę; tak jak krzyczał rok wcześniej, kiedy przewrócił swój fotelik, próbując się odwrócić, żeby uśmiechnąć się do Giny i do mnie; tak jak krzyczał wielokrotnie, kiedy rozbił sobie głowę, upadł na twarz albo zdarł sobie skórę z kolana.

Chciałem usłyszeć jego krzyk, ponieważ wówczas wiedziałbym, że to tylko kolejne dziecinne zadrapanie. Ale Pat w ogóle się nie odzywał. Poczułem, jak ściska mi się serce.

Miał zamknięte oczy. Błada skrzywiona twarz wyglądała, jakby prześladował go jakiś koszmar. Wokół jego głowy powiększała się ciemna aureola krwi.

— Och, Pat — jęknąłem, ściągając z niego rower i obejmując znacznie mocniej, niż powinienem. — O Boże.

Wyszarpnąłem z marynarki komórkę i lepki od jego krwi palcami wystukałem numer PIN. Odpowiedziało mi jednak tylko bip-bip-bip rozładowanej baterii.

Wziąłem na ręce mojego syna i zacząłem biec.

Rozdział 17

Nie sposób biec z czteroletnim dzieckiem w ramionach. Czterolatki są już zbyt duże, zbyt nieporęczne, by szybko je gdzieś przetransportować.

Chciałem zanieść Pata do domu, do samochodu, lecz wybiegając na chwiejnych nogach z parku, wiedziałem, że nie zdążę.

Wpadłem do kafejki, gdzie jedliśmy zielone spaghetti. Pat nadal był nieprzytomny i krwawił w moich ramionach. Była pora lunchu i ubrani w garnitury, opychający się carbonarą biznesmeni gapili się na nas z otwartymi ustami. W powietrzu zawisły owinięte makaronem widelce.

— Wezwijcie pogotowie! Nikt się nie poruszył.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi kuchni i stanęła w nich Cyd z pełną tacą w jednej ręce i bloczkiem zamówień w drugiej. Przez chwilę stała jak wryta w miejscu, wzdrygając się na widok bezwładnego ciała Pata, krwi na moich dłoniach i koszuli i ślepej paniki na mojej twarzy.

A potem zgrabnie postawiła tacę na najbliższym stoliku i podeszła do nas.

— To mój syn! Wezwijcie pogotowie!

— Będzie szybciej, jeśli was zawiozę — powiedziała.

Białe linie na szpitalnej podłodze prowadziły na oddział urazowy, ale zanim dotarliśmy w jego pobliże, otoczyły nas pielęgniarki i sanitariusze, którzy wzięli ode mnie Pata i położyli go na wózku. Wózek przeznaczony był dla osoby dorosłej i Pat wydawał się na nim malutki. Taki malutki.

Dopiero teraz stanęły mi w oczach łzy i zamrugałem, żeby je powstrzymać. Nie mogłem na niego patrzeć. Nie mogłem oderwać od niego wzroku. Dziecko w szpitalu. To najgorsza rzecz, jaka może ci się przydarzyć.

Toczyli go w głąb budynku, pytając mnie o jego datę urodzenia, dane medyczne oraz przyczynę urazu. Zatłoczone gwarne korytarze skąpane były w niezdrowym żółtym świetle jarzeniówek.

Próbowałem opowiedzieć im o rowerze na trampolinie i o pustym basenie, ale nie wiem, czy udało im się wyłuskać z tego jakiś sens. Mnie samemu wydawało się to kompletnie bezsensowne.

— Zajmiemy się nim — powiedziała pielęgniarka i wózek wtoczył się przez zielone wahadłowe drzwi na oddział.

Próbując za nimi iść, zdążyłem zobaczyć mężczyzn i kobiety w zielonych fartuchach, z maskami na twarzach, lśniący chromem sprzęt medyczny i wyścielony stół, na którym go położono, stół tak samo wąski i złowrogi jak trampolina.

Cyd delikatnie wzięła mnie pod ramię.

— Musisz go tam zostawić — powiedziała.

Zaprowadziła mnie do małej obskurnej poczekalni i przyniosła z automatu dwie kawy w polistyrenowych filiżankach. Nie pytając mnie o zdanie, wyspała do mojej cukier.

— Dobrze się czujesz? — zapytała. Potrząsnąłem głową.

— Jestem taki głupi.

— Takie rzeczy się zdarzają. Wiesz, co mi się przytrafiło, kiedy byłam mniej więcej w jego wieku?

— Co?

— Przypatrywałam się dzieciom grających w baseball, po czym podeszłam tam i stanęłam tuż za pałkarzem. Tuż za nim. Kiedy wziął zamach, żeby odbić piłkę, o mało nie ściął mi głowy — powiedziała i uśmiechnęła się. — Ten kij był zrobiony z jakiegoś plastiku, ale i tak straciłam przytomność. Autentycznie zobaczyłam przed oczyma gwiazdy. Zobacz.

Odgarnęła z czoła czarną grzywę włosów. Tuż nad brwią widniała cienka biała blizna wielkości paznokcia.

— Wiem, że jesteś teraz cały roztrzęsiony — powiedziała — ale dzieciaki są twarde. Jakoś z tego wychodzą.

— Spadł z takiej dużej wysokości — jęknąłem. — Tak mocno się rozbił. Wszędzie było tyle krwi.

Ale byłem wdzięczny Cyd za jej małą białą bliznę. Doceniałem fakt, iż w dzieciństwie straciła przytomność, uderzona kijem. To było naprawdę miło z jej strony.

Podeszła do nas młoda lekarka. Mogła mieć ze dwadzieścia pięć lat i wyglądała, jakby od czasu skończenia studiów ani razu dobrze się nie wyspała. Choć sprawiała sympatyczne wrażenie, była oschła, rzeczowa i szczerą aż do bólu.

— Patrick jest w stabilnym stanie, ale przy tak poważnym urazie głowy musimy zrobić rentgen i tomografię mózgu. Martwi mnie możliwość pęknięcia z wgnieceniem czaszki... mamy z nim do czynienia, kiedy czaszka jest pęknięta i kawałki kości dostają się do środka i uciskają mózg. Nie twierdzę, że tak jest. Mówię, że musimy się liczyć z taką możliwością.

— Jezu Chryste.

Cyd wzięła mnie za rękę i ścisnęła.

— Trochę to potrwa — powiedziała lekarka. — Jeśli pan i pańska żona chcecie zostać na noc z synem, możecie pojechać teraz do domu po rzeczy.

— Nie jesteśmy małżeństwem — sprostowała Cyd. Lekarka zerknęła na mnie i spojrzała na kartę chorego.

— Pan jest ojcem Patricka, panie Silver? — zapytała.

— Tak.

— Ja jestem tylko znajomą — wyjaśniła Cyd. — Powinnam już jechać — dodała, wstając.

Doszła najwyraźniej do wniosku, że przeszkadza. Ale to nie była prawda. Tylko ona ratowała mnie przed kompletnym załamaniem.

— A matka chłopca? — zapytała lekarka.

— Nie ma jej w kraju — odparłem. — Przebywa czasowo za granicą.

— Być może powinien pan do niej zadzwonić — poradziła.

* * *

Moja matka na pewno wcześniej płakała, ale nie zamierzała tego robić w miejscu publicznym. Miała zwyczaj ronić łzy wyłącznie za zamkniętymi drzwiami, na oczach rodziny.

W szpitalu była uosobieniem odwagi, optymizmu oraz zdrowego rozsądku. Zadawała rzeczowe pytania pielęgniarce. Jakie jest ryzyko trwałego uszkodzenia? Kiedy będzie to można stwierdzić? Czy dziadkowie również mogą zostać na noc? Jej obecność dodawała mi otuchy. Tato zachowywał się inaczej.

Stary wiarus wydawał się zagubiony w szpitalnej kafeterii. Nie przywykł do tego, żeby siedzieć i czekać. Nie przywykł do sytuacji, nad którymi nie mógł zapanować. Jego muskularne wytatuowane ręce, szerokie bary, nieustraszone stare serce — wszystko to było tutaj bezużyteczne.

Wiedziałem, że zrobiłby dla Pata wszystko, że kocha go bezwarunkową miłością, którą można chyba kochać tylko dziecko, miłością, o którą jest znacznie trudniej, kiedy dziecko wyrasta na bardziej ułomnego dorosłego. Kochał Pata tak samo, jak kiedyś kochał mnie. Pat był taki jak ja, zanim miałem okazję wszystko zaprzepaścić. Świadomość, że może teraz tylko siedzieć i czekać, sprawiała, że przewracały się w nim flaki.

— Czy ktoś chce jeszcze herbaty? — zapytał, rozpaczliwie pragnąc coś zrobić, w jakikolwiek sposób nam pomóc.

— Herbata wylewa nam się uszami — stwierdziła mama. — Po prostu usiądź i odpręż się.

— Odprężyć się? — parsknął, piorunując ją wzrokiem, ale potem odeszła mu ochota do kłótni.

Osunął się na popękane plastikowe krzesło i wlepił oczy w ścianę. Pod oczyma miał worki koloru nadgniętych owoców. A po pięciu minutach i tak poszedł przynieść nam kolejną herbatę. Czekaając na informację o swoim wnuku i sącząc herbatę, na którą wcale nie miał ochoty, wydał mi się nagle stary.

— Może spróbujesz jeszcze raz zadzwonić się do Giny — zaproponowała matka.

Nie wiem, czego się spodziewała. Być może tego, że Gina wsiądzie do pierwszego lecącego do domu samolotu i nasza mała rodzina wkrótce na dobre się połączy. Niewykluczone, że i ja miałem taką nadzieję.

Były to jednak tylko pobożne życzenia. Zszedłem na dół do recepcji i wykręciłem numer Giny, ale usłyszałem tylko dziwny pomruk japońskiego telefonu, którego nikt nie chciał odebrać.

W Londynie była północ, a to oznaczało, że w Tokio jest ósma rano. Powinna tam być. Pod warunkiem, że nie wyszła już do pracy. Pod warunkiem, że spędziła noc w domu. Jej telefon tylko mruczał.

Tak to już teraz miało wyglądać. Wiedziałem, że gdybym z nią porozmawiał, jej siła i zdrowy rozsądek pomogłyby mi przezwyciężyć strach i panikę. Była bardziej podobna do mojej mamy niż do taty. Czy do mnie. Zapytałaby, co się wydarzyło, jakie są zagrożenia i kiedy się czegoś dowiemy. Dowiedziałaby się, kiedy jest najbliższy samolot, i przyleciałaby do domu. Ale nie mogłem się z nią skontaktować.

Odwiesiłem telefon, uświadamiając sobie, że nasze życie będzie odtąd wyglądać właśnie w ten sposób, uświadamiając sobie, że sprawy zaszły za daleko, byśmy wrócili do punktu wyjścia, że jesteśmy od siebie zbyt oddaleni, by kiedykolwiek odnaleźć drogę powrotną.

Rozdział 18

Lekarka pojawiła się, szukając mnie, o piątej rano. Siedziałem w pustej kafe-
terii, trzymając filiżankę herbaty, która ostygła przed wielu godzinami. Kiedy do
mnie podeszła, wstałem i czekałem, co powie.

— Moje gratulacje — oznajmiła. — Pański syn ma bardzo twardą głowę.

— Nic mu nie będzie?

— Nie ma żadnego pęknięcia i na tomografii nie widać żadnych uszkodzeń.
Zatrzymamy go na obserwacji przez parę dni, ale to standardowa procedura, kiedy
zakłada się dwanaście szwów na głowie czterolatka.

Chciałem, żeby lekarka została moja najlepszą przyjaciółką. Chciałem spo-
tykać się z nią co tydzień na kolacji, żeby miała się komu wyżalić na brytyjską
służbę zdrowia. Słuchałbym jej i współczuł. Uratowała mojego syna. Była piękna.

— Naprawdę nic mu nie będzie?

— Będzie miał przez kilka tygodni obolałą głowę i bliznę na całe życie. Ale
poza tym owszem, nic mu nie będzie.

— Żadnych efektów ubocznych?

— Cóż, być może za piętnaście lat będzie miał większe szansę u dziewcząt.
Blizny dodają mężczyźnie atrakcyjności, nieprawdaż?

Wziąłem ją za rękę i przytrzymałem kilka chwil za długo.

— Dziękuję — powiedziałem.

— Po to tutaj jesteście — odparła z uśmiechem. Widziałem, że wprawiam ją
w zakłopotanie, lecz nie mogłem na to nic poradzić.

— Czy mogę go zobaczyć?

* * *

Umieścili go na samym końcu wypełnionego dziećmi oddziału. Obok niego
leżała ładna pięcioletnia dziewczynka w piżamie Girl Power i z głową kompletnie
pozbawioną włosów, prawdopodobnie po chemioterapii. Byli przy niej rodzice;
ojciec zasnął w fotelu, matka siedziała na łóżku, wpatrując się w twarz córki. Mi-
nąłem ich w milczeniu, wiedząc, że niesłusznie tak długo się nad sobą użalałem.
Mieliśmy szczęście.

Pat miał podłączoną kroplówkę. Jego twarz była biała jak kreda, głowa owinięta bandażami. Usiadłem na skraju łóżka. Kiedy pogładziłem go po ręce, za-trzepotały mu powieki.

— Jesteś na mnie zły? — zapytał, a ja potrząsnąłem głową, bojąc się odezwać. Zamknął oczy i w tym momencie zorientowałem się, że dam sobie radę.

Wiedziałem, że na razie szło mi nie najlepiej. Nie miałem dość cierpliwości. Za dużo myślałem o Ginie, a nawet o Cyd. Nie pilnowałem go dość dobrze w parku. Wszystko to była prawda. Ale potrafiłem się z tym uporać.

Może nigdy nie okażę się doskonały. Może nie sprawdzę się w roli ojca tak samo, jak nie sprawdziłem się w roli męża.

Ale po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że bycie mężczyzną nie ma z tym nic wspólnego.

* * *

Wszystkie rodziny mają swoje własne legendy i tradycję. W naszej małej rodzinie pierwszą historią, w której wystąpiłem, jest opowieść o tym, jak w wieku pięciu lat pies wybił mi wszystkie przednie zęby. Bawiłem się z owczarkiem al-zackim sąsiadów na tyłach sklepu, nad którym mieszkaliśmy. Pies lizał mnie po twarzy i bardzo mi się to podobało do momentu, gdy oparł się przednimi łapami o moją pierś i przewrócił mnie. Wylądowałem płasko na twarzy, gubiąc zęby, plując krwią i słysząc przeraźliwy krzyk mojej matki.

Pamiętam szaleńczą jazdę do szpitala i to, jak trzymali mnie nad emaliowanym białym zlewem, wyławiając z ust kawałki połamanych zębów. Przede wszystkim jednak utkwił mi w pamięci mój stary, który chciał ze mną koniecznie zostać, kiedy będą mnie usypiać eterem.

Gdy opowiadaliśmy o tym w rodzinnym gronie, pointę stanowił fakt, że zaraz po powrocie do domu, z rozbitymi ustami, zjadłem całą paczkę solonych chipsów.

Takie zakończenie podobało się mojemu staremu — to, że jego syn wrócił ze szpitala z ośmioma zakrwawionymi pieńkami w miejscu, gdzie jeszcze niedawno tkwiły przednie zęby, i miał w sobie dość hartu ducha, żeby natychmiast otworzyć paczkę chipsów. W rzeczywistości jednak wcale nie byłem twardy. Po prostu lubiłem solone chipsy. Nawet jeśli musiałem je ssać.

Wiedziałem teraz, że mój tato nie był wcale takim twardzielem, za jakiego chciał uchodzić. Ponieważ nikt nie jest twardzielem, kiedy zabierają mu do szpitala dziecko. Dla mnie prawdziwą pointą tej opowieści był fakt, że ojciec nie chciał ode mnie odejść.

Rozumiałem, co musiał czuć, patrząc, jak lekarze usypiają eterem jego pięcioletniego syna, żeby usunąć odłamki połamanych zębów z dziąseł i języka.

Targały nim przerażenie i bezradność, które potrafią zrozumieć tylko rodzice chorego albo rannego dziecka. Wiedziałem dokładnie, co musiał czuć, kiedy stał się zakładnikiem losu. Czy to możliwe, że zacząłem oglądać świat jego oczyma?

Stał na dworze przy drzwiach do szpitala, pałac skręta. Był chyba jedynym żyjącym klientem firmy Rizla, który nie zawijał w bibułkę marihuany.

Popatrzył na mnie, wstrzymując oddech.

— Nic mu nie będzie — powiedziałem. Wypuścił z ust obłok papierosowego dymu.

— To nie jest. . . jak oni to nazwali? Pęknięcie z wgnieceniem czaszki?

— Czaszka nie jest pęknięta. Założyli mi dwanaście szwów i będzie miał bliznę, ale to wszystko.

— To wszystko?

— To wszystko.

— Dzięki Bogu — powiedział i zaciągnął się skrętem. — A co z tobą?

— Ze mną? Mnie nic nie dolega, tato.

— Potrzebujesz czegoś?

— Teraz przede wszystkim chciałbym uderzyć w kimono. Łapałem się czasami na tym, że w obecności ojca zaczynam przemawiać jego językiem. Był chyba jedyną osobą w kraju, który wciąż określał drzemkę mianem kimona.

— Miałem na myśli, czy masz dość pieniędzy. Twoja mama powiedziała mi, że nie weźmiesz tej roboty.

— Nie mogę. Za długie godziny pracy. W ogóle nie byłoby mnie w domu. — Popatrzyłem przez prawie pusty parking tam, gdzie świt rozjaśniał nocne niebo. Nie było już późno. Było wcześniej. — Ale na pewno coś znajdę — dodałem.

Ojciec wyciągnął portfel i wyjął z niego kilka banknotów.

— Na co to? — zapytałem.

— To do czasu, aż coś znajdziesz.

— Nie trzeba. Naprawdę dziękuję, tato, ale na pewno coś znajdę.

— Wiem, że znajdziesz. Ludzie przecież zawsze będą chcieli oglądać telewizję. Jestem pewien, że coś znajdziesz. To dla Pata i dla ciebie do tego momentu.

Mój tato, ekspert od mediów. O telewizji wiedział tyle, że w dzisiejszych czasach nie puszczali nic tak śmiesznego jak

Fawltys Towers, Morecombe and Wise oraz Benny Hill. Wziąłem banknoty, które mi dawał.

Był kiedyś czas, gdy biorąc od niego pieniądze, czułbym się wściekły — wściekły na samego siebie za to, że w moim wieku wciąż potrzebuję od niego pomocy, i jeszcze bardziej wściekły na niego za to, że nadal próbuje grać rolę mojego zbawcy.

Teraz widziałem, że próbuje mi po prostu pokazać, iż jest po mojej stronie.

— Oddam ci te pieniądze — powiedziałem.

— Nie ma pośpiechu — odparł ojciec.

* * *

Gina chciała wracać najbliższym samolotem do domu, ale jej to wyperswadowałem. Ponieważ kiedy w końcu udało mi się nazajutrz do niej dodzwonić, powrót najbliższym samolotem nie był już wcale taki konieczny.

Ominęły ją te straszne minuty, kiedy wieźliśmy Pata do izby przyjęć. Ominęły ją te niekończące się godziny, gdy pijąc herbatę, na którą nie mieliśmy ochoty, czekaliśmy na wyniki badań. Ominęła ją ta chwila, gdy z głową owiniętą bandażami i świetlnym mieczem w rękę usiadł na łóżku obok małej dziewczynki, która straciła wszystkie włosy w wyniku zaaplikowanej jej kuracji.

Ominęły ją to wszystko, ale przecież nie można było jej o to winić. Osobiście winiłem o to tego sukinsyna Richarda.

Kiedy dodzwoniłem się do Giny, wiedzieliśmy już, że Patowi nic nie będzie. Teraz nie chciałem, żeby wracała do domu.

Powtarzałem sobie, że nie chcę, żeby trzymała Pata za rękę, mówiła mu, że wszystko będzie dobrze, a potem znowu go opuściła. Wiedziałem jednak, że w gruncie rzeczy moje motywy nie są wcale takie szlachetne. Gdzie, do cholery, była Gina, kiedy jej potrzebowaliśmy?

— Mogę być u was już jutro — oznajmiła. — Praca może poczekać.

— Nie ma takiej potrzeby — odparłem ze śmiertelnym spokojem. — To było tylko skaleczenie. Fatalne skaleczenie. Ale nic mu nie będzie.

— I tak wkrótce wracam do domu. Nie wiem dokładnie kiedy, ale...

— Nie zmieniaj swoich planów — powiedziałem.

Tylko nas posłuchajcie — sztywni niczym dwoje ludzi nawiązujących znajomość na nudnym przyjęciu. Kiedyś mogliśmy przegadać całą noc, mogliśmy mówić o wszystkim. A teraz przemawialiśmy do siebie jak dwoje nieznajomych, których nigdy sobie porządnie nie przedstawiono. Tylko nas posłuchaj, Gino.

* * *

Cyd stała w progu naszego domu, trzymając pudełko z pizzą.

— Czy to nieodpowiedni moment?

— Nie, skądże. Wejdz.

Weszła do środka i wręczyła mi pudełko.

— Dla Pata. Spaghetti pesto.

— Zielone spaghetti. Jego ulubione. Dziękuję.

— Trzeba je tylko wsadzić do mikrofalówki. Potrafisz to zrobić?

— Chyba żartujesz? Nawet ja wiem, jak używać mikrofalówki. Jedna czy dwie minuty?

— Wystarczy jedna. Pat nie śpi?

— Ogląda telewizję. Dla odmiany.

Ubrany w pizamę z Gwiezdných wojen i szlafrok z kolekcji M & S Pat rozsiadł się na sofie i oglądał reżyserską wersję Powrotu Jedi. Po jego powrocie ze szpitala cały domowy regulamin wylądował w koszu.

— Cześć, Pat — pozdrowiła go Cyd, po czym ukucnęła i pogłaskała go po włosach, ostrożnie omijając wielki plaster przyklepiony z boku czoła. — Jak twoja biedna głowa?

— Dobrze. Trochę swędzą mnie szwy.

— Wcale się nie dziwię.

— Ale wiesz co? Nie trzeba będzie ich zdejmować. Moich szwów.

— Nie?

— Nie, po prostu znikną — oznajmił Pat, spoglądając na mnie w oczekiwaniu potwierdzenia.

— To prawda — powiedziałem. — Rozpuszczą się. To nowy rodzaj szwów.

— Nowy rodzaj — przytaknął Pat, po czym skupił z powrotem uwagę na księżniczce Lei ubranej w skąpy strój konkubiny na dworze Jabby.

— Niezłą ma sukienkę — stwierdziła Cyd.

— Tak — zgodził się Pat. — Jest niewolnicą.

— Mój Boże.

Przez kilka chwil oglądali księżniczkę Leię wijącą się na końcu łańcucha.

— No, zostawiam cię, żebyś się kurował — mruknęła w końcu Cyd.

— Dobrze.

— Cyd przyniosła ci obiad — poinformowałem go. — Zielone spaghetti. Co się mówi?

— Dziękuję — powiedział, posyłając jej swój najbardziej czarujący uśmiech w stylu Davida Nivena.

— Nie ma za co — odparła.

Odprawdzając ją do drzwi, zdałem sobie sprawę, że coś śpiewa mi w duszy. Nie chciałem, żeby odeszła.

— Dziękuję, że wpadłaś — powiedziałem. — Dzięki tobie mam udany dzień.

Obróciła się i spojrzała na mnie tymi osadzonymi szeroko oczyma.

— Mówię serio — dodałem. — To najlepsza rzecz, jaka przytrafiła mi się w ciągu całego dnia. Zdecydowanie.

— Nie rozumiem — stwierdziła.

— Czego nie rozumiesz?

— Dlaczego mnie lubisz? Nawet mnie nie znasz.

— Naprawdę chcesz to wiedzieć?

— Tak.

Powiedziałem jej więc dlaczego.

— Lubię cię, bo jesteś silna, ale nie jesteś twarda. Lubię cię, bo nie słuchasz bzdur, które gadają faceci, lecz mimo to wyjechałaś ze swojego kraju, bo myślałaś, że mężczyzna, dla którego to zrobiłaś, jest tym jedynym.

— Największa pomyłka w moim życiu.

— Być może. Ale podoba mi się, że po tych wszystkich filmach, które oglądałaś jako mała dziewczynka, stałaś się romantyczką.

Roześmiała się i potrząsnęła głową.

— Potrafisz przejrzeć mężczyzn na wylot, lecz mimo to pragniesz znaleźć faceta, z którym mogłabyś dzielić życie — dodałem.

— Kto to powiedział?

— I podoba mi się sposób, w jaki rozjaśnia się twoja twarz, gdy się uśmiechasz. Podobają mi się twoje nogi. Podoba mi się to, że wiesz, jak rozmawiać z czteroletnim dzieckiem. Podoba mi się to, jak się zachowałaś, kiedy byłem w potrzebie. Wszyscy inni stali tylko i się gapili. Ty mi pomogłaś. Chociaż wcale nie musiałaś.

— Coś jeszcze?

— Jesteś piękna.

— Nie jestem wcale piękna.

— Jesteś piękna i dzielna i jestem zazdrosny o każdego mężczyznę, z którym kiedykolwiek się spotykałaś. Co jakiś czas przechodzę obok baru, w którym pracujesz, w nadziei że się na ciebie natknę.

— Tęsknisz za swoją żoną — stwierdziła. — Naprawdę za nią tęsknisz.

— To prawda — przyznałem. — Ale prawdą jest również, że się w tobie zadurzyłem.

— Rany boskie — zachnęła się, potrząsając głową. — Przecież ty mnie w ogóle nie znasz.

Powiedziała to inaczej niż przedtem. Teraz stwierdziła to delikatnym, łagodnym tonem, tak jakby to naprawdę nie była moja wina.

I mówiąc to, przysunęła się trochę bliżej. Przez chwilę przyglądała mi się tymi swoimi oczyma, a potem zamknęła je i dotknęła wargami moich warg.

Odwzajemniłem jej pocałunek.

— Teraz trochę cię znam — powiedziałem.

— Owszem — zgodziła się. — Teraz trochę mnie znasz.

**Część druga — Facet z
dzwoneczkami**

Rozdział 19

Pat szedł do szkoły.

Mundurek, który musiał włożyć, miał mu dodać powagi. Szary sweter z wycięciem w serek, biała koszula oraz żółty krawat miały upodobnić go do małego mężczyzny. Ale nic z tego.

Szkolny strój podkreślał tylko jego niedojrzałość. Zbliżając się do swoich piątych urodzin, Pat nie był jeszcze nawet młody. Nadal był nowy jak spod igły. Mimo że ubrany bardziej oficjalnie niż ja.

Pomagając mu przygotować się do pierwszego dnia szkoły, z zaskoczeniem uświadomiłem sobie, jak bardzo kocham jego buzię. Kiedy był niemowlakiem, nie miałem pojęcia, czy jest naprawdę piękny, czy to tylko dają o sobie znać moje ojcowskie geny. Teraz wiedziałem, że to prawda.

Ze swoimi jasnoniebieskimi oczyma, długimi żółtymi włosami oraz nieśmiałym wstydliwym uśmiechem, który pojawiał się na niewiarygodnie gładkiej twarzy, był naprawdę ślicznym chłopcem.

A teraz miałem wypuścić mojego ślicznego synka na szerokie wody. Przynajmniej do piętnastej trzydziści. Obu nam wydawało się to wiecznością.

Teraz już się nie uśmiechał. Połykając Coco Pops, siedział blady i milczący w swoim pastiszu dorosłego stroju, starając się opanować drżenie podbródka i wysuwając do przodu dolną wargę, podczas gdy ja ani na chwilę nie przestawałem zachwalać najcudowniejszego momentu, jakim jest pierwszy dzień szkoły w życiu młodego człowieka.

Śniadanie przerwał telefon od Giny. Wiedziałem, że niełatwo jej było zadzwonić — tam, gdzie przebywała, wciąż jeszcze trwał w najlepsze dzień pracy — ale wiedziałem również, że musiała zamienić z nim kilka słów w tym wielkim dniu. Patrzyłem, jak rozmawia z matką, w uwierającej go koszuli i krawacie, dziecko, które zmuszono nagle do grania roli mężczyzny.

A potem trzeba było ruszać.

Kiedy podjechaliśmy bliżej szkoły, wpadłem w panikę. Wszędzie roilo się od dzieci, ubranych dokładnie tak samo jak Pat i podążających w tym samym kierunku co my. Mogłem go tam zgubić. Mogłem go zgubić raz na zawsze.

Zatrzymaliśmy się w pewnej odległości od szkoły. Samochody parkowały na drugiego i na trzeciego. Małe dziewczynki z pudełkami na lunch ozdobionymi portretem Leonarda di Caprio gramoliły się z pojazdów drogowych o rozmiarach czołgu pancernego. Więksi chłopcy z płóciennymi workami Manchester United i Arsenal wysiadali ze starych landar. Hałas, jaki wydawało to plemię, o wzroście trzech stóp, był nie do uwierzenia.

Wziąłem Pata za spoconą rękę i zmieszaliśmy się z tłumem. Na boisku zobaczyłem grupkę małych oszołomionych pierwszoklasistów oraz ich podenerwowanych rodziców. Przechodziliśmy właśnie przez bramę, by do nich dołączyć, gdy spostrzegłem, że w jednym z nowych skórzanych czarnych półbutów Pata rozwiązało się sznurowadło.

— Poczekaj, zawiążę ci — powiedziałem, klękając przy nim i uświadamiając sobie, że po raz pierwszy w życiu ma na nogach coś innego niż tenisówki.

Dwóch mijających nas, idących ramię w ramię starszych chłopców posłało nam drwiące spojrzenie. Pat niepewnie się do nich uśmiechnął.

— Nie potrafi nawet zawiązać sznurowadeł! — parsknął jeden z nich.

— Nie — przyznał Pat — ale umiem za to odczytać godzinę. Zaczęli obaj zataczać się ze śmiechu, podtrzymując się, żeby nie upaść, a potem odeszli, powtarzając z niedowierzaniem to, co im powiedział.

— Przecież umiem odczytać godzinę — powtórzył Pat, sądząc, że mu nie uwierzyli.

Mrugając wściekle oczyma, poważnie zastanawiał się, czy się nie rozplakać.

— Potrafisz wspaniale odczytać godzinę — zapewniłem go. Nie mogłem uwierzyć, że naprawdę oddaję mego syna na pastwę całego zła i cynizmu parzywego współczesnego świata. Weszliśmy na boisko.

Wiele rozpoczynających szkołę dzieci miało przy sobie zarówno ojca, jak i matkę. Niemniej nie byłem jedynym samotnym rodzicem. Nie byłem nawet jedynym mężczyzną.

Był jeszcze jeden samotny ojciec, mniej więcej dziesięć lat starszy ode mnie wypluty facet, sprawiający wrażenie biznesmena. Towarzyszył spokojnej małej dziewczynce z tornistrem ozdobionym uśmiechniętymi gębami jakiegoś boybandu, o którym nigdy nie słyszałem. Wymieniliśmy krótkie spojrzenia, a potem stale unikał mojego wzroku, jakby to, na co cierpiałem, mogło okazać się zaraźliwe. Przypuszczam, że jego żona była w pracy. Przypuszczam, że mogła być wszędzie.

Sympatyczna dyrektorka wyszła po nas i zaprowadziła do szkolnej auli, gdzie uraczyła nas krótką optymistyczną mówką. Następnie dzieci przydzielono do poszczególnych klas.

Wychowawczyni Pata nazywała się Waterhouse. Razem z kilkorgiem innych rodziców i nowych dzieci ruszyliśmy do jej klasy w ślad za jednym z zaufanych starszych uczniów, którzy pełnili rolę przewodników. Naszym był mniej więcej ośmioletni chłopiec. Pat wpatrywał się w niego oniemiały z zachwyty.

Po wejściu do klasy grupka pięciolatek usiadła po turecku na podłodze i cierpliwie czekała na bajkę, którą miała im opowiedzieć panna Waterhouse, młoda kobieta o historycznym poczuciu humoru prezentera teleturnieju.

— Witajcie wszyscy — oznajmiła. — Czas już na waszą poranną bajkę. Ale najpierw niech wszyscy powiedzą „do widzenia” swoim mamusiom. I tatusiowi — dodała, zerkając na mnie z uśmiechem.

Musiałem go zostawić. Pamiętałem kilka emocjonalnych pożegnań, zanim wyrzucono go z przedszkola, ale tym razem wyglądało to inaczej. Tym razem miałem poczucie, że to on mnie zostawia.

Zaczynał szkołę i wiedziałem, że opuszczając jej mury, będzie mężczyzną. Ja będę wtedy w średnim wieku. Te długie dni, kiedy oglądaliśmy na wideo Gwiezdne wojny, podczas gdy życie toczyło się gdzie indziej, odchodziły w przeszłość. W swoim czasie wydawały mi się puste i frustrujące, ale już teraz mi ich brakowało. Moje dziecko wkraczało w świat.

Panna Waterhouse poprosiła o zgłaszanie się ochotników, którzy zajęliby się nowymi uczniami. W górę wystrzelił las rąk i nauczycielka wybrała opiekunów. Obok nas stanęła nagle wyjątkowo ładna, poważna dziewczynka.

— Jestem Peggy — przedstawiła się. — Będę się tobą opiekować.

Wzięła Pata za rękę i zaprowadziła go w głąb klasy. Nie zauważył nawet, kiedy wyszedłem.

* * *

Pamiętam, jak zasypiałem na tylnym siedzeniu samochodu ojca, kiedy wyjeżdżaliśmy ze śródmieścia Londynu, wracając do domu z cotygodniowej wizyty u babci albo z corocznej wizyty w Palladium, gdzie oglądaliśmy pantomimę. Nad moją senną głową jarzyły się żółte światła East Endu i estakad prowadzących do autostrady.

— Nie musisz spać, pozwól tylko odpocząć na chwilę oczom — mówiła matka, a ja kładłem się na tylnym siedzeniu i wkrótce usypiało mnie kołysanie samochodu i ciche głosy rodziców.

A potem budziłem się nagle w ramionach ojca. Samochód z włączonym silnikiem stał przed domem, a ojciec niósł mnie, opatulonego w kraciasty koc, który trzymaliśmy w samochodzie na wypady nad morze, do krewnych i do Palladium.

W dzisiejszych czasach byle co potrafi mnie obudzić. Tłukący się po nocy pi-jak, trzaśnięcie samochodowych drzwi, wyjący o mile od domu fałszywy alarm — wszystko to wystarczy, bym się ocknął i potem godzinami wpatrywałem w sufit. Ale kiedy byłem dzieckiem i spałem na tylnym siedzeniu samochodu ojca, nic nie mogło mnie wyrwać ze snu. Prawie się nie budząc, wędrowałem owinięty tym kraciastym kocem do swojej sypialni na piętrze.

Chciałem, żeby Pat miał podobne wspomnienia. Chciałem, żeby czuł się tak samo bezpieczny. Lecz po wyjeździe Giny i sprzedaży naszego starego volkswagena — pieniądze poszły na spłatę hipoteki — Pat podróżował na przednim siedzeniu MGF, skutecznie walcząc ze snem, kiedy wracaliśmy od moich rodziców i do domu mieliśmy godzinę jazdy pustą autostradą.

Chciałem, żeby przejażdżki mojego syna były podobne do tych, które ja sam pamiętałem z dzieciństwa. Ale my podróżowaliśmy bez bagażu.

* * *

Cyd zadzwoniła pod koniec długiego ranka.

— Jak poszło? — zapytała.

Wydawała się autentycznie zatroskana. To sprawiło, że jeszcze bardziej ją polubiłem.

— Nie było łatwo — odparłem. — Podbródek zadrżał, gdy trzeba było powiedzieć „do widzenia”. W oczach stanęły łzy. Ale mówię oczywiście o sobie. Pat zniósł to świetnie.

Cyd roześmiała się i okiem duszy widziałem, jak jej uśmiech rozjaśnia całą knajpę, gdzie pracowała, czyniąc z niej jedyne w swoim rodzaju miejsce.

— Potrafię cię rozśmieszyć — stwierdziłem.

— Tak, ale teraz muszę wracać do pracy. Bo nie będziesz przecież płacił za mnie moich rachunków.

To była szczerza prawda. Nie byłem w stanie uregulować nawet własnych rachunków.

* * *

Ojciec towarzyszył mi, gdy przyjechałem po Pata pod koniec pierwszego dnia szkoły.

— Dzisiaj należą się specjalne względy — oświadczył, parkując swoją toyotę przy bramie szkoły. Nie wyjaśnił, czy specjalne względy należą się Patowi, czy mnie.

Kiedy o wpół do czwartej dzieci wybiegły na dwór, przekonałem się, że na pewno nie zgubi się w tłumie. Nawet pośród setki ubranych mniej więcej tak samo malców człowiek potrafi z odległości mili rozpoznać swoje dziecko.

Towarzyszyła mu Peggy, dziewczynka, której opiece go powierzono. Mała zerknęła na mnie oczyma, które wydawały się dziwnie znajome.

— No i jak ci się podobało? — zapytałem, bojąc się, że oświadczy, iż udusi się własnym językiem, jeśli będzie musiał tam kiedykolwiek wrócić.

— Wiesz co? Wszystkie nauczycielki mają tak samo na imię — odparł. — Wszystkie nazywają się panna.

Mój stary wziął go na ręce i pocałował. Zastanawiałem się, kiedy Pat zacznie się oganiać przed naszymi całusami. A potem pocałował moją tatę w twarz — jednym z tych siarczystych gorących pocałunków, których nauczył się od Giny — i zorientowałem się, że zostało nam jeszcze trochę czasu.

— W bagażniku mam twój rower — oznajmił tato. — W drodze do domu możemy zahaczyć o park.

— Czy Peggy może z nami pojechać? — zapytał Pat. Spojrzałem na dziewczynkę o poważnych oczach.

— Oczywiście, że może — odparłem. — Ale najpierw musimy spytać mamę albo tatę Peggy.

— Moja mama jest w pracy — poinformowała mnie dziewczynka. — Tato też.

— Więc kto po ciebie przyjdzie?

— Bianca — wyjaśniła. — Moja opiekunka. Chociaż wcale nie jestem już małym dzieckiem.

Peggy rozejrzała się dookoła, lustrując wzrokiem rodziców przybyłych po swoje pociechy. Po krótkiej chwili rozpoznała twarz, której szukała. Przez tłum przepychała się, szukając swojej podopiecznej, kilkunastoletnia dziewczyna z papierosem w ustach.

— To Bianca — oznajmiła, wskazując ją, mała.

— Chodź, Peggy — powiedziała dziewczyna, biorąc ją za rękę. — Wracamy do domu.

Pat i Peggy przez chwilę patrzyli na siebie.

— Jedziemy teraz na jakąś godzinę do parku — zwróciłem się do Bianki. — Peggy może z nami pojechać. Ty oczywiście też.

Dziewczyna potrząsnęła obcesowo głową.

— Musimy iść — stwierdziła.

— W takim razie do jutra — powiedziała Peggy do Pata.

— Tak — odparł.

Peggy uśmiechnęła się do niego. Bianca pociągnęła ją w stronę przeredzającego się tłumu.

— Zobaczę się z nią jutro — oznajmił Pat. — W mojej szkole.

Miał brudne ręce, farbę na twarzy i coś, co wyglądało na okruchy kanapki z jajkiem w kąciку ust. Ale czuł się świetnie. Ze szkołą nie powinno być żadnych problemów.

* * *

Kolejna różnica między mną a moim starym. Po tym jak Pat wpadł do pustego basenu, najchętniej nigdy w życiu nie oglądałbym już tego roweru. Ale ojciec, w trakcie tego trwającego wieczność oczekiwania w szpitalu, pojechał do parku i odzyskał bluebella.

Rower leżał dokładnie tam, gdzie go zostawiliśmy, na dnie basenu, nieuszkodzony, z wyjątkiem skrzywionej kierownicy. Z radością wyrzuciłbym go do najbliższego kontenera na śmieci. Ale ojciec chciał, żeby Pat znowu zaczął na nim jeździć. Nie zamierzałem się spierać. Pomyślałem, że nie będę wyręczał w tym małego.

Mimo to kiedy ojciec wyjął bluebella z bagażnika toyoty, mój syn najwyraźniej się ucieszył.

— Wyprostowałem kierownicę — poinformował go dziadek. — Trzeba ją tylko trochę pomalować. To potrwa nie dłużej niż minutę. Jeśli chcecie, mogę to dla was zrobić.

Wiedział, że nie trzymałem w ręku pędzla, odkąd wylano mnie z zajęć wychowania plastycznego.

— Sam mogę ją pomalować — stwierdziłem ponuro. — Włóż kurtkę, Pat.

Zaczynał się wrzesień i w powietrzu czuć było pierwszy chłodny powiew jesieni. Pomogłem Patowi włożyć kurtkę i naciągnąłem mu na głowę kaptur, obserwując, jak na widok swojego roweru uśmiecha się od ucha do ucha.

— Jeszcze jedno — oznajmił ojciec, wyjmując mały srebrny klucz ze swojego zestawu narzędzi samochodowych. — Moim zdaniem czas już, żeby taki duży chłopiec jak Pat przestał jeździć z bocznymi kółkami.

Taki był mój stary w wieku siedemdziesięciu lat — twardy, miły, pewny siebie, uśmiechający się z bezgraniczną czułością do swojego wnuka. Mimo to budziła we mnie bunt jego filozofia spod znaku „zrób to sam”, jego męska skuteczność, jego absolutna pewność, że potrafi nagiąć świat do swojej woli. No i niedobrze mi się robiło na widok tego roweru.

— Jezu, tato — jęknąłem. — Dopiero co spadł z tego cholernego rzęcha, a ty chcesz, żeby wyczyniał jakieś akrobacje na jednym kole.

— Jak zwykle przesadzasz — stwierdził ojciec. — Zupełnie jak twoja matka. Nie chcę, żeby wyczyniał jakieś akrobacje... cokolwiek przez to rozumiesz. Chcę tylko, żeby spróbował jeździć bez bocznych kółek. To mu dobrze zrobi.

Powiedziawszy to, przykucnął i zaczął odkręcać małe kółka. Patrząc, jak sprawnie posługuje się kluczem, uświadomiłem sobie, że przez całe życie miałem okazję oglądać, jak wykonuje wszelkiego rodzaju domowe prace, najpierw w jego, potem w moim domu. Kiedy nawalały lampy albo zaczynał przeciekać dach, Gina i ja nie sięgaliśmy po książkę telefoniczną. Dzwoniliśmy do mojego taty.

Zepsuty bojler, zapchane ryny, dziura w dachu — żadne zadanie nie było trudne dla jego utrzymanej w nienagannym stanie skrzynki z narzędziami. Uwielbiał, kiedy Gina wychwalała go po skończonej pracy — zawsze trochę mu się podlizywała, ale on i tak by to zrobił. Ojciec był tym, co moja matka określała mianem „złotej rączki”. Ja stanowiłem jego kompletne przeciwieństwo. Miałem „dwie lewe ręce”.

A teraz widziałem, jak twarz Pata blednie ze strachu, kiedy tato usuwał boczne kółka z jego roweru. Przez chwilę byłem bliski wybuchu, lecz potem się opanowałem. Ponieważ wiedziałem, że jeśli zacznę mówić, będę musiał przypomnieć wszystko, co dzieliło nas w ciągu minionych trzydziestu lat — moje lenistwo przeciw jego sprawności, moja nieśmiałość przeciw jego kultowi męskości, moje pragnienie spokojnego życia przeciw jego determinacji, żeby zawsze postawić na swoim.

Nie chciałem tego wszystkiego wywlekać przy Pacie. Nie dzisiaj. I w ogóle nigdy. Dlatego patrzyłem w milczeniu, jak ojciec pomaga wsiąść na rower mojemu synowi.

— Tylko spróbujemy — przemawiał do niego kojącym tonem. — Jeśli ci się nie spodoba, możemy zaraz przestać. Możemy od razu się zatrzymać. Dobrze, kochanie?

— Dobrze, dziadku.

Ojciec chwycił jedną ręką siodło, a drugą kierownicę roweru. Pat zacisnął na niej dłoń, jakby zależało od tego jego życie, oparł stopy w lekko już zdartych szkolnych butach o pedały i zaczął nimi niechętnie kręcić. Nadąsany ruszyłem w ślad za nimi i wspólnie zaczęliśmy pokonywać porośniętą trawą wzniesienia i spadki.

— Trzymasz? — pytał niespokojnie Pat.

— Trzymam — zapewniał go mój tato.

— Czy możecie zaopiekować się Patem w sobotę wieczorem? — zapytałem.

— W sobotę wieczorem? — powtórzył, jakby to była dziwaczna prośba; jakbym świetnie wiedział, że w sobotę wieczorem lubią oboje wyskoczyć na tańce i zaprawić się paroma tabletkami Ecstasy.

— Tak, muszę gdzieś wyjść.

— Oczywiście — odparł. — Zawsze możemy się nim zaopiekować. To ma jakiś związek z pracą?

— To nie ma nic wspólnego z pracą, tato. W tej chwili nigdzie nie pracuję, pamiętasz? Idę na randkę z dziewczyną. — Nie zabrzmiało to najlepiej. — Z kobietą. — To też nie zabrzmiało zbyt dobrze.

Myślałem, że słysząc to, zatrzyma się, ale on kroczył pochylony dalej, trzymając rower Pata i depcząc stokrotki i psie kupy.

— Kto to jest? — zapytał.

— To tylko znajoma. Może pójdziemy do kina.

Tym razem przystanął i masując grzbiet, wyprostował się, żeby zmierzyć mnie wzrokiem.

— Uważasz, że to odpowiednie zachowanie dla kogoś w twojej sytuacji?

— Pójdzie do kina? Nie widzę, dlaczego miałbym nie chodzić do kina.

— Nie mówię o kinie. Mówię o randce z obcą kobietą zaraz po tym, jak... — przerwał i skinął głową w stronę kaptura Pata. — No wiesz.

— Ona nie jest wcale obca — stwierdziłem. — A poza tym idziemy tylko do kina. Nie bierzemy w tajemnicy ślubu.

Ojciec potrząsnął głową, zgorszony tym, ku czemu zmierza dzisiejszy świat.

— Nie obchodzi mnie, co masz zamiar zrobić — oznajmił i ponownie wskazał na Pata. — Obchodzi mnie, co z nim będzie. Ta dziewczyna... czy to coś poważnego?

— Nie wiem, tato. Czy możemy odbyć spokojnie pierwszą randkę, zanim ogłosimy zaręczyny?

Udawałem urażonego i niewinnego. Prawdę mówiąc, spodziewałem się jednak, że moja randka wprawi go w zakłopotanie i trochę przerazi. Nie miałem go wcale zamiaru zranić. Chciałem mu tylko przypomnieć, że mam już trzydzieści lat i w moim przypadku nie może decydować, w którym momencie mam odkręcić kółka od roweru.

Dotarliśmy do pasa asfaltu okalającego obskurną scenę.

— Jesteś gotów? — zapytał ojciec, zwracając się do Pata.

— Gotów — odparł mój syn tonem, który świadczył o czymś dokładnie przeciwnym.

— Trzymam cię — oznajmił ojciec, przyspieszając kroku. — Będę cię przez cały czas trzymał. Tylko się wyprostuj. I pedału.

— Dobrze. Trzymasz mnie?

— Trzymam!

Ruszyli po asfalcie — Pat z twarzą schowaną pod kapturem kurtki i mój ojciec zgięty w pół przy jego boku — niczym mały elf ścigany przez garbusa. Chwilę później ojciec puścił rower.

— Trzymasz mnie, dziadku?

— Trzymam! — odkrzyknął, kiedy Pat zostawił go w tyle. — Pedałuj! Trzymam cię!

Jego małe nóżki kręciły jak szalone pedałami. Rower zachybotał się niebezpiecznie, gdy wjechał w kałużę, ale potem wyprostował się i nabrał prędkości.

— Udało ci się! — krzyknął mój tato. — Udało ci się, Pat! Obejrzał się w moją stronę i obaj głośno się roześmieliśmy.

Podbiegłem do niego, a on objął mnie ramieniem. Pachniał Old Spice'em i tytoniem Old Holborn.

— Patrz, jak zasuwają! — powiedział z dumą.

Rower dotarł do końca asfaltu, podskoczył i potoczył się dalej po trawie. Pat jechał teraz trochę wolniej, lecz wciąż kręcił wściekle pedałami, zbliżając się do linii drzew.

— Nie odjeżdżaj za daleko! — krzyknąłem.

Ale on mnie nie słyszał. Zniknął w cieniu starych dębów niczym jakaś wracająca do swojej jamy zakapturzona leśna istota.

Ja i ojciec spojrzeliśmy po sobie. Teraz już się nie śmieliśmy. Ślizgając się po mokrej trawie i wołając go po imieniu, pobiegliśmy za Patem.

Chwilę później ukazał się ponownie, pędząc nonszalancko w naszą stronę i uśmiechając się od ucha do ucha ze zsuniętym z głowy kapturem.

— Zobacz, co potrafię — zawołał z dumą, stając na moment w strzemionach bluebella, a potem się zatrzymując.

— Wspaniale, Pat — powiedziałem. — Ale nie odjeżdżaj w ten sposób, dobrze? Zawsze bądź w zasięgu wzroku.

— Co się stało dziadkowi? — zapytał.

Mój ojciec opierał się o drzewo, ściskając się za pierś i łapiąc kurczowo oddech. Krew odpłynęła mu z twarzy i zobaczyłem w jego oczach coś, czego nie widziałem nigdy przedtem. To mógł być strach.

— Nic mi nie jest — wyrzeźił.

— Dziadku? — zawołał Pat.

— Dziadkowi nic nie będzie.

Po dłuższej desperackiej minucie udało mu się wciągnąć trochę powietrza do płuc. Wciąż ciężko dysząc, zbył śmiechem zatroskane spojrzenia syna i wnuka.

— Po prostu się starzeję — stwierdził. — Za stary już jestem na bieganie po lesie.

I wydawało mi się, że to jest właśnie to — starość dopadająca człowieka, który tyle wycierpiał w młodości. Odkąd pamiętam, z jego twardego starego ciała wydobywały się małe odłamki szrapnela, poszarpane i czarne. Co rok w lecie oglądaliśmy tę wielką gwiaździstą bliznę na jego boku. Wszystkie te cierpienia i urazy musiały w końcu wcześniej czy później odbić się na jego zdrowiu.

Ale myliłem się. To nie była przeszłość. To dawała o sobie znać przyszłość.

— Nie martwcie się o mnie — powiedział ojciec. — Nic mi nie jest. Wracajmy do domu.

Ruszyliśmy więc z powrotem do jego samochodu w wydłużających się cieniach wrześnieowego popołudnia. Pat jechał na rowerze przed nami, a mój stary nucił You Make Me Feel So Young, szukając pociechy i otuchy u Deana Martina, u swojego własnego prywatnego Sinatry.

Rozdział 20

Kiedy człowiek pozostaje z kimś w bliskich stosunkach, które jego zdaniem będą trwały wieki, nigdy nie przyjdzie mu do głowy, że pewnego dnia będzie brał trzeci w ciągu kilku godzin prysznic i szykował się do randki.

Wydaje mu się, że podobnie jak dawanie rzeczy do prania mamie oraz pożyczanie pieniędzy od taty, wszystkie te nerwowe łazienkowe rytuały ma już dawno za sobą.

Nigdy nie sądzi, że nadejdzie ponownie czas, gdy kwestię osobistej higieny będzie traktował z takim samym fanatyzmem jak piętnastolatek w stanie permanentnej erekcji. Że znów będzie sterczał przed lustrem, próbując coś zrobić ze swoimi włosami. Że będzie szorował zęby, które są już idealnie czyste. I że będzie robił wszystkie te rzeczy, aby posiedzieć dwie godziny po ciemku ze świeżo poznaną osobą płci przeciwnej.

To straszne. Randka to zajęcie dla młodzieży. Z upływem czasu wychodzi się z wprawy. Można nie być już w tym takim dobrym.

Wychodząc na miasto z kimś, kogo zna się od niedawna, używa się innej części mózgu aniżeli z osobą, z którą jest się związanym węzłem małżeńskim. Używa się innych mięśni. Więc może to nic dziwnego, że kiedy zaczyna się ich ponownie używać, wydają się nieco zeszywniałe.

Dwoje dorosłych angażuje się w te charakterystyczne dla nastolatków rytuały godowe — zabiegi upiększające, spotkanie się o umówionej godzinie, wycucie, co wolno zrobić już teraz, z czym trzeba jeszcze chwilę poczekać, a czego nie wolno będzie zrobić nigdy. Powrót do czegoś takiego po długim wspólnym życiu z kimś innym może być naprawdę trudny. Nie okazał się jednak trudny z Cyd.

Dzięki niej okazał się łatwy.

* * *

— To naprawdę ważne, jaki obejrzymy wspólnie pierwszy film — powiedziała. — Wiem, że jesteśmy tylko znajomymi i w ogóle, ale wybór filmu jest naprawdę ważny.

Zrobiłem minę, jakbym doskonale wiedział, o czym mówi.

— Mnóstwo ludzi nie chce ryzykować w trakcie pierwszej randki. Idą na film sezonu. Wiesz, jeden z tych filmów, na których Nowy Jork jest niszczone przez kosmitów, falę przyływu, wielką małą albo coś w tym rodzaju. Myślą, że taki film gwarantuje dobrą zabawę. Ale film sezonu to zły wybór.

— Tak sądzisz?

Cyd potrząsnęła głową.

— Tak naprawdę nikt nie bawi się dobrze na takich filmach z wyjątkiem trzynastoletnich dzieciaków w Idaho. Działa tu prawo osłabionego wrażenia. Kiedy widziałeś już raz walący się w gruzy Empire State Building, nie musisz tego ponownie oglądać.

Zaczynałem powoli pojmować, o co jej chodzi.

— Spodziewasz się, że ziemia rozstąpi ci się pod stopami — powiedziałem. — Ale w końcu ziewasz, kiedy kosmici rozwalają Biały Dom.

— Wybór filmu sezonu świadczy o tym, że masz naprawdę niskie oczekiwania — oświadczyła, zerkając na mnie, kiedy mijaliśmy Angel, przeciskając się przez popołudniowe korki. — W każdej dziedzinie. Świadczy, że twoim zdaniem życie sprowadza się do kubeczka stęchłego popcornu i kubka dietetycznej coli. Że to jest wszystko, na co można mieć nadzieję.

Próbowałem sobie przypomnieć pierwszy film, jaki obejrzałem razem z Giną. To był coś ambitnego i japońskiego w Barbican. Coś o ludziach w depresji.

— Artystyczne kino jest tak samo niedobre — stwierdziła Cyd, czytając chyba w moich myślach. — Oznacza, że oboje udajecie ludzi, którymi prawdopodobnie nie jesteście.

— Pomyśl tylko o wszystkich tych parach na całym świecie, których pierwszym filmem był Titanic — powiedziałem. — O tych pączkujących uczuciach, skazanych na zagładę, zanim zdążą się rozwinąć. Zanim jeszcze wypłyną z portu.

Szturchnęła mnie w ramię.

— To nie są żarty — prychnęła. — Jedna z moich przyjaciółek w Stanach wyszła za mąż za faceta, który na pierwszej randce zabrał ją na Muchę.

— I później zmienił się w robala?

— Tak jakby — odparła. — Z całą pewnością się zmienił. Na gorsze.

— Więc co chcesz zobaczyć? — zapytałem.

— Zaufasz mi?

— Zaufam.

Chciała obejrzeć jeden z tych filmów, które puszczają co rok na Boże Narodzenie. Jeden z tych filmów, o których sądziłem, że oglądałem je już dziesiątki razy. Chociaż w rzeczywistości pewnie nie widziałem ani razu.

Nie wiem, dlaczego wyświetlali Życie jest cudowne w National Film Theatre na południowym brzegu Tamizy. Może szedł tam przegląd filmów Franka Capry, a może przegląd filmów Jamesa Stewarta. Może mieli odnowioną, cyfrowo podrasowaną, świeżo zrobioną kopię. Nie wiem i nie ma to większego znaczenia. Na

ten film poszliśmy w nasz pierwszy wspólny wieczór. I na początku wydawał się dość marny.

Efekty specjalne pochodziły z epoki pary i elektryczności. Na rozgwieżdzonym firmamencie, który najwyraźniej był zamalowanym na czarno arkuszem tektury z zapaloną z tyłu latarką, jakieś anioły — albo raczej niebiańskie istoty symbolizowane przez dziurki w tekturze — dyskutowały o George’u Baileyu, filarze miejscowej społeczności, oraz o jego randce z przeznaczeniem.

Kiedy akcja przeniosła się do małego amerykańskiego miasteczka w okresie świąt Bożego Narodzenia, zatęskniłem nagle za kosmitami, falą przyływu albo wielką małą, która pojawiłaby się i rozwalila wszystko w drobny mak. O ile teoria Cyd o znaczeniu pierwszego wspólnego filmu była słuszna, powinniśmy się cieszyć, jeśli dotrwamy razem do końca wieczoru.

Ale potem, gdy wszystkie marzenia i nadzieje Jamesa Stewarta rozsypały się w gruzy, zorientowałem się, że coraz bardziej wciąga mnie ta historia człowieka, który zapomniał, po co żyje.

Film był o wiele bardziej gorzki, niż zapamiętałem, kiedy migotał w czerni i bieli w moim wielobarwnym dzieciństwie, wciśnięty między Top of the Pops i przyrządzone przez mamę kanapki z indykiem.

W miarę rozwoju akcji James Stewart obraża przez telefon jedną z nauczycielek swoich dzieci i dostaje w barze w zęby od jej męża. Ma do swojej kochającej żony pretensje o to, że nie może przez nią podróżować po świecie. I co najbardziej irytujące, źle traktuje swoje dzieci — jest w stosunku do nich arogancki i opryskliwy. Wiadomo jednak, że nie robi tego dlatego, że za mało je kocha. Robi to, ponieważ tak mocno je kocha.

Cyd wyciągnęła w ciemności rękę i uścisnęła moją dłoń.

— Nie przejmuj się — powiedziała. — Wszystko dobrze się skończy.

* * *

Kiedy wyszliśmy z kina, było jeszcze jasno, ale dzień już się kończył. Kupiliśmy pizzę w kafeterii NFT i zjedliśmy ją przy jednym z tych długich stołów, które trzeba dzielić z innymi ludźmi, dzięki czemu człowiek znowu czuje się jak w studenckich czasach.

NFT mieści się w szkaradnym budynku, który wzniesiono w pięknej części miasta. Betonowy blok w przyciężkim stylu lat sześćdziesiątych wyrósł tam, gdzie Tamiza skręca na południe w cieniu mostu Waterloo, naprzeciwko światła bulwaru Victorii i katedry Świętego Pawła. Tam właśnie Cyd opowiedziała mi o swoim dzieciństwie, które spędziła w domu pełnym filmów i kobiet.

— Pierwszym filmem, który obejrzeli razem moi rodzice, było Przemięło z wiatrem — oznajmiła. — Kiedy mój tato umarł, mama obejrzała go sama szesnaście razy. Robiła to nawet częściej, ale próbowała go sobie racjonować.

Cyd była najmłodszą z czterech sióstr. Jej matka pracowała jako pielęgniarka w Texas Medical Center — „gdzie grube szczy przychodziły, żeby naprawić im serce” — a ojciec jeździł ciężarówką na polach naftowych.

— Houston to miasto nafcjarzy — wyjaśniła. — Kiedy ceny ropy idą w górę, życie jest słodkie. Kiedy spadają, zaciskamy pasa. Ale zarówno w dobrych, jak i w złych czasach, dla biednych i bogatych, Houston jest zawsze miastem nafcjarzy.

Sądząc z tego, co opowiadała, dla jej rodziców nigdy nie skończył się miodowy miesiąc. Nawet mając cztery dorosłe córki, trzymali się za ręce w miejscach publicznych, dawali sobie po kwiatku i zostawiali miłosne liściki w pudełkach na lunch.

— Kiedy miałam dwanaście lat, wprawiało mnie to w zakłopotanie — przyznała. — Teraz strasznie mi się podoba. Podoba mi się, że tak bardzo się kochali. Wiem, co sobie myślisz: że może wcale tacy naprawdę nie byli, że może tylko takimi ich zapamiętałam. Może grali sobie na nerwach i na siebie warczeli. Ale ja wiem swoje. Szaleli na swoim punkcie. Dokonali właściwego wyboru.

A potem pewnej niedzieli, kiedy Cyd siedziała z koleżankami w koktajlbarze w centrum handlowym, przyszła tam jej starsza siostra i powiedziała, że ojciec zmarł na atak serca.

— Moja mama nie postarzała się z dnia na dzień - mówiła Cyd. — To nie było tak. Po prostu wycofała się jakby w przeszłość. Może uznała, że wszystko, co najlepsze, ma już za sobą. Nadal chodziła do pracy. Nadal gotowała nam posiłki. Ale teraz oglądała mnóstwo starych filmów. I niektóre pozycje z jej kolekcji wideo wywarły na mnie duży wpływ. Kiedy spotkałam tego faceta, z którym przyjechałam do Anglii, sądziłam, że to wykapany Rhatt Butler.

Zawsze czuję się nieswojo, kiedy rozmowa schodzi na czyjegoś dawnego partnera. Wszystkie te nadzieje, które spełzły na niczym, wszystkie rany, które się nie zagoiły, cała gorycz i rozczarowanie, kiedy widzisz, jak twoja miłość ląduje na śmietniku — to może odebrać urok całemu wieczorowi. Ona też to chyba wyczuła i zmieniła temat, przybierając ton rozszczebiotanej przewodniczki.

— Czy wiesz, że „Houston” było pierwszym słowem, które wypowiedziano na Księżycu? — zapytała. — To fakt. Neil Armstrong powiedział do centrum kontroli lotu: „Houston, tu baza na Morzu Spokoju. Orzeł wylądował”.

— Dopóki cię nie poznałem, nigdy tak naprawdę nie myślałem o Houston — stwierdziłem. — Nie należy do tych amerykańskich miast, których obraz ma się przed oczyma.

— Tam jest zupełnie inaczej niż tutaj — powiedziała. — Jeśli coś ma dwie warstwy farby, to już antyk. Przy drogach stoją bary, które nazywają lodziarniami, i wszystkie kobiety wyglądają tam, jakby właśnie wyszły z piosenki Hanka Williamsa. Ale jeśli jesteś młody, w sobotni wieczór idziesz do Yucatan Liquor Store, gdzie dziewczęta starają się wyglądać jak Pamela Anderson, a chłopcy nie mogą nic poradzić na to, że wyglądają jak Meatloaf.

— Przypomina mi to trochę Essex — mruknąłem. — Więc gdzie spotkałaś tego Anglika?

— W Yucatan Liquor Store. W sobotni wieczór. Zapytał mnie, czy chcę się czegoś napić, a ja odpowiedziałam, że nie. Wobec tego zapytał, czy chcę zatańczyć, i odpowiedziałam, że tak. Pracował w Houston jako kurier. Taki ma zawód. Dostarcza różne rzeczy, jeżdżąc motocyklem. Coś w rodzaju listonosza z klasą. Naturalnie bardzo mi to zaimponowało.

— Ale nie okazał się raczej Rhettem Butlerem?

— No wiesz... nawet Clark Gable nie okazał się Rhettem Butlerem.

— Mimo to przyjechałaś z nim do Londynu?

— Zgadza się.

— Dlaczego tam nie zostaliście? Wywalili go?

— Och, nie. Wzięliśmy ślub. Dostał zieloną kartę. Wiesz, że zielona karta jest w rzeczywistości różowa?

Pokręciłem głową.

— Nas też to zdziwiło. Musieliśmy odpowiadać na pytania w urzędzie imigracyjnym, który sprawdza, czy ludzie naprawdę się kochają. Pokazywaliśmy im nasze zdjęcia ślubne i nie było z tym problemu. Mogliśmy tam zostać na zawsze. — Cyd zamyśliła się. — Moim zdaniem poczuł, że powinien coś zrobić ze swoim życiem. W Ameryce jest coś, co sprawia, że człowiek czuje się nieudacznikiem. Więc przyjechaliśmy tutaj.

— I co poszło źle?

— Wszystko. On lubił bambus. Wiesz, co to znaczy? Potrząsnąłem głową.

— To jakiś narkotyk?

— Nie. A właściwie na swój sposób tak. To znaczy, że lubił Azjatki. I wciąż lubi. Zawsze je będzie lubił.

— Azjatki?

— No wiesz... Koreanki, Chinki, Japonki, Filipinki. W gruncie rzeczy nie był zbyt wybredny, co jest może nawet trochę obraźliwe dla Azjatek, które między sobą mogą się różnić tak jak Szwedka od Turczynki. Ale jemu było autentycznie wszystko jedno, byle były Azjatkami. Tej nocy, kiedy się spotkaliśmy, był w Yucatan z małą Wietnamką. W Houston mamy dużo Wietnamczyków.

— Azjatki? Masz na myśli skośnookie?

— Nie mówi się już skośnookie. To obraźliwe... jak Murzyn albo stewardesa. Musisz mówić Afro-Amerykanin albo personel lotniczy. Azjaci zamiast skośnokich.

— Azjaci kojarzy mi się raczej z Indiami.

— Przykro mi, proszę pana. Tak właśnie należy mówić.

— Co w nich takiego lubił?

— Może fakt, że się od niego różnią. Że wyglądają zupełnie inaczej. Potrafię to zrozumieć. Cały heteroseksualizm polega przecież na tym, że ciągnie cię do kogoś, kto różni się od ciebie wyglądem.

— No więc jeśli lubił Azjatki... jeśli ten facet, który nie był Rhettem Butle-rem, lubił bambus... dlaczego polubił ciebie?

— Zabij mnie. Wydaje mi się, że to była aberracja. Śnieg w środku lata. Nie wiem.

Odgarnęła z czoła czarną grzywkę i spojrzała na mnie tymi swoimi szeroko osadzonymi brązowymi oczyma. Teraz, kiedy o tym wspomniała, dostrzegłem, że komuś, kto lubił bambus, mogła się spodobać. W pewnym oświeceniu.

— Byliśmy ze sobą przez dwa lata — powiedziała. — Rok tam i rok tutaj. A potem wrócił do starych zwyczajów. Albo ja odkryłam, że wrócił do starych zwyczajów. Z malajską studentką, którą spotkał w parku. Pokazał jej Londyn... i kilka innych rzeczy. Nie był złym facetem. Nadal nie jest zły. Po prostu źle wybrałam. A co z tobą?

— Ze mną?

— Tak, co się stało z twoim małżeństwem?

Próbowałem ustalić, co się stało z Giną i ze mną. Wiedziałem, że to ma coś wspólnego ze starzeniem się, traktowaniem pewnych rzeczy jako oczywistość i wrażeniem, że życie przecieka między palcami. Może mógłby mi to wyjaśnić James Stewart.

— Naprawdę nie wiem, co się stało — przyznałem. — Na krótki moment się zapomniałem.

— A, rozumiem — mruknęła. — Chcesz powiedzieć, że zrobiłeś skok w bok?

— Nie chodzi tylko o to. Ale od tego się zaczęło. Po prostu nie wiem, jak to wyjaśnić. Pozwoliłem jakby, żeby zgasło światło.

Wpatrywała się we mnie przez chwilę, a potem pokiwała głową.

— Chodźmy popatrzeć na iluminację — powiedziała. Było już ciemno. Oświetlony na całej długości drugi brzeg wyglądał jak sznur pereł. Rano oczom ludzi miały się ukazać szare biurowce i kolejne korki — miasto, które tyrało ciężko, żeby spłacić czynsz. Ale tej nocy widok był piękny.

— Wygląda jak na Boże Narodzenie — stwierdziła, biorąc mnie za rękę.

Faktycznie tak wyglądało. Ja też miałem wrażenie, jakby zbliżało się Boże Narodzenie.

— Mam zamiar z tobą zaryzykować — powiedziała.

Rozdział 21

Kiedy odpalająca papierosa od papierosa opiekunka uwierzyła w końcu, że nie ukradniemy Peggy, mała dostała pozwolenie, by odwiedzić na kilka godzin Pata w domu.

— Patrz, co mam — oświadczyła, pokazując mi małego mężczyznę z plastiku. Ubrany w białe satynowe spodnie, błyszczącą srebrzystą kamizelkę i coś, co przypominało fioletowy smoking, wydawał się bardzo zadowolony z siebie. — Disco Ken — przedstawiła go. — To przyjaciel Barbie. Chodzi z nią na dyskotekę.

Zabawne było oglądać ich bawiących się razem. Pat chciał zniszczyć Gwiazdę Śmierci. Peggy chciała zawiesić firanki w Sokole Milenium.

Podniecony do granic hysterii tym, że przyjmuje przyjaciółkę we własnym salonie — choć jednocześnie mało zainteresowany Disco Kenem — Pat objął się o meble, wymachując nad głową swoim świetlnym mieczem.

— Nigdy nie dołączę do ciebie po Ciemnej Stronie! — krzyczał.

Peggy przyglądała mu się przez chwilę swymi poważnymi ciemnymi oczyma, a potem zaczęła ustawiać małe figurki z Gwiezdných wojen wokół oklejonego taśmą po awaryjnym lądowaniu na kaloryferze Sokoła Milenium, tak jakby siedziały na podwieczorku w Ritzu.

Natura czy wychowanie? Wiedziałem, że Pata nikt nie zachęcał do brutalnych zabaw — prawdę mówiąc, odgrywane przez niego bez końca krwawe jatki wprawiły mnie często w zakłopotanie.

W wieku niecałych pięciu lat był w gruncie rzeczy łagodnym kochanym dzieckiem, zbyt słodkim na brutalne przepychania na podwórku. Dokuczano mu trochę, ponieważ po szkole przy bramie nie czekała na niego matka, i żaden z nas nie wiedział jeszcze, jak sobie z tym poradzić.

Peggy była zupełnie inna. Mając pięć i pół roku, była silną, pewną siebie dziewczynką, której najwyraźniej nic nie mogło zbić z tropu ani przestraszyć. Nigdy nie widziałem śladu lęku w tych poważnych brązowych oczach.

Pat nie był stworzony do myślistwa i zbieractwa, a Peggy do robienia dżemów i szydełkowania. Ale kiedy dano im do rąk zabawki z Gwiezdných wojen, reagowali zgodnie ze stereotypami swojej płci. Peggy nie interesowała po prostu zabawa w śmierć i destrukcję. A Pata nie interesowało nic innego.

Mimo to świetnie czuli się w swoim towarzystwie. Pat zawisł na oparciu sofy, uśmiechając się z miłością i podziwem, gdy Peggy przesuwała małe figurki księżniczki Lei, Hana Solo oraz Luke’a Skywalkerera wokół plastikowych rakiet, które zaliczyły miliony mil w nadprzestrzeni.

— Gdzie jest twoja mama? — zapytała go Peggy.

— Za granicą — odparł Pat. — A twoja?

— Pracuje. Bianca odbiera mnie ze szkoły, ale nie wolno jej palić w mieszkaniu. Dlatego jest w złym humorze.

W życiu Peggy najwyraźniej nie występował żaden mężczyzna, lecz w tym momencie trudno mi było to komentować. Zastanawiałem się, co to za jeden — prawdopodobnie jakiś kretyn, który zwinął się, kiedy poproszono go, żeby kupić opakowanie jednorazowych pieluszek.

Zabrzączał dzwonek. Kiedy otworzyłem drzwi, stał za nimi jeden z tych młodych ludzi, którzy nie mają pracy, ale nadal nie porzucili nadziei. Podziwiam ich hart ducha i zawsze próbuję wspierać, kupując irchowe ściereczki albo worki na śmieci. Ten jednak nie miał ze sobą typowej walizeczki akwizytora.

— Przepraszam, że przeszkadzam — oznajmił. — Jestem Eamon. Eamon Fish.

W pierwszej chwili w ogóle nie załapałem. Człowiek w mieście tak bardzo przyzwyczajają się do nachodzenia przez zupełnie obcych ludzi, że doznaje szoku, kiedy do drzwi dzwoni ktoś, kto pojawił się już wcześniej w jego życiu.

Ale oczywiście — to był Eamon Fish, młody komik, który za rok powinien występować w reklamach piwa i sypiać z panienkami zapowiadającymi pogodę. Za rok albo za miesiąc. A może już w przyszłym tygodniu. Ten sam Eamon Fish, którego program miałem produkować i któremu odmówiłem, ponieważ musiałem smażyć paluszki rybne dla mego syna.

Nie wiedziałem, co mam z nim począć. Nie wiedziałem, po co do mnie przyszedł. Oczekiwałem jakiegoś młodzieńca w zdartych butach, który będzie chciał sprzedać mi irchowe ściereczki. A miałem przed sobą młodzieńca w zdartych butach, przed którym miały wkrótce stawać na baczność następne roczniki akademii sztuki filmowej i telewizyjnej.

— Czym mogę panu służyć? — zapytałem.

— Słucham? — Zmarszczył brwi, pochylając ku mnie głowę.

— Czego pan chce?

— Możemy porozmawiać? To dla mnie bardzo ważne. Wpuściłem go do środka i weszliśmy do salonu, gdzie pośród lawiny zabawek siedzieli Pat i Peggy. Mój syn nadal trzymał w ręku świetlny miecz.

— Rany — mruknął Eamon. — Świetlny miecz! Tradycyjna broń rycerzy Jedi! Mogę go zobaczyć?

Twarz Pata powoli rozjaśnił uśmiech. Wstał i wręczył młodemu nieznanemu swój świetlny miecz.

— Porządny z ciebie chłop — stwierdził Eamon. Zamachnął się kilka razy mieczem, który zafurkotał w powietrzu. Patowi rozszerzyły się oczy.

— Od lat nie trzymałem go w ręku — powiedział Eamon. — Ale czegoś takiego nigdy się nie zapomina, prawda? Pochodzę z małego miasteczka, które nazywa się Kilcarney — dodał, uśmiechając się do Pata. — I dorastając tam, czułem się zupełnie tak, jak czuł się Luke Skywalker, dorastając na Tatooine. Znasz Tatooine?

— To rodzinna planeta Luke'a — odparł mały. — Z dwoma słońcami.

— Co mówisz? — zapytał Eamon. — Rodzinna planeta Luke'a? Owszem, zgadza się. Czuł się na niej kompletnie odcięty od reszty galaktyki, prawda? Uziemiony pod tymi dwoma słońcami na Tatooine, Luke czuł się zepchnięty na boczny tor. Dorastając w sennym starym Kilcarney, ja też marzyłem, że ucieknę i zaznam wielu przygód w odległych miejscach, których nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić. I to jest właśnie to, co zrobiłem — stwierdził, oddając Patowi jego świetlny miecz.

— No tak — wtrąciła się Peggy. — Ale co zdarzyło się między tamtym czasem i teraz?

— Co mówisz?

Czyżby był kompletnie głuchy?

— Pytałam, co zdarzyło się po tym, jak opuścił pan swoją rodzinną planetę?

— O tym właśnie chciałem porozmawiać z twoim tatusiem — odparł Eamon.

— On nie jest moim tatusiem — sprostowała Peggy. — Mój tatuś ma motocykl.

— To on jest moim synem — powiedziałem, wskazując na Pata, który nadal wpatrywał się z podziwem w Eamona, nie kryjąc uznania dla wprawy, z jaką posługiwał się świetlnym mieczem.

— Ma w sobie coś — stwierdził Eamon, serdecznie się uśmiechając. — Coś w podbródku. Przystojny z niego chłopak, bez dwóch zdań.

— Chodźmy do kuchni — zaproponowałem. — Zrobię nam kawy.

— Kawy, mówi pan? Ekstra.

Postawiłem czajnik na gazie, a on usiadł przy kuchennym stole, dłubiąc palcem wskazującym w uszach i mrucząc coś do siebie.

— Zły dzień? — zapytałem.

— Że co? — zapytał.

Postawiłem przed nim filiżankę kawy i przysunąłem twarz do jego twarzy. Odznaczał się tą specyficzną mroczną irlandzką urodą i miał w sobie jakieś rozmamłanie — niczym Kennedy, który spędził całe lato, śpiąc w bramie. Poza tym sprawiał wrażenie głuchego jak pień.

— Pytałem, dlaczego pan tak źle słyszy?

— Ach, o to chodzi — mruknął. — Wyjaśnię panu, co się stało z moimi uszami. Jest taki elegancki lokal na West Endzie, gdzie dopasowują aparaty słuchowe.

Dopasowują tam także słuchawki dla telewizyjnych prezenterów. Żeby producenci i reżyserzy mogli im szeptać prosto do ucha, kiedy są na wizji. Pewnie pan zna to miejsce.

Znałem je dobrze. Pamiętałem, kiedy poszedłem tam razem z Martym, żeby dopasowali mu słuchawki. Wtedy dopiero dotarło do nas, że naprawdę odchodzimy z radia.

— Właśnie stamtąd przyjechałem — stwierdził Eamon. — Tak się składa, że opuściłem ich jakby w pośpiechu. Żeby dopasować dobrze słuchawki, facet wlewa najpierw trochę płynnego wosku do uszu. Trzeba poczekać, aż wosk zastygnie, i wtedy dopiero wiedzą, jaką masz wielkość ucha. To znaczy, jaki powinieneś mieć rozmiar słuchawek.

— Rozumiem.

— Tylko że ze mną nie udało im się zająć tak daleko. Facet zdążył wlać mi gorący wosk do uszu. Czekaliśmy, aż zastygnie, i nagle pomyślałem sobie: co ja tu, kurwa, robię? — Eamon potrząsnął głową i z uszu wyleciały mu płatki zaschniętego wosku. — Co każe mi sądzić, że potrafię prowadzić program w telewizji? Co skłania kogokolwiek do przekonania, że potrafię poprowadzić program w telewizji? Jestem komikiem. Opowiadam dowcipy na scenie. Niektórym ludziom się to podoba. I co z tego? Dlaczego to ma znaczyć, że potrafię poprowadzić show w telewizji?

— Więc dopasowywano panu słuchawki i nagle dopadła pana trema?

— Trema dopadła mnie na długo przedtem, zanim znalazłem się w studiu — przyznał. — Nie wiem, czy ten stan ducha wolno w ogóle górnolotnie określić mianem tremy. Przypuszczam, że bardziej przypominało to atak paniki, od którego skurczyły mi się jaja. Wybiegłem stamtąd z chlupoczącym w uszach woskiem. Ale teraz chyba porządnie już zastygł.

Dałem mu serwetkę i parę pałeczek z watą i patrzyłem, jak wydłubuje sobie stwardniały wosk. Zawsze dopasowują dwie słuchawki, po jednej do każdego ucha, chociaż nikt nigdy nie używa obojgu uszu. Uświadomiłem sobie teraz, że robią to dlatego, żeby ludzie im nie uciekli.

— Naprawdę chciałem, żeby został pan producentem tego programu — powiedział Eamon. — Potrzebuję... jak by to określić...? ułatwacza. Kogoś, kto pokazałby mi, jak to się robi. Tak samo, jak pokazał pan, jak to się robi, Marty'emu Mannowi po tym, jak odszedł z radia. Byłem zawiedziony, kiedy powieździeli mi, że się pan nie zgodził.

— To nie miało nic wspólnego z panem — odparłem. — Opiekuję się po prostu moim synem. Samotnie. Nie mogę pracować na pełnym etacie. Muszę się nim zajmować.

— Ale zauważyłem, że brzdąc nosi mundurek. Czy nie chodzi już do szkoły?

— Zgadza się.

— Więc przez większość dnia nie ma go w domu?

— No tak.

— Więc... wybacz mi bezpośredniość... co ty robisz przez cały dzień, Harry?

Co robiłem przez cały dzień? Budziłem Pata, ubierałem go i wyprawiałem do szkoły. Robiłem zakupy i porządki. Po południu czekałem na niego przy szkolnej bramie. Potem robiłem kanapki, czytałem mu i kładłem go spać. Co ja robiłem przez cały dzień?

— Nic — odpowiedziałem.

— Nie brakuje ci czegoś? To znaczy pracy?

— Jasne, że mi brakuje. Kiedyś czas, który spędzałem z synem, miał swoją jakość: pięć minut na początku i pięć minut pod koniec dnia. Teraz mam tego czasu w bród. To nie ja o tym zdecydowałem. Tak po prostu wyszło.

— Ale mógłbyś przecież zostać producentem wykonawczym. Mógłbyś przychodzić kilka razy w tygodniu, żeby nadzorować program. Szepnąć mi, co mam zrobić, żeby nie wyjść na kompletnego ciołka. Pomóc mi uwierzyć we własne siły.

— No cóż — odparłem. — Niewykluczone, że mógłbym.

Nigdy nie brałem pod uwagę, że może istnieć jakiś kompromis pomiędzy pracą na pełnym etacie a zbijaniem bąków. Nigdy nie przyszło mi to do głowy.

— Słuchaj, podziwiam cię za to, że opiekujesz się swoim małym — stwierdził Eamon. — Wierz mi, że zrobiłbyś wielkie wrażenie na wszystkich matkach w Kildarney. Ale jesteś mi potrzebny. Przyszedłem tu z naprawdę samolubnych pobudek. Na myśl o prowadzeniu tego programu sram kolorowymi lampkami. Dlatego rozsypuję ci kawałki stwardniałego wosku po podłodze. Wiem, że potrafisz mną pokierować tak, że to nie będzie totalna plama. Może się nawet okazać całkiem niezłe.

Pomyślałem o długich rankach i niekończących się popołudniach, kiedy Pata nie było w domu. A także o niedawnym spotkaniu z dyrektorem banku, który podziwiał, że tak dobrze potrafię zadbać o mojego syna, ale któremu wcale nie podobał się mój rosnący debet.

Przed wszystkim jednak uświadomiłem sobie, jak serdecznie Eamon odniósł się do mojego syna — podziwiając jego świetny miecz, rozmawiając z nim o rodzinnej planecie Luke'a, mówiąc mi, że jest wyjątkowym dzieckiem.

Wiedziałem, że na tym etapie mojego życia — i w ogóle na każdym etapie mojego życia — będę lubił każdego, kto polubi mojego syna. Kiedy człowiek zostaje sam ze swoim dzieckiem, chce, żeby wspierało je jak najwięcej osób. Ten młody irlandzki komik z woskiem w uszach wydawał się nam sprzyjać. I zdałem sobie sprawę, że ja też mu sprzyjam.

Byłem gotów popracować z nim w niepełnym wymiarze godzin, ponieważ nudziłem się i potrzebowałem pieniędzy. Ale przede wszystkim dlatego, że uważał, że mój syn da sobie radę.

— Muszę zobaczyć twój występ — powiedziałem. — Muszę zobaczyć, co robisz na scenie, żebym mógł zastanowić się, jak to wykorzystać w telewizji. Masz swoje demo?

— Co takiego? — zapytał.

Rozdział 22

Cokolwiek oznacza słowo „nieodgadniony”, na pewno nie można nim określić małego dziecka.

Być może za dziesięć lat Pat nauczy się ukrywać swoje uczucia pod nieprzeniknioną maską nastolatka i jego stary — czyli ja — nie będzie miał pojęcia, co takiego chodzi mu po głowie. Na razie jednak zbliżał się do piątego roku życia i widziałem, że ostatni telefon od mamy wprowadził go w posępny nastrój.

— Wszystko w porządku, Pat?

Kiedy pokiwał apatycznie głową, ruszyłem za nim do łazienki, gdzie wycisnął dziecięcą pastę do zębów na swoją szczoteczkę Hana Solo.

— Co u mamy?

— Wszystko dobrze. Ma katar.

Nie płakał. Nie chciało mu się wcale płakać. Miał suche oczy i nieruchomy podbródek. Ale był przygnębiony.

— Chcesz pooglądać wideo? — zapytałem, patrząc, jak szoruje zęby, które wciąż były fabrycznie nowe.

Wypluł wodę do umywalki i zmierzył mnie podejrzliwym wzrokiem.

— Mam jutro szkołę — stwierdził.

— Wiem, że idziesz do szkoły. Nie myślałem o całym filmie.

Dajmy na to, początek pierwszego filmu do momentu, kiedy dwa androidy dostają się do niewoli.

Skończył płukać usta i odłożył szczoteczkę na półkę.

— Chcę iść spać — oświadczył.

Poszedłem więc za nim do sypialni i okryłem go kołdrą. Nie chciał, żebym czytał mu bajkę. Ale nie mogłem zgasić światła, wiedząc, że jest przygnębiony.

Wiedziałem, czego mu brakuje, i nie było to nawet to, co nazywa się matczyną miłością. Brakowało mu matczynej pobłażliwości. Kogoś, kto powiedziałby, że to nieważne, iż nie potrafi nadal zawiązać sznurowadeł. Kogoś, kto powiedziałby mu, że nadal stanowi centrum wszechświata w momencie, gdy dowiedział się rzeczy, której dowiadujemy się wszyscy pierwszego dnia w szkole — że nie stanowimy wcale centrum wszechświata. Tak bardzo zależało mi, żeby dał sobie

jakoś radę, że nie miałem do tej kwestii dystansu. Pobłażliwości Giny. Tego mu naprawdę brakowało.

— Ona wróci — powiedziałem. — Twoja matka. Wiesz, że po ciebie wróci, prawda?

Pat pokiwał głową.

— Kiedy skończy pracować — mruknął.

— Chyba jest nam ze sobą dobrze? — zapytałem. — Mnie i tobie? Jakoś sobie radzimy, prawda?

Popatrzył na mnie, mrugając oczyma, żeby odpędzić znużenie, próbując dociec, o co mi chodzi.

— Radzimy sobie bez mamy, prawda, Pat? Pozwalasz już umyć sobie włosy. Robię do jedzenia rzeczy, które lubisz: kanapki z bekonem i inne. Szkoła też jest w porządku, prawda? Lubisz szkołę. Dajemy sobie radę? Ty i ja?

Miałem wyrzuty sumienia, że tak go cisnę. Ale musiałem usłyszeć, że dajemy sobie radę. Musiałem usłyszeć, że nieźle się nam wiedzie.

Pat posłał mi zmęczony uśmiech.

— Tak, radzimy sobie, tato — stwierdził, a ja uściśniłem go z wdzięcznością i pocałowałem na dobranoc.

To jest najgorsze, kiedy rozpada się rodzina, pomyślałem, gasząc światło. Dzieci zaczynają ukrywać swoje uczucia. Uczą się, jak pokonywać dystans między różnymi światami. Zmieniają się w małych dyplomatów. To największy dramat. Rozwód zmienia każde dziecko w pół kwarty odtłuszczonego Henry'ego Kissingera.

* * *

— Pochodzę z małego miasteczka, które nazywa się Kilcarney — powiedział Eamon Fish, zdejmując mikrofon ze stojaka i delikatnie stukając palcem w tkwiącą w lewym uchu słuchawkę. — Spokojnego cichego miasteczka o nazwie Kilcarney, które znane jest ze swoich dziewcząt.

Obserwowałem go na monitorze, siedząc w pierwszym rzędzie małej widowni i mając przed sobą plecy pięciu kamerzystów. Chociaż otaczały nas typowe paraphernalia telewizyjnego studia — jarzące się w oprawach jupiterów światła, wijące po podłodze kable, schowani w cieniu za kamerami ludzie, którzy wszyscy, poczynając od kierownika planu, po dziewczyny obsługujące teleprompter i podające wodę gościom, ubrani byli na czarno — reżyser nagrywał program Eamona tak, by przypominał bardziej występ opowiadającego dowcipy komika aniżeli kolejny nocny talk-show. Zbyt wiele było ostatnio programów, które wyglądały jak popłuczyny po Davidzie Lettermanie. Czy różnica będzie rzeczywiście odczuwalna, zależało jednak głównie od prezentera.

— Ci z was, którzy nigdy nie odwiedzili tego pięknego rejonu naszego kraju, powinni wiedzieć, że do Kilcarney nie dotarły nowinki współczesnego świata. Nie ma tam na przykład wibratorów. — Widownia zachichotała. — To prawda. Księża kazali je wszystkie usunąć. Ponieważ dziewczętom z Kilcarney szczybiły się od nich zęby.

Na widowni rozległy się śmiechy, w których zabrzmiało lekkie zdenerwowanie, gdy Eamon zszedł z małej scenki i powoli ruszył w naszą stronę.

— Nie chcę przez to, broń Boże, powiedzieć, że dziewczęta z Kilcamey są głupie — kontynuował. — Ale dlaczego myją zawsze głowy w zlewie swojej matki? Ponieważ tam zawsze myje się warzywa.

Śmiech był coraz głośniejszy. Nikt z widowni — typowej zbieraniny znudzonych i ciekawskich, spragnionych kilku godzin darmowej rozrywki — nie widział wcześniej Eamona Fisha. Teraz jednak uznali, że jest nieszkodliwy. I w tym momencie zwrócił się przeciwko nim.

— Właściwie wszystko to zmyślam — oświadczył. — To zwyczajne bzdury. Dziewczyny z Kilcamey osiągają najlepsze wyniki egzaminów w całej zachodniej Europie. Przeciętna dziewczyna z Kilcamey ma więcej piątek niż przeciętny Anglik tatuaży. To nieprawda, że jedyna różnica między komarem a dziewczyną z Kilcamey polega na tym, że komar przestaje cię ssać, kiedy pacniesz go w głowę. To nieprawda, że dziewczyny z Kilcamey mają tylko piętnaście minut przerwy na lunch, ponieważ gdyby była dłuższa, trzeba by je od nowa wszystkiego uczyć. To nieprawda, że tym, co mają ze sobą wspólnego dziewczyna z Kilcamey oraz butelka guinnessa jest fakt, że obie są puste od szyjki w górę. Żadna z tych rzeczy nie odpowiada prawdzie.

Eamon westchnął, przejechał dłonią po gęstych czarnych włosach i usiadł na skraju sceny.

— Prawdą jest za to, że nawet w naszej epoce wcinania muesli, lektury „Guardiana” i politycznej poprawności, najwyraźniej potrzebujemy kogoś, kogo moglibyśmy nienawidzić. Kiedyś był to tłusty Irlandczyk i jędzowata teściowa. Teraz są to blondynki. Dziewczęta z Essex. Dziewczęta z Kilcamey.

Potrząsnął sennie głową.

— W głębi duszy wiemy teraz wszyscy, że położenie geograficzne i kolor włosów nie mają żadnego cholernego wpływu na zachowania seksualne ani inteligencję. Dlaczegoż więc potrzebujemy grupy ludzi, z których moglibyśmy się natrzęsać? Jaką fundamentalną potrzebę naszych żalosnych duszyczek ma to zaspokoić? Kiedy śmiejemy się z blondynki z Kilcamey w hrabstwie Essex, która po miłosnym akcie gasi światło, zamykając drzwi samochodu, co nas tak w tym rajcuje?

To był dopiero program pilotażowy, ale widziałem, że Eamon da sobie radę. Po wydłubaniu z uszu wyschniętego wosku przełamał barierę tremy i szybko uczył

się, jak być sobą na oczach pięciu obserwujących go kamer. Facet był ekstra. Bardziej obawiałem się o publiczność w studiu.

Widzowie, którzy przybyli tu w nadziei, że ich rozśmieszy, odkryli nagle, że muszą bronić swoich uprzedzeń. Czuli się oszukani, czuli się podle. To był problem, z którym mieliśmy borykać się po każdym programie Eamona. I według mnie rozwiązać go mogliśmy tylko w jeden sposób: upijając ich.

Na naszym pierwszym zebraniu po programie pilotażowym powiedziałem asystentce, żeby otworzyła kilka butelek i puszek i podała je publiczności, która czekała w kolejce na wejście do studia. Wszyscy spojrzeli na mnie, jakbym był geniuszem.

To właśnie kocham w telewizji. Proponujesz, żeby otworzyć kilka puszek piwa, a oni zachowują się tak, jakbyś skończył właśnie malować Kaplicę Sykstyńską.

* * *

— Więc to jest lepsza robota od poprzedniej, ale płacą ci mniej pieniędzy — podsumował mój ojciec. — Jak to sobie wykalkulowali?

— Nie pracuję przez cały tydzień — wyjaśniłem mu ponownie.

Staliśmy w ogródku na tyłach domu, teoretycznie grając w piłkę z Patem. Mój syn zrejterował jednak pod samo ogrodzenie ze swoim świetlnym mieczem i marzeniami o pokonaniu między galaktycznego zła, w związku z czym piłkę kopałem ja oraz dwoje emerytów skapanych w jesiennym słońcu.

Robiło się zimno, lecz nie chcieliśmy wracać do środka. Kończył się wrzesień. Wiedziałem, że w tym roku niewiele już czeka nas takich niedzielnych popołudni.

— Jeśli to naprawdę lepsza robota, powinni kopsnąć ci więcej szmalu — stwierdził mój ojciec, międzynarodowy biznesmen, posyłając lekkie boczne podanie swojej żonie. — Wszystkie te telewizyjne stacje są nieźle nadziane.

— Nie te, dla których pracuje Harry — odezwała się lojalnie mama, zatrzymując piłkę pod kapciem.

— Biorę udział w kilku nasiadówkach i jestem tam, kiedy kręcą program — powiedziałem. — I to wszystko. Nie jestem w redakcji codziennie, każdego dnia. Nie poświęcam dla nich całego życia. Zachodzę tam po prostu dwa razy w tygodniu, udaję ważniaka, wydaję wszystkim polecenia i podrzucam im wspaniałe pomysły. A potem wracam do domu.

— Do Pata — dodała mama, kopiąc do mnie piłkę. — Do twojego wnuka.

— Wiem, jak ma na imię mój wnuk — mruknął z irytacją stary.

— Niektórzy ludzie produkują całą masę programów — wyjaśniłem. — Ja będę robił tylko ten jeden. Wszystko sobie przemyślałem. Da mi to mniej forsy, niż mieliśmy wcześniej, ale mnie i tak starczy.

— Dzięki temu będzie mógł spłacić rachunki i jednocześnie być razem z Patem, kiedy mały wróci ze szkoły — stwierdziła mama.

Tato nadal nie był przekonany.

Chciał dla mnie wszystkiego, co ma do zaoferowania życie — kariery i dzieci, rodziny i wysokich zarobków, ogniska domowego i solidnej książeczki czekowej. Chciał, żebym miał to wszystko. Ale nikomu się to jeszcze nie udało.

— Bobby Charlton! — zawołał, odbijając stopą plastikową piłkę, która potoczyła się pomiędzy różane krzaki. — Cholera! — zaklął. — Zaraz ją przyniosę.

Mama i ja patrzyliśmy, jak podchodzi pod ogrodzenie, żeby odzyskać piłkę. Wykorzystał tę okazję, żeby objąć ramieniem Pata i zapytać, co robi. Pat odpowiedział mu z ożywieniem, odwracając swoją okrągłą gładką twarz do dziadka, a mój stary uśmiechnął się do niego z bezgraniczną czułością.

— Dobrze się czuje? — zapytałem mamę. — Parę dni temu miał zabawny epizod w parku.

— Nie mógł złapać oddechu? — zapytała, nie odrywając od niego wzroku. Nie wydawała się wcale zaskoczona.

— Owszem — odparłem. — Nie mógł złapać oddechu.

— Próbuje zaciągnąć go do lekarza — oznajmiła. — Do łapiducha, jak ich nazywa twój tato.

Uśmiechnęliśmy się do siebie w zapadającym mroku.

— Jest chyba ostatnią osobą, która nazywa lekarzy łapiduchami — stwierdziłem.

— „Nie wybieram się do żadnego łapiducha” — powiedziała, całkiem dobrze przedrzeźniając gniewny, pewny siebie ton, jaki czasem przybierał ojciec. — „Nie chcę, żeby pochłostał mnie jakiś konował”.

Roześmieliśmy się oboje. Kochaliśmy tę jego staroświecką nieufność, jaką żywił wobec każdego, kto posiadał jakąkolwiek władzę, od kierującego ruchem na skrzyżowaniu stójkowego po najbardziej szanowanych przedstawicieli profesji medycznej. Ojciec wydawał się w ogóle nie zmieniać i to dodawało nam otuchy, chociaż obawialiśmy się, że to może być tylko złudzeniem.

Po chwili wrócił do nas razem z piłką i wnukiem i zapytał, co nas tak rozbawiło.

— Ty — odparła mama, biorąc go pod rękę, i wszyscy weszliśmy z powrotem do domu.

Nie chciałem mieć w życiu wszystkiego. Pragnąłem tylko, by dano mi jeszcze jedną szansę. Jeszcze jedną szansę na harmonijny żywot, żywot bez potłuczonych skorup i poszczerbionych krawędzi. Jeszcze jedną szansę na zdobycie szczęścia.

Nie obchodziło mnie, jak długo potrwa, zanim Gina wróci z Tokio. Byłem szczęśliwy z Patem. I nie zależało mi na błyskotliwej karierze. Praca miała mi jedynie pozwolić spłacić hipotekę.

Nie byłem jednak gotów zestarzeć się i ostygnąć, nienawidząc wszystkich kobiet pod słońcem z powodu tego, co mi się przytrafiło. Nie chciałem zostać tłustym, łysiejącym czterdziestolatkiem, który zanudza swego kilkunastoletniego syna opisem tego, ile dla niego poświęcił. Chciałem jeszcze trochę żyć. Chciałem, by dano mi jeszcze jedną szansę. Tego właśnie chciałem. Jeszcze jednej szansy. Nie pragnąłem chyba zbyt wiele.

A potem, następnego dnia, przyszedł do nas tato Giny ze swoją córką Sally, nadąsaną nastolatką z sofy, jednym z wielu dzieciaków, które zmajstrował i porzucił, szukając bujniejszych seksualnych pastwisk, i przyszło mi do głowy, że nasz parszywy współczesny świat zszedł na psy przez wszystkich tych ludzi, którzy stale chcą, by dać im jeszcze jedną szansę.

Rozdział 23

Glenn pojawił się przystrojony w swoje zimowe piórka — szmatławy afgański kozuch zarzucony na lśniący niebieski podkoszulek, spod którego wystawała owłosiona chuda pierś, oraz spodnie tak obcisłe, że jego klejnoty tworzyły w kroku całkiem pokaźny wzgórek. Pozostał tak daleko w tyle za modą, że jego strój ponownie nawiązywał do najnowszych trendów.

— Cześć, Harry, człowieku — rzekł na powitanie, ściskając moją dłoń w dziwaczny sposób, którym przed trzydziestu laty dawano prawdopodobnie do zrozumienia, że władza powinna znaleźć się w rękach ludu i że rewolucja już wkrótce się zacznie. — Co u ciebie? Czy mały przystojniak jest w domu? Wszystko w porządku? To pięknie, pięknie.

Był niegdyś czas, kiedy chciałem, żeby mój stary był bardziej podobny do taty Giny. Czas, gdy żałowałem, że nie pojawił się w latach swojej młodości na okładkach kolorowych czasopism i nie zainteresował czymś poza krzakami róż w swoim ogródku. Patrząc jednak na uwypuklające się pod obcisłymi spodniami pomarszczone stare jaja Glenna, zdałem sobie sprawę, że to musiało być bardzo dawno temu.

Za Glennem czaiła się jego najmłodsza córka. Z początku myślałem, że Sally jest w złym humorze. Weszła nadąsaną do domu, unikając kontaktu wzrokowego i interesując się wyłącznie dywanem, ze strączkowatymi brązowymi włosami — dłuższymi, niż pamiętałem — które zasłaniały bladą twarz, tak jakby chciała ukryć się przed całym światem i wszystkimi, którzy go zaludniają. W rzeczywistości jednak wcale nie była w złym humorze. Miała po prostu piętnaście lat. Na tym polegał jej problem.

Zabrałem ich do kuchni, niezbyt uszczęśliwiony widokiem pojawiających się bez uprzedzenia dwojga krewnych Giny. Byłem ciekaw, jak szybko uda mi się ich pozbyć. Zmiękłem jednak nieco, widząc, jak twarz Sally rozjaśnia się — autentycznie rozjaśnia — kiedy do kuchni wmaszerowali Pat i Peggy. Może jednak tkwiły w niej jakieś ludzkie uczucia.

— Cześć, Pat! — zawołała. — Co słychać?

— Wszystko w porządku — odparł, nie dając po sobie poznać, iż poznaje przyrodną siostrę swojej matki. Kim dla niego była? Przyrodną ciotką? Przy-

szywaną kuzynką? W dzisiejszych czasach są krewni, dla których nie wymyślono jeszcze nazwy.

— Nagrałam ci taśmę — powiedziała, po czym pogrzebała w swoim plecaku i wyjęła z niego kasetę bez pudełka. — Lubisz muzykę, prawda?

Pat spojrział bez entuzjazmu na kasetę. Z tego, co wiedziałem, jedyną muzyką, którą lubił, była ścieżka dźwiękowa do Gwiezdných wojen.

— On lubi muzykę, prawda? — zapytała mnie Sally.

— Uwielbia — odparłem. — Co się mówi, Pat?

— Dziękuję — powiedział, po czym wziął kasetę i zniknął razem z Peggy.

— Pamiętam, jak bardzo lubił hip hop, kiedy mieszkaliśmy wszyscy u mojego taty — oznajmiła Sally. — Nagrałam mu tutaj kilka klasycznych kawałków. Co-olio, Tupac, Doctor Dre. Tego rodzaju kawałki. Rzeczy, które mogą się spodobać małemu chłopcu.

— To naprawdę miło z twojej strony — przyznałem. Popijali w milczeniu to, czym ich poczęstowałem - Glenn ziołową herbatę, Sally zwykłą colę — i nagle poczułem falę niechęci wobec tych ludzi, którzy przypominali mi o istnieniu Giny. Co oni tutaj robili? Co oni mieli wspólnego z moim życiem? Dlaczego po prostu nie mogli się ode mnie odpiardolić?

Chwilę później Patowi i Peggy udało się chyba umieścić kasetę Sally w magnetofonie, gdyż z salonu dobiegł mnie nagle gniewny murzyński głos podbudowany morderczym rytmem basowej gitary.

Ty pierdolisz, kurwa, mnie, ja pierdołę ciebie; więc pierdołąc mnie, popełniasz, kurwa, duży, kurewsko duży błąd.

— Uroczą piosenka — powiedziałem, zwracając się do Sally. — Na pewno będzie tego bez przerwy słuchał. Znowu odwiedziłaś na parę dni swojego tatę?

Sally potrząsnęła głową.

— Teraz mieszkam u niego na stałe — oznajmiła, zerkając na swojego starego spod nierównej grzywki.

— Kłopoty w domu — wyjaśnił Glenn. — Z moją byłą. I jej nowym chłopem.

— Starzy hipisi — stwierdziła Sally, wydymając wargi. — Starzy hipisi, którzy nie mogą znieść myśli, że ktoś poza nimi może się dobrze bawić.

— Miała ostre przepały z tym nowym facetem — dodał Glenn. — On lubi dyscyplinę.

— Kretyn — podsumowała Sally.

— A co słyszeć u twojego chłopca? — zapytałem, przypominając sobie szczerzące zęby na sofie małpiszona.

— U Steve'a? — Zdawało mi się, że w oku zakręciła jej się łza. — Wypiął się na mnie. Tłusty wieprz. Dla Yasmin McGinty. Tej starej dupy.

— Rozmawialiśmy parę dni temu z Giną — stwierdził Glenn, przypominając sobie nagle, z czym do nas przyszedł. — I obiecaliśmy, że zajrzemy do ciebie i Pata, jeśli będziemy w pobliżu.

Nareszcie zrozumiałem, co tutaj robią. To Gina namówiła ich, żeby złożyli mi wizytę. Ale na swój gruboskórny sposób starali się pomóc.

— Słyszałem, że podłapałeś nową fuchę — mruknął Glenn. — Chciałem tylko powiedzieć, że jeśli będzie trzeba, możesz nam zawsze podrzucić chłopaka.

— Dzięki, Glenn. Jestem ci bardzo zobowiązany.

— A gdyby kiedykolwiek potrzebował pan opiekunki do dziecka, proszę po prostu do mnie zadryndać — dodała Sally, chowając się za swoimi włosami i wpatrując się w jakiś punkt za moim ramieniem.

To było naprawdę miło z jej strony. I wiedziałem, że teraz, gdy zacząłem pracować na pół etatu, będę czasami potrzebował kogoś do Pata. Ale na Boga, nie byłem aż w tak rozpaczliwej sytuacji.

* * *

Cyd pokochała Londyn, jak może go pokochać tylko cudzoziemka.

Nie zwracała uwagi na zakorkowane ulice, wymarłe puby, zakrzepłą nędzę komunalnych czynszówek. Nie zwracała uwagi na przerażonych emerytów, na dziewczęta, które wyglądały jak dojrzałe kobiety, kobiety, które wyglądały jak mężczyźni, i mężczyzn, którzy wyglądali jak świry. Wszystko to nie miało dla niej znaczenia. To miasto jest piękne, stwierdziła.

— Jest piękne w nocy. I z lotu ptaka. I kiedy spaceruje się po królewskich parkach. Tak tu zielono... to jedyne z widzianych przeze mnie miast, które jest bardziej zielone od Houston.

— Houston jest zielony? — zdziwiłem się. — Wydawało mi się, że to zakurzone miasto pośrodku prerii.

— Wydawało ci się, bo jesteś głupim Angolem. Houston jest zielony, mój panie. Ale nie tak zielony jak Londyn. Tu można przejść całe śródmieście, praktycznie nie wychodząc z trzech królewskich parków, St James's, Green Parku i Hyde Parku. Nie dotykając stopą niczego poza zieloną, zieloną trawą. Wiesz, jaki to długi odcinek?

— Koło mili — odparłem na chybił trafił.

— Cztery mile — stwierdziła. — Cztery mile kwiatów, drzew i zieleni. I ludzie jeżdżą tu konno! W sercu jednego z największych miast na tej planecie.

— Jest jeszcze jezioro — dodałem. — Nie zapominaj o jeziorze.

Siedzieliśmy w kawiarni na pierwszym piętrze Królewskiego Instytutu Architektów Brytyjskich, wielkiego białego budynku z lat trzydziestych, stojącego przy Portland Place naprzeciwko chińskiej ambasady — w monumentalnej oazie piękna i spokoju, o której istnieniu nie miałem pojęcia, póki mnie tu nie zabrała.

— Uwielbiam to jezioro — powiedziała. — Uwielbiam Serpentine. Czy o tej porze roku możemy jeszcze wypożyczyć łódkę? Czy nie jest już za późno?

— Nie jestem pewien — odparłem. Był ostatni tydzień września. — Wypożyczają je chyba jeszcze przez kilka dni. Chcesz popływać?

Jej szeroko osadzone oczy zrobiły się jeszcze większe.

— Masz na myśli teraz?

— Czemu nie? Zerknęła na zegarek.

— Niestety muszę już iść do pracy — stwierdziła z uśmiechem. — Szkoda. Bardzo bym chciała.

— To może jutro? Z samego rana? Zanim jeszcze zwałą się tu tłumy. Wcześniej wstaniemy. Wpadłbym po ciebie zaraz po śniadaniu.

Ani razu nie byłem jeszcze w jej mieszkaniu.

— To może ja wpadnę do ciebie dziś wieczorem po pracy — zaproponowała.

— Dziś wieczorem?

— W ten sposób na pewno nie zaśpimy.

— Przyjdiesz do mnie po pracy?

— Jasne. — Zerknęła na parującą kawę, a potem z powrotem na mnie. — Nie będzie ci to przeszkadzać?

— Nie, skądże — odparłem. — To wspaniale.

Być może uczucie do Cyd było z początku tylko głupim zauroczeniem w czasie, gdy nadal nie mogłem się pozbierać po odejściu Giny. Ale po tym, jak pierwszy raz się ze sobą przespaliśmy, stało się czymś więcej. Bo usta Cyd pasowały do moich w sposób, w jaki nie pasowały do nich żadne inne usta — nawet usta Giny.

Nie żartuję — usta pasowały idealnie. Nie za twarde, nie za miękkie, nie za wilgotne i nie za suche, nie za dużo języka i nie za mało. Po prostu idealnie.

Całowałem ją oczywiście i wcześniej, ale to było coś innego. Teraz, kiedy zaczęliśmy się całować, chciałem, żeby to trwało wiecznie. Nasze usta były chyba dla siebie stworzone. Jak często można coś takiego powiedzieć? Jak często znajduje się kogoś, czyje usta idealnie pasują do twoich? Powiem wam, jak często — tylko raz w życiu.

Na świecie jest wielu miłych ludzi, miliony ludzi, w których można się zakochać. Ale jest tylko jedna osoba, której usta idealnie pasują do twoich.

I mimo tego wszystkiego, co zdarzyło się później, nadal w to wierzę. Naprawdę.

* * *

Nad ranem obserwowałem ją, jak spała, szczęśliwy, że leży po mojej stronie łóżka, szczęśliwy, że tak mało wie o moim dawnym życiu, że nie zajęła automatycznie miejsca Giny.

Zapadłem w sen, wiedząc, że coś się między nami zaczęło, że teraz tylko od nas zależy, po której stronie łóżka będzie spało każde z nas.

A potem Cyd obudziła się z krzykiem.

* * *

To był tylko Pat.

Obudzony pewnie przez wracających pod koniec sobotniej nocy do domu, awanturujących się pijaków, wytoczył się ze swojego łóżka, po czym praktycznie się nie budząc, włożył do mojego i zarzucił nogę na biodro Cyd, która zerwała się, jakby ktoś kopnął twardym buciorem w okno.

Obróciła się do mnie, chowając twarz w dłoniach.

— O Boże... myślałam... sama nie wiem, co sobie pomyślałam. Widziałam ciebie. Ale czułam kogoś innego.

Objąłem ją ramieniem, próbując uspokoić. Pat spał jak zabity po jej stronie łóżka, z otwartymi ustami i obiema rękoma nad głową. Okrągłą gładką buzię miał odwróconą od nas, ale wciąż trzymał jedną nogę na Cyd.

— Nic mi nie jest, nic mi nie jest — powiedziała tonem, który świadczył o czymś wręcz przeciwnym, po czym delikatnie zdjęła z siebie jego nogę i przesu-
nawszy się nade mną, wstała z łóżka.

Myślałem, że poszła do łazienki, ale kiedy nie wracała przez pięć minut, poszedłem jej szukać. Siedziała przy kuchennym stole w podkoszulku, który musiała znaleźć w koszu na bieliznę.

Usiadłem obok i wziąłem ją za rękę. Pocałowałem w usta. Miętko, ze złączonymi wargami. Miałem ochotę całować ją na wszystkie możliwe sposoby.

— Przepraszam, że cię wystraszył — powiedziałem. — Czasami to robi. To znaczy włązi do mojego łóżka. Powinienem cię ostrzec.

— Nic się nie stało.

— Jesteś pewna? Potrząsnęła głową.

— Niezupełnie.

— Posłuchaj, naprawdę mi przykro, że tak cię wystraszył. Postaram się, żeby to się więcej nie wydarzyło. Założę zamek w jego drzwiach. Będę go wiązał. Albo...

— Nie chodzi o Pata — stwierdziła. — Chodzi o nas.

— Co masz na myśli?

— Przecież tak naprawdę w ogóle ze sobą nie rozmawialiśmy.

— Oczywiście, że rozmawialiśmy. Opowiedziałem ci o Ginie. Ty opowiedziałas mi o tym facecie, który lubi bambus.

O tym, który nie okazał się Rhettem Butlerem. Dużo ze sobą gadaliśmy. Wszystkie smutne historie mamy już za sobą.

— To przeszłość. Chodzi mi o to, że nie rozmawialiśmy o teraźniejszości. Nie wiemy, czego chce to drugie. Lubię cię, Harry. Jesteś zabawny i jesteś słodki. Jesteś dobry dla swojego syna. Ale nie wiem, czego ode mnie oczekujesz.

— Niczego od ciebie nie oczekuję.

— To nieprawda. Oczywiście, że czegoś oczekujesz. Tak jak każdy, kto zaczyna sypiać z drugą osobą, trzyma ją za rękę w pięknych budynkach, rozmarza się nad kawą i tak dalej. Każdy czegoś oczekuje. Ale nie wiem, czy oczekujemy od siebie tego samego.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Na przykład... czy chcesz mieć więcej dzieci?

— Jezu. Dopiero pierwszy raz się ze sobą przespaliśmy...

— Daj spokój, Harry. Przecież w głębi serca dobrze wiesz, czy chcesz mieć więcej dzieci. To znaczy, niekoniecznie ze mną. Z kimkolwiek.

Przyjrzałem się jej. Tak się złożyło, że ostatnio wiele o tym myślałem.

— Chcę więcej dzieci, jeśli osoba, z którą będę je miał, zostanie ze mną na zawsze. Rozumiesz?

— Ale nikt nie zagwarantuje ci, że zostanie z tobą na zawsze.

— Nie szkodzi. Tego właśnie pragnę. Nie chcę przez to wszystko ponownie przechodzić. Nie chcę znowu oglądać bólu i rozczarowania sprawianego dziecku, które ani o to nie prosiło, ani na to nie zasługuje. Nie chcę przez to ponownie przechodzić z Patem i nigdy mnie to nie spotka, rozumiesz? Z żadnym moim dzieckiem.

— Brzmi to bardzo szlachetnie — stwierdziła. — Ale tak naprawdę wcale takie nie jest. To po prostu twoja klauzula niewykonalności. Chcesz mieć więcej dzieci, lecz tylko pod warunkiem, że będziesz miał zagwarantowane szczęśliwe zakończenie. Tylko Walt Disney może ci zagwarantować szczęśliwe zakończenie, Harry. I ty świetnie o tym wiesz. Nikt nie może ci dać tego rodzaju gwarancji. W związku z czym... no nie wiem... pewnie wszystko zostanie po staremu.

Nie podobał mi się kierunek, w którym to zmierzało. Chciałem się znowu całować, chciałem ją oglądać pogrążoną we śnie. Chciałem, żeby pokazywała mi piękne budynki, o których istnieniu nie miałem najmniejszego pojęcia. No i popływać z nią łódką... nadal byliśmy przecież umówieni na łódki.

— Po upadku poprzedniego małżeństwa nie możesz po prostu przenieść swojego uczucia na inną kobietę, Harry. Nie możesz tego zrobić, nie zastanawiając się przez chwilę, czego chcesz. Czego oczekujesz. Bo jeśli tego nie zrobisz, za kolejne siedem lat znajdziesz się dokładnie w tym samym punkcie, do którego doszedłeś z Giną. Lubię cię, a ty lubisz mnie. I to jest wspaniałe. Ale nie wystarczy. Musimy być pewni, że chcemy tego samego. Jesteśmy za starzy na grę w chowanego.

— Nie jesteśmy za starzy — zaprotestowałem. — Na nic.

— Za starzy na grę w chowanego — powtórzyła. — Kiedy ma się dziecko, jest się na to za starym.

Co ona wiedziała o posiadaniu dzieci?

— Muszę iść do domu — powiedziała, wstając.

- A co z naszą przejażdżką po jeziorze?
- Przejażdżka po jeziorze może poczekać.

Rozdział 24

— To facet z dzwoneczkami — stwierdziła Peggy.

Siedziała na podłodze, układając figurki z Gwiezdných wojen, bawiąc się w jakąś dziwną rodzinną grę, w której Darth Vader i księżniczka Leia założyli dom w Sokole Milenium i wieczorami próbowali skłonić Harrisona Forda, żeby poszedł wcześniej spać.

Pat stał z potężnymi słuchawkami na uszach na sofie, kołyszając się, pomrukując, przewracając oczyma i słuchając kasety Sally.

— Zbliża się facet z dzwoneczkami — dodała Peggy, nie zwracając się do nikogo w szczególności i tajemniczo się uśmiechając.

Z początku nie miałem pojęcia, o czym mówi. A potem usłyszałem to, co jej pięcioletni słuch wychwyił o wiele wcześniej od moich sfatygowanych starych uszu — dobiegające gdzieś z daleka dzwonki, które odbijały się echem po całej okolicy.

Nie słyhać w nich było tępej natarczywości kościelnych dzwonów. Brzmiało w nich coś czułego, taniego i nieoczekiwanego — stanowiły bardziej zaproszenie aniżeli nakaz.

Pamiętałem naturalnie te dzwonki z własnego dzieciństwa, z jakiegoś powodu jednak zawsze dziwiłem się, że jeszcze je słyszę. Lodziarz wciąż tam był, wciąż krążył po osiedlu, wciąż kusił dzieciaki, żeby przestały się bawić, wyszły na ulicę i napchały swoje małe szczęśliwe buzie cukrem i mlekiem.

— Facet z dzwoneczkami — powtórzyła Peggy.

Udałem, że jej nie słyszę, i ponownie pochylilem się nad papierami, które leżały na stoliku od kawy. Tego dnia Peggy w ogóle tu miało nie być. To nie było jedno z popołudni, kiedy przychodziła do nas po szkole razem z Patem. Do emisji programu został tylko jeden dzień i musiałem przebrnąć przez scenopis — co byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby Pat i Peggy nie świergotali na dywanie ani nie słuchali należącej do Sally taśmy o dziwkach, gangsterach i spluwach. Peggy była słodkim dzieckiem i nigdy nie przysparzała najmniejszych kłopotów. Ale w dzień taki jak ten wolałem, żeby na dywanie świergotał wyłącznie Pat.

Peggy była u nas tylko dlatego, że jej nic niewarta, odpalająca papierosa od papierosa opiekunka nie przyszła do szkoły, żeby ją odebrać.

Kiedy przyjechałem po Pata, zobaczyłem, że trzyma Peggy za rękę i gawędzą z panną Waterhouse, wpatrując się z uwielbieniem w swoją młodą nauczycielkę.

Panna Waterhouse pożegnała się z nami i odeszła, by zająć się tym, czym zajmują się nauczycielki podstawówki przez drugą połowę dnia, a my czekaliśmy, aż w tłumie ukaze się otoczona aureolą dymu wąska ziemista twarz Bianki. Lecz Bianca się nie pojawiła.

Wszyscy troje staliśmy zatem, trzymając się za ręce przy bramie szkoły. I patrząc na te wszystkie odbierające swoje pociechy młode mamy, słuchając ich wesołej paplaniny i wdychając dym spalin, czułem się niczym trędowaty.

Przy tej bramie można było spotkać wszelkiego rodzaju młode matki. Były mamy w ranę roverach i nawoskowanych zielonych kurtkach, które nosi się poza miastem. Były mamy z bransoletkami na kostkach, które przyjechały autobusem. I były wszystkie młode mamy pośredniego rodzaju, które miały dość zdrowego rozsądku, by nie tatuować sobie na ramieniu imienia partnera, i nie były zarazem dość głupie lub dość zamożne, by wozić swoje pociechy w olbrzymich pojazdach z czterośladowym napędem i stalową ramą z przodu.

Ale bez względu na to, czy nosiły bransoletki, czy opaski na włosy, poliester czy rzeczy od Prady, wszystkie te młode matki łączyła jedna rzecz. Wszystkie patrzyły na mnie jak na wroga. Z początku myślałem, że to paranoja. Nie musiałem chyba wyjaśniać, że moje małżeństwo legło w gruzach — sam fakt, że ani razu nie znalazłem się tam w towarzystwie kobiety (chyba że była to moja matka), był niczym zawieszony na szkolnej bramie rysunek rozbitego domu. Te kobiety nie znały jednak przecież ani mnie, ani Giny — więc dlaczego traktowały mnie z taką antypatią? Uznałem, że po przeżyciach kilku ostatnich miesięcy zrobiłem się zbyt przewrażliwiony.

Ale w miarę jak dni robiły się coraz ciemniejsze i krótsze, uświadomiłem sobie, że to wcale nie paranoja. Młode matki się do mnie nie odzywały. Unikały mojego wzroku. Naprawdę nie chciały mieć ze mną nic wspólnego. Z początku próbowałem nawiązać z kilkoma rozmowę, ale one reagowały, jakbym poprosił, żeby obciągnęły mi laskę. Więc po jakimś czasie dałem za wygraną.

Wszystkie te uśmiechające się do siebie słodko mamusie naprawdę wołałyby mnie tam nie oglądać. Doszło w końcu do tego, że starałem się pojawiać przed szkołą w tej samej sekundzie, kiedy wypuszczano dzieci. Nie mogłem po prostu znieść obecności tych wszystkich młodych matek. One też nie mogły znieść mojej obecności.

Nauczycielki zawsze odnosiły się do mnie przyjaźnie i rozmawiając z panną Waterhouse, nie miałem wątpliwości, że należę do świata, w którym mężczyźni również mogą pełnić rolę samotnych rodziców. Wszystko to jednak okazywało się wierutną bzdurą, gdy stawałem przed bramą szkoły.

Bez względu na to, czy mieszkali w dużych białych willach, czy komunalnych czynszówkach, matki zawsze omijały mnie szerokim łukiem. Zaczęło się to pierwszego dnia szkoły i trwało nieprzerwanie dalej.

Kobiety w opaskach na włosy miały więcej wspólnego z kobietami w bransoletkach na kostkach aniżeli ze mną. Kobiety, które były samotnymi matkami, miały więcej wspólnego z kobietami żyjącymi w udanym związku aniżeli ze mną. Tak się w każdym razie zachowywały.

Wszystko to było oczywiście bardzo angielskie i wstrzemięźliwe, lecz nie ulegało wątpliwości, że moja osoba budzi podejrzenia i wprawia w zakłopotanie. W świecie pracy traktowano być może samotnego ojca z małym dzieckiem w sposób śmiały i ze zrozumieniem, lecz tutaj na pierwszej linii frontu, przy bramie szkoły, nikt nie chciał o niczym wiedzieć. Tak jakbyśmy Pat i ja przypominali o kruchości wszelkich związków.

Ale tamtego dnia, kiedy nie pojawiła się Bianca i czekałem na nią wraz z Patem i Peggy, poczułem, że chodzi o coś więcej. Najwyraźniej przypominałem tym matkom o tysiącu rzeczy, które mogą pójść nie tak z facetami.

Miałem wrażenie, że jestem ambasadorem wszystkich wybrakowanych mężczyzn na świecie. Mężczyzn, którzy nigdy nie byli tam, gdzie ich potrzebowano. Mężczyzn, którzy wypięli się na swoje partnerki. Mężczyzn, którym nie można powierzyć małych dzieci.

Cóż, niech ich wszystkie trafi szlag. Miałem dosyć tego, że traktowano mnie jak wroga.

Nie przeszkadzało mi to, że uważano mnie za odmieńca. Spodziewałem się tego. W gruncie rzeczy wiedziałem, że jestem odmieńcem. Ale miałem dosyć ponoszenia odpowiedzialności za każdego zdefektowanego samca na tej planecie.

Przeklinałem opiekunkę Peggy — tę nic niewartą rozkaślaną krowę, która nie potrafiła nawet stawić się o umówionej godzinie przed szkołą, której nie chciało się zadzwonić do nauczycielki, żeby uprzedzić nas, że jej nie będzie, cholerną Biankę z jej nowomodnym imieniem i nowomodnym przekonaniem, że ktoś inny zrobi to, co należało do jej obowiązków.

Ale Peggy nie była przynajmniej jej dzieckiem. I w znacznie większym stopniu niż jej nic niewartą opiekunkę, przeklinałem jej nic niewartych rodziców.

To prawda, nie wiedziałem o nich nic z wyjątkiem faktu, że ojciec był gdzieś daleko, a matka pracowała do późna. Miałem jednak wrażenie, że w gruncie rzeczy wiem o nich wszystko.

Tato Peggy najwyraźniej traktował swoje ojcowskie obowiązki z taką samą powagą jak wyjazd na dwutygodniową wycieczkę na Florydę. I tak naprawdę nie miało znaczenia, czy mama Peggy była jakąś grubą szychą w City, czy też uzupełniała wypłacane przez państwo kieszonkowe, pracując w szarej strefie. Dobro córki umieściła najwidoczniej na ostatnim miejscu listy swoich życiowych priorytetów.

Byli typowymi współczesnymi rodzicami. Niezdolnymi do opiekowania się tym dzieckiem. I jeśli istniało coś, co budziło moją żywą nienawiść, to byli to ludzie, którzy wydają dziecko na świat, a potem uważają, że najtrudniejsze jest już za nimi.

Ich też niech trafi szlag.

Kiedy najgorsze już minęło, gdy tłum młodych mam zaczął się przeredzać i właściwie mogłem spokojnie stać dalej przy bramie, udaliśmy się do kancelarii, gdzie poinformowałem sekretarkę, że Peggy idzie z nami do domu.

Uszczęśliwieni nieoczekiwaną okazją wspólnej zabawy, Pat i Peggy popiskiwali z radości, sadowiac się na przednim siedzeniu MGF. A ja zorientowałem się, że z trudem powstrzymuję się od płaczu, co w tym miejscu przytrafiało mi się dość często. Współczułem Peggy w równym stopniu co Patowi. Schrzaniliśmy nasze życie, a rachunek za to płaciły te porzucone małe istoty.

Patrzyłem, jak bawi się spokojnie na podłodze, ignorowana nawet przez Patę zasłuchanego w brutalne piosenki Sally, i kiedy dzwonek lodziarza zaczął się oddalać, poczułem w sercu grudę żalu i wstydu.

— Chcesz loda? — zapytałem, czując się tak niezręcznie, jak nie czułem się jeszcze nigdy w życiu, wiedząc, że jestem jej winien jakąś formę przeprosin.

Przepraszam cię za upadek instytucji małżeństwa, Peggy. Przepraszam, że dorosli są dzisiaj tacy głupi i skoncentrowani na sobie samych, że nie potrafią nawet wychować własnych dzieci. Przepraszam, że świat jest tak skopsany, że poświęcamy naszym synom i córkom tyle samo myśli, co przeciętnemu zwierzęciu w zagrodzie.

Ale co powiesz na cornetto w czekoladzie?

* * *

Płaciłem właśnie lodziarzowi za trzy lody 99, kiedy zza rogu wyszła Cyd.

— Chcesz dziewięćdziesiątkędziewiątkę? — zapytałem ją.

— Co to jest dziewięćdziesiątkadziewiątko?

— To takie lody — wyjaśniłem. — Rożki z wiórkami czekolady. Są świetne.

— Nie, dziękuję — odparła. — Zachowam siły na kolację. Co u ciebie?

— Wszystko w porządku — powiedziałem, pochylając się do przodu i całując ją w usta. Nie wysiliła się zbyt, by odwzajemnić pocałunek. — Myślałem, że jesteś w pracy.

— Dostałam telefon, żeby odebrać Peggy — oznajmiła. — Bianca nie mogła po nią przyjść. Przepraszam cię za kłopot.

Wpatrywałem się w nią przez moment, nie potrafiąc w żaden sposób powiązać ze sobą tych dwóch światów.

— Znasz Peggy? — zapytałem.

Cyd potrząsnęła głową. Nie umiałem przyjąć tego do wiadomości, prawda?

— To moja córka, Harry.

Staliśmy przy frontowych drzwiach do mojego domu. Cyd spojrzała na mnie tymi szeroko osadzonymi brązowymi oczyma. Czekając.

— Peggy jest twoją córką?

— Miałam zamiar ci to powiedzieć — stwierdziła. — Słowo daję. — Roześmiała się cicho i ten śmiech świadczył o tym, że wiedziała, iż to wcale nie jest takie zabawne. — Czekałam po prostu na odpowiedni moment. To wszystko.

— Odpowiedni moment? Dlaczego nie powiedziałaś mi od razu? Dlaczego to nie był odpowiedni moment?

— Wyjaśnię ci później.

— Wyjaśnij teraz.

— Dobrze — odparła, przymykając frontowe drzwi, żeby nie usłyszały nas dzieci. Nasze dzieci. — Ponieważ nie chcę, żeby moja córka poznawała obcych mężczyzn, którzy mogą wkrótce zniknąć z mojego życia.

— Nie chcesz, żeby poznawała obcych mężczyzn? O czym ty opowiadasz, Cyd? Ja nie jestem obcym mężczyzną. Ona spędza w tym domu więcej czasu niż gdziekolwiek indziej. Peggy dobrze mnie zna.

— Zna cię jako tatę Pata. Nie zna cię jako mojego... Kim ty właściwie dla mnie jesteś, Harry? Domyślam się, że moim chłopakiem, prawda? No więc nie zna cię jako mojego chłopaka. A ja nie chcę, żeby poznawała mojego chłopaka, dopóki nie spędzę z nim pewnego czasu. Rozumiesz?

To, co mówiła, nie miało według mnie sensu. Strumyczek roztopionego lodu pociekł mi po ręce.

— Ale w zeszłym tygodniu prawie codziennie jadła tu kolację! — zawołałem. — Widuje mnie częściej niż tego gamonia, za którego wysłałaś!

— Nie znasz go.

To mi się spodobało.

— Aha... więc facet jest w porządku?

— Może nie jest — przyznała. — Ale nie chcę, żeby Peggy dorastała, uważając, że każdy mężczyzna zniknie kiedyś w taki sam sposób, w jaki zniknął jej ojciec. Nie chcę, żeby oglądała w moim łóżku obcych facetów... a ty jesteś obcy. Jeśli o to chodzi, jesteś obcy, Harry. Nie chcę u siebie obcych facetów, kiedy ona się obudzi. Nie chcę, żeby myślała, że to nie ma znaczenia. I nie chcę, żeby przywiązała się do kogoś, kto być może długo u nas nie zabawi.

Próbowała zachować spokój, ale co jakiś czas załamywał jej się głos i miałem ochotę ją objąć. Co mogłoby się źle skończyć, ponieważ w rękę nadal trzymałem trzy roztopiające się lody.

— Nie chcę, żeby cierpiała więcej, niż już się wycierpiała — dodała. — Nie chcę, żeby oddała swoje serce komuś, kto potem ot, tak sobie, od niechcenia je złamie. Rozumiesz, Harry? Rozumiesz?

— Rozumiem — odparłem. — Rozumiem.

Cyd zamrugała oczyma i zacisnęła usta, a ja wytarłem poplamione lodami ręce. A potem weszliśmy do domu i przekonałem się, że dziecko nie dziwi się niczemu.

Być może kiedy ma się kilka lat, życie obfituje w tyle cudownych zjawisk, że tak naprawdę nic nie stanowi niespodzianki. A może dzieci adaptują się po prostu szybciej od dorosłych. Tak czy inaczej ani Peggy, ani Pat nie zemdleli z wrażenia, kiedy Cyd weszła do salonu.

— Mama — zawołała Peggy i w tym momencie przypomniałem sobie, gdzie wcześniej widziałem te oczy.

Cyd usiadła na podłodze i wysłuchała swojej córki, która wyjaśniła jej, jak urządzone są wnętrza Sokoła Milenium. Zdjęła słuchawki z głowy mojego syna i wysłuchała piosenki, która mu się podobała. A potem, kiedy wszyscy zjedliśmy lody, zakomunikowała Peggy, że czas wracać do domu.

— Zadzwoń do ciebie — powiedziałem.

— Jeśli masz ochotę — odparła. — Wiem, że to musiał być dla ciebie szok.

— Zwariowałaś czy co? Oczywiście, że mam ochotę.

— Jesteś pewien?

— Jestem — stwierdziłem, dotykając jej ramienia. — To niczego nie zmienia. To zmieniało wszystko.

Rozdział 25

— Kochałeś się z wizażystką? — zapytałem.

Eamon zerknął na moje odbicie w lustrze w garderobie i miałem wrażenie, że coś pojawiło się na jego twarzy. Może strach. A może gniew. Chwilę później to coś zniknęło.

— Że co?

— Słyszałeś dobrze, co powiedziałem.

Program się rozwijał. Oglądalność rosła i napływały do nas oferty reklam producentów piwa. Ale dla mnie Eamon wciąż był przestraszonym dzieciakiem z Kilcarney z woskiem w uszach.

— Tak czy nie? Kochałeś się z wizażystką?

— Dlaczego pytasz?

— Bo dziewczyna płacze. Nie możemy pozwolić, żeby pudrowała nosy gościom, bo zalała łzami wszystkie swoje przybory. Zamókł cały puder.

— A co to ma wspólnego ze mną?

— Wiem, że w zeszłym tygodniu wyszliście razem ze studia. Eamon przekreślił się na swoim małym obrotowym fotelu i spojrzał mi prosto w twarz. Jego głowę okalały zamontowane na krawędzi lustra żarówki. Nie sprawiał już wrażenia wystraszonego, mimo że spod grubej warstwy pudru na jego czole wyciekał błyszczący strumyczek potu.

— Pytasz, czy kochałem się z wizażystką?

— Zgadza się — odparłem. — Nie obchodzą mnie twoje zasady moralne, Eamon. Jeśli chcesz, możesz podczas przerwy na reklamy przelecieć dziewczynę od świateł. Nie dbam o to, co robisz, kiedy nie jesteś na wizji. Pod warunkiem, że to nie zakłóca funkcjonowania programu. A zapłakana wizażystką, która nie może wykonywać swojej roboty, zakłóca funkcjonowanie programu.

— Bardzo mi pomogłeś, Harry — oznajmił cicho. Czasami mówił tak cicho, że trzeba się było bardzo skoncentrować, żeby go w ogóle usłyszeć. To dawało mu pewną władzę. — Od pierwszego naszego spotkania wszystko, co powiedziałeś, wydawało mi się bardzo sensowne. „Pamiętaj, że mówisz zawsze do jednej osoby”, stwierdziłeś. „Jeśli ty dobrze się bawisz, wtedy oni też będą się dobrze bawić”. Takie rzeczy może niewiele dla ciebie znaczą, ale pomogły mi przez to

przebrnąć. Pomogły mi zaistnieć. Bez ciebie nie dałbym rady i jestem ci wdzięczny. Dlatego nie gniewam się, kiedy zadajesz mi pytanie, które... chyba się ze mną zgodzisz...? zabrzmiałoby nieco obcesowo, gdyby zadała je moja matka albo mój ksiądz proboszcz.

— Czy kochałeś się z wizażystką, Eamon?

— Nie, Harry. Nie kochałem się z wizażystką.

— To prawda?

— Prawda, Harry. Nie kochałem się z wizażystką.

— Dobrze. To wszystko, co chciałem wiedzieć.

— Ja przeleciałem wizażystkę.

— Widzisz tu jakąś różnicę?

— Bardzo dużą. To nie był początek jakiegoś ważnego związku, Harry. To był kulminacyjny punkt czegoś kompletnie pozbawionego znaczenia... i to właśnie mi się w tym spodobało. A Carmen... tak ma na imię wizażystką, Harry, tak brzmi jej imię... może i martwi się dzisiaj, że nie będzie powtórki z rozrywki, ale mocno podejrzewam, że to też jej się w tym spodobało. Sam fakt, że to było trochę ostre, trochę brutalne i tylko na jedną noc. Czasami kobieta chce, żebyś się z nią pokochał. Innym razem chce, żebyś ją tylko przeleciał. One się od nas niczym nie różnią. To cały sekret, Harry. Są po prostu takie same.

— Dlaczego nikt mi o tym wcześniej nie powiedział? Moje życie byłoby o wiele prostsze.

— Aktualnie otrzymuję dużo ofert, Harry. I nie wszystkie pochodzą od reklamodawców piwa. Carmen to urocza dziewczyna. Będę ją traktował z szacunkiem. I z przyjaźnią. Ale chciała dokładnie tego samego co ja i dostała to. Nie może oczekiwać ode mnie niczego więcej. I kiedy weźmie się w garść, sama to zrozumie.

— Nie jesteś pierwszym młodym facetem, który łajdaczy się na lewo i prawo, ponieważ jego szpetna gęba pojawia się raz w tygodniu w telewizji, Eamon. Staraj się prostu nie pakować swoich osobistych dramatów do tego studia, dobrze?

— W porządku, Harry — odparł łagodnym tonem. — Przykro mi, że to wpłynęło w negatywny sposób na naszą pracę, naprawdę mi przykro. Rozumiem poza tym, że jesteś moim producentem wykonawczym i mówisz mi to, ponieważ taka jest twoja rola. Ale jestem mężczyzną, jasne?

— Co ty powiesz? Naprawdę? Brzmi to bardziej jak cytaty ze starego bluesa. „Jestem mężczyzną”. Chryste, robi się z ciebie pieprzony ogier. Niedługo będziesz reklamował płyn po goleniu.

— Jestem mężczyzną, Harry. I jestem tu po to, żeby umieścić moje nasienie w tak wielu miejscach, jak to możliwe. Po to tu jesteśmy. To właśnie robią mężczyźni.

— Brednie — stwierdziłem. — To robią chłopcy.

Ale później, widząc, jak wychodzi ze studia z naszą najładniejszą asystentką, pomyślałem sobie — dlaczego nie?

Dlaczego nie wolno mu umieszczać swojego nasienia w tylu miejscach, w ilu tylko zdoła je umieścić? Po co miałby je oszczędzać? I co było takiego wspaniałego w samotnym małym doniczkowym kwiatku, który pielęgnowałem?

Nagle pojawiło się mnóstwo zasad, których musiałem przestrzegać.

Mogłem zostać w małym, położonym na poddaszu mieszkanku Cyd, ale musiałem się wynieść, zanim Peggy się obudzi. Cyd cieszyła się, że zostaje z nią po tym, jak mała zaśnie, cieszyła się, że śpię z nią w starym mosiężnym łóżku pod oprawionym w ramki plakatem z Przemineño z wiatrem. Musiałem jednak wyjść przed nadejściem poranka.

Właściwie zasad nie było mnóstwo. Była tylko ta jedna. Ale ja miałem wrażenie, jakby było ich wiele.

— Może później będzie inaczej — stwierdziła. — Jeśli uznamy... no wiesz... że chcemy ciągnąć to dalej. Jeśli będziemy chcieli się ze sobą należycie związać.

Kiedy tylko odwróciła ode mnie te swoje szeroko osadzone brązowe oczy i zgasiła światło, poczułem, że nie mam wcale ochoty na należyty związek. Szczepnie mówiąc to, co czułem, było odrobinę mniej skomplikowane.

Chciałem spać w ramionach mojej dziewczyny, wiedząc, że nie obudzi mnie o świcie i nie każe wracać do domu. Chciałem związku, w którym nie będę musiał pamiętać o zasadach. A jeszcze bardziej chciałem, żeby nasz związek wyglądał tak jak przedtem, zanim wszystko się porąbało.

* * *

Byłem pogrążony w głębokim śnie, kiedy wargi Cyd dotknęły moich.

— Kotku — szepnęła. — Przepraszam cię. Ale już czas.

Na dworze było wciąż ciemno, słyszałem jednak podskakujące na dachu nad naszymi głowami gołębie — niezawodny znak, iż pora wkładać gatki i zmywać się, nim wzejdzie słońce.

— Wszystko to sobie świetnie obmyśliłaś, prawda? — westchnąłem, odsuwając się od niej i wstając z łóżka.

— Żałuję, że nie możesz zostać, Harry. Naprawdę.

— Ile czasu minęło, odkąd rozstałaś się z ojcem Peggy?

Trzy lata? Może więcej? Ilu przedstawiłaś jej od tamtego czasu mężczyzn?

— Ty jesteś pierwszy — odparła cicho i zacząłem się zastanawiać, czy to prawda.

— Nie rozumiem po prostu, co w tym złego, jeśli mała zobaczy, jak wcinam miskę płatków kukurydzianych. Jezu... widuje mnie przez cały tydzień.

— Już o tym rozmawialiśmy — powiedziała w ciemności Cyd. — Twoja obecność rano wprowadziłaby ją w zakłopotanie. Proszę, spróbuj to zrozumieć. Ma pięć lat... ty trochę więcej.

— Peggy mnie lubi. Ja też ją lubię. Zawsze się ze sobą świetnie dogadywaliśmy.

— Tym bardziej powinienes teraz wyjść. Nie chcę, żebyś stał się dla Peggy wujkiem. Chcę, żebyś był kimś więcej albo kimś mniej. Ale nie wujkiem. Ona zasługuje na coś lepszego. Podobnie jak ty.

— Dobrze — odparłem. — Niech ci będzie.

— Powinienes mnie kochać za to, że taka jestem — stwierdziła, bardziej rozgniewana niż urażona. — Powinienes zrozumieć, że próbuję ją po prostu ochronić, że robię to, co dla niej najlepsze. Ty też masz małe dziecko. Wiesz, jak to jest. Jeśli ktoś powinien to zrozumieć, to właśnie ty.

Miała rację.

Powinienem ją kochać.

* * *

Po raz pierwszy w życiu zrozumiałem nagle, dlaczego mężczyźni w moim wieku powinni wiązać się z młodszymi kobietami.

Przedtem nigdy tego nie pojmowałem. Ciąta trzydziestolatek są nadal sprężyste i można z nimi o wielu rzeczach pogadać. Są wciąż młode i poznały trochę życie — prawdopodobnie w tym samym stopniu co my.

Z jakiej racji jakikolwiek mężczyzna miałby zamienić tego rodzaju autentyczne partnerstwo na dziewczynę z przekłutym pępkiem, dla której gorąca randka oznacza spędzenie kilku godzin w jakimś strasznym nocnym klubie i pół tabletki czegoś, co udaje Ecstasy?

Jeśli możesz spotykać się z kimś, kto czyta te same książki, kto ogląda te same programy i uwielbia tę samą muzykę co ty, dlaczego miałbyś wiązać się z kimś, dla kogo uosobieniem piosenkarza soul jest członek zespołu Jamiroquai?

Teraz jednak załapałem, o co chodzi. Teraz rozumiem, co nas w nich pociąga.

Mężczyźni w moim wieku lubią młodsze kobiety, ponieważ mają one mniej powodów, by popaść w zgorzknienie.

Jest o wiele mniej prawdopodobne, że serce młodszej kobiety ucierpiało od widoku rozbitej rodziny, adwokatów rozwodowych i dzieci, którym brakuje jednego z rodziców. Młodsza kobieta nie doznała jeszcze tych wszystkich rozczarowań, które kobiety — oraz mężczyźni, nie zapominajmy o mężczyznach — koło trzydziestki wloką za sobą niczym gigantyczny dodatkowy bagaż.

To okrutne, lecz prawdziwe. Istnieje o wiele mniejsze prawdopodobieństwo, że młodszej kobiecie zdążył już spieprzyć życie jakiś facet.

Mężczyzna koło trzydziestki i czterdziestki nie wiąże się z młodszą kobietą dla jej jędrnego ciała i przekłutego języka. To czysta propaganda.

Wiąże się z nią, by móc stać się tym, kto spieprzy jej życie.

* * *

Heidi była nianią z Monachium.

To znaczy niezupełnie z Monachium — bardziej z Augsburga. I niezupełnie nianią.

Niania jest profesjonalistką, jej zawodem jest opieka nad małymi chłopcami i dziewczynkami. Heidi była dziewiętnastoletnią panią, która po raz pierwszy rozstała się na dłużej ze swoimi rodzicami. Jeden lot klasą turystyczną Lufthansy dzielił ją od sypialni pełnej pluszowych zabawek oraz robiącej za nią pranie mamy. Na temat opieki nad dziećmi wiedziała tyle samo co ja na temat teoretycznej fizyki. Heidi była bardziej dziewczyną do dziecka.

Plan był taki, że Heidi będzie gotować, sprzątać i zastępować mnie przy Pacie, kiedy będę pracował w stacji. Otrzyma za to wikt, mieszkanie oraz kieszonkowe i będzie się uczyć angielskiego.

Kiedy ją przyprowadziłem, Pat kołysał się na sofie z otwartymi ustami, słuchając kasyety Sally.

— To jest Heidi. Zamieszka z nami i pomoże nam w domu — oznajmiłem.

Mój zasłuchany syn spojrział nieobecny wzrokiem na dużą jasnowłosą Niemkę.

— Żywy, aktywny chłopiec — stwierdziła z uśmiechem Heidi.

Chcąc pokazać się z jak najlepszej strony, zapytała, co chciałbym zjeść na kolację. Odpowiedziałem, że przegryzę coś w bufecie w telewizji, ale może zrobić kolację dla siebie i dla Pata. Heidi zajrzała tu i tam i po chwili znalazła dużą puszkę zupy pomidorowej.

— Może być? — zapytała.

— Oczywiście.

Starając się jej nie przeszkadzać, usiadłem przy kuchennym stole i zacząłem robić notatki do scenopisu na przyszły tydzień.

Pat przywędrował do kuchni, żeby przyjrzeć się Heidi. Z salonu nadal dobiegała głośna muzyka i kazałem mu iść i wyłączyć magnetofon. Pojawiwszy się z powrotem, pociągnął mnie za rękaw.

— Wiesz co? — zapytał.

— Daj tacie popracować, kochanie.

— Ale wiesz, co robi Heidi ?

— Jej też pozwól robić to, co robi.

Wzdychając głośno, usiadł przy kuchennym stole i zaczął machinalnie przesuwając swoje plastikowe figurki.

Heidi stuknęła garnkami, ale ja podniosłem wzrok dopiero, gdy usłyszałem bulgot gotującej się wody. To było dziwne. Po co gotowała wodę, żeby zagrzać puszkę zupy?

— Heidi?

— Zaraz jest gotowe.

Wstawiła nieotwartą puszkę do garnka z wodą i zagotowała ją. Widząc, że się jej przyglądam, uśmiechnęła się niepewnie i w tej samej chwili puszka eksplodowała, zalewając parującą czerwoną breją sufit, ściany i nas troje.

Otarłszy zupę pomidorową z oczu, zobaczyłem spływającą po twarzy Heidi jaskrawą masę. Onemiała z szoku i zdziwienia, łypała okolonymi na czerwono oczyma. Wyglądała jak Sissy Spacek w scenie szkolnego balu z Carrie.

— Wiesz co? — zapytał Pat, mrugając oczyma, które przezierają przez szkarłatną maskę. — Ona też nie umie gotować.

W związku z czym Heidi znalazła miejsce u miłej rodziny w Crouch End. A ja zadzwoniłem do Sally.

Rozdział 26

Ciotka Ethel kłęczała w ogródku przed domem i sadziła cebulki kwiatów.

Nie była moją prawdziwą ciotką, lecz nazywałem ją tak, odkąd wprowadziliśmy się, gdy miałem pięć lat, do sąsiedniego domu, i trudno mi było zerwać ze starym zwyczajem.

Kiedy wysiedliśmy z należącego do Cyd starego garbusa, ciotka Ethel wyprostowała się i mrużąc oczy, przyjrzała się Cyd, Peggy, Patowi i mnie. Przez moment miałem wrażenie, że znowu jestem małym dzieckiem i przyszedłem poprosić ją, żeby oddała mi piłkę.

— Harry? — zawołała. — To ty, Harry?

— Dzień dobry, ciociu Ethel — odparłem. — Co tam sadzisz?

— Tulipany, żonkile i hiacynty. Czy to twój Pat? Nie wierzę własnym oczom. Ale urósł! Cześć, Pat.

Pat bez przekonania zasalutował jej swoim świetnym mieczem. Nigdy nie zdołaliśmy go skłonić, by zwracał się do ciotki Ethel we właściwy sposób i najwyraźniej nie miał tego zamiaru zrobić w tej chwili. Ciotka Ethel zainteresowała się tymczasem Peggy i na jej znajomej starej twarzy pojawiło się zakłopotanie.

— A ta mała dziewczynka. . .

— Jest moja — wyjaśniła Cyd. — Cześć, ciociu Ethel. Jestem Cyd, znajoma Harry'ego. Jak się ciocia miewa?

— Jak Sid James?

— Nie. Jak Cyd Charisse.

Powieki ciotki Ethel zatrzepotały za okularami.

— Ach, ta tancerka — mruknęła — Występowała razem z Fredem Astaire'em w Jedwabnych pończochach. Miała niezłe nogi. — Ciotka zmierzyła Cyd wzrokiem. — Dokładnie tak jak ty.

— Lubię twoją ciocię Ethel — szepnęła Cyd, biorąc mnie pod ramię, kiedy ruszyliśmy alejką. A potem poczułem, jak ściska mnie mocniej. — O Boże. . . to chyba twoja matka.

Moja mama stała uśmiechnięta w progu i Pat wybiegł jej na spotkanie.

— Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin! — zawołała, biorąc go w ramiona. — Pięć lat! Ale z ciebie wielki chłopak. . . och! — Nadal obejmując go

ramieniem, odsunęła od głowy świetny miecz. — Niech diabli porwą tę rurę! — roześmiała się i spojrzała na Peggy. — A ty na pewno jesteś Peggy. Mam nadzieję, że nie jesteś uzbrojona w świetny miecz?

— Nie, nie lubię zbytnio Gwiazdnych wojen. Bawię się w nie, bo on to lubi.

— To zabawa dla chłopaków, prawda? — stwierdziła mama, nie zamierzając, jak widać, walczyć z dotyczącymi płci stereotypami.

Peggy weszła w ślad za Patem do domu, a mama uśmiechnęła się do Cyd, która trzymała się trochę z tyłu, pół kroku za mną, nadal ściskając mnie za ramię. Nigdy przedtem nie widziałem, żeby była tak onieśmielona. Mama złapała ją i ucałowała w policzek.

— A ty musisz być Cyd. Wejdz, kochanie. Czuj się jak u siebie w domu.

— Dziękuję — odparła Cyd.

Kiedy wchodziła do domu, w którym dorastałem, mama posłała mi zza jej pleców szybki uśmiech, unosząc brwi niczym zaskoczona dama na jednej z tych starożytnych sprośnych pocztówek znad morza.

Przywiodłem w swoim czasie do domu dość dziewcząt, żeby wiedzieć, co znaczy to spojrzenie.

Znaczyło, że Cyd jest kimś, kogo mama określiłaby mianem bombowej babki.

A w ogródku za domem było coś, co mama określiłaby mianem niebiańskiej uczy.

Wyniesiony z kuchni stół nakryty był papierowym obrusem z wymalowanymi balonikami, strzelającymi korkami od szampana i śmiejącymi się królikami.

Stały na nim miseczki wypełnione chipsami, orzeszkami oraz małymi pomarańczowymi kosteczkami czegoś, co przypominało ser, półmiski z sandwiczami z odciętą skórką, tacki z zapiekanymi kielbaskami i sześć papierowych talerzyków z galaretką i owocami z puszki. Pośrodku tego rogu obfitości stał urodzinowy tort w kształcie hełmu Dartha Vadera, z pięcioma świeczkami.

Kiedy wszyscy usiedliśmy i odśpiewaliśmy kilka razy „Sto lat” Patowi, ojciec puścił w obieg tackę z zapiekanymi kielbaskami.

— Założę się, że niełatwo było im pomieścić się w tym twoim sportowym aucie — stwierdził, spoglądając na mnie spod oka.

Z salonu dobiegały dźwięki jednego z najbardziej ulubionych albumów ojca — koniec drugiej strony Songs for Swingin' Lovers! Frank śpiewał właśnie Anything Goes Cole'a Portera.

— Nie przyjechalibyśmy MGF, tato — powiedziałem. — Cyd przywiozła nas swoim samochodem.

— Kompletnie niepraktyczny wóz — kontynuował ojciec, nie zwracając w ogóle uwagi na moje sprostowanie. — Gdzie mają się tam pomieścić dzieci? Mężczyzna musi myśleć o takich rzeczach, kiedy kupuje sobie brykę. W każdym razie powinien.

— Mój tato ma motor — poinformowała go Peggy.

Ojciec wbił w nią wzrok, żując bułkę i nie wiedząc, co rzec. Jej tato? Ma motor?

— To miło, kochanie — stwierdziła mama.

— I tajską przyjaciółkę.

— Ciekawe!

— Ma na imię Mem.

— Jakie ładne imię!

— Mem jest tancerką.

— Mój Boże.

Wszyscy siedzieliśmy w milczeniu, czekając na dalsze rewelacje. Peggy uniosła górną połówkę swojego sandwicza i sprawdziła, co jest w środku. Dalszych rewelacji nie było. Peggy nakryła z powrotem sandwicz i wbiła w niego zęby.

Gryząc powoli małe pomarańczowe kostki czegoś, co przypominało ser, czułem, jak ogarnia mnie przygnębienie.

Moi rodzice starali się, jak mogli. Ale ta mała drobna dziewczynka miała już inne życie, w którym nigdy nie mogli wziąć udziału. Na jej widok nigdy nie miała ich ogarnąć wszechobejmująca radość, jaką odczuwali w stosunku do Pata. Ten rodzaj bezwarunkowej miłości był wobec niej niemożliwy. Zawsze będzie na to zbyt obca. Współczułem im. I współczułem Peggy.

— Tak naprawdę Mem nie jest wcale tancerką — powiedziała Cyd, obserwując moją twarz i czytając jakby w moich myślach. — To striptizerka.

Mój stary zakrztusił się chipsem o smaku barbecue.

— Wpadło mi nie tam, gdzie trzeba — usprawiedliwił się. Moja mama obróciła się do Cyd z szerokim uśmiechem.

— Może galaretki? — zapytała.

* * *

Kiedy skończyliśmy omawiać problem Mem, zrobiło się znacznie przyjemniej. I moi rodzice polubili Cyd. Widziałem, że bardzo ją polubili.

Były oczywiście pola minowe, które należało omijać - mój tato nie znosił samotnych matek utrzymywanych przez państwo, a mama nie znosiła pracujących kobiet — ale Cyd poradziła sobie z tym, ani razu nie rozlewając galaretki.

— Państwo nigdy nie może zastąpić matki ani ojca, panie Silver... i nie powinno nawet tego próbować.

— Mów mi Paddy, kochanie — zaproponował jej tato.

— Niektóre kobiety muszą pracować, pani Silver... ale to wcale nie znaczy, że stawiają swoje dzieci na drugim miejscu.

— Mów mi Elizabeth, moja droga — oznajmiła mama. Rozmawiała z Paddyem oraz Elizabeth o rzeczach, o których chcieli z nią mówić — z moją mamą o

filmach, jakie powinno się pozwalać oglądać pięciolatkowi, a z moim tatą o tym, kiedy powinno się zdjąć boczne kółka z dzieciennego roweru.

I przez cały czas reagowała tak jak trzeba, zachwycając się zapiekаныmi kiełbaskami mojej mamy („Domowej roboty, kochanie... jeśli chcesz, dam ci przepis”) oraz ogrodem taty („Harry’ego nigdy nie interesowały ogrody... osobiście nie potrafię zrozumieć tego rodzaju postawy”).

Lecz Cyd nie była jedną z miejscowych dziewczyn, z którymi przetańczyłem kilka wieczorów w podmiejskim klubie, jedną z wielu Kim lub Kelly, które zapraszałem do domu do momentu, kiedy zaprosiłem Ginę.

Cyd była, i to nie ulegało kwestii, kobietą z przeszłością — i w tej przeszłości mieściło się małżeństwo, ciąża oraz rozwód, chociaż niekoniecznie akurat w takiej kolejności. Można było odnieść wrażenie, że moi rodzice potrafią się uporać z tą przeszłością tylko w jeden sposób: całkowicie ją ignorując.

Rozmawiając z nią, przeskakiwali od dzieciństwa w Houston do czasu teraźniejszego w Londynie, tak jakby wszystko, co zdarzyło się pomiędzy, wycięła cenzura.

— Teksas, powiadasz? — mówił mój tato. — Osobiście nigdy nie byłem w Teksasie. Ale spotkałem paru Teksaszczyków na wojnie. Dobrze grali w karty — dodał, konspiracyjnie się ku niej pochylając.

— To musi być urocze mieć siostry — mówiła mama. - Ja miałam sześciu braci. Potrafisz to sobie wyobrazić? Sześciu braci! Niektóre kobiety nie lubią oglądać w telewizji futbolu i boksu. Ale mnie to nigdy nie przeszkadzało. Bo miałam sześciu braci.

Niemniej temat rozbitego małżeństwa Cyd przez cały czas wisiał jakby w powietrzu. I w końcu Cyd uporała się z nim z taką swobodą, jakby był nieświeżą zapiekaną kiełbaską, którą trzeba odsunąć na skraj talerza. Nigdy nie wydawała mi się bardziej amerykańska.

— Moja rodzina jest bardzo podobna do waszej — powiedziała, zwracając się do mojej matki. — Byliśmy ze sobą bardzo blisko związani. Przyjechałam tutaj wyłącznie dlatego, że Jim... ojciec Peggy... jest Anglikiem. Ten związek nie wypalił, ale tak się złożyło, że nigdy nie wróciłam do domu. Teraz, kiedy spotkałam twojego syna, cieszę się, że tego nie zrobiłam.

I to było wszystko.

Mama spojrzała na nas, jakby Cyd była Ali MacGraw, a ja Ryanem O’Nealem z Love Story. Nawet tato otarł chyba ukradkiem łzę z oka. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że to był okruszek z zapiekanej kiełbaski.

Kiedy Pat zdmuchnął w końcu swoje pięć świeczek i pokroiliśmy tort, rodzice zachowywali się, jakby znali Cyd i Peggy od niepamiętnych czasów.

Jeśli zbijał ich trochę z tropu fakt, że dziewczyna moich marzeń dzieliła — zanim się pojawiłem — swoje marzenia z kimś innym, nie dawali tego po sobie poznać. Powinienem być z tego bardziej zadowolony, niż byłem.

Kiedy Cyd pomagała mamie uprzątać ze stołu, a tato pokazywał Patowi i Peggy, jak radzić sobie ze ślimakami, zająłem do salonu i podszedłem do zestawu stereo.

Songs for Swingin' Lovers! skończyły się już dawno temu, ale okładka płyty, starego winylowego longplaya — mój ojciec nigdy nie pogodził się z kompaktową rewolucją — wciąż stała oparta o zestaw Sony.

Ta okładka miała dla mnie zawsze szczególne znaczenie. Sinatra — w przekrzywionym krawacie i przesuniętym na tył głowy filcowym kapeluszu — szczerzy na niej zęby do typowej pary z lat pięćdziesiątych, wybrylantynowanego Romea w urzędniczym garniturku i podmiejskiej Julii w perłowych kolczykach i krótkiej czerwonej sukience.

Wyglądają na najzwyklejszą pod słońcem parę — nie sposób wyobrazić ich sobie pośród zblazowanej młodzieży w Las Vegas. Jednocześnie jednak wydają się czerpać z życia tyle radości, ile to tylko możliwe. Będąc dzieckiem, zawsze lubiłem się przyglądać tej parze, ponieważ wydawało mi się, że wyglądają dokładnie tak jak moi rodzice, kiedy się w sobie zakochali.

Ktoś zawołał mnie po imieniu z ogrodu, lecz ja dalej wpatrywałem się w okładkę Songsfor Swingin' Lovers!, udając, że nie słyszę.

Dzisiaj ze świecą szukać takich ludzi, pomyślałem.

* * *

— Wszyscy dobrze się bawili — stwierdziła Cyd.

— Przyjęcie chyba się udało — zgodziłem się. Wróciliśmy już do Londynu i byliśmy teraz w jej małym mieszkanku. Peggy i Pat siedzieli na sofie, oglądając Księżniczką Pocahontas (film wybrała Peggy). Zmęczeni dwugodziną jazdą rządzającym starym garbusem Cyd, zaczęli się na siebie bocyć. Chciałem wracać do domu.

— Wszyscy dobrze się bawili — powtórzyła Cyd. — Patowi spodobały się prezenty. Peggy tak się objadła, że nie będę jej musiała żywić przez cały tydzień. A ja bardzo się cieszę, że mogłam poznać twoją mamę i twojego tatę. Są naprawdę uroczy. Tak, wszyscy się dobrze bawili. Z wyjątkiem ciebie.

— O czym ty mówisz? Świetnie się bawiłem.

— Nie — odparła. — I tym, co mnie boli. . . co naprawdę mnie boli, jest fakt, że nawet nie próbowałeś. Twoi rodzice bardzo się starali. Wiem, że kochali Ginę i nie było to dla nich łatwe. Niemniej naprawdę starali się, żeby to było udane przyjęcie. Ale tobie się po prostu nie chciało, prawda?

— Co miałem robić? Zatańczyć lambadę po paru dietetycznych colach? Bawiłem się tak dobrze, jak można się bawić na urodzinowym przyjęciu syna.

— Jestem dorosłą kobietą i mam dziecko, rozumiesz? Musisz nauczyć się z tym sobie radzić. Bo jeśli ci się nie uda, nie mamy przed sobą przyszłości.

— Lubię Peggy — stwierdziłem. — I świetnie się z nią dogaduję.

— Lubiłeś Peggy, kiedy była zwykłą dziewczynką, która kolegowala się z twoim synem. Lubiłeś ją, kiedy była miłym dzieckiem, bawiącym się grzecznie na dywanie w twoim domu. Nie lubisz tego, kim się stała, kiedy zaczęliśmy ze sobą chodzić.

— A kim teraz jest?

— Pamiątką po pieprzeniu się z innym facetem.

Pamiątką po pieprzeniu się z innym facetem? To było mocne.

Trudno sobie wyobrazić, by Sinatra umieścił coś takiego na okładce jednego ze swoich albumów.

Rozdział 27

Chodziło o coś więcej niż pamiątkę po pieprzeniu się z innym facetem.

Jeśli wspólne życie z Patem czegoś mnie nauczyło, to tego, że bycie rodzicem jest przede wszystkim kwestią intuicji — domyślamy się, co robić w danej sytuacji, dopiero wtedy, gdy do niej dochodzi. Nikt nas tego nie uczy.

Kiedy byłem dzieckiem, wyobrażałem sobie, że moi rodzice posiadają tajemną wiedzę, jak trzymać mnie w ryzach i wychować na porządnego człowieka. Wydawało mi się, że istnieje jakiś misterny plan, na podstawie którego zmuszają mnie do jedzenia warzyw i każą iść do sypialni, kiedy przychodzi na to pora. Myliłem się jednak. Teraz wiem, że robili to samo, co robią wszyscy rodzice na świecie. Polegali po prostu na własnym wyczuciu.

Gdyby Pat chciał oglądać Powrót Jedi o czwartej nad ranem albo słuchać Puff Daddy'ego o północy, nie musiałbym się długo zastanawiać — wyciągnąłbym po prostu wtyczkę z gniazdka i posłał go z powrotem do łóżka.

Gdyby był przygnębiony po rozmowie telefonicznej z Giną albo po czymś, co przytrafiło mu się w szkole, mogłem go zawsze wziąć na ręce i przytulić. Kiedy z kimś łączą cię więzy krwi, nie musisz się zastanawiać, czy to, co robisz, jest w porządku. Nie musisz się w ogóle zastanawiać. Po prostu to robisz.

Wiedziałem jednak, że nigdy nie będę w tak luksusowej sytuacji z Peggy.

* * *

Siedziała na sofie, opierając małe białe nóżki o stolik do kawy i oglądając swój ulubiony australijski serial.

Ja siedziałem obok i starając się nie słuchać bełkotu dysfunkcyjnych surferów, nie znających tożsamości swoich prawdziwych rodziców, czytałem artykuł o upadku kolejnego banku w Japonii. Wyglądało na to, że na tamtej półkuli zapanał kompletny chaos.

— Chcesz powiedzieć, że nie jesteś moją matką? — zapytał ktoś na ekranie, a potem zabrzmiała muzyka kończąca serial i Peggy zaczęła się wiercić.

Normalnie zniknęła zaraz po serialu. Teraz jednak pozostała na sofie i pochyliwszy się, wyłowiła spomiędzy stosu czasopism i zabawek należący do Cyd lakier do paznokci. Obserwowałem, jak odkręca korek małej szklanej fiołki.

— Peggy?

— Co?

— Może nie powinnaś się tym bawić, kochanie?

— Nie przejmuj się, Harry. Mama mi pozwala.

Wyjęła korek z małym pędzelkiem i zaczęła bardzo delikatnie malować szkarłatnym lakierem swoje malutkie, prawie niewidoczne paznokcie u stóp. Nie mogłem nie spostrzec, że zamalowuje całe czubki palców.

— Uważaj, co robisz, Peggy. Lakier nie jest do zabawy, rozumiesz?

Posłała mi szybkie spojrzenie.

— Mama pozwala mi to robić.

Z jej paznokci wielkości główki zapałki spływały krople jaskrawego czerwonego lakieru. Wkrótce wyglądała, jakby miesiła przez dłuższy czas nogami ciemne winogrona albo przeszła się boso po podłodze rzeźni. Kiedy podniosła jedną stopę, podziwiając swoje dzieło, deszcz czerwonego lakieru poleciał na egzemplarz „Red”.

Gdyby to był Pat, podniósłbym głos albo zabrałbym mu lakier i kazał iść do swojego pokoju. Coś bym zrobił. W przypadku Peggy nie miałem pojęcia, jak zareagować. Na pewno nie mogłem jej dotknąć. Na pewno nie mogłem podnieść głosu.

— Peggy.

— Co, Harry?

Naprawdę chciałem, żeby zachowywała się, jak należy, i nie umazała lakierem nóg, stolika do kawy, czasopism oraz dywanu. O wiele bardziej jednak zależało mi, żeby mnie lubiła. Siedziałem tam więc, obserwując, jak jej małe stopy nabierają czerwonej barwy, pochrząkując z powątpiewaniem i nic nie robiąc.

W końcu z łazienki wyszła, wycierając włosy, ubrana w biały płaszcz kąpielowy Cyd. Zobaczyła Peggy mażącą lakierem palce u stóp i westchnęła.

— Ile razy ci mówiłam, żebyś tego nie robiła? — zapytała. Odebrała Peggy lakier i podniosła ją z sofy niczym kotka biorąca w zęby niesforne kociaka. — Idziemy, moja panno. Do łazienki.

— Ale...

— Już.

Naprawdę śmieszył mnie — a może raczej sprawiał, iż chciałem schować twarz w dłoniach — fakt, że nikt nigdy nie pomyślał, iż będziemy tracić tyle czasu, zmagając się z konsekwencjami rozpadu podstawowej komórki rodzinnej. Małe mieszkanko Cyd było niczym świątynia romansu.

Ściany pokrywały plakaty filmów opowiadających o idealnej miłości, na której drodze pojawiało się czasem kilka przeszkód, ale której obce były komplikacje współczesnego świata.

Zaraz po wejściu trafiało się na wiszący w małym ciasnym przedpokoju oprawiony w ramy plakat z Casablanki. Trochę tylko mniej ciasny salonik ozdabiały

plakaty z Przygody miłosnej oraz Spotkania. A na honorowym miejscu nad łóżkiem wisiał oczywiście plakat z Przemineło z wiatrem. Nawet Peggy miała plakat z Księżniczką Pocahontas, która spoglądała z góry na jej stare lalki, Barbie i Kena, oraz na gadzety Spice Girls. Gdziekolwiek się spojrzeło, wzrok padał na płonących uczuciem mężczyzn, omdlewające kobiety i triumfującą prawdziwą miłość.

Plakaty nie były poprzyklejane do ścian na studencki sposób — bezmyślnie i bez przekonania, głównie po to, by zakryć jakąś plamę albo popękany tynk. Trzymało je coś więcej niż taśma. Umieszczone za szkłem, oprawione w gustowne czarne ramki, traktowane były jak dzieła sztuki, którymi, jak przypuszczam, były.

Cyd musiała je kupić w jednej z tych galerii filmowych na Soho, zanieść do oprawienia, a potem targać przez całą drogę do domu. Musiała nieźle nałożyć drogi, żeby zawiesić na ścianach plakaty z Przemineło z wiatrem oraz innych filmów. Sygnał był jasny — te sprawy traktowano tutaj jak najbardziej serio.

W rzeczywistości jednak wcale nie te sprawy były dla nas ważne. Humphreyowi Bogartowi i Ingrid Bergman przeszkodziła być może w ich romansie nazistowska inwazja na Paryż, ale Bogey nie musiał przynajmniej martwić się, jak ma traktować dziecko Ingrid, będące owocem jej związku z Victorem Laszlo. Można również mieć sporo wątpliwości, czy Rhett Butler tak zawzięcie uganiałby się za Scarlett O'Hara, gdyby ta ciągała ze sobą po Georgii dzieciaka z poprzedniego małżeństwa.

Nigdy przedtem nie miałem do czynienia z małą dziewczynką, ale Peggy miała w sobie spokój, jakiego nigdy nie spostrzegłem u Pata ani u innych małych chłopców. Tego rodzaju opanowania nie widuje się u chłopców w jej wieku. Może to cecha wszystkich małych dziewczynek, a może taka po prostu była Peggy.

Chcę przez to powiedzieć... że ją lubiłem.

Nie wiedziałem jednak, czy mam być jej przyjacielem, czy ojcem, czy mam być dla niej słodki i pobłażliwy, czy też stanowczy, lecz sprawiedliwy. Żadna z tych postaw nie wydawała mi się właściwa. Kiedy twoja partnerka ma dziecko, wasz związek nigdy nie będzie wyglądał tak jak w kinie. Ten, kto tego nie dostrzega, obejrzał za dużo musicali z Metro Goldwyn Mayer.

Cyd wróciła do pokoju z Peggy wyszorowaną, przebraną i gotową do wielkiego wieczoru, który miała spędzić z ojcem w Pizza Express. Mała wdrapała mi się na kolana i dała całusa. Pachniała mydłem i dziecięcym Timoteiem.

Jej matka zmierzwiła mi włosy.

— O czym tak dumasz? — zapytała.

— O niczym — odparłem.

Kiedy Peggy usłyszała potężny warkot podjeżdżającego ulicą motocykla, jej oczy zrobiły się wielkie jak dwa spodki.

— Tatuś! — zawołała, zeskakując z moich kolan, i poczułem ukłucie zazdrości, które autentycznie mnie zaskoczyło.

Patrzyliśmy wszyscy przez okno, jak Jim Mason parkuje swój wielki motor marki BMW i zeskakuje z siodelka, tak jakby zsiadał z konia. Kiedy zdjął z głowy kask, zobaczyłem, że Cyd miała rację — był z niego całkiem przystojny sukinyś, z rzeźbioną linią szczęki, falą krótkich gęstych włosów i profilem niczym na rzymskiej monecie albo u modela, który lubi dziewczyny.

Łudziłem się wcześniej nadzieją, że będzie miał w sobie coś z Glenna — przywiedłego chłoptasia, który okres największych damskich podbojów ma już za sobą. Ale on wyglądał, jakby wciąż brał z życia to, co najlepsze. Pomachał nam. My pomachaliśmy mu w odpowiedzi. Spotkania z dawnymi towarzyszami waszej partnerki powinny być niezręczne i krępujące. Znacnie najbardziej intymne szczegóły ich życia, a mimo to nigdy przedtem ich nie spotkaliście. Wiecie, że źle się prowadzili, bo po pierwsze, tak wam powiedziano, a po drugie, gdyby się źle nie prowadzili, nie bylibyście ze swoją obecną partnerką.

Spotkanie z facetem, którego ona знаła, zanim poznała ciebie, powinno przypominać drogę przez pole minowe. Dla mnie jednak spotkanie z Jimem nie okazało się wcale takie stresujące. Upiekło mi się, ponieważ okazało się, że istnieje jeszcze wiele niezakończonych spraw między nim i Cyd.

Pojawił się w małym mieszkanku, duży i przystojny, cały w lśniącej skórze, z wyszczerzonymi w uśmiechu białymi zębami i tak długo łaskotał swoją córkę, aż zaczęła piszczeć. Uścisnęliśmy sobie dłonie i wymieniliśmy kilka zdań na temat kłopotów z parkowaniem w tej części puszczy. Kiedy Peggy poszła spakować swoje rzeczy, Cyd zwróciła ku niemu twarz nieruchomą niczym zaciśnięta pięść.

— Jak się czuje Mem? — zapytała.

— Dobrze. Kazała cię pozdrowić.

— Wiem, że to nieprawda. Ale tak czy owak dziękuję. Dobrze jej idzie w pracy?

— Bardzo dobrze, dziękuję.

— Striptizerki mają się coraz lepiej?

— Mem nie jest striptizerką.

— Nie jest?

— Jest prywatną tancerką.

— Przepraszam.

Jim posłał mi uśmiech w stylu „cóż można na to poradzić?”.

— Zawsze taka jest — wyjaśnił, jakbyśmy byli w zażyłych stosunkach, jakby to i owo mógł mi opowiedzieć.

Peggy wróciła z dziecinnym kaskiem, uśmiechając się od ucha do ucha i nie mogąc się doczekać, żeby wyjść. Pocałowała swoją matkę i mnie, po czym wzięła za rękę ojca.

Patrzyliśmy przez okno, jak Jim sadza ostrożnie córkę na motocyklu i wkłada jej na głowę kask. Po chwili dosiadł okrakiem swojej maszyny, uruchomił ją jed-

nym kopnięciem i odjechał wąską ulicą. Poprzez gardłowy ryk motoru przebijał głos piszczącej z uciechy Peggy.

— Dlaczego tak go nienawidzisz, Cyd? — zapytałem.

Przez chwilę się nad tym zastanawiała.

— Chyba z powodu sposobu, w jaki to zakończył — stwierdziła. — Wtedy akurat nie pracował. Stłukł sobie nogę w kolejnym wypadku. . . potrafiła go chyba taksówka, zawsze ma problemy z taksówkami. . . i kiedy odprowadziłam Peggy do przedszkola i wróciłam do domu, leżał na sofie. Pochyliłam się nad nim, tak po prostu, żeby popatrzeć na jego twarz. . . zawsze lubiłam przyglądać się jego twarzy. . . a wtedy on wymówił na głos imię dziewczyny. Imię tej Malajki, z którą sypiał. Tej, dla której mnie zostawił.

— Mówił przez sen?

— Nie — odparła. — Udawał tylko, że mówi przez sen. Wiedział już, że zostawi mnie i Peggy. Ale nie miał dość jaj, żeby spojrzeć mi w twarz i to powiedzieć. Udawał, że mówi przez sen, udawał, że wymawia jej imię podczas snu. . . tylko w ten sposób potrafił to zrobić. Tylko w ten sposób mógł zrzucić tę bombę. Tylko w ten sposób mógł dać mi do zrozumienia, że spakował już manatki. To wydało mi się takie okrutne, takie tchórzliwe. . . i takie typowe.

Ja osobiście miałem inne powody, żeby nienawidzić Jima — niektóre z nich podniosłe, inne żalotne. Nienawidziłem go, ponieważ tak boleśnie zranił Cyd, i nienawidziłem go, ponieważ był ode mnie przystojniejszy. Nienawidziłem go, ponieważ nienawidziłem każdego rodzica, który pojawiał się i znikał z życia dziecka, jakby było ono jakimś hobby, którym można się zająć bądź porzucić, kiedy ma się na to ochotę. Czy uważałem, że Gina postępuje podobnie? Czasami tak, w te dni, kiedy nie telefonowała do Pata i wiedziałem — po prostu wiedziałem — że jest gdzieś z Richardem.

Nienawidziłem Jima również dlatego, że czułem, iż wciąż nie jest jej obojętny — kiedy powiedziała, że zawsze lubiła przyglądać się jego twarzy, zorientowałem się, że wciąż do niego coś czuje i to coś ją zżera. Może nawet go nie kochała, może to uczucie skwaszło się i zmieniło w coś innego. Ale nie był jej obojętny.

Przypuszczam, że gdzieś w głębi serca powinienem mu dziękować. Ponieważ gdyby był lojalnym, kochającym mężem i nie ściągał tam, gdzie nie trzeba, swoich skórzanych portek — no i gdyby nie lubił bambusa — to Cyd byłaby z nim, nie ze mną. Nie byłem mu jednak wcale wdzięczny.

Nie miałem nic przeciwko temu, żeby zaraz po odwiezieniu Peggy z Pizza Express zderzył się z autobusem linii 73 i rozpląszczył swoją śliczną buzię na asfalcie Essex Road. Potraktował Cyd, jakby była pierwszą lepszą. I to stanowiło wystarczający powód, żebym zapałał do niego nienawiścią.

Kiedy jednak Peggy wróciła do domu z rozsmarowaną po całej buzi pizzą i kompletnie bezużyteczną, wypchaną zabawką wielkości lodówki, uświadomiłem

sobie, że istnieje jeszcze jeden, bardziej egoistyczny powód, dla którego go nienawidzę.

Nie starając się nawet z nim współzawodniczyć, wiedziałem, że w życiu Peggy nigdy nie zajmę takiego miejsca, jakie przypadło jemu w udziale. To najbardziej mnie bolało. Nawet jeśli będzie widywał się z nią tylko wtedy, kiedy będzie miał ochotę, i olewał ją, kiedy będzie miał ochotę, zawsze pozostanie jej ojcem.

To była przyczyna, dla której szalała z radości. Nie motor. I nie pizza. Ani głupia wypchana zabawka wielkości lodówki. Lecz fakt, że był jej ojcem.

Wiedziałem, że potrafię żyć z pamiątką po pieprzeniu się z innym facetem. Że potrafię współzawodniczyć z motorem i pizzą, i z fizjonomią ładniejszą od mojej.

Nie sposób jednak współzawodniczyć z więzami krwi.

Rozdział 28

— Do kogo jestem podobny? — zapytał Pat, kiedy z drzew w parku opadły liście, codziennie musiał wkładać zimową kurtkę i od wyjazdu Giny minęło cztery miesiące.

Zadzierając głowę, przejrzał się w lusterku w osłonie przeciwsłonecznej, tak jakby po raz pierwszy widział swoją twarz albo jakby ta twarz należała do kogoś innego.

Do kogo był podobny? Ludzie zawsze mówili — mnie i jemu — że do mnie. Wiedziałem jednak, że to nie do końca prawda. Był o wiele ładniejszym dzieckiem, niż ja byłem w jego wieku. Nawet gdybym nie wybił sobie wszystkich przednich zębów, i tak byłbym od niego brzydszy. W gruncie rzeczy był podobny do nas obojga. Do mnie i do Giny.

— Masz oczy mamy — powiedziałem.

— Są niebieskie.

— Zgadza się. Są niebieskie. A moje oczy są zielone. Ale wargi masz podobne do moich. Mamy obaj urocze wielkie usta. Bardzo dobre do całusów, prawda?

— Prawda — odparł, ale nie uśmiechnął się wraz ze mną i nadal przeglądał się w prostokątnym lusterku.

— A twoje włosy... są bardzo jasne. Tak jak włosy mamy.

— Ona miała żółte włosy.

— I nadal ma, kochanie — stwierdziłem. Nie spodobał mi się ten czas przeszły. — Nadal ma żółte włosy. Prawda?

— Prawda — odparł, podnosząc do góry osłonę przeciwsłoneczną i wyglądając przez okno samochodu. — Jedźmy już.

A zęby masz po matce, chciałem dodać — trochę rzadkie, trochę gapowate, zęby, które każdemu twojemu uśmiechowi nadają łobuzerski charakter. Zadarty krótki nos masz po mnie, ale silny piękny podbródek po swojej matce, podobnie zresztą jak cerę — jasną cerę, która lubi słońce i pokrywa się opalenizną, kiedy tylko przestanie padać deszcz.

Pat nie był podobny do mnie. I nie był podobny do Giny. Był podobny do nas obojga.

Nawet gdybyśmy obaj tego chcieli, nie mogliśmy uciec przed jego matką. Żyła w jego uśmiechu i kolorze jego oczu. Prześladował nas jej duch.

* * *

— Nie mam pojęcia, co będzie z tymi dziećmi — oświadczył ojciec. — Dziećmi takimi jak Pat i Peggy. Nie wyobrażam sobie, jaki wpływ będzie na nie miało dorastanie przy boku tylko jednego z rodziców.

Nie powiedział tego w sposób, w jaki wygłaszał podobne zdania w przeszłości — z gniewem i pogardą, szyderczo dziwiąc się temu, w jakim kierunku zmierza świat. Nie powiedział tego ze swoją dawną niechęcią do samotnych rodziców i wszystkich zmian, których są zwiastunami. Powiedział to cichym, łagodnym tonem, kręcąc z zakłopotaniem głową, tak jakby nie mieściło mu się w głowie, co niesie ze sobą przyszłość.

— Ty dorastałeś, mając przy boku dwoje rodziców — dodał. — Miałeś przynajmniej jakieś pojęcie, jak wygląda małżeństwo. Czym może być małżeństwo. Oni przecież tego nie wiedzą. Pat, Peggy i cała reszta.

— Nie. Nie wiedzą.

— Martwi mnie po prostu, co z nimi będzie. Jeśli wszyscy się teraz rozwodzą, jakie mają szansę na udane małżeństwo? Jakie szansę mają ich dzieci?

Siedzieliśmy na drewnianej ławce w zapadającym już o godzinie trzeciej zmroku, obserwując Pata, który bawił się swoim świetlnym mieczem w głębi ogrodu.

— Wszystko wydaje się takie... porozbijane — dodał tato. — Wiesz, co mi powiedziała Peggy? Zapytała, czy będę jej dziadkiem. To przecież nie jest jej wina. Biedna kruszynka.

— Nie, to nie jest jej wina — zgodziłem się. — To nigdy nie jest wina dziecka. Ale może dorastanie w cieniu rozwodu sprawi, że zawierając małżeństwo, będą ostrożniejsze. I kiedy już je zawrą, będzie im bardziej zależeć, żeby to było małżeństwo udane.

— Naprawdę tak myślisz? — zapytał z nadzieją w głosie ojciec.

Pokiwałem głową, ale tylko dlatego, że nie miałem odwagi nią potrząsnąć. W głębi duszy pomyślałem, że jego pokolenie stawiało czoło odpowiedzialności w sposób, na jaki nas nigdy nie było stać.

W jego czasach rodzice dbali o swoje dzieci, często zrywając się do nich w nocy, a jeśli mieli w dodatku własny domek i mogli spędzić dwa tygodnie wakacji w przyczepie kempingowej we Frinton, uważali się za szczęśliwych.

Ale nasze pokolenie postawiło na pierwszym miejscu swojej listy zakupów małą indywidualną tabletkę szczęścia.

I dlatego z taką alarmującą regularnością pieprzamy się, opieprzamy i rozpieprzamy wszystko, co się nam nawinie pod rękę.

Moje pokolenie pragnęło doskonałego życia. Dlaczego nasze dzieci miałyby okazać się inne? Mój ojciec dość wcześnie przekonał się, że niczyje życie nie może być doskonałe.

— Tak, może wszystko się jakoś ułoży — mruknął i przez chwilę się nad tym zastanawiał. — Ponieważ każde dziecko ma przecież dwoje rodziców. Nawet dziecko z... jak wy to nazywacie...? niepełnej rodziny. I może Pat, Peggy oraz cała reszta nie weźmie przykładu z rodzica, który odszedł. Może będą bardziej podobni do rodzica, który został.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— To, że dobrze sobie radzisz z Patem — powiedział, nie patrząc na mnie. — Bardzo się starasz. Opiekujesz się nim. On to wszystko widzi. Więc dlaczego nie miałby traktować podobnie swoich dzieci?

Roześmiałem się zakłopotany.

— Mówię serio — dodał. — Nie wiem, jak ja bym sobie poradził, gdyby twoja matka... no wiesz. — Jego pokryta odciskami prawa dłoń spoczęła na moim ramieniu. Nadal na mnie nie patrzył. — Świetnie sobie radzisz z tym chłopcem, Harry.

— Dziękuję — powiedziałem. — Dziękuję, tato.

W tym samym momencie usłyszeliśmy, jak mama woła nas z salonu. I kiedy wbiegliśmy do środka, stała przy oknie, wskazując mój samochód.

— Widziałam tych małych sukinsynów — oznajmiła. Nigdy w życiu nie słyszałem, żeby używała takiego języka. — Widziałam, jak to zrobili!

Brezentowy dach MGF porznięty był w kilku miejscach nożem. Wstęgi tego, co z niego zostało, opadły do środka, jakby coś runęło na dach z dużej wysokości.

Nie mogłem oderwać wzroku od okaleczonego auta. Ojciec wybiegł już tymczasem na dwór. Ciotka Ethel stała w progu swojego domu.

— Alejka! — krzyknęła, wskazując koniec ulicy, gdzie stało kilka komunalnych bloków: getto ludzi, którzy jeździli podrasowanymi fordami escortami, ubierali się w darmowe podkoszulki West Ham i mieli w nosie róże.

Od ulicy odchodziła tam alejka prowadząca do kilku sfatygowanych pawilonów, gdzie można było kupić los na loterię w ciągu dnia oraz oberwać w twarz po zapadnięciu zmroku.

Dwóch młodzieńców — tych samych, którzy włamali się do moich rodziców, a może tylko do nich podobnych — biegło w jej kierunku. Mój ojciec ścigał ich.

Popatrzyłem na zniszczony dach i poczułem, jak wzbiera we mnie fala gniewu. Głupie złośliwe gnojki, pomyślałem. Do furii doprowadzało mnie to, co zrobili z moim samochodem, ale jeszcze bardziej fakt, że ojciec musiał porzucić przez nich swój ogródek.

Ruszyłem za nimi. Młodzieńcy obejrżeli się nerwowo przez ramię, słysząc morderczy głos, zapowiadający, że ich, kurwa, zaraz pozabija. Zszokowany zorientowałem się, że morderczy głos należy do mnie.

Dwaj obwiesie zniknęli za zakrętem alejki i w tym samym momencie ojciec nagle się zatrzymał. Z początku myślałem, że dał za wygraną, ale to było coś gorszego. Zobaczyłem, że przykłęka na jedno kolano i łapie się za pierś, jakby się dusił.

Kiedy do niego dobiegłem, klęczał na obu kolanach, opierając się jedną dłonią o chodnik. Wydając z siebie straszne, niesamowite charczenie, próbował kurczowo złapać oddech.

Objąłem go ramieniem i przytrzymałem, czując w nozdrzach zapach Old Holborn i Old Spice'a, a on rzeził i charczał, nadal nie będąc w stanie dostarczyć swoim płucom tego, czego tak rozpaczliwie potrzebowały. Spojrzał na mnie i zobaczyłem w jego oczach strach.

W końcu udało mu się zaczerpnąć dość powietrza i z trudem wstał. Wciąż obejmując go ramieniem, zaprowadziłem powoli z powrotem do domu. Matka, Pat i ciotka Ethel stali przy furtce. Pat i ciotka Ethel byli bladzi jak ściana. Matka była wściekła.

— Musisz iść do doktora — oznajmiła. Po twarzy płynęły jej łzy. — Dostyc tych wymówek.

— Pójdę — oświadczył posłusznie i wiedziałem, że nie będzie próbował się wymigać. Nigdy niczego jej nie odmówił.

— Co za podłe zgniłki — oświadczyła ciotka Ethel. — Krew gotuje mi się w żyłach, kiedy o nich pomyślę.

— Tak — zgodził się z nią Pat. — To matkojebcy.

* * *

Strój wieczorowy, napisali w zaproszeniu. Zawsze ekscytowało mnie, gdy musiałem wyciągnąć z szafy swój smoking, białą koszulę i czarną muszkę — porządną muszkę, na której zawiązanie trzeba stracić całe wieki, a nie gotową na gumce, noszoną przez małych chłopców i klaunów.

Pamiętam, jak mój ojciec zakładał raz do roku czarną muszkę na uroczysty bankiet, który jego firma urządzała w jakimś modnym hotelu przy Park Lane. W wymuskanej oficjalności smokingu było coś, co pasowało do jego przysadzistej muskularnej sylwetki. Mama co roku wydawała się lekko rozbawiona faktem, iż wciska się w balową suknię. Ale mój stary urodził się, by nosić muszkę.

— Kurczę — mruknęła Sally, uśmiechając się do mnie zza kurtyny swoich włosów, kiedy zszedłem na dół. — Wyglądasz jak wykidajło. Taki, co stoi przed naprawdę zajebistym klubem.

— Nie — zaprotestował Pat, wyciągając w moją stronę palec wskazujący i zadzierając w górę kciuk. — Wyglądasz jak James Bond. Zero zero siedem. Z licencją na zabijanie wszystkich złych ludzi.

Jednak stając przed lustrem w przedpokoju, wiedziałem lepiej od nich, do kogo tak naprawdę jestem podobny w swoim smokingu.

Coraz bardziej upodobałem się do ojca.

* * *

Cyd włożyła długą zieloną suknię z chińskiego jedwabiu — sięgającą pod samą szyję, obcisłą niczym druga skóra — najwspanialszą suknię, jaką widziałem w życiu.

Nie zrobiła nic z włosami — ściągnęła je po prostu w koński ogon i tak mi się podobało, bo lepiej widać było jej twarz.

Na ogół dopiero po fakcie uświadomiamy sobie, jak bardzo byliśmy w danym momencie szczęśliwi. Jednak od czasu do czasu, jeśli mamy fart, zdajemy sobie z tego sprawę od razu. I wiedziałem, że tak właśnie wygląda szczęście. Nie w załzawionej retrospekcji albo jakiejś bliżej nieokreślonej przyszłości, lecz tu i teraz, w zielonej sukni.

— Zaczekaj chwilę — powiedziałem do Cyd, kiedy wysiedliśmy z taksówki przed hotelem.

Wziąłem jej ręce w swoje i stanęliśmy w milczeniu przy tętniącej ruchem Park Lane. Za naszymi plecami połyskiwały ścięte mrozem trawniki Hyde Parku.

— Co się stało? — zapytała.

— Nic — odparłem. — W tym rzecz.

Wiedziałem, że nigdy nie zapomnę tego, jak wyglądała owej nocy, wiedziałem, że nigdy nie zapomnę jej zielonej chińskiej sukni. I chciałem czegoś więcej, niż nacieszyć się tą chwilą, chciałem ją zatrzymać w czasie, by móc przypomnieć ją sobie później, kiedy dobiegnie końca.

— W porządku? — zapytała z uśmiechem.

— W porządku — odparłem i dopiero teraz dołączyliśmy do roześmianego tłumu w smokingach i balowych sukniach, który spieszył na ceremonię rozdania nagród.

* * *

— A najlepszym debiutantem jest... — Prześliczna prezenterka pogody zmagająca się przez chwilę z kopertą. — ... Eamon Fish.

Eamon wstał z miejsca. Lekko pijany i uśmiechnięty, wyglądał na bardziej zadowolonego, niż chciałby to okazywać w obecności tylu kamer. Przechodząc, uściskał mnie z autentycznym entuzjazmem.

— Obaj na to zapracowaliśmy — powiedział.

— Nie. Ty na to zapracowałeś — odparłem. — Idź odebrać swoją nagrodę.

Za jego ramieniem widziałem siedzących przy sąsiednim stoliku Marty'ego Manna i Siobhan — Marty'ego w jednej z tych jaskrawych krótkich kurtek, noszonych przez ludzi, którzy uważają strój wieczorowy za podobny przeżytek jak palenie fajki albo domowe kapcie, Siobhan szczupłą i elegancką w jakimś białym przezroczyście ciuchu.

Ona uśmiechnęła się, on podniósł w górę kciuki. Później, kiedy rozdano wszystkie nagrody, podeszli do naszego stolika.

Chociaż Marty był lekko pijany i nieźle wkurzony — w tym roku nie przyznano mu żadnej nagrody — zachowywali się bez zarzutu.

Przedstawiłem ich Cyd oraz Eamonowi. Jeśli Marty zdał sobie sprawę, że Cyd jest tą samą kobietą, która kiedyś wywaliła mu spaghetti na kolana, nie dał tego po sobie poznać. Pogratulował Eamonowi nagrody. Siobhan pogratulowała Cyd sukienki.

Nie zapytała jej: „Gdzie pracujesz?” — była na to zbyt sprytna i taktowna, w związku z czym Cyd nie musiała odpowiedzieć: „Och, ostatnio jestem kelnerką”, co wprawiłoby je obie w zakłopotanie. Nawiązały ze sobą znajomość w ten łatwy, najwyraźniej naturalny sposób, w jaki potrafią to robić tylko kobiety.

Kiedy zaczęły rozmawiać o tym, jak trudno jest się ubrać na taką imprezę, Marty objął mnie konspiracyjnym gestem za ramię. Jego twarz była cięższa, niż zapamiętałem. Malował się na niej ołowiany, lekko rozczarowany grymas człowieka, który po latach marzeń zdołał rozkręcić swój własny talk-show tylko po to, by stwierdzić, że nie może przyciągnąć do niego nikogo, z kim warto by pogadać.

— Można na słówko? — zapytał, kucając przy moim boku. No i masz, pomyślałem. Teraz chce, żebyśmy wrócili. Zobaczył, jak dobrze idzie mi z Eamonem, i chce, żebyśmy ponownie poprowadził jego program.

— Chcę, żebyś wyświadczył mi przysługę — oświadczył.

— O co chodzi, Marty?

Nachylił się do mnie bliżej.

— Chcę, żebyś został moim przyjacielem — powiedział.

Więc nawet Marty, pomyślałem.

Nawet Marty marzy, żeby zrobić to po bożemu, znaleźć tę jedną jedyną, odkryć cały świat w drugiej ludzkiej istocie. Podobnie jak wszyscy inni.

— Hej, Harry — mruknął Eamon, wodząc wzrokiem za mijającą nas prezenterką pogody i poprawiając spodnie, w których kroku doszło do znacznego wypiętrzenia. — Zgadnij, kogo będę dymał dziś w nocy?

No, może niezupełnie wszyscy.

* * *

W domu paliło się za dużo świateł. Paliły się na górze. Paliły się na dole. Paliły się wszędzie, podczas gdy w całym domu powinna się co najwyżej jarzyć mała lampka w salonie.

I słyhać było muzykę — głośny klang gitary basowej i perkusję z syntezatora, która brzmiała niczym dźwiękowy ekwiwalent ataku serca. Nową muzykę. Okropną nową muzykę, którą ktoś puszczał z mojej wieży.

— Co się dzieje? — spytałem. Miałem wrażenie, jakbyśmy trafili nie do tego domu, jakby to była pomyłka.

Ktoś czaił się w mroku ogródka przed domem. Nie, właściwie było tam kilka osób. Chłopak i dziewczyna obściskujący się tuż przy otwartych frontowych drzwiach. I inny chłopak pochylający się nad koszem na śmieci, ubrany w zarzyganą kurtkę Tommy'ego Hilfigera i spodnie Yves Saint Laurenta.

Cyd zapłaciła taksówkarzowi, a ja wszedłem do środka.

To było przyjęcie. Przyjęcie dla nastolatków. Wszędzie pełno było migdałacej się, różnej, pijącej i rzygającej młodzieży. Zwłaszcza rzygającej. Kolejna para puszczała pawia w ogrodzie na tyłach domu.

Ubrany w piżamę Pat kołysał się w rytm muzyki na sofie, na której drugim końcu jakiś gruby chłopak dobierał się do Sally. Pat uśmiechnął się do mnie — ale zabawa, nie? — a ja omiotłem wzrokiem pobojuwisko: puszki piwa, których zawartość wylała się na parkiet, niedopałki papierosów, kawałki pizzy rozsmarowane po meblach i Bóg wie jakie plamy na łózkach na górze. Imprezowiczów było nie więcej niż tuzin, ale miało się wrażenie, że przez dom przeszły mongolskie hordy. Właściwie jeszcze gorzej — przypominało to jedną z tych kretyńskich reklam chipsów, coli albo chinos, gdzie banda młodych ludzi uczestniczy właśnie w najlepszej zabawie swojego życia. Tyle że ta zabawa odbywała się w moim salonie.

— Co tu się, kurwa, dzieje, Sally? — zapytałem.

— Harry... — wyjąkała. W oczach miała łyzy radości. — To jest Steve — dodała, wskazując leżącego na niej młodzieńca z obwisłą szczęką.

Steve zerknął na mnie swoimi kretyńskimi świńskimi oczyma, w których nie było widać nic poza burzą hormonów i dziewięcioma piwami.

— Rzucił tę starą dupę Yasmin McGinty — wyjaśniła Sally. — Wrócił do mnie. Czy to nie fantastyczne?

— Oszalałaś? — zapytałem. — Jesteś stuknięta czy głupia?

Odpowiedz mi, Sally.

— Och, Harry — jęknęła, całkiem rozczarowana. — Myślałam, że kto jak kto, ale ty na pewno mnie zrozumiesz.

Muzyka nagle ucichła. W salonie stała Cyd z wtyczką w rękę.

— Czas posprzątać ten bajzel — poinformowała zgromadzenie. — Łapcie się za szczotki i worki na śmiecie. Powinny być pod zlewem.

Steve zlął z Sally, poprawił swoje monstrualne spodnie i zmierzył szyderczym uśmiechem wapniaków, którzy zepsuli mu imprezę.

— Spadam stąd — oznajmił, tak jakby przybył z Beverly Hills, a nie z Mu-swell Hill.

Cyd podeszła do niego szybko, złapała za nos i pociągnęła w górę.

— Wyjdiesz stąd, kiedy ci powiem, ty słoni — oznajmiła. Steve zaskomlał, stając na palcach. — A to się stanie dopiero, kiedy uprzątniecie ten bałagan. Nie wcześniej, rozumiesz?

— Dobrze, dobrze — zabeczał. Cała jego amerykańska brawura ulotniła się w obliczu oryginału.

Zaprowadziłem Pata do sypialni, wyrzucając po drodze spółkującą parę z łazienki, a Cyd zorganizowała sprzątanie. Kiedy przeczytałem Patowi bajkę i położyłem spać, Sally, Steve oraz ich pryszczaci koledzy szorowali grzecznie podłogi i stoły.

— Gdzie się tego nauczyłaś? — zapytałem Cyd.

— W Teksasie — odparła.

Okazało się jednak, że nasi goście zupełnie nie radzili sobie ze sprzątaniami — podobnie jak nie radzili sobie z niczym w swym odmóżdżonym, opatrzonym firmowymi naszywkami życiu.

Część była zbyt chora. Reszta była zbyt głupia.

Steve wylał na podłogę prawie całą zawartość cytrynowego uniwersalnego płynu do czyszczenia, a potem przez godzinę próbował usunąć mydliny, które burzyły się i pieniały niczym w jakiejś szalonej myjni samochodowej. Cyd i ja musieliśmy w końcu niemal wszystko zrobić sami.

Wyrzuciliśmy ich zaraz po świcie. Sally kazałem zostać chwilę dłużej i wsadziłem ją do taksówki. Nie zamierzała mnie przeprosić. Wciąż miała mi za złe, że nie rozumiem, iż prawdziwa miłość zostawia czasami plamy na meblach.

— Mam nadzieję, że jesteś zadowolony — powiedziała na odjeździe. — Popsułeś szansę, jakie miałam u Steve'a. Teraz wróci pewnie do Yasmin McGinty. Tej dupy.

Kiedy zostaliśmy wreszcie sami, Cyd przyniosła mi filiżankę kawy.

— Nie żałujesz czasami, że nie jesteś już dość młody, żeby wiedzieć wszystko? — zapytała z uśmiechem.

Wziąłem ją w ramiona i poczułem, jak zielona suknia ślizga się pod moimi palcami. Pocałowałem ją. Ona pocałowała mnie. A potem zadzwonił telefon.

— To Sally — powiedziałem. — Chce mnie uraczyć kolejną złotą myślą.

— Nie została jej już ani jedna — roześmiała się Cyd.

Ale to nie była Sally. To była Gina, lecz w słuchawce nie usłyszałem tego typowego kuknięcia, które poprzedzało połączenie międzynarodowe. Dzięki te-

mu domyśliłem się natychmiast, że Gina nie jest już w Japonii. To była lokalna rozmowa. Wróciła do miasta.

— Właśnie sobie coś uświadomiłam — powiedziała. — To jedyny numer telefonu na całym świecie, który znam na pamięć.

Rozdział 29

Przyszedłem dziesięć minut wcześniej, ale Gina już na mnie czekała, popijając latte przy dwuosobowym stoliku w głębi kawiarni.

Była trochę szczuplejsza po wszystkich tych sashimi i sushi w Shinjuku. Włożyła szyty na miarę, dwuczęściowy kostium, w jakim nigdy wcześniej jej nie widziałem. Kobieta biznesu.

Podniosła wzrok, zobaczyła mnie i zorientowałem się, że to wciąż ta sama Gina — z lekko naiwnym uśmiechem i jasnoniebieskimi oczyma — tyle że troszeczkę starsza i znacznie poważniejsza, niż zapamiętałem. Ta sama kobieta, mimo że odmieniona w sposób, którego nie potrafiłem sobie wyobrazić.

— Witaj, Harry — powiedziała, wstając. Uśmiechnęliśmy się nerwowo do siebie, zastanawiając się, czy poprawną formą powitania będzie pocałunek czy tylko uścisk dłoni. Ani jedno, ani drugie nie wydawało się właściwe. Zamiast tego dotknąłem lekko jej ramienia, a ona skrzywiła się, jakby przeszedł ją prąd. Tak udało nam się przebrnąć jakoś przez ten niezręczny moment.

— Dobrze wyglądasz — stwierdziła z uprzejmym uśmiechem, na który nigdy nie zdobyłyby się w dawnych czasach.

Ona też dobrze wyglądała — w idealnych rysach jej twarzy można było dostrzec dziewczynę, którą była, i kobietę, którą się stawała. Niektórzy ludzie dorastają do swojej urody, inni z niej wyrastają. Są również tacy jak Gina, którzy przyciągają wzrok już jako dzieci i nigdy się to nie kończy.

Podobnie jednak jak wszystkie piękne kobiety Gina nigdy nie lubiła przesadnych komplementów, wychodząc pewnie z założenia, iż ci, co je prawią, doceniają wyłącznie jej powierzchowność. Domyślałem się, że pod tym względem wcale się nie zmieniła.

— Ty też dobrze wyglądasz — powiedziałem, nie chcąc się nad tym zbytnio rozwodzić.

— Jak się miewa Pat?

— Bardzo dobrze — odparłem, śmiejąc się.

Gina roześmiała się także, czekając na coś więcej, ale w tym samym momencie do stolika zbliżył się kelner i zapytał, czy coś podać. Zamówiliśmy więc ko-

lejne latte dla niej i dla mnie i dopiero kiedy odszedł, zaczęliśmy mówić o naszym synu.

— Założę się, że urósł — powiedziała.

— Wszyscy twierdzą, że rośnie jak na drożdżach. Ja może tego nie zauważam, bo codziennie go widzę.

— Oczywiście — zgodziła się. — Ale ja z pewnością zobaczę różnicę. Nie widziałam go przecież od dwóch miesięcy.

— Od czterech — poprawił ją.

— To na pewno nie trwało tak długo.

— Wyjechałaś w lecie. To cztery miesiące, Gino. Od lipca do października. Policz sobie.

Jak mogła twierdzić, że to były tylko dwa miesiące? Właściwie nie było jej ponad cztery. A mnie ten okres wydawał się jeszcze dłuższy.

— Nieważne — mruknęła trochę poirytowana. — Opowiedz mi o Pacie. Nie mogę się doczekać, żeby go zobaczyć.

Co się zmieniło? Rozejrzałem się po kawiarni, zastanawiając się, co się zmieniło, odkąd Gina wyjechała do Japonii. I uderzył mnie fakt, że kawiarnia nie zmieniła się wcale.

Był to jeden z tych lokali, które próbują przenieść do Londynu intymną atmosferę zaułków paryskiego Marais — z wielkim ocynkowanym barem, tablicą z nagryzmołonymi nazwami win, stojakiem z gazetami na wielkich drewnianych kijach i kilkoma stolikami na zewnątrz. Nawet swojemu pożywnemu angielskiemu śniadaniu nadali jakąś francuską nazwę.

Lokal nie odbiegał zbyt wiele od innych kafejek w okolicy i można go było minąć, nawet nie zauważając. Dla nas miał jednak szczególne znaczenie. Gina i ja przychodziliśmy tutaj przed narodzinami Pata — dawno temu, kiedy byliśmy tak zżyci, że nie musieliśmy nawet ze sobą rozmawiać. Nie sposób być ze sobą bliżej.

— W szkole idzie mu dobrze — stwierdziłem. — To się zmieniło. Przedszkole było koszmarem, ale w szkole z kimś się zaprzyjaźnił i to bardzo pomogło.

— Dlaczego przedszkole było koszmarem? — zapytała zaniepokojona.

— Nie lubił, kiedy się go tam zostawiało. Miał po prostu zły okres. Okres, który, jak się wtedy obawiałem, mógł potrwać do osiemnastego roku życia.

— Ale w szkole zaprzyjaźnił się z innym małym chłopcem?

— Z małą dziewczynką — odparłem. Czułem się bardzo dziwnie, opowiadając Ginie o córce Cyd. — Z Peggy.

— Peggy — powtórzyła Gina, smakując to imię.

— Mała ma tatę Anglika — powiedziałem. — I mamę Amerykankę. Z Houston.

— Wciąż ma fioła na punkcie Gwiezdných wojen! — zapytała z uśmiechem. Peggy niezbyt ją interesowała. — Wciąż bawi się w kółko w Hana Solo i Lukę'a Skywalkera?

— Tak. To się nie zmieniło. Ale zaczął także lubić inne rzeczy.

— Inne rzeczy?

— Na przykład muzykę — odparłem, śmiejąc się. — Polubił gangsterski rap. No wiesz, te piosenki, w których grożą, że odstrzelą ci zaraz głowę z wielkiej spluwy.

Jej twarz pociemniała.

— Lubi słuchać takiej muzyki?

— Tak.

— A ty mu na to tak po prostu pozwoliłeś?

— Owszem. Tak po prostu. — Trochę mnie to wkurzyło. Stwierdziła to takim tonem, jakbym się w ogóle nad tym nie zastanawiał, jakbym pozwalał mu oglądać hard porno albo coś w tym rodzaju. — To jest coś, przez co musi przejść. Pozwala mu to chyba poczuć się twardszym, niż jest w rzeczywistości. Pat jest bardzo słodkim, łagodnym małym dzieckiem, Gino. Na pewno mu to nie zaszkodzi. Nie sądzę, żeby wziął udział w napadzie na stację benzynową. Codziennie o dziewiątej jest już w łóżku.

Widziałem, że nie chce się ze mną kłócić.

— Co jeszcze?

— Pozwala mi myć sobie włosy. Sam kąpie się w wannie. Nigdy nie marudzi, kiedy pora iść spać. Potrafi sam zawiązać sznurowadła. Potrafi odczytać godzinę. No i zaczyna czytać.

Im więcej nad tym myślałem, tym bardziej uświadamiałem sobie, jak bardzo Pat dorósł w ciągu tych kilku ostatnich miesięcy. Gina uśmiechnęła się jednocześnie z dumą i żalem. Współczułem jej. Wszystko to ją ominęło.

— Wygląda na to, że stał się prawdziwym małym mężczyzną — powiedziała.

— Powinnaś zobaczyć go w krawacie.

— Nosi krawat?

— Do szkoły. Wprowadzili mundurki, ponieważ część dzieci przychodziła w firmowych ciuchach. Uznali, że to niezdrowe. Musi więc wkładać koszulę i krawat.

— Na pewno go to postarza.

Wcale go to nie postarzało — ubrany jak urzędnik, wydawał się młodszy niż kiedykolwiek. Nie miałem jednak ochoty wyjaśniać tego Ginie.

— A co u ciebie? — zapytałem. — Jak długo tu zostaniesz?

— Och, już na stałe — odparła. — Z Japonią koniec. Dla mnie i dla całej reszty. Czasy, kiedy jakiś biały z wielkim nosem wyjeżdżał na Wschód, żeby zaznać przygód i zarobić duży szmal, należą już do przeszłości. Kiedy firmy padają, nie

ma dużego zapotrzebowania na tłumaczy. Zdążyłam złożyć dymisję, zanim mnie wyrzucili. — Uśmiechnęła się. — No i wróciłam. I naturalnie chcę Pata.

Chciała Pata? Czy miała na myśli, że chce go zabrać do zoo? Zabrać go do zoo i kupić mu wypchanego zwierzaka wielkości lodówki? Co ona miała na myśli?

— Więc nie zamierzasz mieszkać w Japonii?

— Miałeś rację, Harry. Nawet gdyby nie doszło do krachu, pomysł, że ja i Pat będziemy się tam gnieździć w mieszkanku wielkości naszego pokoju gościnnego, był nie do zrealizowania. Chcę go zobaczyć — powiedziała. — Jak najszybciej.

— Oczywiście — odparłem. — Dziś po południu odbieram go od mojej mamy i taty. Możesz poczekać na niego w domu.

— Nie. Nie w domu — odparła. — Jeśli nie masz nic przeciwko, wołałabym spotkać się z nim w parku.

To głupio z mojej strony, że zaproponowałem spotkanie w domu. Ponieważ oczywiście nie był to już dom Giny. I spoglądając na nowy lśniący pierścionek zaręczynowy tkwiący tam, gdzie jeszcze niedawno nosiła naszą prostą ślubną obrączkę, zdałem sobie nagle sprawę, że zapomniałem o wielkiej zmianie, która dokonała się tego lata w naszym życiu.

Pat mieszkał teraz u mnie.

* * *

Moich rodziców odwiedził wuj Jack.

W przeciwieństwie do mieszkającej obok cioci Ethel wujek Jack był moim prawdziwym wujem — bratem ojca, niedużym, żyłastym eleganckim mężczyzną, który paląc papierosy, chował je w dłoni, tak jakby mogły zgasnąć na wietrze — i robił to, nawet kiedy siedział w salonie i moczył biskwity w herbacie.

Wuj Jack paradował zawsze w garniturze i krawacie, a przed domem stała wypucowana limuzyna. A na przednim siedzeniu forda scorpio, wielkiego merca albo beemki z serii pięć leżała jego czapka szofera.

Wuj Jack był kierowcą, który woził biznesmenów z ich domów i biur na wszystkie londyńskie lotniska. W gruncie rzeczy wydawał się spędzać więcej czasu, czekając, niż jeżdżąc, i zawsze wyobrażałem go sobie w hali przylotów Gatwick albo Heathrow, z papierosem w dłoni, czytającego „Racing Post”.

Wuj Jack był hazardzistą, podobnie jak cała rodzina ojca, i kiedy uśmiechnął się na mój widok, miałem wrażenie, że wszystkie dotyczące go wspomnienia związane są z jakimiś zakładami.

W każdy drugi dzień świąt Bożego Narodzenia w naszym domu urządzano szkołę gry w karty. Jeździliśmy na psie wyścigi do Southend i Romford, gdzie razem z moimi kuzynami zbierałem wielkie różowe zakłady wyrzucane przez pechowych graczy. A wcześniej, kiedy żyła jeszcze moja babka, pamiętam, jak

bukmacher zachodził do jej domu na East Endzie, żeby przyjąć od niej niewielką sumkę, którą stawiała na konie. Kiedy bukmacherzy przestali odwiedzać w domach starsze panie?

Ojciec miał jeszcze jednego brata, najmłodszego, Billa, który wyjechał w latach siedemdziesiątych do Australii, ale w mojej pamięci trzech bracia Silver wciąż występowali razem — popijając szkocką na Boże Narodzenie i brązowe ale na weselach, tańcząc staroświeckie tańce z żonami, w których zakochali się w wieku kilkunastu lat, grając do późna w nocy w dziewięćdziesiąt dziewięć przy muzyce z płyty Stranger in Paradise Tony’ego Bennetta.

Taka była rodzina mojego ojca — rodzina sprytnych, twardych londyńczyków, którzy mieli słabość do dzieci i swoich podmiejskich ogródków, mężczyzn, którzy na starych fotografiach zawsze ubrani byli w mundury, hazardzistów i pijusów, chociaż w picu nigdy nie przekraczali granic dobrego smaku, mężczyzn, którzy kochali swoją rodzinę i traktowali pracę wyłącznie jako nieprzyjemny obowiązek mający na celu utrzymanie tejże rodziny, mężczyzn, którzy szczylic się tym, że wiedzą, jak funkcjonuje ten świat. Wiedziałem, że wujek Jack nie przyjechał do moich starych bez powodu.

— Widziałem cię przedwczoraj w telewizji — oświadczył. — Na tej ceremonii rozdania nagród. Siedziałeś przy stoliku w smokingu. Ten Eamon Fish wygląda na łebskiego gościa.

— To dobry chłopak — odparłem. — Co u ciebie słyhać, wujku Jacku?

— Wszystko w porządku. Nie mogę narzekać — stwierdził, po czym wziął mnie pod ramię i przyciągnął bliżej. — Ale co się dzieje z twoim tatą? Widziałem, jak walczy o oddech, kiedy tylko wstanie z fotela. Powiedział, że był u łapiducha i ten stwierdził, że nic mu nie jest.

— Jest zdrowy?

— Tak mówi.

Tato był w ogrodzie i kopał piłkę razem z mamą i Patem. Mama i mały włożyli grube kurtki i szaliki, ale ojciec ubrany był tylko w T-shirt. Najwyraźniej szczycił się swoim twardym muskularnym ciałem, które pokrywały wyblakłe tatuaże i stare blizny. Kiedy wciskał podkoszulek w spodnie, mignęła mi przez chwilę gwiazdzista szrama na jego boku i zdałem sobie sprawę, że nadal szkokuje mnie jej widok.

— Tato? Byłeś u doktora?

— Jasne — odparł. — Jestem zdrów jak ryba.

— Naprawdę? A co się dzieje z twoim oddechem?

— Nie powinien tyle palić — powiedziała gderliwie mama, ale widziałem, że z ulgą przyjęła fakt, że staremu jakoś się upiekło. — Chce to rzucić.

— Trochę późno — zachichotał tato, z radością grając rolę dysydenta w żującym cerealia, niskotłuszczowym współczesnym świecie. — Bobby Charlton! — zawołał, posyłając piłkę między pozbawione liści krzaki róż.

Pat pobiegł, żeby ją przynieść.

— I doktor naprawdę stwierdził, że nic więcej ci nie dolega? Tato objął ramieniem mojego syna.

— Pociągnę jeszcze ze dwadzieścia lat — stwierdził wojowniczo. — Wiesz, co ci powiem? Mam zamiar bawić się na jego weselu.

Pat spojrział na mojego ojca, jakby ten postradał zmysły.

— Nigdy się nie ożenię — oznajmił.

* * *

Zapomniałem powiedzieć Ginie, że nauczył się jeździć na rowerze.

Zapomniałem jej powiedzieć, że nieśmiały czterolatek, który telepał się z bocznymi kółkami dookoła basenu, przedzierzgnął się w nieustraszonego pięcioletka, śmigającego po całym parku i za nic mającego względy bezpieczeństwa.

Dlatego ujrawszy Pata, który pedałowal w stronę huśtawek i karuzeli, przy których stała, Gina klasnęła w dłonie i głośno się roześmiała, roześmiała się z radością i zachwytem.

— Jesteś taki duży! — zawołała załamującym się głosem, wyciągając ku niemu rękę.

Zanim ode mnie odjechał, mignęła mi przez chwilę jego twarz. Uśmiechał się — ale nie był to gładki, wystudiowany uśmiech, do którego przywykłem, nie był to śliski, płytki uśmiech Davida Nivena, który rezerwował dla obcych i aby przekonać mnie, że wszystko jest w porządku.

Pat zobaczył Ginę i uśmiechnął się, w ogóle o tym nie myśląc, uśmiechnął się od ucha do ucha.

Chwilę później wpadł w objęcia swojej matki. Kaptur kurtki spadł mu z głowy, kiedy podniosła go z siodełka roweru. Gina płakała, jej łzy kapały mu na głowę i widać było, że ich włosy są dokładnie tego samego koloru, dokładnie tego samego koloru lśniącej żółci.

— Przyprawdę go do domu za dwie godziny — zawołała i Pat powoli odjechał, obejmowany przez nią ramieniem, kiwając głową w odpowiedzi na coś, co do niego mówiła.

— Uważaj, Pat — zawołałem. — Nie pedałowaj za szybko. Ale oni mnie już nie słyszeli.

Rozdział 30

Ojciec okłamał nas.

Był u doktora. Ale wkładając koszulę pod koniec wizyty, nie usłyszał bynajmniej, że jest zdrow jak ryba, w zadziwiająco dobrej formie jak na mężczyznę w jego wieku, choć być może — tu łapiduch mruga porozumiewawczo i klepie starego po ramieniu — powinien pomyśleć o rzuceniu palenia.

Doktor mógł mu powiedzieć, że nie sposób zgadnąć, jak długo jeszcze pożyje. I dodać, że takie choroby mogą się ciągnąć latami. Ale jest wysoce nieprawdopodobne, że wyjął swoją szklaną kulę domowego lekarza brytyjskiej służby zdrowia i oznajmił ojcu, że dożyje wesela swego wnuka.

Ta rzecz, która rozwijała się w jego wnętrzu, była na to zdecydowanie zbyt duża.

* * *

Matka po raz pierwszy w życiu zadzwoniła do mnie do pracy.

Ojciec leżał w szpitalu. Na oddziale chorób obłóżnych, oznajmiła, zacinając się na tych trzech słowach.

Jak co roku prznosił do garażu ogrodowe meble — plażowy parasol w paski i leżaki wyścielone niebieskim płótnem, które zawsze stały w naszym ogródku do połowy zimy — i nagle przestał oddychać, w ogóle stracił oddech. To było potworne, absolutnie potworne, powiedziała. Wezwała pogotowie, bała się jednak, że nie dojadą na czas. Że nie zdołają go uratować.

— Ale co mu jest? — zapytałem, nadal niczego nie rozumiejąc, nadal nie będąc w stanie pojąć, że może istnieć świat, w którym nie będzie mojego ojca.

— Ma to w płucach — powiedziała matka i jej głos był chorym, drżącym szeptem. — Guz.

Guz w płucach. Nie miała odwagi wymówić tego słowa, nie miała odwagi nazwać po imieniu tej rzeczy, która kradła każdy haust wdychanego przezeń powietrza, i to straszne złowrogie słowo zawisło między nami na linii telefonicznej, tak jakby mogło zniknąć ze słownika, jeśli go nie wymówimy.

Właściwie nie musiała nazywać tej rzeczy po imieniu. W końcu dotarło do mnie, na co był chory.

* * *

Szpital był nowoczesny, mimo że stał w środku szczerego pola.

Na tym polega swoistość miejsca, gdzie dorastałem, swoista cecha przedmieść. Minuta jazdy samochodem pozwala, by człowiek przeniósł się z betonowej dżungli na otwarte szerokie pola. Właśnie z powodu tych bądź też podobnych pól ojciec sprowadził tutaj przed wielu laty swoją rodzinę.

Matkę zastałem w poczekalni. Uściskała mnie i ze swego rodzaju desperackim optymizmem poinformowała, iż zdaniem doktora jest wiele rzeczy, które mogą dla niego zrobić.

A potem poszła po niego, po hinduskiego lekarza, który przekazał jej dobrą nowinę, i po jakimś czasie udało się go jej sprowadzić. Lekarz był dość młody, by wiara, którą matka żywiła w jego wszechmoc, wprawiała go w zakłopotanie.

— To mój syn, panie doktorze — przedstawiła mnie. — Proszę mu powiedzieć, że jest wiele rzeczy, które możecie zrobić dla mojego męża.

— Mówiłem pańskiej mamie, że dysponujemy obecnie bardzo zaawansowanymi metodami zwalczania bólu — stwierdził.

— Zwalczania bólu? — powtórzyłem.

— Możemy zrobić wiele, żeby pomóc pańskiemu ojcu oddychać, żeby mógł lepiej spać i żeby uśmierzyć ból, jaki odczuwa.

Doktor zaczął mi opowiadać o masce tlenowej, którą założono już ojcu. Bardziej aluzyjnie wspominał o tym, jak ważny jest dobry sen i podawanie skutecznych środków przeciwbólowych.

— Ma pan na myśl tabletki nasenne i morfinę? — zapytałem.

— Tak — potwierdził.

Było wiele rzeczy, które mogli zrobić, ale wszystkie stanowiły tylko sposób na zmniejszenie jego cierpień. Wszystkie zwalczały objawy tego, co dojrzało w jego wnętrzu. Żadna nie mogła go wyleczyć.

Mogli właczać więcej powietrza w jego biedne bezużyteczne płuca, mogli pozbawiać na jakiś czas przytomności jego umęczone ciało, mogli wpompować w niego dość opiatów, aby odurzyć jego umysł i uczynić go niewrażliwym na ból.

Było wiele rzeczy, które mogli zrobić.

W istocie jednak nie mogli nic zrobić.

Mój ojciec umierał.

* * *

Siedzieliśmy u jego boku, patrząc, jak śpi.

Leżał na szpitalnym łóżku, z przezroczystą maską tlenową na ustach i nosie i z jednodniowym zarostem na policzkach, które zawsze lubił mieć gładko ogolone.

Przy sobie miał metalową skrzynkę z przyciskiem wzywającym pomoc, a pod sobą plastikową ceratę i kiedy patrzyłem na te drobne szczegóły, krajało mi się serce. Miałem ochotę się rozplakać. Już teraz wydawał się bezradny jak nowo narodzone dziecko.

Leżał na oddziale razem z siedmioma innymi przykutymi do łóżka mężczyznami — w większości starymi, ale dwoma młodszymi ode mnie — którzy wszyscy cierpieli na to samo.

To mogło się znajdować w innej części ich ciała lub w innym stadium rozwoju — niektórzy z nich mogli wrócić do domu, inni mogli już do niego nigdy nie wrócić. Ale wszyscy mieli ten sam defekt, tę samą rzecz, której nazwy matka i ja nadal nie byliśmy w stanie wymówić.

— On wiedział, prawda? — zapytałem matkę. — Założę się, że przez cały czas wiedział.

— Musiał wiedzieć od samego początku — odparła. — Zrobił sobie badania, zaraz kiedy to się zaczęło, kiedy po raz pierwszy zaczął tracić oddech. Kazałam mu je zrobić... i powiedział mi, że wszystko jest w porządku.

— Nic o tym nie wiedziałem — stwierdziłem, zdumiony tym, że rodzice mogli nadal trzymać coś przede mną w tajemnicy. — Nic nie wiedziałem o żadnych badaniach.

— Nie mówiliśmy ci, bo nie widzieliśmy powodu, żeby cię niepokoić. Miałeś dosyć własnych zmartwień z Patem. A poza tym ojciec czuł się dobrze. Tak przynajmniej twierdził.

— Ale on wcale nie czuł się dobrze — powiedziałem z goryczą, niczym mały chłopczyk skarżący się na to, że został niesprawiedliwie potraktowany. — Nie czuł się dobrze od dłuższego czasu.

— Wiedział od samego początku. — Mówiąc to, matka ani na chwilę nie odrywała oczu od jego twarzy. — Rozmawiałam z jedną z sióstr i powiedziała mi, że mają tutaj taką metodę, która nazywa się stopniowym ujawnianiem: nie przekazują ci złych wieści od razu, nie robią tego, dopóki ich nie zmusisz, nie domagasz się, żeby oznajmili, co ci konkretnie dolega.

— A on chciał to wiedzieć — stwierdziłem z całkowitą pewnością. — Kazał im powiedzieć prawdę.

— Tak — zgodziła się matka. — Kazał, żeby mu powiedzieli.

— Więc dlaczego tak długo trzymał to w tajemnicy? — zapytałem, chociaż dobrze znałem odpowiedź. — Musiał zdawać sobie sprawę, że w końcu i tak się dowiemy.

— Chronił nas — odparła matka.

Wzięła jego ręce w swoje i przycisnęła je do policzka, a ja odwróciłem wzrok. Bałem się, że widząc, jak bardzo go wciąż kocha, kompletnie się rozkleję.

— Chronił nas — powtórzyła.
— To prawda, mamó. Osłaniał nas przed najgorszym, co ma do zaoferowania świat, chciał zaoszczędzić rodzinie tego wszystkiego, co nas czeka. Chronił nas. Robił to, co robił zawsze.

* * *

— Przykro mi z powodu twojego ojca, Harry — oznajmiła Gina. — Naprawdę mi przykro. . . zawsze traktował mnie z wielką dobrocią.

— Szalał na twoim punkcie — stwierdziłem.

Miałem ochotę dodać, że nasze rozstanie złamało mu serce, ale w porę ugryzłem się w język.

— Chciałabym go odwiedzić w szpitalu — dodała. — Oczywiście jeśli nie masz nic przeciwko temu. Ty i twoja mama.

— Jasne — zgodziłem się.

Nie wiedziałem, jak jej powiedzieć, że tato najwyraźniej nie lubi odwiedzin, że trudno mu walczyć z własnym bólem na oczach wszystkich. Nie wiedziałem, jak jej to powiedzieć, żeby nie poczuła się odsunięta.

— Czy Pat go odwiedzi? Wzięłem głęboki oddech.

— Pat chce go zobaczyć — odparłem. — Ale mój tato jest w tej chwili zbyt chory. Może jeśli nastąpi jakaś poprawa. . . obecnie jednak to za bardzo wyprowadzi ich obydwu z równowagi.

— Co mu powiedziałeś?

— Że dziadek jest chory. Bardzo chory. Jak powiedzieć pięcioletniemu dziecku, że dziadek, którego uważał za najwspanialszą osobę na świecie, umiera? Jak to zrobić? Nie wiem.

— Musimy porozmawiać o Pacie — stwierdziła. — Rozumiem, że to nie jest najlepszy moment, i naprawdę mi przykro z powodu twojego ojca. Ale powinieneś wiedzieć, że chcę jak najszybciej odzyskać Pata.

— Chcesz odzyskać Pata?

— Owszem. Nie musimy chyba się o to znowu spierać? Nie zabieram go z kraju. Wróciłam do Londynu. Richard i ja szukamy jakiegoś mieszkania w tej okolicy. Pat nie będzie musiał nawet zmieniać szkoły.

— Jak się, do diabła, miewa stary Richard?

— Dobrze.

— Wciąż w półseparacji?

— W trwałej separacji. Jego żona wróciła do Stanów. Wiem, że to może się wydawać przedwczesne, ale rozmawiamy o małżeństwie.

— Kiedy?

— Kiedy tylko uzyskamy rozwody.

Zdjął mnie pusty śmiech.

— Niech mnie szlag — mruknąłem. — Weźmiecie ślub, kiedy tylko dostaniecie rozwody? Czyż miłość nie jest wspaniała?

Gina i ja nie zaczęliśmy nawet rozmawiać o mechanizmach rozwodu. Mówiliśmy dużo o tym, że się rozstaniemy. Ale nie o tym, jak załatwić to z formalnego punktu widzenia.

— Proszę cię, Harry — powiedziała i w jej głosie zabrzmiał lód. — Nie zachowuj się obraźliwie, dobrze?

Potrząsnąłem głową.

— Wydaje ci się, że możesz pojawić się z powrotem w naszym życiu i zacząć od punktu, w którym odeszłaś? Wydaje ci się, że możesz odzyskać Pata, ponieważ azjatycki cud gospodarczy nie okazał się wcale takim wielkim cudem?

— Uzgodniliśmy to — oznajmiła, nagle rozgniewana bardziej, niż kiedykolwiek byłem tego świadkiem. — Zawsze wiedziałeś, że Pat będzie mieszkał u mnie. Bez względu na to, czy zostałam w Tokio, czy wróciła tutaj, zawsze miał mieszkać u mnie. Co każe ci sądzić, że masz jakiegokolwiek prawo, żeby go zatrzymać?

— To, że jest ze mną szczęśliwy — odpowiedziałem. — I że daję sobie radę. Daję sobie radę. Z początku nie wyglądało to najlepiej, ale w końcu się nauczyłem, rozumiesz? Szło nam coraz lepiej i teraz jest całkiem dobrze. A on jest szczęśliwy tam, gdzie jest. Nie musi mieszkać z tobą i z jakimś facetem, jakimś pieprzonym palantem, którego poznałaś w barze Roppongi.

Jej usta zacisnęły się w grymasie, jakiego nigdy u niej nie widziałem.

— Kocham Richarda — oznajmiła. — I chcę, żeby Pat dorastał ze mną.

— My ich nie posiadamy, rozumiesz? Dzieci nie są naszą własnością, Gino.

— Masz rację... nie posiadamy naszych dzieci. Ale mój adwokat dowiedzie, że biorąc wszystko pod uwagę, dziecko powinno pozostać przy matce.

Wstałem i rzuciłem kilka monet na stolik.

— A mój adwokat dowiedzie, że ty i Richard możecie iść do diabła — odparłem. — I kiedy już go wynajmę... dowiedzie również, że dziecko powinno pozostać z tym z rodziców, które potrafi go najlepiej wychować. A tym rodzicem jestem ja, Gino.

— Nie chcę cię nienawidzić, Harry. Nie zmuszaj mnie do tego.

— Nie chcę, żebyś mnie nienawidziła. Ale czy nie zauważyłaś, co się wydarzyło? Nauczyłem się, jak być prawdziwym rodzicem. Nie możesz mi tego ot tak po prostu odebrać.

— Niewiarygodne — parsknęła. — Opiekowałeś się nim raptem przez dwa miesiące i uważasz, że możesz zająć moje miejsce?

— Przez cztery miesiące — poprawiłem ją. — I nie próbuję wcale zająć twojego miejsca. Odnalazłem po prostu swoje własne.

* * *

Cyd zmierzyła mnie jednym spojrzeniem i oznajmiła, że zabiera mnie na kolację. Choć nie byłem głodny, zgodziłem się, bo nie miałem siły się kłócić. A także ponieważ było coś, o co chciałem ją poprosić.

Ucałowałem Pata i zostawiłem go razem z Peggy, z którą oglądał Księżniczkę Pocahontas. Naburmuszona Bianca zaszyła się w kuchni, żując bez przerwy Juicy Fruit, ponieważ nie wolno jej było palić w mieszkaniu.

— Moim samochodem czy twoim? — zapytała Cyd.

— Moim — zdecydowałem i pojechaliśmy do małej hinduskiej knajpy między Upper Street a Liverpool Road. Taśma, którą posklejałem porznięty dach MGF, wyschła i cały dach łopotał niczym żagiel na silnym wietrze.

Widok jedzenia obudził we mnie mdłości. Bez przekonania przesuwalem po talerzu kawałki kurczaka tikka masala, mając wrażenie, że wszystko zaciera mi się przed oczyma.

— Zjedz, ile chcesz, kochanie — powiedziała. — Ile masz ochotę. Ale spróbuj coś przełknąć, dobrze?

Pokiwałem głową, uśmiechając się z wdzięcznością do tej niewiarygodnej kobiety, która straciła ojca, gdy była o połowę młodsza ode mnie. O mały włos nie zwróciłem się do niej z moją prośbą od razu, w owej chwili, potem jednak uznałem, że będę trzymał się planu i zrobię to pod koniec wieczoru. Tak, lepiej trzymać się planu.

— Nie musimy oglądać dzisiaj tego filmu, jeśli nie masz nastroju — dodała. — To nie ma znaczenia. Możemy go sobie darować i spędzić czas tak, jak chcesz. Możemy po prostu pogadać. Albo nic nie robić. Nie musimy nawet rozmawiać.

— Nie, chodźmy go obejrzyć — odparłem i pojechaliśmy na Soho, żeby obejrzeć włoski film Cinema Paradiso opowiadający o przyjaźni młodego chłopca ze starym operatorem miejscowego kina.

Cyd potrafiła na ogół wybierać filmy, o których wiedziała, że mi się spodobają pod warunkiem, że dam im szansę, filmy z napisami i bez udziału wielkich gwiazd, filmy, na które jeszcze przed kilku laty nie zwróciłbym najmniejszej uwagi.

Tym razem jednak trochę zmroziło mnie zakończenie, kiedy stary operator, oślepiiony w wyniku pożaru, który wybuchł w kinie, mówi chłopcu o oczach Bambi, teraz już młodzieńcowi, że powinien wyjechać z miasteczka i nigdy tam nie wracać.

Chłopak, Toto, wyjeżdża, zostaje słynnym reżyserem filmowym i nie wraca do swojego małego miasteczka przez trzydzieści lat, aż do dnia, kiedy grzebią Alfreda, starego operatora, który nauczył go kochać kino, a potem wysłał w świat.

— Dlaczego Alfredo kazał mu wyjechać na dobre? — zapytałem, kiedy szliśmy zatłoczoną Old Compton Street. — Dlaczego nie mogli przynajmniej pozostać w kontakcie? Sposób, w jaki kazał mu wyjechać, chłopcu, którego znał całe życie, wydaje się okrutny.

— Zrobił to, bo wiedział, że w tym małym miasteczku Toto nigdy nie znajdzie tego, czego potrzebuje — odparła z uśmiechem Cyd, zadowolona, że może o tym porozmawiać. — Musiał się wyrwać na wolność, żeby dowiedzieć się tego, o czym Alfredo już wiedział. Życie nie jest podobne do tego, co ogląda się w kinie... życie jest o wiele trudniejsze. — Roześmiała się i wzięła mnie pod ramię. — Lubię, jak o tym rozmawiamy — dodała.

MGF stał na dużym podziemnym parkingu przy końcu Gerard Street, tym za strażą pożarną na Shaftesbury Avenue w Chinatown. Wsiadliśmy do samochodu, ale nie przekręciłem kluczyka w stacyjce.

— Chcę, żebyśmy zamieszkali razem — powiedziałem. — Ty, Peggy, ja i Pat. W oczach, które pokochałem, odbiło się autentyczne zdumienie.

— Żebyśmy razem zamieszkali?

— Twoje mieszkanie jest dla nas wszystkich za małe — stwierdziłem. — Więc najlepiej będzie, jeśli wprowadzicie się do nas. Co o tym sądzisz?

Cyd potrząsnęła z zakłopotaniem swoją śliczną głową.

— Wiele ostatnio przeszedłeś — powiedziała. — Mam na myśli twojego tatę. I Ginę. Miałeś naprawdę ciężki okres.

— To nie ma z tym nic wspólnego — oznajmiłem. — No, może trochę. Może nawet dużo. Ale to nie wszystko. Wiem, co do ciebie czuję. I myślę, że ty do mnie czujesz mniej więcej to samo. Chcę, żebyśmy byli razem.

Uśmiechnęła się i ponownie potrząsnęła głową, tym razem bardziej zdecydowanie.

— Nie, Harry.

— Nie?

— Przykro mi.

— Dlaczego nie?

To było bezsensowne pytanie, pytanie, jakie zadają dzieci. Ale musiałem je zadać.

— Ponieważ potrzebny ci jest ktoś, kto ma mniej skomplikowane życie — odparła. — Ktoś bez dziecka. Bez byłego męża. Bez pamiątek z przeszłości. Wiesz, że tak jest. Pamiętasz, jak fatalnie się czułeś na urodzinach Pata? Pamiętasz to? Oboje dobrze wiemy, że nie ma dla nas przyszłości.

— Ja o tym nic nie wiem.

— Wydaje ci się, że pragniesz kogoś, kto potrafiłby odmienić twoje życie, obdarzając cię miłością. Ale tak naprawdę ty wcale nie potrzebujesz miłości, Harry. Nie poradziłbyś sobie z prawdziwą miłością. Ty potrzebujesz romansu.

Jej słowa wywierały o wiele mocniejszy efekt przez to, że wypowiadała je z ogromną czułością. Nie było w nich śladu gniewu ani złości. Brzmiały tak, jakby autentycznie mi współczuła.

— I nie mam o to żalu — dokończyła. — Taki już jesteś i pod wieloma względami to nawet dobrze. Ale nasz związek nie będzie nigdy miał przyszłości, ponieważ nie można przez całe życie bawić się w serduszka i kwiatki. Nie można, kiedy ma się dzieci. Zwłaszcza cudze dzieci.

— Moglibyśmy spróbować — upierałem się.

— Nie — odparła. — Skończylibyśmy dokładnie w tym samym miejscu, w którym skończyliście ty i Gina. A ja tego nie chcę. Nie mogę przez to wszystko przechodzić... nie z Peggy. Słodkie drobiazgi są w porządku. Romans jest w porządku. Ale mnie potrzeba kogoś, kto będzie masował mi stopy, kiedy się zestarzeję, i mówił, że mnie kocha, nawet kiedy nie będę pamiętała, gdzie położyłam klucze. Tego mi potrzeba. Potrzeba mi kogoś, z kim mogłabym się zestarzeć. Naprawdę bardzo mi przykro, ale nie sądzę, żebyś ty chciał tego samego.

Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć mojej twarzy, ale ja odwróciłem się. Nie dawała mi spokoju myśl, że gdzieś to już kiedyś słyszałem. Siedzieliśmy w milczeniu w podziemnym garażu, przygnieceni ciężarem całego Chinatown.

— Myślałem, że nie chcesz, żeby Peggy cierpiała, obserwując twoje krótkotrwałe związki — powiedziałem.

— Wolę to, niż gdyby zobaczyła, że wali się w gruzy długotrwały związek — oświadczyła. — Pat i Peggy nadal będą się przyjaźnić. Peggy nadal będzie cię widywać. Ale w ten sposób ty i ja oszczędzimy sobie wielu cierpień.

— W ten sposób? — powtórzyłem. — Mówisz, jakbyś ze mną zrywała.

— Nie zrywam z tobą — odparła. — My też możemy dalej zostać przyjaciółmi. Ale przyglądając ci się podczas urodzin twojego syna, zdałam sobie sprawę, że Peggy i ja nie jesteśmy tym, czego chcesz. Naprawdę.

— Wiem, co to znaczy, kiedy kobieta mówi, że ona i jej facet mogą zostać przyjaciółmi — mruknąłem. — To znaczy, że ma wyjść i zamknąć za sobą drzwi. Chyba dobrze rozumiem, prawda?

— Nie upadaj na duchu, Harry — powiedziała. — Ludzie zrywają ze sobą każdego dnia. To jeszcze nie koniec świata.

* * *

Rak ma do siebie to, że zawsze przechodzi najgorsze oczekiwania. Jest coś pornograficznego w jego zdolności do przekraczania granic wyobraźni. Bez względu na to, jak okrutnie i obscenicznie dręczy i torturuje cię dzisiaj, jutro może być jeszcze gorzej.

Ojciec był naszpikowany morfiną, jego skóra nie miała już koloru żywej skóry i nawet z maską tlenową płuca unosiły się z wielkim trudem, by zaczerpnąć żalosny haust powietrza, którego było po prostu za mało.

Mgła spowijająca jego oczy, ta mgła spowodowana bólem i środkami przeciwbólowymi, czasami ustępowała. Kiedy to się stało, zobaczyłem w tych zażawionych oczach żal i strach i byłem pewien, że już po wszystkim, że to już koniec, na pewno koniec.

— Kocham cię — powiedziałem, biorąc go za rękę i wypowiadając te słowa, których nie usłyszał ode mnie nigdy przedtem.

Powiedziałem mu to, ponieważ jego stan naprawdę nie mógł się pogorszyć... ale pogorszył się, taki już jest rak, potrafi zawsze przekroczyć twoje najczarniejsze oczekiwania.

Dlatego nazajutrz wróciłem na zatłoczony oddział, usiadłem przy jego łóżku, wziąłem go za rękę i płacząc tym razem mocniej niż poprzednio, znowu powiedziałem memu ojcu, że go kocham.

Część trzecia — Co dalej?

Rozdział 31

Eamon zmarł.

Ktoś siedzący na studyjnej widowni, komu zasłaniały widok kamery oraz członkowie ekipy, mógł tego wcale nie zauważyć. Mógł tego nie zauważyć nawet ktoś tam po drugiej stronie ekranu, dla kogo telewizja była tylko brzęczącym w salonie patrzydłem i dla kogo ten konkretny program nie stanowił, w przeciwieństwie do mnie, centrum wszechświata.

Ale ja zobaczyłem, że Eamon się spala, na jednym z monitorów wysoko na galerii. Wiedziałem, że taka chwila może nadejść bez względu na to, czy spędziło się przed kamerą sześćdziesiąt lat, czy sześćdziesiąt sekund. Chwila, kiedy tracą znaczenie teleprompter, scenariusz i próby. Chwila, kiedy człowiek się spala.

— Pochodząc z Kilcarney, jestem wstrząśnięty tamtejszym wysokim odsetkiem rozwodów — powiedział, a potem dwa razy zamrugał i na jego twarzy ukazała się panika. — Bardzo wstrząśnięty. . .

Gapiąc się w bezlitosne czarne oko obiektywu, nad którym mrugało czerwone światełko, miał w głowie całkowitą pustkę, kompletnie nie wiedział, co powiedzieć. Nie chodziło wyłącznie o to, że zapomniał pointy. To była kompletna utrata wiary w siebie, niczym u linoskoczka, który spogląda w dół i widzi nagle swoje ciało roztrzaskane na ziemi. Na widowni ktoś zakasłał. Cisza wydawała się skwierczeć na jego obnażonych nerwach.

— No dalej, dalej, potrafisz to zrobić — szepnąłem, a on zamrugał, wziął głęboki oddech i nagle ruszył dalej po linie.

— W Kilcarney kobieta, która spotyka faceta, zadaje sobie dziś pytanie: czy chcę, żeby z tego rodzaju mężczyzną spędzały weekendy moje dzieci?

Widownia roześmiała się, a Eamon dotarł bezpiecznie do drugiego końca liny. Opowiedział następny dowcip, nadal trzęsąc się z przerażenia, starając się za wszelką cenę nie spoglądać w dół.

* * *

— To się zdarza — powiedziałem mu, kiedy usiedliśmy w cichym kącie bufetu. — Właśnie kiedy wydaje ci się, że masz to wszystko w małym palcu i trema jest czymś, co spotyka wyłącznie innych ludzi. Wtedy to się zdarza.

Eamon pociągał piwo ze szklanki.

— Nie wiem, czy potrafię to dalej robić, Harry. Nie wiem, czy potrafię wychodzić co tydzień na scenę, zdając sobie sprawę, że mój umysł może mi w każdej chwili odmówić posłuszeństwa.

— Musisz się po prostu nauczyć żyć ze świadomością, że na oczach milionów ludzi możesz nagle poczuć kompletną pustkę w głowie.

— Ja pierdołę.

— Potrafisz to zrobić.

— Rzecz w tym, że nie potrafię. Mogę udawać pewnego siebie chojraka wobec moich starych, ale to tylko gra. Naprawdę jest zupełnie inaczej, Harry. Przed wejściem na wizję rzygam w toalecie. Budzę się o trzeciej w nocy, bo śni mi się, że wszyscy się na mnie gapią, a ja straciłem głos. Nie potrafię tego robić. Jestem zbyt nerwowy.

— Nie jesteś nerwowy. Jesteś podekscytowany — uściśliłem.

— Więc dlaczego rzygam jak kot przed programem?

— Bo jesteś podekscytowany. Za chwilę masz wyjść i dostarczyć rozrywki całemu krajowi. To naturalne, że jesteś podekscytowany. Kto by nie był?

— Dlaczego mam złe sny?

— To nie są nerwy. To podniecenie. Naucz się na pamięć mantry prezentera i powtarzaj ją bez przerwy: nie jestem nerwowy, jestem podekscytowany.

— Nie jestem nerwowy — powiedział. — Jestem podekscytowany.

— Zgadza się.

Ktoś podszedł do nas z zapiekaną kiełbaską w jednej ręce oraz kieliszkiem białego wina w drugiej i poinformował Eamona, że to najlepszy show, jaki kiedykolwiek odstawił.

— Chcesz się napić czegoś prawdziwego? — zapytał mnie mój podopieczny.

* * *

— Przykro mi, panowie — stwierdził czarny ochroniarz wielkości kontenera na śmieci. — Obowiązują stroje korporacyjne.

— Stroje korporacyjne? — zdziwiłem się.

— Garnitury. Krawaty. Strój wieczorowy.

Na szczęście w tym samym momencie inny wykidajło, biały facet wielkości kontenera na śmieci, rozpoznał twarz Eamona.

— W porządku, Chris — powiedział, podnosząc czerwony welwetowy sznur. — Co słychać, Eamon?

Na twarzach wokół nas rozkwitły uśmiechy. Prosimy do środka, prosimy do środka. Ja i mój słynny towarzysz weszliśmy do pogrążonego w mroku klubu i nagle poczułem, że nigdy jeszcze nie byłem tak trzeźwy.

Na całej długości baru piękne na pół nagie dziewczyny — nie, nie na pół, ale w trzech czwartych albo dokładniej w dziewięciu dziesiątych nagie dziewczyny — wyginały się, przeżyły i tańczyły przed siedzącymi na stołkach biznesmenami, których czoła zroszone były potem, a brzuchate ciała unieruchomione przez piwo i pożądanie. Dziewczyny miały na udach podwiązki. Wypełnione były dziesięcio- i dwudziestofuntowymi banknotami.

— Zbyttno się nie podniecaj — mruknął Eamon. — Cała penetracja odbywa się tu wyłącznie w twoim portfelu.

Zeszliśmy na dół, gdzie uśmiechnięta czarna dziewczyna ubrana w coś w rodzaju krótkiej baletowej białej spódniczki pozdrowiła Eamona po imieniu, po czym zaprowadziła nas do stolika z boku sceny, gdzie kolejne dziewczęta ubrane tylko w szpilki oraz nić dentystyczną udającą bieliznę ślizgały się w górę i w dół po metalowych rurach.

Podobnie jak ich skąpo odziane siostry torturujące w głównej sali kadre kierowniczą średniego szczebla tańczyły do piosenki jednej z tych amerykańskich artystek, której nazwiska nigdy nie potrafiłem zapamiętać i która przechwała się, że jest jednocześnie dziwką i kochanką. To jedna z nowych piosenek. — Zdałem sobie sprawę, że większość piosenek, które znam, jest stara.

Pojawiła się butelka szampana. Szepnąłem Eamonowi, że chcę się napić piwa, ale odparł, że przy tym stoliku możemy dostać tylko szampana. Tam, gdzie siedzieliśmy, szampan był obowiązkowy.

Posągowa blondyna odziana w coś, co przypominało suknię wieczorową jednorazowego użytku, podeszła do mnie, uśmiechając się tak, jakby szukała mnie przez całe życie.

— Jestem Venus. Masz ochotę na taniec?

A niech tam do diabła. Uznałem, że mogę zatańczyć.

— Jasne — odparłem, po czym wstałem i zacząłem kołysać się w niezgrabnej karykaturze tego, co określamy mianem tańca w tym kraju. Czułem się dobrze. Ta piosenka o dziwce i kochance nie była w gruncie rzeczy taka zła.

— Nie — mruknęła niecierpliwie Venus. Zorientowałem się, że ma akcent z Birmingham. — Ty nie tańczysz. Ty siedzisz.

Wskazała pałających żądzą, zahipnotyzowanych biznesmenów, którzy tkwili w swoich fotelach, podczas gdy dziewczyny zginały się wpół, mrugały do nich spomiędzy własnych nóg i nieomal ocierały się idealnymi brodawkami piersi o popękane naczynia krwionośne w ich czerwonych od alkoholu nosach.

— Ja zatańczę dla ciebie, rozumiesz? Ty będziesz siedział i patrzył. Bez dotykania. Jedna piosenka dziesięć funtów. Minimum.

— Może później — odparłem, siadając i upijając łyk szampana.

Venus zniknęła.

— Odpręż się, Harry — uśmiechnął się Eamon. — Nie jesteś zdenerwowany. Jesteś podekscytowany. Kocham cię, ty skurwysynu — ryknął nagle, klepiąc mnie po plecach. — Jak się, kurwa, czujesz?

— Wspaniale — odparłem. — Mój stary jest na onkologii, a moja żona... moja była żona... chce odebrać mi syna.

Spojrzał na mnie z autentycznym współczuciem, co nie jest łatwe, kiedy trzyma się kieliszek szampana w ręku, a wszędzie dookoła kręcą się nagie dziewczyny.

— Jak się czuje twój ojciec?

— Jego stan się ustabilizował — odpowiedziałem. — Tak twierdzą lekarze. To oznacza, że nie odnotowują wyraźnego pogorszenia. Jeśli to się utrzyma, być może będzie mógł wrócić do domu. Ale nie wróci do domu, żeby wyzdrowieć.

— Czy mogę dla ciebie zatańczyć, Eamon? — zapytała młoda Azjatka z włosami do bioder.

Była jedyną Azjatką w lokalu. Widziałem kilka czarnych dziewcząt, ale większość miała blond włosy, naturalne albo tlenione. Przypominało to trochę kartkowanie „Playboya”. W tym miejscu światem rządziły blondynki.

— Później — odparł Eamon, odwracając się z powrotem do mnie. Azjatycka piękność zniknęła w mroku. — Przykro mi z powodu twego taty, Harry. I to fatalne, że twoja była tak ostro z tobą pogrywa. Ale rozchmurz się, żałosny pierdoło. Masz przynajmniej Cyd. To ekstra babka.

— To już skończone — poinformowałem go.

— Masz ochotę na taniec? — zapytała mnie jakaś pneumatyczna blondyna.

— Nie, dziękuję — odparłem. Odeszła, nie biorąc sobie tego do serca. — Ja i Cyd mieliśmy pewne problemy.

— Problemy? — zdziwił się Eamon. — Na ceremonii rozdania nagród miałem wrażenie, że wam ze sobą dobrze.

— Było nam ze sobą dobrze, kiedy byliśmy tylko we dwoje. Ale Cyd ma dziecko. I ja mam dziecko. Oboje są wspaniali. Oznacza to jednak, że ona ma eksmęża, a ja mam ekszonę. W związku z czym zrobiło się wokół nas... sam nie wiem... trochę tłoczno.

— I to jest ten wasz problem?

— Cóż, największym problemem jest to, że mnie rzuciła. Zrobiła to, ponieważ czasami ten tłok wpędzał mnie w depresję. I ponieważ wydawało jej się, że pragnę... to brzmi głupio... czegoś w rodzaju idealnej miłości. I może miała rację. Jej było dobrze tak, jak jest. Mnie z jakiegoś powodu to nie wystarczało.

— Bo jesteś romantykiem, Harry — stwierdził Eamon. — Bo wierzysz we wszystkie stare piosenki. A stare piosenki nie przygotowują cię do prawdziwego życia. Stare piosenki sprawiają, że reagujesz alergicznie na prawdziwe życie.

— Co jest złego w starych piosenkach? Przynajmniej nikt nie uważa tam, że fajnie jest być jednocześnie dziwką i kochanką.

— Ty kochasz samą miłość, Harry. Zakochałeś się w idei miłości. Cyd to wspaniała dziewczyna, ale najbardziej rajcuje cię w niej fakt, że nie możesz jej mieć. To jest rzecz, która cię porusza.

Nie miał racji. Brakowało mi jej. Brakowało mi zwłaszcza tego, jak obejmowała mnie, kiedy spaliśmy. Większość par odwraca się do siebie plecami, kiedy tylko zbliża się pora snu. Ale nie ona. Cyd przytulała się do mnie i obejmowała, pragnąc, żebyśmy stali się jednością. Wiem, że to śmieszne i nigdy nikomu się nie uda. Ale ona kazała mi w to wierzyć. I nie mogłem znieść myśli, że już nigdy tak nie zaśniemy.

— Była naprawdę wyjątkowa — mruknąłem.

— Rozejrzyj się — powiedział Eamon, próbując napełnić mój kieliszek. Położyłem na nim dłoń. Nie mam zbyt mocnej głowy, a i tak byłem już lekko zalany. — Ile ich tu jest? Koło setki?

Rozejrzałem się. Na obrzeżach sali, tam gdzie czekały ze swoimi latarkami i tacami kelnerki w baletowych spódniczkach, dziesiątki dziewcząt polowały na klientów. Dziesiątki innych podrygiwały rytmicznie przed biznesmenami, którzy śmieli się i szydzili, stojąc w małych grupkach, lecz potem siedzieli wszyscy z nieśmiałą i niemal nabożną miną, kiedy któryś z nich wykupił taniec.

Tak łatwo naciskać w nas odpowiednie guziki, pomyślałem, nie potrafiąc sobie wyobrazić, żeby jakakolwiek kobieta straciła głowę — i sięgnęła jednocześnie po pieniądze — na widok męskich pośladków.

Obserwując twarze facetów wpatrzonych we wszystkie te perfekcyjne kobiece ciała — ciała rzeźbione młodością i na siłowni, ciała, które tu i tam zostały udoskonalone ręką chirurga — łatwo było uwierzyć, że żywot mężczyzny jest niczym przykucie łańcuchem do wioskowego idioty.

— Raz... dwa... trzy — zaczął liczyć Eamon, popijając szampana. — Osiem... dziewięć... dziesięć...

— Tak — zgodziłem się. — Jest ich koło setki.

— I wszystkie są wyjątkowe, Harry. Jest tu tyle wyjątkowych dziewczyn, że nie zdołam ich zliczyć. Świat jest pełen wyjątkowych dziewczyn.

— Nie takich jak Cyd — zaprotestowałem.

— Bzdura — stwierdził Eamon. — Wielka włochata bzdura, Harry. — Opróżnił swój kieliszek i chcąc go ponownie napełnić, odkrył ze zdziwieniem, że butelka jest pusta. Zamówił następną i objął mnie ramieniem. — Ty to kochasz, Harry. Kochasz całe to cierpienie. Bo jest o wiele łatwiejsze niż życie z kobietą.

— Jesteś pijany.

— Może i jestem pijany, Harry, ale znam się na kobietach. Ty może znasz się na telewizji... i niech Bóg ma cię za to w swojej opiece... bo nieraz uratowałeś moją garbowaną w Kilcarney skórę... aleja znam się na kobietach. I wiem, że zmieniłbyś zdanie na temat Cyd, gdybyś pomieszkał z nią przez siedem najbliższych lat. Bo my zawsze zmieniamy zdanie.

— Nie zawsze.

— Zawsze. Nie dowiesz się tego ze starych piosenek. Stare piosenki opowiadają o odnalezionej i utraconej miłości. Miłości heroicznej, miłości odwiecznej, miłości słodkiej i gorzkiej. Ale nie mówią nic o tym, że człowiek staje się stary i nudny. O tym nic nie mówią.

— Owszem, kurwa, mówią! — upierałem się.

— Masz ochotę na taniec? — zapytała mnie jakaś zjawą w przezroczystej wieczorowej sukience.

— Nie, dziękuję — odparłem. — Where Did Our Love Go?, You Don't Send Me Flowers, You've Lost That Loving Feeling... ludzie piszą mnóstwo piosenek o miłości, której płomień przygasa.

— Ale piszą to w tonie heroicznym — stwierdził Eamon. — A w tym nie ma nic z heroizmu. To jest nudne i głupie. Rozejrzyj się wokół siebie, Harry, po prostu rozejrzyj się po tej sali... dlaczego jakkolwiek mężczyzna miałby wiązać się tylko z jedną kobietą? Nie po to nas stworzono.

— Nie po to ciebie stworzono — odpaliłem. — Bo ty dbasz tylko o swojego małego obleśnego fiuta i o to, żeby wcisnąć go wszędzie, gdzie się tylko da.

— Nie chodzi o mojego fiuta, Harry.

— Przykro mi, Eamon, ale nie ustąpię. Chodzi o twojego małego obleśnego fiuta.

— Nie o fiuta, Harry. Chodzi o nasienie.

— Dobrze, niech ci będzie nasienie.

Azjatka z włosami do bioder podeszła do nas, usiadła Eamonowi na kolanach i cmoknęła go niewinnie w nieogolony ciemny policzek.

— Jestem Mem — powiedziała, zwracając się do mnie.

— Harry — przedstawiłem się i uścisnęliśmy sobie ręce, jakbyśmy mieli zaraz przystąpić do rozmowy o interesach.

To śmieszne, ale w tej sali pełnej nieświeżego papierosowego dymu, nagich ciał i erotycznych fantazji, które snuli faceci w średnim wieku, sporo było oficjalności, uścisków dłoni i wizytówek dyskretnie wręczanych razem z gotówką.

Taki panował tutaj genius loci. Mężczyznom pozwalano łudzić się nadzieją, że mają u którejś z nich jakieś szansę — że te dziewczyny, które jednym błyskiem oka, jednym ruchem bioder i nową piosenką o byciu dziwką i kochanką mogły zmienić każdego mężczyznę w swój osobisty bankomat, marzą o kolacyjce w jakiejś udającej francuską restaurację nędznej knajpie.

Mem zaczęła tańczyć dla Eamona. Ściągnęła sukienkę przez głowę i poruszała powoli swoim drobnym jędrnym ciałem przed jego twarzą. Widziałem teraz, dlaczego tej małej Azjatce — ciekawe, skąd pochodziła? Z Indonezji? Z Tajlandii? — udało się przetrwać na blond planecie.

— To jest jak w Heathrow Express — rzucił Eamon.

— O czym ty teraz pieprzysz? — zapytałem.

— O Heathrow Express — wyjaśnił. — Pociągu na lotnisko. Nie zauważyłeś? Zaraz za Paddington mija się bocznice z błyszczącymi, fabrycznie nowymi wagonami. A trochę dalej jest kolejna bocznica. . . ale tutaj widać same zardzewiałe, zniszczone, wypalone stare wagony, poustawiane jeden na drugim niczym złom, którym właściwie są.

— Coś mi tutaj nie pasuje, Eamon — przerwałem mu. — Twierdzisz, że życie jest niczym Heathrow Express?

— Twierdzę, że stosunki między kobietą i mężczyzną są niczym te wagony — odparł, sunąc dłonią po złocistym udzie Mem, mimo że dotykanie było tutaj surowo wzbronione. — Na początku są lśniące i nowe i wydaje się, że tak będzie zawsze. A potem lądują na złomowisku.

— Prawdziwy z ciebie diabeł — powiedziałem, wstając od stolika. — A ja się upiłem.

— Och, nie odchodź, Harry — poprosił.

— Muszę odebrać syna od moich rodziców — wyjaśniłem. — To znaczy od mojej matki.

Pocałowałem go w policzek, podałem rękę Mem — z jakiegoś powodu wydawało mi się to bardziej na miejscu, niż gdybym pocałował Mem i podał rękę Eamonowi — i dopiero w połowie sali przypomniałem sobie, gdzie słyszałem już wcześniej to imię.

I wiedziałem, że Eamon nie ma racji. Ktoś, kto stale pożąda czegoś nowego, stale czegoś pragnie, nigdy nie będąc zadowolony z tego, co ma, jest bardziej zagubiony i samotny od podobnego do mnie biednego pierdoły, który wierzy, że wszystkie stare piosenki opowiadają o tej jedynej dziewczynie.

Mężczyźni, którzy spótkują z kim popadnie, nie są wolni. Stają się niewolnikami w większym stopniu niż inni, ponieważ nigdy nie mogą pozbyć się podejrzeń, że kobiety, których pragną, są takie same jak oni. Tak samo niestałe, tak samo niewierne, tak samo skore do odejścia albo szybkiego numerku jak bohaterka jednej z tych nowych piosenek.

* * *

Zobaczyłem go przed klubem, czekającego w mroku razem z innymi chłopakami tancerem. Nie wiem dlaczego, ale domyślałem się jakby, że go tam zastanę.

I wiedziałem, że będzie wyglądał tak jak inni, którzy mimo swoich lśniących samochodów — czy w jego przypadku wielkiego motocykla marki BMW — mieli wszyscy żalostne miny. Żaden z chłopaków tancerem nie sprawiał wrażenia szczęśliwego.

Stali za kierowcami taksówek, którzy proponowali swoje usługi. Taksówkarze gawędzili ze sobą i zaczepiali wychodzących z klubu mężczyzn — „Potrzebuje pan taksówki?”, „Dokąd pan jedzie?”, „Dziesięć funciaków do Islington?” — lecz chłopcy tancerki byli milczący i samotni. Wyglądali tak, jakby spełniły się wszystkie ich marzenia, lecz przyniosły im one wyłącznie uczucie zazdrości i niesmaku.

Zobaczyłem go, choć on mnie nie widział, zobaczyłem, jak stoi tam jak na szpilkach razem z innymi turboładowanymi ogierami.

Zobaczyłem Jima Masona, przystojnego ekspartnera Cyd, który czekał, aż jego Mem skończy pracę tej nocy.

Rozdział 32

Godziny odwiedzin nie miały już znaczenia. Momenty, gdy ojciec budził się ze snu — jeśli można zaszczyścić mianem snu ów stan narkotycznego odurzenia — zależne były wyłącznie od przyływów i odpływów bólu oraz od podawanej morfiny.

Można było siedzieć przy nim cały ranek, a on przesypiał odwiedziny. A potem, kiedy lekarstwa przestawały działać, lecz jeszcze nie zaczął doskwierać mu guz, mógł ocknąć się i zamienić z nami kilka słów z zażawionymi oczyma, w których widać było ból i nieznośny smutek. Na takie właśnie chwile czekałem.

Gdzieś w środku nocy poruszył się i dotknął językiem spierzchniętych warg, wyrывая mnie z mojego własnego niespokojnego snu. Na sali było cicho, jeśli nie liczyć chrapania starszego mężczyzny, który leżał dwa łóżka dalej. Pomogłem tacie usiąść i zmoczyłem mu usta żałośnie małą ilością wody.

Kiedy zaczął się dławić — oddychanie było dla niego teraz ciągłą męką — pomogłem mu założyć maskę tlenową i wziąłem za rękę. Tak mało powietrza, tak mało wody. Kroilo mi się serce na myśl o tym, jak niewiele mu trzeba do życia.

Krzywiąc się z bólu, zdjął maskę i ponownie pomyślałem, że nikt nie ostrzega nas, ile trzeba w życiu wycierpieć. Nadal jednak nie wiedziałem, co jest gorsze — oglądanie, jak strasznie cierpi, czy oglądanie go odurzonego morfiną, w gruncie rzeczy nie będącego już panem samego siebie. Uznałem, że gorszy jest ból. Oglądanie, jak cierpi.

Popatrzył na mnie i potrząsnął bezradnie głową, a potem odwrócił wzrok.

Wziąłem jego dłoń w swoją i mocno ścisnąłem, zdając sobie sprawę, że upada na duchu. Był dzielny człowiekiem, lecz nie potrafił pokonać tego smutku, który przychodzi w środku nocy, smutku, który odbiera wszelką nadzieję.

Przed tym smutkiem także nikt nas nie ostrzega. Jesteśmy w jakimś stopniu przygotowani na ból. Możemy się tylko domyślać, jak bolesne jest konanie na raka. Ale wraz z fizycznym cierpieniem pojawia się rozpacz, której nie zdoła uśmierzyć żaden zastrzyk morfiny.

— Najgorsze jest to — szepnął w ciemności ojciec — że człowiek uświadamia sobie, ile ominie go rzeczy. Nie mam na myśli tego, co się jeszcze nie wydarzyło. . . wesela Pata czy też dnia, kiedy się wreszcie usatkuje. . . ale rzeczy, które

traktuje się jako coś oczywistego. Widok Pata jeżdżącego na rowerze, opowiadanie mu bajki, dawanie całusa na dobranoc. Oglądanie, jak biega po ogrodzie z tym swoim cholernym świetlnym mieczem. Wszystkie te drobne rzeczy, które znaczą więcej niż cokolwiek.

— Może wrócisz niedługo do domu — powiedziałem, czepiając się nadziei, ponieważ tak właśnie zawsze robimy, ponieważ w gruncie rzeczy nie mamy innego wyjścia: czepiamy się życia, nawet jeśli oferuje nam samo cierpienie. — Może będziesz jeszcze miał okazję to wszystko obejrzeć.

Ale on już nie starał się okłamywać siebie ani mnie.

— Będzie mi brakowało mojego ogródka. Twojej matki. Jej gotowania. Twoich programów.

Pochlebiało mi i wprawiało w zakłopotanie, że zaliczył moją pracę do tej samej ligi co żonę, wnuka oraz swój ogródek. I trochę się również wstydzilem — wstydzilem się, że nie uczyniłem nic więcej w czasie, który był nam dany, że nie uczyniłem nic więcej, żeby zrobić na nim wrażenie i zdobyć jego uznanie. Dwa telewizyjne programy oraz rozbite małżeństwo. To mniej więcej cały mój dorobek.

Ale był jeszcze Pat. I wiedziałem, że kocha swojego wnuka bardziej niż cokolwiek na świecie. Miałem odczucie, że Pat jest jedynym prawdziwym darem, jaki ode mnie otrzymał.

Ojciec chciał usiąść, nacisnąłem więc odpowiedni guzik w metalowej skrzyneczce. Górna część łóżka podniosła się z cichym warkotem, który zakłócił panującą na oddziale ciszę. Ojciec pochylił się do przodu i oparł o mnie, a ja ułożyłem poduszkę za jego plecami. Nieogolona szorstka twarz dotknęła mojego policzka.

Stare zapachy Old Spice'a i Old Holborn dawno się ulotniły i zastąpiła je woń szpitala, woń choroby oraz chemikaliów. Nie czuć już było tytoniu ani wody po goleniu. Wszystko to miał za sobą.

Czułem się trochę dziwnie, fizycznie mu pomagając. Niezaprzeczalny fakt, iż mój ojciec jest mocnym mężczyzną, tak głęboko odcisnął się na moim dzieciństwie i młodości, że teraz, gdy utracił siły, miałem wrażenie, że kończy się świat, że bezceremonialnie obalono jakieś niezmiennie prawo natury.

I po raz pierwszy spostrzegłem, że nie kochałem go wcale za jego siłę.

Zawsze uważałem, że stał się dla mnie bohaterem właśnie z racji swojego hartu — tego staroświeckiego hartu, który potwierdzał i symbolizował jego medal.

Teraz jednak, pomagając mu napić się wody albo usiąść na szpitalnym łóżku, przekonałem się, że kocham go za to samo, za co kochała go moja matka i za co kochał go mój syn.

Za jego łagodność, za współczucie i za odwagę, która nie miała nic wspólnego z fizyczną siłą.

— Nie mów nic matce, ale nie sędzę, żebym wrócił jeszcze do domu — oznajmił.

— Nie opowiadaj takich rzeczy, tato.
— Nie sędzę, żebym wrócił — powtórzył. — Czuję to. Ale chciałbym zobaczyć Pata.
— Oczywiście.
Nie dodał „po raz ostatni”. Nie musiał. Mówienie na głos o pewnych rzeczach sprawiłoby nam zbyt wiele bólu. Wiedzieliśmy jednak, że mówimy o śmierci.
— Naturalnie jeśli nie masz nic przeciwko — dodał. — Jeśli nie sądzisz, że to będzie dla niego zbyt bolesne. Musisz zdecydować. To ty jesteś jego ojcem.
— Przyrowadzę go, kiedy cię następnym razem odwiedzę. A teraz spróbuj się trochę przespać, tato.
— Nie jestem zmęczony.
— Daj po prostu odpocząć oczom.

* * *

Pat wyszedł ze szkoły z czarnowłosym chłopcem, który wymachiwał poobijanym pudełkiem śniadaniowym z Godzillą.
— Chcesz obejrzeć u mnie Gwiazdne wojny — zapytał go.
— Masz telewizor z szerokim ekranem czy zwyczajny? — zainteresował się chłopiec.
— Z szerokim ekranem.
— Dobrze.
— Czy może z nami pójść, tato?
Omiatając wzrokiem rozwrzeszczane, śmiejące się hordy, szukałem jedynej znajomej twarzy, co do której miałem pewność, że będzie poważna i spokojna. Twarzy brązowookiej dziewczynki, na której pudełku na lunch namalowana była księżniczka Pocahontas. Ale nie było jej w tłumie.
— Gdzie jest Peggy? — zapytałem.
— Peggy dzisiaj nie było — odparł Pat. — Czy Charlie może z nami iść?
Nie było Peggy? Spojrzałem na Charliego. Charlie spojrzał na mnie.
— Ja nie mam nic przeciwko temu — odparłem. — Ale musimy najpierw spytać mamę Charliego.
Pat i Charlie zaczęli chichotać i popychać się wzajemnie. Ostry kant pudełka z Godzillą rąbnął mnie w kolano.
Już teraz tęskniłem za Peggy.

* * *

Kiedy otworzyłem frontowe drzwi, zobaczyłem Sally, która zezowała na mnie niepewnie spod grzywki przetłuszczonych włosów.

— Nie sądziłem, że się jeszcze spotkamy — powiedziałem.

— Przyszłam przeprosić.

Wpuściłem ją do środka.

Na sofie Pat i Charlie kłócili się o Gwiazdne wojny. Charlie chciał puścić szybciej sceny miłosne oraz refleksyjne fragmenty i przejść od razu do tego, jak się naporzają. Pat — jak zwykle purysta — chciał oglądać film od początku do końca. Sally zajrzała do salonu, żeby przywitać się z Patem, po czym przeszliśmy do kuchni.

— Przemyślałam to sobie — oznajmiła. — I zdałam sobie sprawę, jaka byłam głupia, wpuszczając tu znajomych Steve'a.

— Szkoda, że wtedy o tym nie pomyślałaś.

— Wiem. — Zerknęła na mnie nieśmiało spod kurtyny włosów. — Przepraszam. Byłam po prostu... nie wiem, jak to ująć... taka szczęśliwa, że go znowu widzę.

— Cóż, potrafię to zrozumieć — powiedziałem. — Mnie też serce bije trochę szybciej, kiedy widzę Steve'a.

— Nie lubisz go — mruknęła. — Stroisz sobie żarty.

— Jak się między wami układa? Między tobą i Steve'em?

— To już skończone — odrzekła i w oczach stanęły jej łzy.

Zrobiło mi się nagle żal tego nieśmiałego aż do bólu dziecka. — Znowu puścił mnie w trąbę — dodała. — Kiedy dostał to, czego chciał.

— Przykro mi! To prawda, że Steve nie jest moim ulubionym przedstawicielem gatunku homo sapiens. Ale wiem, że go lubiałaś. Ile masz teraz lat? Piętnaście?

— Szesnaście.

— Spotkasz kogoś innego. Nie zamierzam ci mówić, że w twoim wieku nie wiesz jeszcze, co to jest miłość, bo nie wierzę, żeby to była prawda. Ale spotkasz kogoś innego, obiecuję ci.

— Nie ma sprawy — odparła, pociągając nosem. Podałem jej kawałek kuchennego ręcznika, w który głośno się wysmarkała. — To nieważne. Chciałam po prostu przeprosić za tamtą noc. I powiedzieć, że jeśli dasz mi jeszcze jedną szansę i pozwolisz zaopiekować się Patem, to się już więcej nie powtórzy.

Zmierzyłem ją uważnym spojrzeniem, wiedząc, że dodatkowa pomoc przy Pacie bardzo mi się przyda. Dawny system opieki nagle się załamał. Tato był w szpitalu, Cyd odeszła. Zaczęło mi nawet brakować Bianki. Teraz mogłem liczyć tylko na siebie oraz moją mamę i czasami było nam ciężko.

— Zgoda — powiedziałem. — Mogę potrzebować opiekunki do dziecka.

— To dobrze — uśmiechnęła się Sally. — Bo ja mogę potrzebować pieniędzy.

— Nadal mieszkasz u Glenna?

— Tak. Ale jestem jakby... no wiesz... w ciąży.

— Jezu, Sally. To dziecko Steve'a?

— Nie było nikogo innego.

— A jak Steve zareagował na to, że zostanie ojcem?
— Nie był zbyt zachwycony. Powiedział, dokładnie cytuję: „Odpierdol się i spadaj”. Chce, żebym pozbyła się dziecka.
— A ty chcesz je urodzić?
Przez chwilę się nad tym zastanawiała. Tylko przez chwilę.
— Myślę, że to dobry pomysł — stwierdziła. — Zawsze chciałam mieć coś, co będzie tylko moje. Coś, co mogłabym kochać i co też by mnie kochało. A to dziecko będzie mnie kochać.
— Twój tato o tym wie, prawda?
Sally pokiwała głową.
— To jedyny pożytek z posiadania ojca, który nigdy nie przestał być hipi-
sem. Takie rzeczy wcale go nie denerwują. Nie przejął się zbytnio, kiedy w wieku trzynastu lat miałam pierwsze płukanie żołądka. Nastolatka w ciąży to dla niego normalka. Chociaż wydaje mi się, że był trochę wstrząśnięty tym, że nie chcę skrobanki.
— Ale jak utrzymasz to dziecko, Sally?
— Opiekując się Patem.
— To nie wystarczy.
— Jakoś sobie poradzimy — powiedziała i po raz pierwszy nie pozazdrości-
łem jej młodzieńczej pewności siebie. Zrobiło mi się jej żal. — Ja i moje dziecko.
Sally i jej dziecko.
Jakoś sobie oczywiście poradzą, ale wyłącznie dzięki pomocy państwa, które odegra rolę ojca, ponieważ Steve całkowicie się do niej nie nadawał. Zastanawia-
łem się, po co w ogóle płacę podatki. Mogłem po prostu wcisnąć pieniądze do dziecinnego wózka Sally i wyeliminować pośredników.
— Dziecko to nie to samo co pluszowy niedźwiadek, Sally — powiedzia-
łem. — Nie służy tylko do tego, żebyś miała kogo objąć i poczuć się dobrze. Kiedy urodzisz dziecko, nie będziesz już wolna. Nie wiem, jak ci to wyjaśnić. Ale dziecko zawładnie jakby twoim sercem.
— Przecież tego właśnie chcę — odparła. — Chcę, żeby coś zawładnęło moim sercem. — Potrząsnęła głową, łagodnie mnie strofując. — A ty mówisz o tym, jakby to było coś złego.

* * *

Glenn przyszedł po nią i kiedy się żegnali, wpadł do mnie Marty, żeby poroz-
mawiać o przygotowaniach do swojego ślubu.

Chciałem ich sobie przedstawić, ale Glenn i Marty przywitali się jak starzy
znajomi. Teraz sobie przypomniałem. Poznali się na moim ślubie.

Zrobiłem zatem więcej kawy, a oni zaczęli wspominać listę przebojów Top
of the Pops w czasach jej największej popularności w latach siedemdziesiątych,

kiedy to Marty oglądał ją w każdy czwartkowy wieczór, a Glenn na krótko się na niej pojawił. Sally obserwowała ich obu z szyderczą pogardą młodości. Dopiero kiedy Glenn i Sally wyszli, Marty wyznał, że ma kłopoty ze snem.

— Wszyscy się na to skarżą — odparłem. — Kilka wątpliwości przed ślubem to rzecz naturalna.

— Nie martwię się o ślub — uściślił. — Martwię się o program. Może coś słyszałeś?

— Na przykład co?

— Jakieś pogłoski, że nie znajdzie się w ramówce w przyszłym roku?

— Twój program? Chyba robisz sobie jaja? Nigdy nie zdejmy z anteny Marty Mann Show. Myślisz, że to zrobią?

— Jasne. Mówi się, że programy z żywymi ludźmi się kończą. — Marty potrząsnął ze smutkiem głową. — Taki jest dzisiejszy świat. Ludzie mają dosyć ludzi.

* * *

— Mężczyźni umierają wcześniej niż kobiety — oznajmił mój nowy adwokat. — Częściej niż kobiety chorujemy na raka. Częściej popełniamy samobójstwa. W większym stopniu aniżeli kobiety jesteśmy zagrożeni bezrobociem. — Jego gładka nalana twarz wykrzywiła się w uśmiechu, jakby to wszystko było bardzo zabawne. Miał drobne ostre zęby. — Ale z jakiegoś powodu, którego nigdy nie udało mi się dociec, panie Silver, to kobiety są uważane za ofiary.

Nigela Batty'ego zarekomendowali mi dwaj znajomi z programu, oświetleniowiec i dźwiękowiec, którzy obaj przeszli przed rokiem przez bolesne rozwody.

Sam Batty również miał za sobą jeden albo dwa bolesne rozwody i cieszył się reputacją fanatyka praw mężczyzn. Wszystkie te opowieści o chronicznym bezrobociu mężczyzn, o raku prostaty i facetach, którzy schodzą do garażu i zapuszczają motor, żeby zatruć się spalinami, nie były w jego ustach zwykłą propagandową gadką — to było objawienie, nowa religia czekająca na wyznawców.

Mimo niskiego wzrostu, niewielkiego brzuszka skrytego pod świetnie skrojonym garniturem oraz mlecznych soczewek okularów Batty sprawiał wrażenie twardego zawodnika. Już teraz lepiej się czułem, wiedząc, że mam go w swoim narożniku.

— Ostrzegam pana, że w takich jak ten przypadkach prawo nie faworyzuje ojca — powiedział. — Prawo powinno faworyzować dziecko. I w teorii tak właśnie czyni. W teorii najważniejsze powinno być dobro dziecka. W praktyce jest jednak inaczej. — Spojrzał na mnie podłymi gniewnymi oczkami. — Prawo faworyzuje matkę, panie Silver. Dla poprawnych politycznie sędziów dobro dziecka liczy się mniej niż dobro matki. Ostrzegam pana o tym, zanim zaczniemy.

— Niech pan robi wszystko, co pan może — oznajmiłem. — Wszystko, co pan może, żeby przyznali mi opiekę nad synem.

— Nie nazywa się to już opieką, panie Silver. Chociaż media nadal rutynowo piszą o walkach o opiekę, od czasu ogłoszenia ustawy o ochronie praw dziecka, rodzic nie uzyskuje już prawa do opieki nad swoim dzieckiem. Dostaje prawo zamieszkiwania. Stara się pan o nakaz zamieszkania dziecka u siebie.

— Naprawdę?

Batty pokiwał głową.

— Termin „zamieszkiwanie” zastąpił „opiekę”, aby złagodzić konfrontacyjny charakter decyzji, gdzie ma przebywać dziecko. Nakaz zamieszkiwania u jednego z rodziców nie zwalnia drugiego od odpowiedzialności. Prawo zostało zmienione, żeby unaocznić, iż dziecko nie jest własnością, którą można uzyskać lub stracić. Na mocy nakazu zamieszkiwania dziecko będzie mieszkać u pana. Ale bynajmniej do pana nie należy.

— Nie bardzo rozumiem — stwierdziłem. — Więc jaka jest w końcu różnica między nakazem zamieszkiwania a prawem do opieki?

— Nie ma żadnej — uśmiechnął się Batty. — Jedno i drugie jest tak samo konfrontacyjne. O wiele łatwiej jest niestety zmienić prawo aniżeli ludzką naturę. — Przejrzał leżące na swoim biurku papiery i pokiwał z aprobatą głową. — Rozwód wydaje się dość prosty. I widzę, że znakomicie wypełnia pan ojcowskie obowiązki, panie Silver. Czy mały jest zadowolony ze szkoły?

— Bardzo zadowolony.

— Czy widuje się z matką?

— Gina może się z nim spotykać, kiedy tylko chce. Wie o tym.

— A mimo to chce go odzyskać — powiedział Nigel Batty. — Chce prawa zamieszkiwania.

— Zgadza się. Chce, żeby u niej mieszkał.

— Czy pańska żona współzamieszkuje?

— Co takiego?

— Czy pańska żona ma jakiegoś przyjaciela, panie Silver? Przyjaciela, który z nią mieszka?

— Owszem — odparłem, wdzięczny, że Nigel Batty zdegradował związek Giny z Richardem do czegoś tak nikczemnego jak współzamieszkiwanie, wdzięczny, że ten pierścionek z wielkim brylantem na serdecznym palcu jej lewej ręki nic dla niego nie znaczy. — Mieszka z jakimś facetem, którego poznała w Tokio.

— Ustalmy jedno — powiedział. — Żona odeszła i zostawiła pana z synem?

— Mniej więcej. To znaczy, przenosząc się do mieszkania swojego ojca, wzięła Pata. . . naszego syna. . . ze sobą. Ale kiedy poleciała do Japonii, pojechałem po niego i zabrałem go do domu.

— Opuściła zatem małżeński dom i jakkolwiek by na to nie patrzeć, pozostawiła dziecko pod pańską opieką — stwierdził Nigel Batty. — A teraz wróciła do Londynu i uznała, że na jakiś czas chętnie zabawiłaby się znowu w mamusię.

— Mówi, że zdała sobie sprawę, jak bardzo go kocha — poinformowałem go.

— Zajmiemy się tym — zapowiedział mój adwokat.

Rozdział 33

Mój ojciec tracił na wadze. Nigdy w życiu nie był chudy, ale teraz zapadły mu się policzki, a skóra na szyi zmieniła się w obwisłe nieogolone fałdy. Coraz bardziej stawał się kimś, kogo nie znałem.

Nawet jego ramiona straciły dawną muskularność, a tatuaże proklamujące wierność matce oraz komandosom wyglądały jak wyblakłe fotografie z innego stulecia.

Mięśnie wiotczały mu i przy każdej wizycie coraz wyraźniej widać było kości wystające przez skórę, która — co uświadomiłem sobie z nagłym wstrząsem — nigdy już prawdopodobnie nie miała oglądać słońca.

Mimo to się uśmiechał.

Siedział na łóżku i uśmiechał się. To był autentyczny uśmiech — nie wymuszony i sztywny, nie dzielny uśmiech przez łzy, lecz uśmiech prawdziwej radości, jakiej doznawał na widok wnuka.

— Cześć, kochanie — pozdrowił go, kiedy Pat podszedł do jego łóżka, wyprzedzając matkę, wujka Jacka i mnie. Ojciec podniósł prawą rękę, tę, do której nadgarstka podłączona była kroplówka. — Zobacz, w jakim stanie jest twój stary dziadek — powiedział.

W samochodzie wujka Jacka Pat był nadzwyczaj ożywiony — podniecony tym, że nie musi iść do szkoły i siedzi z tyłu wielkiej limuzyny, a nie na przednim siedzeniu zdewastowanego sportowego auta. Teraz jednak umilkł i nieśmiało podszedł do łóżka, na którym leżał jego wymizerowany nieogolony dziadek.

— Podejź tutaj — powiedział mój ojciec stłumionym z emocji głosem.

Wyciągnął do niego wolną rękę, a Pat wdrapał się na łóżko i położył głowę na jego biednej znękanej piersi. Przez chwilę obejmowali się w milczeniu.

Matka posłała mi wymowne spojrzenie. Od początku była przeciwna tej wizycie.

Nie sposób było przewidzieć, czy ojciec będzie przytomny, kiedy przyjdziemy. Istniało duże prawdopodobieństwo, że ból okaże się tak duży, że naszpikują go opiatami, kiedy będziemy szukać miejsca do zaparkowania, i Pat zobaczy swojego dziadka nieobecnego duchem i odurzonego morfiną. Mógł też walczyć o

oddech, z unoszącą się kurczowo piersią, maską tlenową na nosie i łzami bólu i strachu w oczach. Mógł też, chociaż tego nie powiedziała, już nie żyć.

Wszystko to było możliwe, a nawet prawdopodobne i stojąc w swojej kuchni, matka popłakała się i miała mi za złe, że chcę narazić Pata na te straszne przeżycia.

Objąłem ją i zapewniłem, że wszystko będzie w porządku. Imyłem się. Nic nie było w porządku — Pat był wstrząśnięty i oszołomiony widokiem dziadka, marniejącego w szpitalnym łóżku pośród innych mężczyzn, którym zaglądała w oczy śmierć. Śmierć, jakiej nigdy nie widzi się w telewizji lub w kinie, śmierć, którą poprzedzała bolesna agonia, kilogramy leków i żal, za tym, co się traci. Ja sam nie byłem przygotowany na takie akurat realia śmierci i nic nie wskazywało, że pięcioletni chłopiec wychowany na diecie Gwiazdnych wojen będzie na nie przygotowany lepiej ode mnie.

Nie, to nie było w porządku. Ale było konieczne. Mój ojciec i mój syn musieli się zobaczyć. Musieli przekonać się, że wciąż istnieje i zawsze będzie istnieć łącząca ich więź. Że zawsze będzie ich łączyć miłość. Musieli przekonać się, że rak nie zdoła jej zabić.

A ja byłem pewien — po prostu wiedziałem — że podczas wizyty Pata ojciec nie będzie odurzony narkotykami ani nie będzie walczył o oddech.

Nie przemawiały za tym żadne racjonalne argumenty. Nie miało to nic wspólnego z logiką. Może stanowiło z mojej strony czystą głupotę. Ale wierzyłem mocno, że ojciec uchroni Pata przed najgorszym. Nadal wierzyłem, że w głębi serca jeszcze się nie poddał. Nie mogłem przestać w to wierzyć.

— Czy szybko wrócisz do domu? — zapytał Pat.

— Musimy z tym jeszcze trochę poczekać — odparł ojciec. — Zobaczymy, co powiedzą lekarze. Zobaczymy, czy twój stary dziadek poczuje się trochę lepiej. Jak ci idzie w szkole?

— Dobrze.

— A na rowerze? Jak ci się jeździ na starym bluebellu?

— Dobrze.

— Jazda bez bocznych kółek jest chyba fajniejsza.

— Tak — stwierdził z uśmiechem Pat. — Ale tęsknię za tobą.

— Ja też za tobą tęsknię — powiedział ojciec i mocno go uściskał.

Jasne włosy Pata przywarły do jego szpitalnej piżamy w niebieskie paski, piżamy, której nigdy nie włożyłyby w domu. A potem ojciec popatrzył na mnie i skinął głową.

— Czas na was — powiedział.

W ten sposób pożegnał się ze swoim ukochanym wnuczkiem. Siedząc na szpitalnym łóżku, otoczony ludźmi, którzy go kochali, a mimo to absolutnie samotny. Czy spędziliśmy tam pięć minut, czy godzinę? Nie potrafiłem powiedzieć. Wiedziałem jednak, że teraz chce, żebyśmy go zostawili.

Zostawiliśmy więc ojca, majstrującego przy swojej masce tlenowej, zgarbionego, zarośniętego i wyglądającego starzej, niż sądziłem, że będzie kiedykolwiek wyglądał.

I to było ze wszystkiego najgorsze. Straszliwe i kompletne odosobnienie śmierci, potworna samotność śmiertelnie chorego. Nikt przed tym nie ostrzega.

Zostawiliśmy go zmagającego się z bólem i łapiącego kurczowo powietrze na przepelnionym oddziale państwowego szpitala z brudnymi szybami, przez które przeświecało słońce, i małpim jazgotem porannej telewizji. Zostawiliśmy go. W gruncie rzeczy nie mogliśmy zrobić nic więcej.

Kiedy wracaliśmy do samochodu, Pat usiłował powstrzymać łzy, zagniewany — nie, wściekły — na coś, czego nie potrafił nazwać. Próbowałem go pocieszyć, ale on nie miał ochoty być pocieszany.

Mój syn wyglądał, jakby czuł się oszukany.

* * *

Przed domem Cyd stała furgonetka z firmy transportowej.

To nie była jedna z tych wielkich ciężarówek, gdzie można zmieścić życiowy dorobek całej rodziny, jeden z tych masywnych pojazdów, przewożących pianina i zniszczone meble, które zbyt mocno polubiliśmy, żeby je wyrzucać. Furgonetka pochodziła z niewielkiej firmy, reklamującej się gdzieś z tyłu telemagazynu, w sam raz dla ludzi, którzy podróżują z lekkim bagażem.

Obserwowałem dwóch młodych ludzi w T-shirtach, którzy wnosili do samochodu dziecinne łóżeczko. Chociaż Cyd i Peggy mieszkały na najwyższym piętrze, młodzieńcy wyglądali, jakby było to jedno z łatwiejszych zleceń.

Po chwili w progu pojawiła się Peggy, wlokąc za sobą wypchaną zabawkę wielkości lodówki. Mierząc mnie spojrzeniem swoich poważnych brązowych oczu, nie wydawała się bynajmniej zaskoczona moim widokiem.

— Patrz, co ci przyniosłem — powiedziałem, wyciągając uśmiechniętą męską lalkę w błyszczących srebrnych spodniach i czymś, co wyglądało jak liliowy frak. Barbie, która zmieniła płęć.

— Disco Ken — ucieszyła się, biorąc go do ręki.

— Zostawiłaś go u mnie w domu — powiedziałem. — Pomyślałem, że może chcesz go z powrotem.

— Dziękuję — odparła ta dobrze wychowana mała dziewczynka.

Za jej plecami pojawiła się Cyd ze stosem papierów w rękach.

— Zobacz, co mi przywiózł Harry — poinformowała ją Peggy. — Disco Kena. Szukałam go.

Cyd kazała jej wrócić na górę i sprawdzić, czy niczego nie zapomniała wziąć ze swojego pokoju. Peggy postawiła na chodniku wypchaną zabawkę wielkości lodówki i zniknęła we wnętrzu budynku, wciąż trzymając w garści Disco Kena.

— A ty? — zwróciłem się do Cyd. — Niczego nie zapomniałaś?

— Nie — odparła. — Myślę, że zabrałam chyba wszystko. Dwaj faceci od przeprowadzek minęli nas, wchodząc do domu.

— Wyprowadzasz się tak bez słowa? — zapytałem. — Niezłą okazałaś się przyjaciółką.

— Miałam ci powiedzieć. Tak jest po prostu... sama nie wiem... po prostu łatwiej. Dla wszystkich.

— Szukałem cię w kawiarni.

— Odeszłam stamtąd.

— Tak mi powiedzieli.

— Przeprowadzam się do innej części miasta. Do Notting Hill.

— Do zachodniego Londynu?

— Chryste, nie rób takiej strasznej miny, Harry. Jestem Amerykanką. Przenoszenie się z jednego końca miasta na drugi nie jest dla mnie tak bolesne jak dla ciebie. Słuchaj, przykro mi, ale jestem naprawdę zajęta. Czego chcesz? Nie wierzę, że przyjechałeś tutaj tylko po to, żeby oddać Disco Kena.

— Między innymi z powodu Disco Kena — odparłem. — Chciałem ci również powiedzieć, że się mylisz.

— W jakiej sprawie?

— Co do nas. Mylisz się co do nas. Jeśli się rozejdziemy, to naprawdę będzie koniec świata.

— Och, Harry.

— To prawda. Wiem, że nie wierzysz w tę jedną jedyną osobę, która jest komuś przeznaczona, ale ja w to wierzę. Ty sprawiłaś, że w to uwierzyłem, Cyd. Zresztą nie ma znaczenia, w co wierzymy. Jest nam ze sobą dobrze. Nasz związek jest udany. Dużo o tym myślałem. Nie mam innej szansy, żeby to wyprostować... ty jesteś tą szansą, ty jesteś ostatnią szansą, żebym był szczęśliwy, i nawet gdyby wyłoniła się jakaś inna, nie chcę z niej skorzystać. Jak powiedziała Olivia Newton John do Johna Travolty, ty jesteś tą osobą, której pragnę.

— Czy to nie było odwrotnie? Czy John Travolta nie powiedział tego Olivii Newton John?

— Możliwe.

— Harry... — zaczęła i urwała. — Jest coś, co powinieneś wiedzieć. Wracam do taty Peggy. Jim i ja chcemy jeszcze raz spróbować.

Popatrzyłem na nią i w tej samej przeszli między nami, dźwigając sofę, faceci od przeprowadzek.

— Już prawie skończone — oznajmił jeden z nich i zniknęli ponownie we wnętrzu domu.

— Przykro mi — powiedziała Cyd.

— Kochasz go? — zapytałem.

— Jest ojcem mojej córeczki.

— Ale czy go kochasz?

— Daj spokój, Harry, to ty zawsze tak bardzo ubolewałeś nad rozpadem rodziny. Ty narzekałeś, jak trudno jest współzawodniczyć z głosem krwi, ty narzekałeś, że wszystko się pieprzy w tym, co nazwałeś parszywym współczesnym światem. Powinieneś być ze mnie zadowolony. Powinieneś mi dobrze życzyć.

— Ale ty musisz go kochać, Cyd. Nic z tego nie ma znaczenia, jeśli go nie kochasz. Kochasz go?

— Kocham. W porządku? Kocham go. Nigdy nie przestałam go kochać. I chcę jeszcze raz spróbować, bo rzucił tę swoją dziewczynę, tę tajsą striptizerkę i obiecał mi, że z tym wszystkim zerwał. Z całym tym bambusem.

— Ona nie jest striptizerką. Jest prywatną tancerką — uściśliłem.

— Nieważne — odparła. — Ale Peggy jest zachwycona, że znowu będziemy razem. Więc nawet jeśli mnie nienawidzisz, powinieneś się cieszyć ze względu na nią.

— Nie nienawidzę cię. Nie potrafiłbym cię nienawidzić.

— W takim razie proszę, życz mi wszystkiego najlepszego.

— Życzę ci wszystkiego najlepszego — powiedziałem i naprawdę jej tego życzyłem. Zasługiwała na to, żeby być szczęśliwa. Podobnie jak Peggy. — Nie mów tylko, że cię nie znam, dobrze?

Pozwoliłem im kontynuować przeprowadzkę. Bez względu na to, co bym powiedział, moje słowa brzmiałyby pusto i samolubnie, tak jakbym starał się wymyślić jakiś pretekst, żeby do mnie wróciła.

Widząc, jak szykuje się, by ponownie zamieszkać z mężem, zdałem sobie sprawę z siły podstawowej komórki społecznej. Tato, mama i dzieciaki miały się, jak widać, bardzo dobrze.

Ale jeśli nie kocha się drugiej osoby, równie dobrze można zamieszkać z Disco Kenem.

* * *

— Mamy odpowiedź od drugiej strony — oświadczył Nigel Batty. — Pana była żona twierdzi, że pozostała panu wierna przez cały okres trwania małżeństwa, lecz pan dopuścił się zdrady małżeńskiej z koleżanką z pracy.

— No cóż, to prawda — odparłem. — Ale to był tylko jednorazowy skok w bok. Nie mówię, że to błahostka, ale...

— Twierdzi także, że pozostając pod pańską opieką, syn doznał poważnego urazu głowy...

— Co to ma znaczyć? To brzmi tak, jakbym go pobił albo coś w tym rodzaju. Pat wyrócił się. Doszło do wypadku w miejscowym parku. Wpadł do pustego basenu i rozciął sobie głowę. Być może mogłem go przed tym uchronić. Może

powinienem go lepiej pilnować. Czy ona naprawdę uważa, że po dziś dzień nie zadaje sobie tego pytania? Ale ja przynajmniej przy nim byłem. Kiedy ona zjadła ze swoim fagasem tempurę w Tokio.

Adwokat przyjrzał się baczniej leżącym na biurku papierom.

— Żona uważa także, że nie nadzoruje pan we właściwy sposób tego, co ogląda i czego słucha pański syn.

— To jakieś szaleństwo.

— Sugeruje, że pozwala mu pan oglądać bez nadzoru filmy z użyciem przemocy. Wideo dla dorosłych. I twierdzi, że w trakcie ostatniej wizyty odkryła, że syn ma w swoim posiadaniu taśmę magnetofonową z piosenkami o wulgarnej, dozwolonej tylko dla dorosłych treści.

Czułem, że czerwienię się ze złości.

— To są pierdolone... pierdolone...

Nie mogłem znaleźć odpowiedniego słowa. Nie istniało słowo, które byłoby dość mocne.

Nigel Batty roześmiał się głośno, jakbym wreszcie zaczął rozumieć.

Rozdział 34

— Czy mogę zobaczyć medal? — zapytałem.

— Oczywiście, że możesz — odparła matka.

Podeszła do komody, na której stał sprzęt stereo, i usłyszałem, jak przerzucą szeleszczące polisy ubezpieczeniowe, wyciągi z banku i listy — papierzyska, które uzbierały się w ciągu całego życia.

Po chwili podała mi małe prostokątne pudełko w kolorze ciemnego burgunda. Wewnątrz na fioletowym atłasie leżał srebrny, niezbyt czysty medal. Medal mojego ojca.

Niebieską wstążkę, na której był zawieszony, przecinały trzy pionowe białe paski, dwa szerokie oraz jeden wąski w środku. „Za wzorową służbę” brzmiał napis umieszczony obok głowy króla.

Na wieczku pudełka, nad napisem „Za pozwoleniem” oraz królewską pieczęcią widniała wyszyta białą jedwabną nitką nazwa firmy medalierskiej (Ciekawe, czy jeszcze istnieje? Czy udałoby się mi ją odnaleźć?) „J.R. Gaunt i Synowie, sp. z o.o., 60 Conduit Street, Londyn”. Przypomniałem sobie, że w dzieciństwie brałem ten napis za część odznaczenia.

Wziąłem ostrożnie medal do ręki, w wieku trzydziestu lat tak samo zdziwiony jego ciężarem jak wtedy, gdy byłem małym chłopcem.

— Pat uwielbiał bawić się medalem taty — roześmiała się matka.

— Pozwoliłaś Patowi nim się bawić? — spytałem z niedowierzaniem.

— Lubił mi go przypinać — stwierdziła z uśmiechem. — Musiałam grać rolę księżniczki Layli pod koniec tego filmu.

— Lei, mamó. Księżniczki Lei.

Był środek nocy. Byliśmy zbyt zmęczeni, żeby czuwać dalej przy szpitalnym łóżku, ale również zbyt rozkojarzeni, żeby zasnąć. W związku z czym postanowiliśmy napić się filiżanki dobrej herbaty — która dla mojej mamy nadal stanowiła lekarstwo na wszystko.

Kiedy poszła nastawić wodę, zacisnąłem medal w pięści. Zastanawiało mnie, w jakim stopniu nasze dziecinne zabawy przygotowały mnie do tego, bym stał się mężczyzną pokroju mojego ojca i dziadka — żołnierzem, który wkłada mundur, całuje na pożegnanie tonącą w łzach kobietę i idzie na wojnę.

Wspominając zabawy, którym oddawaliśmy się na boiskach i podwórkach mojego dzieciństwa, doszedłem do wniosku, że były one czymś więcej niż tylko dziecinną rozrywką, rozwijającą typowo męskie cnoty — te zabawy przygotowywały nas do następnej wojny, do naszej własnej Normandii, Dunkierki lub Monte Casino.

Moje pokolenie bawiło się dziecinnymi pistoletami oraz kijami, które udawały karabiny, względnie celowało do siebie z palców udających pistolety, i nikt nie uważał tego za niezdrowe ani niesmaczne. Okazało się jednak, że jedynymi wojnami, które widzieliśmy jako młodzi ludzie, były małe wojny, wojny toczące się na ekranie telewizora — dla kogoś, kto nie jest kombatantem, tak samo mało realne i niezagrażające życiu jak gry wideo.

Moje pokolenie, ostatnie pokolenie chłopców, którzy bawili się dziecinnymi pistoletami, było szczęśliwsze, niż nam się wydawało. Kiedy dorośliśmy, nie musieliśmy iść na żadną wojnę. Nie mieliśmy Niemców ani Japończyków, z którymi musielibyśmy walczyć.

Naszymi przeciwnikami, przeciwnikami mężczyzn, którzy mieli szczęście żyć w pokoju, okazały się nasze żony. A polami, na których staczaliśmy nasze małe brudne wojny, były sądy rozwodowe.

Naoglądałem się dość blizn na ciele ojca, by wiedzieć, że wojna to nie jest film z Johnem Wayne'em. Lecz mężczyźni, którzy ją przeżyli — i którzy wrócili do domu w jednym kawałku — znajdowali sobie kobiety, które kochali potem przez całe życie. Więc co było lepsze? Wojna i idealna miłość? Czy pokój i miłość podzielona na trwające pięć, sześć i siedem lat odcinki? Kto był w gruncie rzeczy większym szczęściarzem? Ojciec czy ja?

— Lubieś tę dziewczynę, prawda? — zapytała mama, wchodząc do pokoju z dwoma parującymi kubkami. — Mam na myśli tę kobietę. Cyd. Bardzo ją lubieś. Skinąłem głową.

— Żałuję, że się między nami nie ułożyło. Tak jak między tobą i tatą. Ale w dzisiejszych czasach to chyba niemożliwe.

— Masz zbyt sentymentalny stosunek do przeszłości — stwierdziła łagodnie. — Myślisz, że była usłana różami. A to nieprawda.

— Ale ty i tato byliście szczęśliwi.

— Owszem, byliśmy — potwierdziła i jej oczy obróciły się ku czemuś, czego nie mogłem dojrzeć. — Byliśmy ze sobą szczęśliwi.

Ja też byłem z wami szczęśliwy, pomyślałem.

Gdy wspominałem dzieciństwo, przed oczyma stawał mi spieczony słońcem sierpień — zaraz na początku miesiąca, kiedy nadal miałem przed sobą wspaniałe sześć tygodni wakacji i wiedziałem, że czekają mnie przejażdżki samochodem do wiejskich pubów. Nasi ojcowie grali tam w strzałki i donosili lemoniadę i frytki mnie oraz moim kuzynom, którzy bawiliśmy się na trawie, a matki siedziały

przy drewnianych stołach i śmiały się do rozpuku nad szklaneczkami Babycham, odizolowane od mężczyzn niczym muzułmanki.

Albo Boże Narodzenie, późno w nocy, kiedy moi wujkowie i ciotki rżnęli w karty, paląc papierosy i pijąc, a w drugi dzień świąt mężczyźni i chłopcy grali razem w futbol w pogrążonym we mgle Upton Park.

Pamiętałem też wycieczki na plażę — różowe obłoki waty na patyku, zapach morza i smażonej cebuli — albo na wyścigi psów, gdzie moja mama zawsze obstawiała numer sześć, ponieważ podobały jej się jego kolory, sposób, w jaki czerwień kontrastowała z czarno-białymi pasami.

Byłem wdzięczny losowi za to podmiejskie dzieciństwo — za wspomnienia samochodowych przejażdżek i wycieczek na wyścigi. Czuję się otoczony miłością i nigdy nie zaznałem nudy; miło było dorastać, kiedy Bobby Moore grał w West Ham, w telewizji nadawali wybory Miss World, a mama i ciotki nosiły minispódniczki.

I chociaż mój syn miał do dyspozycji więcej dóbr materialnych, poznał również paralizującą udrękę rozwodu.

Mobilizując wszelkie zdolności dyplomatyczne i mechanizmy obronne, na jakie stać pięcioletka, kursował obecnie między swoją matką, która poznała nowego mężczyznę, i ojcem, którego nadal bolało poharatane serce. Magnetowid oraz miejsce obok kierowcy w sportowym samochodzie nie stanowiły chyba za to wystarczającej rekompensaty.

Miałem wrażenie, że Gina i ja — a także miliony podobnych do nas par — nie zostawiamy następnemu pokoleniu zbyt atrakcyjnej spuścizny.

— Było nam ze sobą dobrze, bo się o to staraliśmy — powiedziała mama. — Bo tego chcieliśmy. Bo nawet kiedy nie mieliśmy pieniędzy, kiedy nie mogliśmy mieć dziecka, nie dawaliśmy za wygraną. Trzeba walczyć o szczęśliwe zakończenie, Harry. Nikt nie da ci go w prezencie.

— Myślisz, że ja nie walczyłem o szczęśliwe zakończenie? — zapytałem. — Myślisz, że nie ma we mnie woli walki? Że mam jej mniej niż tata?

Ciekawiło mnie, co o tym sądzi. Kiedyś, kiedy byłem młody i zbuntowany, uważałem, że moi rodzice nie mają pojęcia o niczym, co dzieje się poza ich wypielęgowanym ogródkiem i przegrzonym salonem. Teraz jednak zmieniłem zdanie.

— Myślę, że masz w sobie dużo woli walki, Harry — stwierdziła mama. — Ale czasami sam siebie krzywdzisz. Nie możesz być takim samym mężczyzną jak twój ojciec. . . żyjemy dziś w innym świecie. Prawie w innym stuleciu. Musisz toczyć inne bitwy i nie spodziewaj się, że ktoś przypnie medal do twojej piersi. Samotna opieka nad dzieckiem. . . myślisz, że twój ojciec by sobie z tym poradził? Kocham go ponad życie, ale to na pewno by go przerosło. Musisz być silny w inny sposób. Musisz być innego rodzaju twardzielem.

Włożyłem medal do pudełka i w tej samej chwili zadzwonił telefon.

Oczy matki pobiegły w stronę zegara i z powrotem ku mnie. Minęła właśnie czwarta rano i to mógł być tylko wujek Jack. Dzwonił ze szpitala.

Oboje wiedzieliśmy, jaką ma dla nas wiadomość.

Objęliśmy się mocno, a telefon nadal dzwonił w przedpokoju. Dzwonił i dzwonił.

— Powinniśmy byli tam z nim zostać — powiedziała matka. W nadchodzących dniach, tygodniach i latach nieraz jeszcze miałem usłyszeć od niej te słowa. — Powinniśmy tam być.

Oto jak wygląda szczęśliwe zakończenie, pomyślałem z goryczą. Spędzasz z kimś całe życie, a potem, kiedy ta osoba odchodzi przed tobą, masz wrażenie, jakbyś utracił wszystkie członki.

Moje pokolenie — moje pieprzące się, opieprzające i spieprzone pokolenie nie zazna przynajmniej bólu tej szczególnej amputacji. Oczywiście pod warunkiem, że my też nie pokusimy się o szczęśliwe zakończenie.

Podniosłem słuchawkę i wuj Jack powiedział mi, że ojciec nie żyje.

* * *

Rano poszedłem na górę do Pata, kiedy tylko usłyszałem, że drepcze do skrzynki z zabawkami, które rodzice trzymali dla niego w pokoju, gdzie zawsze u nich nocował, pokoju, należącego kiedyś do mnie.

Trzymając w obu rękach figurki z Gwiezdnych wojen, zerknął na mnie znad zabawek. Oczy miał nadal spuchnięte od snu. Wziąłem go na ręce, ucałowałem jego słodką buzię, usiadłem na łóżku i posadziłem go sobie na kolanach.

— Pat, twój dziadek zmarł dzisiaj w nocy — powiedziałem. Mój syn zamrugał swoimi błękitnymi oczyma.

— Dziadek był przez długi czas bardzo chory i teraz nie musi już dłużej cierpieć — dodałem. — Teraz odpoczywa w pokoju. Już nic mu nie dolega. Powinniśmy się chyba z tego cieszyć. Nigdy już nie będzie go nic boleć.

— Gdzie jest teraz? To mnie zaskoczyło.

— No cóż, jego ciało jest w szpitalu. Później zostanie pochowane.

Zdałem sobie sprawę, że nic nie wiem o biurokracji śmierci. Kiedy odbiorą ciało ze szpitala? Gdzie będą je trzymać do pogrzebu? I kim konkretnie byli ci „oni”?

— Jest nam teraz smutno — powiedziałem. — Ale któregoś dnia będziemy wdzięczni losowi, że dziadek żył z nami. Uświadomimy sobie, że byliśmy szczęśliwi. . . ja byłem szczęśliwy, mogąc mieć go za ojca, i ty byłeś szczęśliwy, mogąc mieć go za dziadka. Obaj mieliśmy wielkie szczęście. Choć dzisiaj nie możemy czuć się szczęśliwi. Jest na to za wcześnie.

Pat pokiwał głową z bardzo rzeczową miną.

— Jest nadal w szpitalu? — zapytał.
— Jego ciało jest w szpitalu. Ale jego dusza odeszła.
— Co to jest dusza?
— To iskra życia, która uczyniła twojego dziadka tym, kim był.
— Dokąd odeszła?
— Niektórzy ludzie uważają, że dusza idzie do nieba i nigdy nie umiera. Inni uważają, że po prostu znika i wtedy na zawsze się zasypia.
— A ty w co wierzysz?
— Ja myślę, że dusza żyje dalej — odpowiedziałem. — Nie wiem, czy przebywa w niebie, czy gdzieś indziej, w jakimś innym miejscu, którego nie znam. Ale na pewno nie umiera. Żyje dalej. Chociażby w sercach ludzi, których kochamy.
— Ja też w to wierzę — stwierdził mój syn.

* * *

Z pochlastanym dachem MGF łopoczącym niczym rozdarty żagiel podczas huraganu jechałem powoli główną ulicą mojego rodzinnego miasteczka, w ogóle go nie poznając.

Sklepy i małe kafejki, które znałem, zmieniły się w agencje nieruchomości oraz placówki handlowe jakichś wielkich sieci. Nic dziwnego, że Anglicy powiewają tak desperacko flagą świętego Jerzego. Chcą chyba przypomnieć sobie, że nasze korzenie są tak samo głębokie i konkretne jak korzenie Irlandczyków czy Szkotów. To było moje rodzinne miasteczko. Ale mogło znajdować się wszędzie.

Nie poznawałem ani jednego szyldu, dopóki nie zobaczyłem wujka Jacka w starym pubie Pod Czerwonym Lwem, jedynym chyba miejscu przy głównej ulicy, które ocalało w niezmiennym kształcie na mocy nieoficjalnego nakazu konserwatora zabytków. Wujek siedział w chmurze dymu pod dębowymi belkami i ozdobną końską uprzężą, osłaniając dłonią papierosa i popijając wodę mineralną.

— Przykro mi z powodu twojego taty, Harry.
— Dziękuję, wujku Jack.
— Chcesz coś zamówić? Czy mamy od razu załatwić to, co mamy do załatwienia?
— Załatwmy to.

Wujek Jack asystował mi, gdy zmagaliśmy się z biurokracją śmierci. Wciąż byłem odrętwiały z niewyspania i wstrząśnięty faktem, że mojego ojca nie ma już między żywymi. Mrukliwa obecność kurzącego papierosa za papierosem wujka bardzo mi pomogła.

Pojechaliśmy MGF do szpitala i odebraliśmy w rejestracji żałośnie małą torbę z rzeczami ojca.

Jego portfel z tkwiącym w środku zdjęciem wnuka, okulary do czytania, sztuczną szczękę.

To było wszystko, co po nim zostało, i oddano mi te przedmioty bez żadnych kondolencji i wyrazów współczucia. Dlaczego miałoby go zresztą żałować? Albo mnie? W ogóle nie znali mojego ojca. Byliśmy jednymi z wielu.

Z jakiejś niewiadomej administracyjnej przyczyny musieliśmy zarejestrować zgon w małym miasteczku, w którym nie byłem nigdy wcześniej, chociaż z Burger Kingiem, salonem masażu i agencjami nieruchomości wydawało się przynębiająco znajome.

Dołączając do wielkiej procesji żywych i umarłych, staliśmy w kolejce za młodą parą zgłaszającą narodziny dziecka i przed starszą panią rejestrującą zgon męża. Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego Nigel Batty skarżył się, że mężczyźni umierają przed swoimi partnerkami. Jakie to szczęście nie musieć odwiedzać tego miejsca, jaka ulga nie być skazanym na samotne życie.

W końcu wróciliśmy do mojego rodzinnego miasta, by złożyć wizytę przedsiębiorcy pogrzebowemu. Jego biuro, podobnie jak pub, w ogóle się z upływem czasu nie zmieniło — lokale, gdzie zalewa się robaka, i obsługuje tych, co kopnęli w kalendarz, stanowią dwa niezienne elementy głównej ulicy każdego angielskiego miasteczka.

Kiedy dorastałem, ów butik dla nieboszczyków ze swoją ponurą witryną, w której na tle akrów czarnego jedwabiu stały dwa białe nagrobki, sprawiał zawsze wrażenie nieczynnego i tego dnia też wyglądał na zamknięty. W dzieciństwie, wkrótce po tym, jak odkryłem, że nie będę żyć wiecznie, zwykle szybko go mijałem. Teraz wszedłem do środka. I wszystko odbyło się bez zgrzytów. Wujek Jack położył mi dłoń na ramieniu i spokojnie omówiłem z przedsiębiorcą szczegóły pogrzebu, jakby coś takiego przytrafiało mi się niemal codziennie. Na biurku między nami leżało świadectwo zgonu i wydawało się jak najbardziej naturalne, że rozmawiam z tym poważnym mężczyzną w czerni o tym, jak ma pochować ojca. Jedyny dziwny moment nadszedł, kiedy z niemal przepaszającym gestem facet pokazał mi kolorową broszurę. Musiałem wybrać ojcu trumnę.

Broszura nie różniła się od innych handlowych folderów — zamieszczone zdjęcia były gustowne i ładnie zaprezentowane — i przejrzelśmy ją strona po stronie, od najtańszych prostych sosnowych modeli aż po najbardziej luksusowy: wielką dębową trumnę wyściełaną czerwoną satyną i ozdobioną dużymi mosiężnymi uchwytami.

W pierwszym odruchu chciałem wybrać najdroższą — idźmy na całość, nic nie jest zbyt drogie dla mojego starego. Potem uznałem jednak, że trumna z najwyższej półki jest nieco zbyt wyszukana, by tato miał w niej spędzić całą wieczność.

Po krótkim wahaniu oznajmiłem więc przedsiębiorcy, że decydujemy się na drugą co do ceny trumnę. I kiedy razem z wujkiem Jackiem wyszliśmy na ulicę, byłem zadowolony z dokonanego wyboru.

— Twój stary przewróciłby się w grobie w tej bombonierze — stwierdził z uśmiechem wujek.

— Myślisz o tej najdroższej? — zapytałem. — Tak, wydawała mi się trochę zbyt ozdobna.

— Złote uchwyty i czerwony atłas! — zachichotał wujek. — Bardziej podobna do francuskiego burdelu niż do trumny.

— Skoro mowa o przewracaniu się w grobie — odparłem, śmiejąc się — wiem, co by powiedział, gdybyśmy ją wybrali. „Za kogo mnie, do diabła, uważacie? Za jakiegoś cholernego Napoleona?”

Słyszałem niemal jego głos. Nigdy już nie usłyszę jego głosu. Zawsze będę go słyszeć.

Rozdział 35

— Dwie kaczkki przyjeżdżają do hotelu — opowiadał Eamon. — Do najlepszego hotelu w Kilcarney. To wielki weekend dla kaczek. Ale... nie, posłuchajcie... po wejściu do swojego pokoju odkrywają, że nie ma kondomów. Żaden problem, mówi kaczor, poproszę obsługę, żeby nam przysłali. Dzwoni do obsługi. Po jakimś czasie pojawia się hotelowy boy z kondomami. Czy mam je panu wciągnąć na rachunek, pyta. A kaczor na to: czy ja wyglądam na zboczeńca?

Eamon zdjął mikrofon ze stojaka w kompletnej ciszy. Musieli podłożyć śmiech później.

— Współczuję temu kaczorowi — powiedział, idąc przez scenę, która wydawała się jaśniejsza niż normalnie, na oczach publiczności, która sprawiała wrażenie lepiej ubranej niż zwykle. — Ponieważ w Kilcarney nie istnieje coś takiego jak edukacja seksualna. Mój tato powiedział mi, że mężczyzna leży na górze, a kobieta na dole. W związku z czym kiedy po raz pierwszy się z kimś poważnie związałem, moja dziewczyna i ja spaliśmy w piętrowych łóżkach. Tam, skąd pochodzę, seks jest dziedziczny: jeśli wasza mama i tato go nie uprawiali, najprawdopodobniej wy też nie będziecie go uprawiać.

Umieścił mikrofon z powrotem na stojaku i wyszczerzył zęby do światła.

— Na szczęście teraz jestem dobrym kochankiem... ale tylko dlatego, że sam dużo ćwiczyłem. Dziękuję i dobranoc państwu!

Publiczność zaczęła bić brawo, a Eamon zeskoczył ze sceny i podszedł do pięknej dziewczyny z notesem w ręku i słuchawkami na uszach, która podała mu butelkę piwa. A potem zachwiał się lekko, przyklęknął na jedno kolano i nadal trzymając w ręku butelkę piwa, wyrzygał się do wiadra z piaskiem — autentycznego wiadra z piaskiem, a nie jakiegoś rekwizytu.

— Cięcie, cięcie! — zawołał reżyser.

Wbiegłem na plan, przykucnąłem przy Eamonie i złapałem go za dygoczące ramiona. Mem przystanąła tuż obok, z oczyma szeroko otwartymi z przejęcia, zupełnie nie do poznania w ubraniu.

— Nie bój się, Eamon — powiedziałem. — To tylko reklama piwa.

— Ja się nie boję — odparł słabym głosem. — Ja jestem podekscytowany.

* * *

Ja nie byłem podekscytowany. Ja się bałem. Bardzo się bałem.

Mojego ojca — ciało mojego ojca — przewieziono do firmy pogrzebowej i miałem je zobaczyć.

Przedsiębiorca pogrzebowy napomknął o możliwości obejrzenia ciała — pożegnania się ze świętej pamięci bliską osobą, jak to cicho ujął, dumny, że oferuje tę usługę bez żadnej dopłaty — i to spotkanie, ostatnie spotkanie z ojcem urosło w moim umyśle do niemal mitycznych proporcji.

Co poczuję, gdy zobaczę w trumnie człowieka, który dał mi życie? Czy się nie rozkleję? Czy zniosę widok mojego wielkiego protektora, który czeka, aż opuścą go do grobu? Nie mogłem powstrzymać obawy, że to mnie przerośnie, że kompletnie się załamie, że cofnę się w czasie i rozszlocham jak małe dziecko.

Kiedy go tam zobaczę, brutalny fakt jego śmierci stanie się realny ponad wszelką wątpliwość. Czy to wytrzymam? To właśnie chciałem wiedzieć. Przekonałem się już wcześniej, że ojcostwo nie jest wcale wyznacznikiem dorosłości. Czy człowiek musi pogrzebać własnego ojca, żeby poczuć, że naprawdę dojrzał?

Wujek Jack czekał na mnie w starym pubie Pod Czerwonym Lwem. Matka potrząsnęła głową i odwróciła się, gdy zapytałem, czy chce iść ze mną. Nie winiłem jej. Ale ja musiałem się przekonać, czy potrafię żyć dalej ze świadomością, że jestem sam.

Oczywiście nie całkiem sam. Wciąż miałem matkę, która spała teraz z zapalonym przez całą noc światłem w sypialni. I Pata, który miotał się między radością z powrotu Giny a dławiącym smutkiem w naszym własnym domu. Była również Cyd — zagubiona w innej części miasta, żyjąca z innym mężczyzną.

Mimo to po śmierci ojca gdzieś w głębi serca poczułem się samotny — nareszcie i na zawsze.

Nawet kiedy nasze stosunki stawały się napięte, był zawsze moją tarczą, moim opiekunem, moim największym sprzymierzeńcem. Nawet kiedy się ze sobą kłóciliśmy i spieraliśmy, nawet kiedy go rozczarowałem albo sprawiłem mu zawód, nigdy nie miałem cienia wątpliwości, że zrobi dla mnie wszystko. Teraz to wszystko odeszło w przeszłość.

Wujek Jack zgasił skręta i dopił wodę mineralną. Idąc do firmy pogrzebowej, nie mówiliśmy wiele, ale kiedy weszliśmy do środka i mały dzwoneczek oznajmił nasze przybycie, wujek położył rękę na moim ramieniu. Jemu samemu nie zależało tak bardzo, żeby zobaczyć ciało brata. Poszedł tam ze względu na mnie.

Przedsiębiorca pogrzebowy już czekał i poprowadził nas do przedpokoju, który wyglądał niczym szatnia. Po lewej i prawej stronie wisiały ciężkie kotary, za którymi znajdowało się może sześć oddzielnych pomieszczeń. Wstrzymałem oddech, a on odsłonił jedną z kotar, żeby pokazać mi leżącego w trumnie ojca.

Tyle że to nie był wcale mój ojciec. Już nie. Na jego twarzy — jedynej części ciała, którą było widać pod odemkniętym tylko trochę wiekiem trumny — malował się wyraz, którego nie widziałem nigdy wcześniej. Nie wyglądał, jakby odpoczywał albo spał — nie pasowało do niego żadne ze stereotypowych określeń śmierci. Jego twarz była pusta. Nie miała z nim już nic wspólnego, wyzbyta wszelkiej tożsamości, podobnie jak bólu i zmęczenia. Czułem się, jakbym zapukał do drzwi i odkrył, że nikogo nie ma w domu. Nawet gorzej — jakbym trafił pod zły adres. Iskra, dzięki której mój ojciec był tym, kim był, zgasła. Miałem absolutną pewność, że jego dusza uleciała. Przyszedłem tu, szukając mego ojca, chcąc go po raz ostatni zobaczyć. Ale nie udało mi się go odnaleźć.

Chciałem zobaczyć się z Patem. Chciałem wziąć mego syna w ramiona i powiedzieć mu, że wszystko, w co tak bardzo staraliśmy się uwierzyć, to prawda.

Rozdział 36

Na ogół zostawałem w domu i z dala od okna patrzyłem przez żaluzje, jak srebrne audi wślizguje się na naszą ulicę, szukając miejsca do parkowania. Tego dnia jednak wyszedłem na dwór, kiedy ich tylko zauważyłem — znany mi już samochód ze znaną konfiguracją w środku.

Na tylnym siedzeniu jasne włosy Pata wpatrującego się w jakąś nową błyskotkę, którą od nich dostał. Z przodu Gina, odwracająca się, żeby coś do niego powiedzieć. A za kierownicą niewyobrażalny Richard, mężczyzna w półseparacji, prowadzący spokojną, pewną ręką samochód, tak jakby wożenie tym audi Giny i Pata należało do naturalnego porządku rzeczy.

Nigdy z nim nie rozmawiałem. Nigdy nie widziałem, żeby wysiadł z samochodu, kiedy przywozili mi z powrotem Pata. Był śniady, muskularny i nosił okulary — co jakby do niego pasowało. Przystojny w stylu Clarka Kenta. Dokładnie przed naszym domem było niewielkie wolne miejsce i obserwowałem, jak umiejętnie cofa samochód, żeby je zająć, sukinsyn.

Na ogół Gina pukała do drzwi, witała się ze mną i szybko całowała Pata na pożegnanie. Przekazanie dziecka odbywało się w miarę kulturalnie i na tyle mniej więcej było nas stać. Mimo to sililiśmy się na grzeczność. Nie ze względu na nas, lecz ze względu na Pata. Tego dnia czekałem jednak na nich przy furtce. Giny specjalnie to nie zdziwiło.

— Witaj, Harry.

— Cześć.

— Zobacz, co dostałem — zawołał Pat, mijając mnie i wymachując swoją nową zabawką, jakimś szczerzącym groźnie zęby plastikowym kosmitą z niepojętnie wielkim laserowym pistoletem.

— Przykro mi z powodu twojego ojca — powiedziała Gina, stojąc po drugiej stronie furtki.

— Dziękuję.

— Naprawdę mi przykro. Był najmilszym mężczyzną, jakiego w życiu spotkałam.

— Był w tobie zakochany.

— Ja też byłam w nim zakochana.

— Dziękuję za zabawkę dla Pata.
— Richard kupił mu ją u Hamleya.
— Poczciwy stary Richard.
Zmierzyła mnie szybkim spojrzeniem.
— Lepiej już pójde — powiedziała.
— Sądziłem, że nie lubisz, kiedy Pat bawi się bronią. Gina potrząsnęła głową i parsknęła cichym śmiechem, który miał wskazywać, że to wcale nie jest śmieszne.
— Jeśli chcesz naprawdę wiedzieć, uważam, że na tym świecie jest zbyt wiele przemocy, by zachęcać dzieci do myślenia, że zabawa bronią jest świetną rozrywką. Rozumiesz? Ale on chciał ten pistolet.
— Nie mam zamiaru go oddać, Gino.
— To rozstrzygną nasi adwokaci. A my nie powinniśmy...
— Zmieniłem swoje życie, żeby móc opiekować się moim synem. Pracuje na pół etatu. Nauczyłem się robić rzeczy, o których przedtem nawet nie miałem pojęcia. Karmię go, ubieram, kładę spać. Odpowiadam na jego pytania, jestem przy nim, kiedy się smuci albo czegoś boi.
— Wszystko to są rzeczy, które od wielu lat robiłam w mniejszym lub większym stopniu sama.
— O to mi właśnie chodzi. Nauczyłem się opiekować naszym dzieckiem w ten sam sposób, w jaki ty się nim opiekowałaś. A teraz pojawiaasz się i mówisz, że to wszystko skończone.
— Przez ostatnie kilka miesięcy dobrze się spisałeś, Harry. Ale co za to chcesz? Medal?
— Nie chcę medalu. Nie zrobiłem nic ponad to, co powinienem był zrobić. Wiem, że to nic specjalnego. Ale ty zbyt dużo się po mnie spodziewasz, Gino. Nauczyłem się, jak być prawdziwym ojcem dla Pata. . . musiałem to zrobić, rozumiesz? A teraz chcesz, żebym zachowywał się, jakby to się nigdy nie zdarzyło. Ja tak nie potrafię. Jak mógłbym? Powiedz mi, jak mógłbym to zrobić.
— Jakiś problem? — zapytał Richard, wysiadając z audi. Więc jednak potrafił chodzić.
— Wróć do samochodu, Richardzie — powiedziała Gina.
— Tak, Richardzie, wracaj do samochodu — poradziłem mu.
Posłuchał nas, mrugając za soczewkami okularów.
— Musicie zdecydować, czego naprawdę chcecie, Gino. Wy wszystkie.
— O czym ty mówisz?
— Jestem za tym, żeby mężczyźni brali odpowiedzialność za swoje dzieci. Jestem za tym, żeby uczestniczyli w ich wychowaniu. Ale nie możecie mieć jednego i drugiego. Nie możecie oczekiwać, że będziemy wykonywali rodzicielskie obowiązki, a potem usuwali się na bok, kiedy tego zechcecie, zachowując się tak jak nasi ojcowie, tak jakby w gruncie rzeczy to była rzecz, którą zajmują się ko-

biety. Pamiętaj o tym, kiedy następnym razem będziesz rozmawiała ze swoim adwokatem.

— Ty też o czymś pamiętaj, Harry.

— O czym?

— Ja też go kocham.

* * *

Pat siedział w swoim pokoju i wysypywał na podłogę zabawki z pudła.

— Spędziłeś miło czas, kochanie? Spędziłeś miło czas z mamusią i Richardem?

Przemawiałem nienaturalnie radosnym tonem, niczym gospodarz teleturnieju, który ma do zaoferowania naprawdę wysokie nagrody. Zależało mi, aby Pat dobrze się czuł w tym nowym układzie. Nie chciałem, aby miał wrażenie, że mnie zdradza za każdym razem, gdy wyjeżdżał spędzić miło czas ze swoją matką i jej chłopakiem. Z drugiej strony nie chciałem jednak, żeby zbyt dobrze się bawił.

— Było w porządku — stwierdził. — Richard i mama trochę się pokłócili.

Wspaniała wiadomość.

— Dlaczego, kochanie?

— Kawalek magnum upadł mi na siedzenie tego jego głupiego auta. Powiedział, że nie powinienem jeść magnum w aucie.

— Ale lubisz Richarda?

— Jest w porządku.

Poczułem coś w rodzaju współczucia dla tego faceta, którego nigdy nie miałem okazji poznać. Niezbyt wielkiego współczucia, ale jednak. Rola, którą sobie wybrał, wydawała się niemożliwa do zagrania. Jeśli spróbuje być dla Pata ojcem, na pewno mu się nie uda. Jeśli postanowi być tylko przyjacielem, też poniesie fiasko. Ale Richard miał przynajmniej jakiś wybór.

A kto pytał Pata, czy ma ochotę jeść magnum na tylnym siedzeniu srebrnego audi?

* * *

Cyd pracowała w jednej z tych modnych azjatyckich knajp, które wyrosły ostatnio w całym mieście, jednym z tych lokali, gdzie sprzedają tajskie rybne ciasteczka, japońskie kluski sobą oraz zimne wietnamskie sajgonki, tak jakby wszystkie pochodziły z tego samego miejsca, jakby cały tamten kontynent zmienił się w jedną wielką kuchnię gotującą dla zgniłego

Zachodu. Restauracja była jasna i biała, pełna polerowanego drewna i lśniącego chromu, niczym galeria sztuki albo gabinet dentysty.

Obserwowałem z ulicy, jak Cyd stawia dwa parujące talerze z czymś, co wyglądało jak malajskie krewetki w sosie curry, przed dwiema młodymi kobietami, które uśmiechnęły się do niej z wdzięcznością.

Podobnie jak wszystkie pracujące tam kelnerki miała na sobie wykrochmalony biały fartuszek, czarne spodnie oraz białą bluzkę. Włosy przycięła krócej, niż kiedykolwiek u niej widziałem — wystarczyła jedna wizyta u fryzjera, by grzywka w stylu F. Scotta Fitzgeralda zmieniła się w uczesanie w stylu Beatlesów. Wiedziałem, że kiedy kobieta ścina włosy, oznacza to coś ważnego, zapomniałem jednak co.

Powiedziała do czarnego chłopaka za barem coś, co go niezłe ubawiło, po czym zniknęła w kuchni. Zająłem miejsce blisko wejścia i czekałem, aż się ponownie pojawi.

Minęła dopiero trzecia i restauracja była prawie pusta. Oprócz mnie i dwóch młodych kobiet zajadających swoje pikantne krewetki, jedynymi klientami byli trzej dobrze odżywni biznesmeni, przed którymi stało kilka pustych butelek piwa Asahi Super Dry. Młoda kelnerka położyła kartę na moim stoliku i w tym samym momencie stuknęły pchnięte przez Cyd drzwi do kuchni.

Na uniesionej na wysokość głowy tacy niosła trzy kolejne butelki japońskiego piwa. Postawiła je przed trzema podпитыimi facetami, nie zauważając mnie, ignorując ich wykrzywione w uśmiechu czerwone gęby, w gruncie rzeczy nie zwracając uwagi na nic.

— Kiedy kończysz? — zapytał jeden z nich.

— Nie interesuje cię jak? — odparła, odwracając się od trzech palantów, którzy wybuchnęli śmiechem.

W końcu dostrzegła mnie i podeszła powoli do mojego stolika.

— Na co masz ochotę?

— Co powiesz na to, żebyśmy spędzili razem życie?

— To wykluczone. Co powiesz na kluseczki?

— Mogą być. Macie te grube?

— Udon? Jasne. Podajemy kluseczki udon w rosole z krewetkami, rybami i grzybami shitake. Bardzo smaczne.

— Właściwie nie jestem taki głodny. Ale popatrz, jaki to zbieg okoliczności. Że tak na siebie wpadliśmy.

— Rzeczywiście, Harry. Skąd wiedziałeś, gdzie pracuję?

— Wcale nie wiedziałem. To czterdziesty drugi lokal, który odwiedzam w ciągu kilku ostatnich dni.

— Naprawdę oszalałeś.

— Oszalałem na twoim punkcie.

— Nie, zwyczajnie oszalałeś. Jak się czuje twój ojciec?

— Jutro pogrzeb.

— Boże, przykro mi. Jak to zniósł Pat?

Wzięłem głęboki oddech.

— Byli ze sobą bardzo blisko. Wiesz o tym. To dla niego wielka strata. Nie wiem. . . musi sobie z tym jakoś poradzić. Podobnie jak moja matka. Odetchnę, kiedy będzie już po pogrzebie.

— Po pogrzebie będzie jeszcze gorzej. Ponieważ wszyscy wrócą do domu i życie zacznie się od nowa. Tyle że wcale się nie zacznie. Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

— Tak.

— Co takiego?

— Pozwól mi odprowadzić się do domu.

* * *

— Musisz przestać za mną łązić — powiedziała, gdy szliśmy cichymi białymi uliczkami Notting Hill. — To się musi skończyć.

— Podoba mi się to, jak się obciążaś.

Złapała palcami skraj grzywki.

— To nie jest dobre dla mnie i nie jest dobre dla ciebie — stwierdziła.

— Nie sędzę. Wcale nie wygląda tak źle.

— Wiesz, o czym mówię.

— Chcę, żebyśmy stali się rodziną.

— Myślałam, że nie znosisz tego rodzaju rodziny. Rodziny, w której pełno jest dzieci z innego małżeństwa i ekspartnerów. Myślałam, że chcesz mieć nieskomplikowane życie.

— Nie chcę nieskomplikowanego życia. Chcę życia z tobą. Z Peggy. Z Patem. I być może z naszym własnym dzieckiem.

— Takiej chcesz rodziny? Z twoim dzieckiem i moim dzieckiem, które będą się kłócić z naszym dzieckiem? Miałbyś powyżej dziurek w nosie takiego życia. Naprawdę. Wytrzymałbyś. . . nie mam pojęcia, jak długo byś wytrzymał.

— Nigdy nie miałbym dosyć takiego życia, gdybyśmy byli razem. Posłuchaj, mój tato miał na ramieniu tatuaż, dwa słowa wydziergane pod jednym z tych długich, wąskich noży piechoty morskiej. Napis brzmiał „Zjednoczeni zwyciężymy”. To samo myślę o nas.

— Chcesz sobie zrobić tatuaż?

— Nie.

— Wstępujesz do wojska?

— Chcę tylko powiedzieć, że jeśli będziemy razem, to wszystko się ułoży. Nie wiem, jakiego rodzaju życie rodzinne będziemy prowadzić, ponieważ takie rodziny jak nasza to coś nowego. Ale wiem, że ta rodzina będzie lepsza od jakiegokolwiek rodziny, jaką moglibyśmy mieć oddzielnie. Po prostu o tym pomyśl, dobrze?

— Jasne, Harry. Przedyskutuję to dziś z mężem przy kolacji. Zatrzymaliśmy się przed starym białym dworkiem, który przed czterdziestu laty podzielono na osobne mieszkania.

— To tutaj, Harry — powiedziała.

W tym samym momencie z budynku wypadł nagle Jim z unieruchomioną na temblaku ręką w gipsie.

— Odczep się od mojej żony, ty sukinsynu! — wrzasnął, po czym obrócił się gładko na pięcie i jego motocyklowy but eksplodował w moich ustach.

Zatoczyłem się do tyłu z rozbitymi, zakrwawionymi dziąsłami. Czując, jak uginają się pode mną nogi, zdałem sobie natychmiast sprawę z dwóch rzeczy.

Jim znał się co nieco na sztukach walki. I znowu spadł ze swojego motoru.

Odbiłem się od jakichś pojemników na śmieci i widząc, że chce mnie ponownie zaatakować, podniosłem w górę pięści. W tym samym momencie Cyd wbiegła między nas i złapała go za złamaną rękę.

— Zostaw go w spokoju! — krzyknęła. — Zostaw go w spokoju!

— Uważaj na moją pieprzoną rękę — wrzasnął, lecz pozwolił jej odprowadzić się do domu. Przy drzwiach odwrócił się i spojrzał na mnie spode łba.

— Jeśli zobaczę jeszcze kiedyś twoją gębę, stracisz wszystkie zęby — zagroził.

— To nie będzie pierwszy raz — odparłem.

Nie wyjaśniłem mu, że kiedy miałem pięć lat, zaprzyjaźniony pies wyrzucił mnie i upadłem na twarz. Nie wywarłoby to chyba na nim wielkiego wrażenia.

Jim wszedł do domu, trzymając się za gipsowy opatrunek.

Musieli mieszkać na parterze, ponieważ usłyszałem coś, co brzmiało jak płacz Peggy. Cyd odwróciła się w moją stronę.

— Proszę, zostaw mnie już w spokoju, Harry.

— Pomyśl tylko o tym, co ci powiedziałem — wybełkotałem przez spuchnięte, pokrwawione wargi. — Proszę, rozważ moją ofertę.

Potrząsnęła głową i... wiem, że to głupie, ale miałem wrażenie, że zaczyna mnie naprawdę lubić.

— Nigdy się nie poddajesz? — zapytała.

— Mam to po ojcu — odparłem.

A potem Cyd zamknęła drzwi wielkiego białego domu i wróciła do swojego życia.

Rozdział 37

Miłą od naszego rodzinnego domu stał na wzgórzu mały kościółek.

Jako chłopiec, włócząc się w jasne letnie noce tam, gdzie nie powinienem się włóczyć, przesiadywałem czasami na pobliskim cmentarzu, popijając cydr, zachłystując się papierosowym dymem i mierzając do gałęzi z należącej do kolegi wiatrówki kaliber 22.

Nie byliśmy aż takimi wielkimi chojrakami, za jakich chcieliśmy uchodzić. Na najmniejszy odgłos — szumiącego w drzewach wiatru, opadających na chłodne nagrobki liści, skrzypienia jakiejś starej deski w kościele — mój kolega i ja zamieraliśmy w bezruchu, bojąc się, że zaraz ukążą nam się nieboszczycy. A teraz miał tutaj zostać pochowany mój ojciec.

Tego dnia obudził mnie jadący rowerem gazeciarz, chrobot wciskanego do skrzynki pocztowej „Mirrora” i ciche brzęczenie grającego w kuchni radia. Przez krótki moment między jawą a snem dzień wydawał się taki sam jak każdy.

Po śniadaniu ja i mój syn przywdzialiśmy jednak czarne żałobne garnitury, krępujące ruchy białe koszule i czarne krawaty, po czym usiedliśmy na podłodze mojej starej sypialni i zaczęliśmy przeglądać poukładane w pudełkach stare fotografie, starając się odnaleźć pociechę w obrazkach mojego ojca i jego dziadka.

Cofając się w czasie, oglądaliśmy kolorowe zdjęcia mojego taty i Pata — otwierającego gwiazdkowe prezenty, jeżdżącego rowerem z zainstalowanymi jeszcze bocznymi kółkami, Pata jako berbecia z niewiarygodnie jasnymi blond włosami i jako niemowlaka, który spał w ramionach swego uśmiechniętego dziadka.

Było również dużo fotografii, których barwy zdążyły już wyblaknąć — mój tato i mama ze mną i Gina w dniu naszego ślubu; ja jako szczerzący zęby nastolatek razem z moim tatą, dziarskim pięćdziesięcioletkiem, obejmujący się ramionami w ogródku, on dumny ze swojego ogrodu i ze mnie; ja jako gapowaty jedenastolatek ze swoimi wciąż młodymi rodzicami na zbiorowym zdjęciu zrobionym podczas wesela któregoś z kuzynów.

A cofając się wstecz aż do początków pamięci i jeszcze dalej — czarno-białe zdjęcie z Salisbury Plain, na którym widać tatę, konie i mnie — krótko ostrzyżone małe dziecko; kolejna czarno-biała fotografia przedstawiająca ojca, który śmiejąc

się, podnosi mnie w górę na jakiejś owianej wiatrem plaży; poszarzałe zdjęcia ojca w mundurze oraz rodziców w dniu ich ślubu.

Nie było ani jednej fotografii ojca z dzieciństwa. Wiedziałem, że jego rodzice byli po prostu zbyt biedni, żeby kupić sobie aparat, ale wyglądało to tak, jakby jego życie zaczęło się dopiero z chwilą, gdy powstała nasza mała rodzina.

Na dole pojawiły się pierwsze kwiaty. Pat i ja stanęliśmy w oknie pokoju moich rodziców i patrzyliśmy, jak kwiaciarz wyjmuje je ze swojej furgonetki. Wkrótce opakowane w celofan bukiety zakryły cały trawnik przed domem i pomyślałem o księżniczce Dianie i morzu kwiatów, które sięgało czarnych balustrad królewskich pałaców. Dla kwiaciarza było to zwykłe zamówienie, pierwsze zamówienie tego dnia, ale wydawał się autentycznie wzruszony.

— Żałuję, że go nie znałem — usłyszałem, jak mówi do matki, i wiedziałem, że naprawdę tak myśli.

Kiedy do kościoła wnoszono trumnę, wybuchnęliśmy w którymś momencie śmiechem. Był to śmiech rozpaczliwy, śmiech stanowiący tamę dla łez, o których wiadomo, że nigdy nie wyschną, jeśli tylko pozwolimy im popłynąć, lecz jednak śmiech.

Szliśmy w ślad za trumną, moja matka, mój syn i ja, i w pewnej chwili czterej dźwigający ją mężczyźni zatrzymali się z jakiegoś powodu w progu starego kościoła. Choć ja i Pat stąpaliśmy, obejmując ją z lewej i z prawej strony, matka szła dalej z oczyma wbitymi w ziemię. Zatrzymała się dopiero, kiedy jej głowa rąbnęła w tył trumny męża.

Zatoczyła się do tyłu, a potem dotknęła palcami czoła. Sprawdziła, czy nie ma na nim krwi, zerknęła na mnie i głośno się roześmieliśmy. Oboje słyszeliśmy jego głos, ten pełen znużonej serdeczności głos starego londyńczyka: „Co ty wyprawiasz, kobieto?”

Po chwili weszliśmy do chłodnego wnętrza i przypominało to zapadanie w sen, w sen, gdzie wszyscy, których znaleźliśmy — krewni, przyjaciele rodziny, dawni i obecni sąsiedzi, mężczyźni w krawatach królewskiej piechoty morskiej, którzy poznali się przed dwudziestką, a teraz dobiegali siedemdziesiątki — zgromadzili się po raz ostatni, w zwartych szeregach. Niektórzy zaczęli płakać na widok trumny ojca.

Nasza trójka usiadła w pierwszej ławce. Kiedyś nasza trójka oznaczała moich rodziców i mnie. Teraz to była moja matka, syn i ja. Śmiech dawno już umilkł, oboje mieli spuszczone głowy i wzrok wbity w posadzkę, lecz ja obserwowałem pastora, który zaczął od cytatu z Księgi Izajasza: „I przekują swoje miecze na lemiesz, a swoje włócznie na sierpy. Żaden naród nie podniesie miecza przeciwko drugiemu narodowi i nie będą się już uczyć sztuki wojennej”¹.

¹ Księga Izajasza, 2,4

Jego kazanie opowiadało o dzielnym żołnierzu, który stał się człowiekiem pokoju — wojowniku, który nauczył się być kochającym mężem, dobrym ojcem i miłym sąsiadem. Widziałem, że przygotowując je, ciężko się napracował, że rozmawiał z matką, wujami i mieszkającą obok ciotką Ethel, która wcale nie była moją prawdziwą ciotką. Pastor nigdy nie spotkał jednak mojego ojca i dlatego w gruncie rzeczy nie był w stanie trafnie go opisać.

Dopiero kiedy w zatłoczonym kościele zabrzmiała wybrana przez matkę stara piosenka, musiałem naprawdę wziąć się w garść — dopiero wtedy poczułem ciężar tego wszystkiego, co straciliśmy.

Ta piosenka poruszyła mnie w większym stopniu aniżeli religijne hymny, wypowiadane w dobrej wierze komunały i twarze wszystkich ludzi, których w życiu spotkał. Głos Sinatry unosił się pod sklepieniem, bardzo młody i bardzo czysty, pozbawiony całej dezynwoltury i cynizmu późniejszych lat.

Matka nie poruszyła się, ale widziałem, że mocniej chwyciła Pata, tak jakby bała się, że ta melodia przeniesie ją w jakieś inne miejsce i czas, w samotną przyszłość, gdzie nie będzie mogła spać przy zgaszonych światłach, bądź też w minioną, bezpowrotnie utraconą przeszłość.

*Którego dnia,
Gdy będzie mi strasznie źle,
Gdy będzie zimno,
Ogrzeje mnie
Sama myśl o tobie,
O tym, jaka jesteś dziś w nocy.*

I słyszałem głos ojca, niezadowolonego z jej wyboru, dziwiącego się kobiecie, z którą dzielił życie i która nigdy nie przestała go zaskakiwać.

— Nie wczesny Sinatra, kobieto! Nie te jego landrynkowe, przesłodzone kawałki, które nagrywał w Columbii! Jeśli to musi już być Sinatra, dlaczego nie wybrałaś jakiejś piosenki z albumów nagranych dla Capitolu w latach pięćdziesiątych — One For My Baby, Angel Eyes, In the Small Hours of the Morning — dlaczego nie wybrałaś któregoś z jego wielkich klubowych przebojów? A swoją drogą, co ci się nie podoba w Deanie Martinie? Zawsze bardziej lubiłem starego Dino.

To prawda. Ulubieńcem ojca był Dean Martin. Sinatra, mimo że bardzo go lubił, był dla niego nieco zbyt sentymentalny.

O wiele bardziej cenił męski twardy ton Deana Martina. Ale oczywiście piosenki nie wybrał ojciec. I nie opowiadała o tym, jak on sam siebie widział. Mówiła o tym, jak widziała go, znała i kochała moja matka.

Jesteś urocza!

*Gdy uśmiechasz się tak ciepło,
Gdy masz taki miękki policzek,
Nie zostało mi nic innego
Jak kochać cię
Taką, jaka jesteś dziś w nocy.*

Pracownicy zakładu pogrzebowego wynieśli trumnę ojca z kościoła — ostrożnie, ostrożnie — i znieczuleni rytuałem śmierci ruszyliśmy na cmentarz, do ostatniego grobu na opadającym zboczu.

Dół wykopano na końcu długiego rzędu. Któregoś dnia, po wielu kolejnych pogrzebach, kiedy otoczy go las innych nagrobków, niełatwo będzie odnaleźć miejsce wiecznego spoczynku mojego ojca. Ale dzisiaj nie musieliśmy się o to martwić. Dzisiaj mój ojciec był w tym miejscu ostatnim przybyszem. Dzisiaj odnalezienie jego grobu nie sprawiało żadnego problemu.

Obok stał biały i nowy nagrobek, z błyszczącymi czarnymi literami epitafium na górnej połowie i pozostawionym niżej miejscem na drugą inskrypcję — inskrypcję, która miała kiedyś zostać wyryta dla jego żony, mojej matki, babci Pata.

PATRICK WILLIAM ROBERT SILVER, odznaczony Medalem za Wzorową Służbę. Nazwisko pochodziło z czasów, gdy rodziny dawały dzieciom tyle imion, ile tylko mogły zapamiętać, tyle imion, ile zdołały nosić. Poniżej znajdowały się daty urodzenia i śmierci oraz napis UKOCHANY MAŻ, OJCIEC I DZIADEK.

Znowu zaczął przemawiać pastor — proch niechaj się w proch obróci, wejdźcie, dzieci, do królestwa Bożego, które czeka na was od początku świata — lecz ja słyszałem tylko urywek jednej ze starych piosenek, piosenki proszącej kogoś, żeby się nigdy, ale to nigdy nie zmieniał.

Staliśmy przy skraju otwartego grobu, naprzeciw licznego tłumu żałobników. Niektórych z nich nie znałem. Innych znałem przez całe życie. Ale ci, których znałem, zmienili się — w pamięci utkwili mi roześmiani wujkowie i przystojne ciotki w średnim wieku, w najlepszym okresie, kiedy mieli nowe samochody i kolorowe ciuchy, kiedy spędzali lato nad morzem, a ich dzieci dorastały albo już dorosły.

Teraz ich twarze były starsze, niż kiedykolwiek spodziewałem się ujrzyć, a pewność siebie, jaka emanowała z nich, gdy mieli trzydzieści lub czterdzieści lat, dawno się ulotniła. Przybyli, żeby obejrzyć pogrzeb ojca, pierwszego z ich pokolenia, który odszedł, i ich własna śmierć wydała im się nagle bardzo realna. Opłakiwali ojca, lecz również samych siebie.

W oddali widziałem pola, po których wałęsałem się jako chłopiec, ciemno-bure w środku zimy i prostokątne niczym boiska, okolone rosochatymi, pozbawionymi liści drzewami.

Czy dzieci nadal bawiły się w tej dzikiej okolicy? Wydawało mi się to z jakiegoś powodu mało prawdopodobne. Ale pamiętałem każdy strumień, każdy błotni-

sty rów, każdy schowany w głębi gęstych zagajników staw, pamiętałem rolników, którzy nas stąd przepędzali, mnie i moich kolegów, dzieci z miasta, które żyły na przedmieściach.

Nie widać stąd było pobliskich agencji nieruchomości ani centrów handlowych. Jak okiem sięgnąć, wszędzie roztaczały się pola. Człowiek naprawdę czuł się tutaj jak na wsi.

Dlatego właśnie mój ojciec uciekł z miasta. Na tych polach bawiłem się jako chłopiec, o nich właśnie marzył tato i teraz miał zostać wśród nich pochowany.

Dookoła nas słyhać było płacz — coraz głośniejszy i bardziej przepojony smutkiem. Podniosłem wzrok i zobaczyłem łzy na twarzach, które kochałem. Twarzach braci ojca. Naszych sąsiadów. Mojej matki i syna.

Ja jednak miałem suche oczy, gdy opuszczali trumnę do świeżo wykopanego grobu. Jedną ręką obejmowałem mocno matkę, która sama obejmowała ramionami swego łkającego wnuka. Drugą wetknąłem głęboko do kieszeni czarnej marynarki, zaciskając w pięści srebrny medal ojca, tak jakbym miał go nigdy nie puścić.

Rozdział 38

— Świat się zmienia — stwierdził Nigel Batty. — To nie są już lata siedemdziesiąte. To nie jest Sprawa Kramerów. W sporze o prawo zamieszkiwania prawo nadal faworyzuje matkę... i zawsze będzie faworyzowało. Rośnie jednak świadomość, że mężczyzna nie zawsze okazuje się marnym rodzicem.

— Nie potrafię pogodzić się z myślą, że mój syn będzie dorastał przy jakimś obcym facecie — powiedziałem, bardziej do siebie niż do mojego adwokata. — Nie potrafię pogodzić się z myślą, że będzie przebywał pod jednym dachem z kimś, kto się nim w ogóle nie interesuje. Z kimś, kogo interesuje tylko jego matka.

— Do tego nie dojdzie. Bez względu na to, co mówi twoja żona, to ona was opuściła. I odkąd syn pozostaje pod twoją opieką, dajesz sobie świetnie radę. Bez względu na to, co ona opowiada swojemu adwokatowi.

— Nie potrafię uwierzyć, że oskarża mnie o zaniedbanie. Gdyby grała czysto, traktowałbym ją z szacunkiem. Ale od takich rzeczy gotuje mi się krew w żyłach. Rozumiesz, o co mi chodzi, Nigel?

— Rozumiem.

Do mojego adwokata nie zwracałem się już „panie Batty”. Teraz był dla mnie Nigelem. Opowiedział mi swoją historię.

Siedem lat wcześniej poślubił Francuzkę, którą poznał, pracując w kancelarii adwokackiej w Londynie. Zamieszkali tu i po roku urodziły im się córki bliźniaczki. Kiedy przed dwoma laty rozpadło się ich małżeństwo, żona postanowiła, że wróci do Francji. I sąd apelacyjny pozwolił jej wyjechać razem z córkami. Od tego czasu Nigel Batty nigdy ich nie zobaczył.

— W rezultacie moje dzieci straciły jedno z rodziców i bez wątpienia znienawidziły drugie — powiedział. — A wszystko to przez jakiegoś zasranego durnego sędziego, który uważa, że liczy się tylko matka. Moja sytuacja nie jest wcale wyjątkowa... wielu ojców traci kontakt ze swoimi dziećmi. Ponieważ kobiety, które kiedyś poślubili, chcą ich ukarać.

Chrząknąłem niewyraźnie na znak zgody. Był późny wieczór i w pustej kancelarii na West Endzie kręciły się sprzątaczkki. Nigel Batty usiadł na swoim biurku i spojrział na sznur samochodów blokujący Hanover Square.

— Moim córkom byłoby na pewno lepiej, gdyby miały oboje rodziców — stwierdził. — Ale takie rozwiązanie... rozwiązanie, które pozwoliłoby im zachować oboje rodziców... wymagałoby jakiegoś kompromisu. A w sporach o zamieszkiwanie nie ma miejsca na kompromis. Dobro dziecka nie ma w nich znaczenia. Powinno mieć, ale nie ma. W sporach o zamieszkiwanie zawsze chodzi o to, co matka wyobraża sobie, że chce.

Zdjął okulary i potarł oczy.

— Mimo że prawo próbuje osłabić moc nakazu zamieszkiwania, musi on oznaczać zwycięstwo jednego z rodziców i klęskę drugiego. Musi. Tym, kto przegrywa, jest przeważnie mężczyzna. Ale... i to właśnie uległo zmianie w ciągu ostatnich dwudziestu lat... nie dzieje się tak zawsze. I tym razem możemy wygrać. Zaslugujemy na to, żeby wygrać.

— Ale ona go kocha.

— Co?

— Gina kocha Pata. Wiem, że go kocha.

Nigel przesunął papiery po biurku, naprawdę wytrącony z równowagi tym, co ja wygaduję.

— Nie sędzę, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie — stwierdził.

* * *

Obserwowałem ich przez okno. Gina wysiadła z samochodu, otworzyła tylne drzwi, żeby wypuścić Pata — mały poinformował mnie, że Richard zainstalował z tyłu specjalny dziecinny zamek — a potem, kucając na chodniku tak, by ich głowy znalazły się na tej samej wysokości, przytuliła jego blond włosy do szyi, ciesząc się ostatnimi sekundami, które mogła z nim spędzić.

Później przystanęła na chwilę przy drzwiczkach samochodu — nie mogliśmy już ze sobą rozmawiać, ale nie wsiadała z powrotem, póki mnie nie zobaczyła — i widząc Pata, który biegł z błyszczącymi oczyma do drzwi, nie mogłem nie pomyśleć, że to dziecko zasługuje na to, by kochano je tak, jak kochane jest każde dziecko na świecie.

* * *

Później tego samego dnia siedział na podłodze, bawiąc się swoimi zabawkami.

— Pat?

— Tak?

— Wiesz, że między mamusią i mną trochę się ostatnio popsulo?

— Nie rozmawiacie ze sobą.

— To dlatego, że się kłócimy.

Bez słowa walnął figurką Luke'a Skywalkera o bok Sokoła Milenium. Usiadłem obok niego na podłodze.

— Oboje bardzo cię kochamy. Chyba o tym wiesz, prawda?

Nie odpowiedział.

— Pat?

— Chyba tak.

— I oboje chcemy, żebyś u nas mieszkał. Gdzie wolałbyś mieszkać? U mnie?

— Tak.

— Czy u mamy?

— Tak.

— Nie możesz mieszkać u nas obojga. Chyba to rozumiesz? Nie możesz mieszkać u nas obojga. Już nie.

Przytulił się do mnie i objąłem go.

— To trudne, prawda, kochanie?

— Trudne.

— Ale o to właśnie toczy się spór. Ja chcę, żebyś mieszkał tutaj. A mama chce, żebyś mieszkał u niej. U niej i Richarda.

— Tak, ale co będzie z moimi rzeczami?

— Słucham?

— Z moimi rzeczami. Wszystkie moje rzeczy są tutaj. Co będzie, jeśli się do niej przeniosę... co będzie z moimi rzeczami?

— To żaden problem, kochanie. Możemy przewieźć twoje rzeczy do mamy. Nie musisz się o to martwić. Najważniejsze jest to, gdzie będziesz mieszkać. A ja chcę, żebyś mieszkał tutaj.

Utkwił we mnie oczy. Oczy Giny.

— Dlaczego?

— Bo tu jest ci dobrze — odparłem i już mówiąc to, zacząłem się zastanawiać, czy to prawda.

Wychowując przez ostatnie miesiące samotnie Pata, bardzo się zmieniłem. Praca z Eamonem stanowiła po prostu sposób na spłacenie hipoteki, a nie udowodnienie sobie i innym, że jestem coś wart. Praca nie była już dla mnie dłużej środkiem wszechświata. Środkiem wszechświata był dla mnie mój syn.

Kiedy byłem z czegoś dumny, czymś się przejmowałem albo coś sprawiało, iż znowu czułem, że żyję, nie wiązało się to z niczym, co działo się w studiu. Wiazało się to z tym, że Pat nauczył się wiązać sznurowadła, że dokuczano mu w szkole albo że zrobił lub powiedział coś, co wypełniało moje serce miłością, coś, co przypominało mi, że mój syn jest najpiękniejszym chłopakiem na świecie. Gdyby ode mnie odszedł, czułbym, że tracę wszystko.

— Chcę tylko tego, co jest dla ciebie najlepsze — powiedziałem i po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że być może chcę tego, co jest najlepsze dla mnie, a nie dla niego.

* * *

— Twój tato i ja zobaczyliśmy ją w Palladium, kiedy miała osiemnaście lat — powiedziała matka. — Nazywali ją dziewczyną z Zatoki Tygrysów.

Jej błękitne oczy były szeroko otwarte z emocji. Dlaczego nigdy wcześniej nie zauważyłem, jak bardzo są błękitne? W półmroku Albert Hali świeciły się niczym klejnoty na wystawie u Tiffany’ego.

Chociaż moi rodzice spędzali na ogół wieczory w domu, mniej więcej co pół roku wybierali się na jakiś spektakl — recital Tony’ego Bennetta w Royal Festival Hali, powtórkę Oklahomy albo Guys and Dolls na West Endzie — i dlatego postanowiłem zabrać matkę na przedstawienie w Albert Hali. Na jej najbardziej ulubioną artystkę wszech czasów — dziewczynę z Zatoki Tygrysów.

— Shirley Bassey! — westchnęła matka.

Rodzice zaciągnęli mnie na kilka występów Shirley Bassey, kiedy byłem jeszcze za mały, żeby protestować. Ale w latach mojego dzieciństwa jej publiczność nigdy nie była tak dalece zróżnicowana jak ta, którą ujrzeliśmy teraz w Albert Hali.

Niesamowicie przystojni młodzieńcy z wyskubanymi brwiami i w małych uzbeckich czapczkach na głowach siadali obok dostojnych starszych par spod Londynu, panów w szykownych blezerach prosto z wiejskiego klubu i pań z trwałą a la Margaret Thatcher — ulubioną wyjściową fryzurą kobiet z pokolenia mojej matki.

— Nigdy nie sądziłem, że stara Shirley cieszy się takim wzięciem w środowiskach gejów — stwierdziłem. — Chociaż to nawet logiczne. Chłopcy lubią połączenie wystawnego show-biznesu i osobistej tragedii. Jest naszą Judy Garland.

— Środowiska gejów? — zdziwiła się mama. — Jakich gejów?

Wskazałem jej głową młodych mężczyzn w strojach od Versacego i Prądy, odróżniających się wyraźnie od odzianego w wełnę i poliester tłumu.

— Rozejrzyj się wokół siebie, mamó.

Jakby na zawołanie siedzący obok matki chłopak o urodzie męskiego modela, zbyt przystojny, żeby być heteroseksualistą, zerwał się z miejsca, gdy orkiestra zagrała pierwsze takty Diamonds are Forever.

— Kochamy cię, Shirley! — zawołał. — Jesteś bajeczna!

— To nie jest gej — szepnęła mi do ucha śmiertelnie poważnym tonem.

Roześmiałem się, objąłem ją ramieniem i pocałowałem w policzek. W tym samym momencie na najwyższym stopniu scenicznych schodów pojawiła się Shirley Bassey w skrzęcej się bajecznie wieczorowej sukni i z uniesionymi wysoko w górę rękoma i mama pochyliła się podniecona do przodu.

— Jak ty to robisz, mamó? — zapytałem.

— Jak robię co?

— Jak sobie radzisz po stracie taty? Byłaś z nim przecież przez całe życie. Nie potrafisz sobie wyobrazić, jak można wypełnić tak wielką lukę.

— No cóż, nie sposób jej oczywiście wypełnić. Nigdy się jej nie wypełni. Brakuje mi go. Czasami się boję. Nadal muszę spać przy zapalonym świetle.

Spojrzała na mnie. Obrzucana bukietami kwiatów Shirley przemierzała scenę przy akompaniamencie huraganowych braw. Tak, była zdecydowanie naszą Judy Garland.

— Ale trzeba się nauczyć pozwolić komuś odejść — dokończyła matka. — Na tym to chyba polega.

— Co na tym polega?

— Że się kogoś kocha. Naprawdę kogoś kocha. Jeśli kogoś kochasz, nie widzisz w nim tylko prostego przedłużenia samego siebie. Nie kochasz go tylko za to, czym jest dla ciebie.

Matka spojrzała z powrotem na scenę. W półmroku Albert Hali widziałem, że w jej błękitnych oczach lśnią łzy.

— Miłość oznacza, że wiesz, kiedy pozwolić komuś odejść — powiedziała mi.

Rozdział 39

— Straciłeś rozum — stwierdził Nigel Batty. — Chcesz dobrowolnie oddać swoje dziecko? Chcesz przekazać je tak po prostu swojej żonie, kiedy możemy, kurwa, wygrać tę sprawę? Będzie tym zachwycona... chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

— Nie robię tego dla niej — wyjaśniłem. — Robię to dla niego.

— Wiesz, ilu mężczyzn chciałoby się znaleźć w twojej sytuacji? Wiesz, ilu mężczyzn widziałem w tym gabinecie... dorosłych mężczyzn, Harry, którzy zalewali się łzami... którzy oddaliby wszystko, co mają, żeby zatrzymać swoje dzieci? Którzy daliby sobie za to uciąć jaja? A ty go porzucasz.

— Nie, wcale go nie porzucam. Nie poddaję się. Ale wiem, jak bardzo Pat chce być z Giną, mimo że stara się tego nie okazywać, gdyż uważa, że w ten sposób mnie urazi, zdradzi czy coś w tym rodzaju. I albo zdołają znowu nawiązać między sobą jakiś kontakt, albo ona stanie się dla niego kimś, kogo widuje tylko w weekendy. Widzę, że już to się dzieje.

— A czyja to wina?

— Wiem, że jesteś rozczarowany, Nigel. Ale ja myślę po prostu o moim synu.

— Wydaje ci się, że ona o nim myślała, kiedy odeszła? Wydaje ci się, że o nim myślała, siedząc w taksówce jadącej na Heathrow?

— Nie wiem. Uważam tylko, że dziecko powinno mieć oboje rodziców. Nawet dziecko, którego rodzice się rozwiedli. Zwłaszcza dziecko, którego rodzice się rozwiedli. Robię, co mogę, żeby tak się stało.

— Pomyślałeś o facecie, z którym ona żyje? O tym Richardzie? Nic o nim nie wiesz. Jesteś szczęśliwy, że oddajesz mu swojego syna?

— Nikomu nie oddaję Pata. Jest moim synem i zawsze nim będzie. Jestem jego ojcem i zawsze nim będę. Ale muszę zakładać, że Gina nie ma kompletnie złego gustu, jeśli idzie o mężczyzn.

— Jeśli chcesz wiedzieć, wygląda na to, że ma słabość do półgłówków. Chyba wiesz, co cię czeka? Staniesz się jednym z tych weekendowych tatusiów, siedzących w Pizza Express w niedzielne popołudnie i zastanawiających się, o czym pogadać z tą obcą osobą, która była kiedyś ich dzieckiem.

— Ja i Pat nigdy nie będziemy dla siebie obcy.

— Wolałbym się o to nie zakładać.

— Nie twierdzę, że to jest to, czego chciałem. Ale czy naprawdę tego nie widzisz? Raz po raz marnujemy sobie życie i rachunek za to płacą zawsze nasze dzieci. Zawieramy nowe związki, ciągle zaczynamy od nowa, ciągle wydaje nam się, że to kolejna szansa, żeby wszystko wyprostować, a cenę za to płacą dzieciaki z rozbitych małżeństw. To one... mój syn, twoje córki i miliony podobnych im... noszą rany, które nie zagoją się do końca życia. — Wzruszyłem bezradnie ramionami, zdając sobie sprawę, że kompletnie się do mnie zraził. — Sam nie wiem, Nigel. Próbuję być po prostu dobrym ojcem.

— Oddając swojego syna.

— Wydaje mi się, że tyle przynajmniej mogę zrobić.

* * *

— Będzie to wyglądało w ten sposób — powiedziałem Patowi. — Możesz zostawić w naszym domu tyle swoich rzeczy, ile chcesz. Twój pokój będzie zawsze twoim pokojem.

Nikt ich nie będzie dotykał. I możesz wrócić, kiedy tylko zechcesz. Na dzień, na noc, na zawsze.

— Na zawsze? — zapytał, prowadząc przy mnie rower. Miał bardzo cichy głos.

— Będziesz mieszkał u swojej matki. Ale nikt nie będzie cię zmuszał, żebyś tam mieszkał. Oboje będziemy się tobą opiekować. I oboje chcemy, żebyś był szczęśliwy.

— Już się ze sobą nie kłóćcie?

— Próbujemy przestać się kłócić. Bo oboje bardzo cię kochamy i oboje chcemy tego, co jest dla ciebie najlepsze. Nie twierdzę, że już nigdy nie będziemy się kłócić. Ale staramy się, rozumiesz?

— Czy znowu się kochacie?

— Nie, skarbie. Ten okres naszego życia mamy już za sobą. Ale oboje kochamy ciebie.

— Gdzie będę spał u mamy?

— Mama szykuje dla ciebie nowy pokój. Będzie wspaniały... będziesz mógł rozstawić na podłodze wszystkie swoje zabawki z Gwiezdných wojen, posłuchać na pełny regulator hip hopu, doprowadzić wszystkich sąsiadów do szaleństwa.

— I nikt nie będzie mógł dotykać rzeczy w moim starym pokoju?

— Nikt.

— Nawet ty?

— Nawet ja.

Szliśmy teraz przez park. Przed nami wiła się asfaltowa alejka biegnąca wzdłuż stawu. Tu właśnie lubił jeździć bluebel-em, pędząc tak szybko, że łabędzie zrywały się do lotu na jego widok. Ale dzisiaj najwyraźniej nie miał zamiaru wsiąść na rower.

— Podoba mi się tak, jak jest teraz — powiedział i poczułem, jak kraje mi się serce. — Podoba mi się, jak jest.

— Mnie też — odparłem. — Lubię przyrządzać ci rano śniadanie. Lubię patrzeć, jak po południu siedzisz pośród porozrzucanych na podłodze zabawek. Lubię, kiedy kupujemy sobie na wynos pizzę albo chińszczyznę i oglądamy razem film, siedząc na sofie. Kiedy chodzimy do parku. Wszystko to lubię.

— Ja też. Ja też to lubię.

— I nadal będziemy to wszystko robić, rozumiesz? Nikt nam tego nie zabroni. To się nigdy nie skończy. Aż do dnia, gdy będziesz już bardzo duży i zechcesz wyjść gdzieś z kolegami i zostawić swojego starego ojca samego.

— Nigdy cię nie zostawię.

— Ale zróbmy wszystko, żeby jakoś się nam udało. Mam na myśli mieszkanie u mamy. Ponieważ mama bardzo cię kocha i wiem, że ty też ją kochasz. To dobrze. Cieszę się. Cieszę się, że się kochacie. I chociaż martwi mnie, że się do niej przenosisz, to przecież niczego nie kończy. Możesz wrócić, kiedy tylko chcesz. Więc spróbuj być szczęśliwy u mamy. Dobrze?

— Dobrze.

— I wiesz co, Pat?

— Co?

— Jestem dumny, że jesteś moim synem.

Pat puścił rower i padł mi w objęcia, przywierając do mnie z całej siły. Moje zmysły wypełniło to, co wydawało się esencją jego osoby — potargane blond włosy, niesamowicie gładka skóra, zapach brudu i cukru. Mój piękny syn, pomyślałem, czując na języku nasze słone łzy.

Były jeszcze inne rzeczy, które chciałem wyjaśnić, lecz zabrakło mi słów. To nie jest doskonałe wyjście, chciałem powiedzieć. Nigdy nie będzie doskonałe. Nie jestem taki głupi, żeby tego nie wiedzieć. Ale biorąc pod uwagę całą sytuację, to chyba najlepsze rozwiązanie. Nie jest doskonałe. Jediną doskonałą rzeczą w moim życiu byłeś zawsze ty.

Mój przepiękny synku.

Mój przepiękny synku.

Mój przepiękny synku.

* * *

Gina zabrała Pata do jego nowej sypialni, a ja stałem pośrodku ich mieszkania, trzymając w ramionach pudło z zabawkami i czując się tak zagubiony, jak nie czułem się jeszcze nigdy w życiu.

— Daj, wezmę to — zaproponował Richard.

Wręczyłem mu pudło i postawił je na stole.

Nieśmiało się do siebie uśmiechnęliśmy. Był trochę inny, niż się spodziewałem — skromniejszy, bardziej sympatyczny, mniej zapatrzony w siebie.

— To wielki dzień dla Giny — powiedział.

— Wielki dzień dla nas wszystkich — uściśliłem.

— Jasne — zgodził się szybko. — Ale Gina, jak pewnie wiesz, jest spod znaku Wagi. Dom, rodzina, to dla niej najważniejsze.

— Owszem.

Był trochę inny, niż myślałem. Ale to oczywiście nie oznaczało, że nie był skończonym dupkiem.

— A Pat? — zapytał. — Spod jakiego jest znaku?

— Posprzątaj Mój Pokój — odparłem.

Gina wyszła z nowej sypialni Pata i uśmiechnęła się do mnie.

— Dziękuję, że pomogłeś mi w przewodzie.

— Nie ma o czym mówić.

— I dziękuję za wszystko — dodała i przez sekundę poznałem w niej Ginę, która mnie kiedyś kochała. — Wiem, jak bardzo ci na nim zależy.

— Miłość oznacza, że wiesz, kiedy pozwolić komuś odejść — odparłem.

* * *

W ogóle jej nie zauważyłem. Wjechałem w główną ulicę i nagle usłyszałem pisk opon i głośny klakson. Czarna taksówka ominęła mnie, skręcając ostro w bok i zobaczyłem wykrzywioną w grymasie wściekłości twarz kierowcy. Ludzie odwrócili głowy, żeby przyjrzeć się temu idiotce w sportowym aucie z podartym dachem.

Zatrzymałem się przy krawężniku i nie zwracając uwagi na mijające mnie samochody, próbowałem uspokoić bijące serce. Trzęsły mi się ręce. Zacisnąłem je na kierownicy, aż pobielaly kłykcie, i drzenie ustąpiło.

A potem ruszyłem powoli do domu, prowadząc z przesadną ostrożnością, ponieważ wiedziałem, że moje myśli podążają inną drogą, że koncentrują się na zamieszczonej w rodzinnym albumie czarno-białej fotografii ojca i syna oraz na fragmencie pewnej starej piosenki o nieznanym, który trafił do raju.

— Jak myślisz, tato? — powiedziałem na głos, naprawdę pragnąc porozmawiać z moim starym, naprawdę pragnąc dowiedzieć się, co o tym sądzi. — Czy dobrze zrobiłem?

Rozdział 40

Usłyszeliśmy kościół, jeszcze zanim go zobaczyliśmy.

Kiedy wielki czarny daimler skręcił w lewo w Farringdon Road i ruszyliśmy powoli w stronę Tamizy, dzwony biły na cześć Marty'ego i Siobhan.

A potem skręciliśmy ponownie na mały Clerkenwall Square i miałem wrażenie, że kościół zasłonił całe błękitne niebo. Ubrany w żakiet Marty zaczął się wiercić na tylnym siedzeniu limuzyny, zezując na gości, którym przy wejściu do kościoła wręczano kwiaty do butonierek.

— Czy nie powinniśmy zrobić kilku rundek? — zapytał. — Kazać im trochę poczekać?

— To robi panna młoda, Marty. Nie my.

— Jesteś pewien, że masz. . .

Pokazałem mu dwie złote obrączki i pokiwał głową.

Nie zostało nam nic innego, jak wysiąść.

Kiedy to zrobiliśmy, dzwony rozdzwoniły się tak głośno, że nie sposób było się skupić. Zaczęliśmy wchodzić po kamiennych schodach do kościoła. Marty rozpinał i zapinał frak, uśmiechając się i kłaniając ludziom, których znał, a nawet tym, których nie znał. Byliśmy w połowie drogi, kiedy potknął się o coś i musiałem złapać go za ramię, żeby się nie wywrócił.

Pochylił się i podniósł ze schodka dziewięciocalową plastikową figurkę mężczyzny. Miał na sobie lawendową marynarkę, lśniąco srebrzyste spodnie i białą satynową koszulę. I albo nosił na brzuchu szeroki pas albo był grubo zabandażowany. Poza tym zgubił gdzieś jeden z białych półbutów.

— Kto to ma, kurwa, być? — zapytał Marty. — Liberace?

— To nie Liberace — odpowiedziałem, odbierając mu lalkę. — To Disco Ken.

W sączących się przez witraże promieniach słońca zbiegała ku nam mała dziewczynka, trzymając w ręku kapelusik tej samej barwy co jej żółta sukienka.

— Peggy! — zawołałem.

— Disco Ken — stwierdziła, zabierając mi lalkę. — Szukałam go.

Chwilę później zobaczyłem Cyd, która przyglądała mi się spod runda wielkiego czarnego kapelusza. Był dla niej trochę za duży. Może kupiła go, zanim przycięła włosy.

— Zaczekam w środku — oznajmił Marty. — Na ołtarzu.
 — Przy ołtarzu — poprawiłem go.
 — Wiem dobrze, gdzie zaczekam — stwierdził.
 Cyd uśmiechnęła się do niego.
 — Powodzenia — powiedziała.
 Popatrzyliśmy w ślad za nim, a potem przez dłuższą chwilę przyglądaliśmy się sobie.
 — Nie spodziewałem się tu ciebie zobaczyć — mruknąłem.
 — Jestem zaproszona przez pannę młodą.
 — Oczywiście. Siobhan naprawdę cię polubiła. No więc... co u ciebie?
 — W porządku, w porządku. Naprawdę w porządku. A jak się miewa Pat?
 — Mieszka teraz u Giny. To chyba zdało egzamin. Zobaczysz go później.
 — Pat przyjdzie? — zapytała Peggy.
 — Jest w orszaku pana młodego.
 — To ekstra — stwierdziła i dała z powrotem nurka do kościoła.
 — Jest szczęśliwy? — zapytała Cyd.
 Widziałem, że ją to naprawdę obchodzi, i miałem ochotę ją objąć.
 — Wyłoniły się pewne drobne problemy z chłopakiem Giny. To jakiś odmieniec. Nie lubi, kiedy Pat tłucze go w głowę świetlnym mieczem. Powtarzam matemu: nie, nie, Pat, jeśli masz zamiar go uderzyć, wal między oczy.
 Cyd potrząsnęła głową i uśmiechnęła się.
 — Kim bybyś bez tych swoich żarcików, Harry?
 — Nie wiem.
 — Ale widzisz go?
 — Przez cały czas. W każdy weekend i raz w ciągu tygodnia. Nie ustaliliśmy jeszcze kwestii wakacji.
 — Musi ci go brakować.
 — Mam wrażenie, jakby wciąż ze mną był. Nie potrafię tego wyjaśnić. Nawet kiedy go nie ma, czuję go przy sobie. Czuję wielką dziurę tam, gdzie jeszcze przed chwilą był. Tak jakby jego nieobecność była tak samo silna jak obecność.
 — Nawet kiedy ich nie ma, wciąż władają naszym sercem. Na tym właśnie polega rodzicielska miłość.
 — Chyba tak. Jak się miewa Jim?
 — Nie mam pojęcia. Nic z tego nie wyszło. Błędem było nawet próbować.
 — No cóż, zrobiłaś to dla Peggy. — Miałem nadzieję, że zrobiła to dla Peggy. A nie dlatego, że nadal kochała go tak, jak kochała niegdyś. — Warto było spróbować ze względu na Peggy.
 — Tak uważasz?
 — Absolutnie.

Wskazała głową mijającego powoli kościół daimlera. W środku siedziała ubrana na biało dziewczyna i podenerwowany mężczyzna w średnim wieku. Samochód zniknął za rogiem.

— Lepiej wejdźmy do środka — powiedziała.

— Do zobaczenia później. Możemy podzielić się vol-au-ventem.

— Do widzenia, Harry.

Patrzyłem, jak odchodzi, by zająć miejsce po stronie panny młodej. Idąc, trzymała rondo kapelusza, jakby w każdej chwili mógł odfrunąć. A potem poczułem, jak ciągnie mnie za rękaw Pat. Ubrany w coś, co przypominało marynarski mundur, wyglądał bardzo elegancko. Objąłem go i zobaczyłem wchodzących po stopniach Ginę i Richarda.

— Mówiłam ci, że nie uda nam się zaparkować tak blisko kościoła — mówiła.

— Przecież nam się udało — odparł. — Czy może czegoś nie zauważyłem?

Widząc mnie, przestali się kłócić, odebrali od mistrza ceremonii kwiatki do butonierki i weszli do kościoła. Uśmiechnąłem się do Pata.

— Podoba mi się twój nowy garnitur. Jak się w nim czujesz?

— Drapie mnie.

— Wyglądasz wspaniale.

— Nie lubię garniturów. Za bardzo przypominają mi szkołę.

— Chyba masz rację. Garnitury za bardzo przypominają szkołę. Nadal jesteśmy umówieni na weekend?

Pokiwał głową.

— Co chcesz zrobić? — zapytałem.

— Coś dobrego — odparł po chwili zastanowienia.

— Ja też tego chcę. Zróbmy coś dobrego w ten weekend. Ale na razie mamy tu do wykonania zadanie, prawda?

— Jesteśmy drużbami.

— Ty jesteś drużbą. Ja jestem pierwszym drużbą. Idziemy na ślub?

Pat wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

Mój przepiękny chłopak.

Weszliśmy do kościoła — w środku pachniało liliami, chłodem, kobietami w kapeluszach i półmrokiem, który przecinały padające ze starych okien smugi miodowego światła — i Pat wyprzedził mnie, stukając obcasami swoich nowych butów po kamiennej posadzce.

Patrząc, jak biegnie do ołtarza, przy którym czekał już na nas Marty, poczułem jednocześnie ukłucie wielkiego szczęścia i wielkiego smutku.

Sam nie wiem. Czułem się, jakbym był już jego drużbą.

* * *

Pastor był wysokim, młodym nerwowym mężczyzną, jednym z tych prostodusznych elegantów ze Środkowej Anglii, których kościół anglikański wysyła do betonowej dżungli stolicy. Jego jabłko Adama podskakiwało w górę i w dół, gdy mówił o dniu sądu, w którym odkryte zostaną sekrety wszystkich serc.

Nie spuszczając wzroku z Marty'ego, zadawał mu pytania takim tonem, jakby naprawdę spodziewał się szczerych odpowiedzi.

— Czy będziesz ją kochał, szanował i opiekował się w chorobie i w zdrowiu? Czy zaniechawszy innych kobiet, zostaniesz z nią, póki śmierć was nie rozłączy?

A mnie stanęła przed oczyma długa seria oportunistycznych miłostek Marty'ego, które kończyły się niezmiennie w niedzielnych wydaniach gazet, kiedy kobiety, które szybko zdobył i prawie tak samo szybko porzucił, uświadamiały sobie, że przespanie się z nim nie stanowi wcale pierwszego szczebla kariery w show-biznesie.

Potem spojrzałem na stojącą przy swoim ojcu Siobhan, na jej okoloną białymi koronkami irlandzką bladą twarz i chociaż nie był po temu odpowiedni czas i miejsce, nie mogłem nie pomyśleć o jej słabości do żonatych mężczyzn oraz do nieobliczalnych młodzieńców, którzy przykuwają się łańcuchami do drzew. Żadna z tych rzeczy nie miała jednak dzisiaj znaczenia. Ani zgorzkniałe, oplotkowujące Marty'ego byłe kochanki, ani wszystkie te żony, które pokazały po jakimś czasie Siobhan, gdzie jest jej miejsce. Wszystko to mieli już za sobą.

Oboje wydawali się dzisiaj rozgrzeszeni, odmłodzeni przez te obietnice miłości i oddania, przez złożone śluby — chociaż byłem przekonany, że Marty nie miał pojęcia, co konkretnie przed chwilą ślubował. Czułem do nich obojga olbrzymią sympatię.

I nie mogłem odnaleźć w sobie najmniejszego śladu cynizmu. Ponieważ ja również chciałem tego samego. To było wszystko, czego chciałem. Kochać i miłować.

Obejrzałem się i rzuciłem okiem na zgromadzonych. Cyd zerkała na pastora spod runda swojego kapelusza. Obok niej widziałem czubek głowy i włosy Peggy. Pat spostrzegł, że mu się przyglądam, i uśmiechnął się od ucha do ucha, a ja mru-gnąłem do niego i obróciłem się z powrotem do pastora, który mówił o dozgonnej miłości i zgodzie.

Kiedy zadawał nowożeńcom pytania, nie mogłem nie postawić kilku z nich sobie. Na przykład... czy rzeczywiście mogę odegrać pozytywną rolę w życiu Peggy? Czy naprawdę uważam, że zdołam wychować tę małą dziewczynkę, mając pełną świadomość, że nigdy nie połączą nas łatwe związki krwi? Czy jestem w wystarczającym stopniu mężczyzną, by wychować dziecko innego mężczyzny? I co będzie z Cyd? Czy wytrzymamy ze sobą dłużej aniżeli standardowe pięć, sześć albo siedem lat? Czy będziemy się kochać i miłować aż do śmierci? Czy też jedno

z nas — prawie z całą pewnością ja — w końcu coś spieprzy, zaczniesz się opieprzać albo na lewo i prawo pieprzyć. Czy naprawdę wierzę, że nasza miłość jest dość silna, by przetrwać w tym parszywym współczesnym świecie? No właśnie, czy w to wierzę? Czy w to wierzę?

— Tak — powiedziałem głośno i Marty po raz pierwszy spojrzał na mnie jak na czubka.

* * *

Postukałem srebrną łyżeczką w kieliszek szampana i wstałem, żeby wygłosić mowę pierwszego drużby.

Wszyscy krewni, znajomi i koledzy z pracy spojrzeli na mnie, nasyceni weselnym śniadaniem i gotowi wysłuchać czegoś śmiesznego, a ja zerknąłem do swoich notatek.

Były to w większości tanie dowcipy, nagryzmołone przez Eamona na odwrotnej stronie pocztówek. W tym momencie wydały mi się kompletnie bezużyteczne. Wziąłem głęboki oddech i zacząłem mówić.

— Jeden z wielkich myślicieli powiedział kiedyś: „Mijają lata, życie wydaje ci się banalne i nagle pojawia się nieznajomy, a imię jego brzmi miłość”. — Zawiesiłem dramatycznie głos. — Czy to Platon? Wittgenstein? Kartezjusz? Nie, to Nancy Sinatra. I stara Nancy ma rację. Bez tego nieznajomego życie wydaje się takie banalne, takie puste. W gruncie rzeczy, kiedy o tym pomyślę, jest jeszcze gorzej.

Nie mieli pojęcia, o czym ja, kurwa, mówię. Nie sądzę, żebym sam to wiedział. Potarłem pulsujące skronie. Zaszło mi w ustach. Łyknąłem trochę wody, ale wciąż były suche.

— Jest gorzej, o wiele gorzej — mruknąłem, starając się znaleźć odpowiednie słowa dla prawdy, którą chciałem przekazać. Chodziło mi chyba o to, jak ważne jest, by Marty i Siobhan zawsze pamiętali, jak się dzisiaj czuli. Żeby nigdy tego nie zapomnieli.

Spojrzałem w stronę Cyd, oczekując od niej jakiejś zachęty, lecz ona wbiła wzrok w resztki swojego deseru. Peggy i Pat biegali między stołami. Ktoś zakaszał. Zaczęło płakać jakieś niemowlę. Ludzie niecierpliwiili się. Ktoś wyszedł w poszukiwaniu toalety. Zerknąłem do swoich notatek.

— Poczekajcie, mam tutaj coś dobrego — powiedziałem. - O miłości, która zaczyna się, kiedy toniesz w czyichś ramionach, i kończy, gdy toniesz w czymś zlewie.

Dwaj pijani wujowie parsknęli śmiechem.

— Albo o nieświadomych nowożeńcach, którzy poszli do lekarza, żeby zademonstrował im stosunek płciowy — dodałem. Lekko wstawiona ciotka cicho

zachichotała. — Doktor odbył stosunek z kobietą i zapytał pana młodego, czy ma jakieś pytania. Owszem, odparł tamten. Jak często mam ją tutaj przyprowadzać?

Goście roześmieli się. Eamon uśmiechnął się z dumą. Lecz ja czułem, że pocztówki wyslizgują mi się z drżących dłoni. Nie potrzebowalem już notatek. Były bezużyteczne.

— Tak naprawdę chciałem wam powiedzieć, że mam nadzieję... jestem pewien... że Siobhan i Marty będą pamiętać, iż życie bez miłości to nie jest życie. To są słowa Nancy Sinatry. I jeśli znajdziecie kogoś, kogo kochacie, nie pozwólcie mu odejść. To moje słowa.

Uniosłem w górę kieliszek. Cyd zerknęła na mnie, a potem schowała się z powrotem za rondem kapelusza.

— Panie i panowie, chłopcy i dziewczęta, napełnijcie kieliszki i wnieście toast za tę cudowną parę.

Eamon złapał mnie, kiedy schodziłem ze sceny.

— Świetnie wypadłeś — stwierdził. — Następnym razem dorzuć kilka dowcipów o panu młodym dymającym owcę.

* * *

Dopiero kiedy zaczęła grać muzyka, uświadomiłem sobie, że nigdy nie widziałem jej w tańcu.

Nie miałem pojęcia, czy podobnie jak jej imienniczka jest wspaniałą tancerką, czy też kompletną, choć mimo to uroczą niezdara.

Nie wiedziałem, czy wiruje i sunie z nieskończoną gracją po parkiecie, czy też stawia niezgrabne kroczyki, zastanawiając się, co zrobić z rękoma. Nie wiedziałem, czy tańczy jak Cyd Charisse, czy jak Sid James. Wiedziałem jednak, że nie ma to dla mnie najmniejszego znaczenia.

Widok marnie tańczącej Cyd wzruszyłby mnie tak samo mocno jak widok tańczącej pięknie. Chciałem po prostu z nią zatańczyć.

Didżej puścił Wake Me Up Before You Go-Go i sali udzieliło się coś z głupawej euforii tej starej piosenki.

Marty i Siobhan wycinali niebezpiecznie wyglądające hołubce i twarz pana młodego przybrała kolor przedzawałowej czerwieni, gdy próbował podnieść z parkietu swoją partnerkę. Eamon stał jak wryty w miejscu, wyrzucając w górę ręce, jakby zalał się w trupa na Ibizie, a nie wypił trzy kieliszki w Clerkenwall. Mem wyginała się i wiła wokół niego i wyglądała bardzo lubieżnie, wykonując ten jedyny taniec, jaki знаła.

Gina klaskała w dłonie i śmiała się razem z Patem, który wymyślił właśnie nowy taniec składający się z dziwnych małych podskoków, wprawiających go w stały ruch obrotowy. Richard sunął dostojnie po parkiecie z jedną z druhen. Moja matka tańczyła z pastorem.

Była również Sally, obecnie w zaawansowanej ciąży, kołysząca się z boku na bok z ironicznym wyrazem twarzy, ponieważ była to muzyka, dzięki której wapniacy mogli się znowu poczuć młodzi.

Był też Glenn, który zamknął oczy i wymachiwał dziko rękoma, jakby tarzał się w błocie w Woodstock. Nagle zdałem sobie sprawę, że przyjęcie jest wyjątkowo udane. Ponieważ Glenn tańczył w taki sam sposób jak Eamon.

Nie widziałem jednak nigdzie Cyd i Peggy.

Kiedy Marty postawił na podłodze Siobhan, żeby zaczerpnąć oddechu, dotknąłem jej ramienia.

— Siobhan, gdzie jest Cyd? — zawołałem, przekrzykując głos George’a Michaela.

— Musiały wcześniej wyjść, żeby zdążyć na samolot. Wracają do Ameryki.

— Na jak długo?

— Na zawsze. Nie powiedziała ci?

* * *

Zostawiłem MGF na poboczu autostrady, na zachód od zielonych osiedli Osterley Park. Kilka dni później usiłowałem odszukać to miejsce na planie miasta, ale leżało zbyt daleko, żeby tam się znaleźć. Miałem wrażenie, że porzucam samochód gdzieś na końcu świata. Albo na początku.

Było jednak jasne, że jadąc autem, nie zdążę. Droga na Heathrow była kompletnie zakorkowana. Tymczasem co kilka sekund nad moją głową wzbijał się w niebo kolejny samolot wielki niczym oceaniczny liniowiec. Wyglądało to nieciekawie. MGF nie był już w stanie mi pomóc.

Wysiadłem z samochodu, uświadamiając sobie, że nie wiem, którą linią lotniczą lecać. Samoloty Virgin Atlantic startowały z Terminalu 3, British Airways z Terminalu 4. Nie było czasu, żeby dotrzeć do obydwu. Którą wybrały? Firmę Richarda Bransona, czy może ulubione linie lotnicze świata?

Biegłem skrajem autostrady, powiewając połami fraka. Nad głową słyszałem wizg odrzutowców.

Ostatecznie jednak nie miało większego znaczenia, którą linię wybrały. Kiedy dotarłem do hali odlotów, wszystkie odlatujące tego dnia do Ameryki samoloty już wystartowały.

Tłum zaczął się przeredzać. Podróżni byli w powietrzu, ci, którzy ich odprowadzali, w drodze do domu. Stojąc przy bramie odlotów międzynarodowych i pocąc się obficie w moim fraku, zwiesiłem głowę i głęboko westchnąłem. Spóźniłem się.

I nagle zobaczyłem na ziemi małego lawendowego człowieczka. Disco Kena. Podniosłem go. Jego srebrne spodnie były umorusane. Zgubił gdzieś drugi but.

I chwilę później stanęły przede mną Cyd i Peggy, z kartami pokładowymi w rękach i walizkami u stóp. Obie ubrane były nadal w wizytowe sukienki.

— To była wspaniała mowa — powiedziała Cyd.

— Nie sądzisz, że powinna być trochę bardziej tradycyjna? Nie sądzisz, że powinienem... no wiesz... dorzucić dowcip o panu młodym i owcach?

— Nie, tak było dobrze.

— Nie zdążyłyście na samolot.

— Pozwoliłyśmy, żeby odleciał.

Potrząsałem z niedowierzaniem głową.

— To ty — powiedziałem.

— Lepiej, żeby to była ja — odparła.

Peggy wzięła ode mnie Disco Kena i spojrzała na swoją matkę, tak jakby zastanawiała się, co się jeszcze wydarzy.

* * *

Czarna taksówka wiozła nas wczesnym wieczorem z powrotem do miasta. Zatopiona w myślach Cyd patrzyła na wyłaniające się wzdłuż Westway wysokie bloki. Peggy spała w moich ramionach.

To dziecko sprawiało czasami wrażenie takiego dorosłego, takiego opanowanego i spokojnego. Jednocześnie zaś siedząc u mnie w kolanach i opierając głowę o moją pierś, Peggy wydawała się lekka jak piórko. Tak jakby nadal była niemowlakiem i miała całe życie przed sobą, jakby to życie mogło nadal przybrać dowolny kształt.

Wzdrygnęła się przez sen, gdy gdzieś w niekończącym się labiryncie uliczek zachodniego Londynu zabrzmiały dzwonki lodziarza. Ich dźwięk bardziej aniżeli śpiew ptaków czy kwitnące pąki sygnalizował, że ciemne i zimne dni dobiegają wreszcie końca. Wkrótce musiała już nadejść wiosna, ponieważ gdzieś tam słychać było faceta z dzwoneczkami.

Z tylnego siedzenia czarnej taksówki nie mogłem dostrzec, gdzie dokładnie krąży pośród tych cichych, krzyżujących się uliczek. Ale echo jego dzwoneczków brzmiało w mojej głowie niczym wspomnienie dzieciństwa albo wyśnione weselne dzwony.